

BÓJ OLBRZYMÓW

WIKTOR GOMULICKI

BÓJ OLBRZYMÓW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

k-199/73

BIBL. GŁÓWNA



38389

CZĘŚĆ PIERWSZA
OTCHŁAŃ WYZYWA OTCHŁAŃ

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE, □□

1913.

śdŁ OLBRZYMÓW.

ROZDZIAŁ I.

ILLADY KSIĘGA I, WIERSZE: 609—611.

Czwórka wspaniałych, niecierpliwych koni niosła Przedmieściem Krakowskiem rozpartego w koczku ulana.

Był marzec. Od Wisły pociągał wiatr zimny, miecąc co pewien czas garście suchego, jak piasek, śniegu. Ulan zakrył i przyćmił blask świetnego munduru burką włochatą, którą na piersi spinała wielka srebrna klamra kształtu lwich szponów.

Mimo zimna, ulan zmuszony był trzymać na wierzchu prawą rękę, nie odejmując jej niemal od wysokiego szaka. Co krok, co chwila, kłaniano mu się, a ściślej mówiąc: pozdrawiano go. Nie minął jadącego bez pozdrowienia żaden przechodzień. Ulan nadażyć nie mógł z oddawaniem ukłonów.

Wszystko wskazywało, że ten piękny wojak z okragłą, rumianą twarzą, z małym ciemnym wąsem, z głębokiemi, błyszczącemi oczyma, rozparty swobodnie, z pewną rycerską fantazyą, a zarazem z dobrotliwą poufałością, wskazującą, że znajduje się między »swoimi« — jest w mieście osobą jedną

z pierwszych, może nawet pierwszą... Wszakże, gdy przejeżdżał tą drogą król saski, bezkrwisty, sztywny, jakby papierowy, nie otrzymywał ani połowy tych holdów — choć był *de nomine* monarcha!

Kocz skreślił w prawo; zatrzymał się przed palacem »pod Blachą«. Służba uwolniła swego pana od ciężaru ośnieżonej burki i wysokiego kasku.

Ulan, ostrogami brzęcząc, wkroczył do małego salonu, aby go minąć i przejść do gabinetu. Ale zaszła mu drogę strojna, niemłoda dama w powłóczystej sukni, ubielona, uróżowiona. Twarz miała mądrą i dumną; ruchy królowej.

— Książę znudzony? — po francusku rzekła, podając przybyłemu rękę. On posuwił się bliżej, rękę pochwycił, pocałunek pełen szacunku złożył.

— Powiedz, pani baronowo: znudzony... — odparł z westchnieniem w tymże języku.

Oboje usiedli. Można było sądzić, że się w tym dniu spotykają po raz pierwszy — dwukrotnie już jednak widzieli się ze sobą i rozmawiali.

Kobieta wpatrywała się w ulana wzrokiem rozumnym, który rozcieplił nagle płomyk uczucia. Dziwne to było uczucie: napół siostrzane, napół macierzyńskie. Przebłyskiwał też w niem afekt szczególny, jaki miewają mistrze i... mistrzynie dla pojętych, zaszczyt im przynoszących — uczniów.

I twarz ulana wyraz zmieniła. Już na niej buty poprzedniej nie było. Zastąpiła ją prostota, złączona z chłopięcą prawie figlarnością,

— Jeśli mówię: znudzony — podjął książę, rozsiadając się wygodniej na kanapce — nie mam na myśli swej rewii codziennej na Placu Saskim. Wiesz

pani, że to moja najsmakowitsza rozrywka. Ale potem: posiedzenie Rady Stanu, klótnia z rezydentem francuskim, brednie frankmasonskie — wreszcie kłopoty wojskowo-administracyjne, czyli rozwiązywanie zadania: w jaki sposób z dwóch pomnożonych przez dwa zrobić — pięćdziesiąt... Psiakrew! Już mi to wszystko kolka w brzuchu stanęło!

Ostatnie słowa wymówił po polsku. A wymówił z takim dosadnym, mazurskim, prawdziwie »warszawskim«, akcentem, aż się dama wzdrygnęła.

— Wytłómacz mi, książę, co to znaczy?... — niemal z przestachem rzekła.

— *C'est intraduisible, madame!* — oświadczył, zacierając chwilową rubasność ruchem salonowca, uśmiechem chłopca rozswawolonego.

Ta figlarność nie była rażąca. A jednak książę Józef Poniatowski dobiegał już pięćdziesiątki, dźwigał godność ministra wojny i był jakby wielkorządcą Księstwa Warszawskiego. W nim jednak wewnętrzna powaga i dostojność ducha nigdy nie ubierały się w namarszczoną maskę augura. W najtragiczniejszej nawet chwili był gotowy do żartu, do figla, do uśmiechu.

Natomiast stale poważną była towarzyszką księcia, chuda, mądra, wytworna pani de Vauban. Po wadze tej damy dorównywała jedynie jej ciekawość.

I teraz zarzucała księcia badawczemi pytaniami.

— Tiuillerye obstają przy swoim?

— Mocniej, niż kiedykolwiek.

— Czyż tego oporu nikt nie przełamie?

— Myślę, że nikt. Według polskiego przysłowia: »Na upór niema lekarstwa«.

— Jednak za wszelką cenę trzeba lekarstwo znaleźć.

— Czynię to właśnie.

— Ostatnich depesz jeszcze nie czytała.

— Mój sekretarz dostarczy je pani.

— Ach, mój książę, jak mnie to wszystko prze-
raża! Naogół nie brak mi siły i odporności, ale widok
nadchodzącej burzy wprost łamie mnie. Niestety, ko-
bieta jestem...

Pięknym ruchem podniosła do nosa mały we-
necki flakonik, na złotym łańcuszku zawieszony.

— Cóż w Radzie Stanu? — podjęła po chwili. —
Posiedzenie było zajmujące?

— Niesłychanie! Zarysowałem pół libry papieru
profilami swych przyjaciół i przyjaciółek. Raz nawet
przemawiałem.

— To się księciu rzadko zdarza...

— Prawie nigdy.

— Jakaż była treść przemówienia?

— Krótka. Przemówilem do swego sąsiada, mi-
nistra policyi: »Mości panie! Spać tu można, lecz
chrapać się nie godzi!« Bowiem to indywiduum nie
tylko zasnęło, lecz i głośno chrapało.

Po ustach pani de Vauban przemknął blady,
pobłażliwy ówiercuśmieszek, z jakim matki słuchają
samochwalczych opowiadań swych synków wisusów.
Zaraz jednak uczyniła zwrot do spraw poważnych.

— Jakże tam z podatkami? Czy udało się księ-
ciu wynaleźć nowe źródło dochodów?

Książę zabierał się do odpowiedzi z wyraźną
niechęcią. Gładził palcami bokobrody; wierchem
dłoni usta pocierał...

W tej chwili służący oznajmił:

— Pan kapitan Mroczek...

— Prosić! — zawołał książę z widoczną ulgą. —
Zaprowadzić pana kapitana do mego gabinetu.

Porwał się z kanapki bez śladów zmęczenia,
przyjaciółce złożył ukłon głęboki i do gościa po-
spieszył.

Zastał kapitana *en grande tenue* — opiętego,
solenego, wyciągniętego, jak cięciwa. Jeszcze go ni-
gdy nie widział w tem urzędowem przetworzeniu.
Uśmiechu powstrzymać nie mógł, lustrując go od
stóp do głowy: od srebrnych, błyszczących ostróg do
włosów w wielki czub ufryzowanych.

— Nawet się uperfumował! — wykrzyknął
z przerażeniem, zbliżając przy powitaniu nos do jego
rabatu.

Kapitan nie pozbywał się na chwilę powagi,
złączonej z zakłopotaniem. Po raz pierwszy znalazł
się przed obliczem swego szefa w jego pałacu.
W każdym ruchu, w każdym zgięciu palca, w każdym
mgnieniu powieki widniała zaprzatająca go myśl,
że stoi przed swym najwyższym zwierzchnikiem,
przed ministrem, przed księciem, przed najpierwszym
dygnitarzem państwa...

Był to trzydziestoletni, piękny, smukły, mężczy-
zna, z bladą twarzą, z czarnymi oczami. Skrzył się
w tych oczach płomień zapału i marzycielstwa. Ka-
pitan był poetą.

— Przebacz, ekscelencyo — mówił głosem, który
chciał uczynić spiżowym, a który mu drżał, jak naj-
cieńsza srebrna blaszka. — Przebacz, żem w blahej,
osobistej sprawie odważył się przestąpić próg twego

książęcego pałacu, zamącając pustemi słowy dostojną ciszę miejsca, gdzie drzemiał echa gromonośne, czają się myśli światotwórcze i gdzie tylko Mars z Minervą, przy słodkobrzmiącej lutni Apollinowej, godną siebie znajdować mogą siedzibę...

W czasie tej przemowy książę zrzucił pośpiesznie swój mundur generalski i wciągał prostą kurtę z sukna błękitnego, poczem, przystąpiwszy do fajczarni, przebierał niecierpliwie między cybuchami.

— Ależ, kapitanie! Stachu serdeczny! — prze-rwał gościowi wylew krasomówstwa — dajże pokój oracyom i tytułom! Tu niema żadnej ekscelencyi; żadnego ministra i dygnitarza. Przed tobą stoi star-szy towarzysz broni, szczerze ci wdzięczny za od-wiedziny, i rad, że będzie mógł ze współwojakiem swobodnie pogawędzić.

Mroczek nie ustępował.

— Pozwól wszelako wasza książęca mość...

— Subordynacya, mości kapitanie! — krzyknął książę, naprawdę już zniecierpliwiony, wymachując najdłuższym ze swych cybuchów. — Nakazuję wasz-mości tytułować mnie moim stopniem właściwym, to znaczy mówić mi wprost: generale!

Nałożył fajkę tytoniem, zapalił i trzymając cy-buch w jednej ręce, drugą objął serdecznie towa-rzysza za szyję.

— Bo widzisz, kochasiu — poufale, po przyja-cielsku mówił — ten tytuł jest i najkrótszy i pra-wdziwie żołnierski i — dla mnie najmilszy. Przypo-mina mi młodość, Kościuszkę; przypomina Rzeczpo-spolitą, rozszarpaną już, lecz jeszcze żywą...

Otoczył się dymem, usiadł na niskiej sofie tu-

reckiej — Mrocza niemal przemocą obok siebie po-sadził. Przy tem droczeniu się, kapitan potracił nie-wielki, wytworny, na cienkich nóżkach gerydon, z którego posypały się na posadzkę kwiaty oraz małe pachnące liściki, różnobarwnymi lakami pie-czetowane. Zmieszany, prawie przełękły, na kolana rzucił się, zbierał...

— Czyż warto! — wstrzymał go książę, za ra-mię ujmując. — Służącemu to zostaw. Tem wonnem żniwem Amora on codziennie ogień w kominku podsyca. Tak jest: codziennie — afekty bowiem na-szych dam są, jak pieczarki: dziś wycięte, nazajutrz odrastają!

Uśmiechnął się smutno.

— Nimfy moje nie chcą wiedzieć, że ich Ado-nis postarzał... Co gorsze — dokończył smutniej — zapominają, że postarzały same... Strzeż się nimf, kapitanie!

Kapitan skłonił się, jakby na znak posłu-szeństwa.

— A teraz — rzekł książę tonem poufnym, kładąc dłoń na ramieniu towarzysza — pomówimy o tobie i o twojej sprawie. Widzę, że się czerwienisz, oczy spuszczasz... Język, zwykle tak wymowny, posłuszeństwa ci odmawia... Żal mi cię, młodzieńcze. Aby dowieść, że koleżeństwo nie jest czczem słowem, z pomocą ci pośpieszę. Kapitanie! przybyłeś tu, aby mi oświadczyć, żeś zakochany, jak kot w marcu, czyli, po twojemu wyrażając się: że palisz kadzidla na oltarzu uroczej bogini z Pafos!

— Mości książę... panie generale... — jękał wzruszony Mroczek — zdumiewa mnie twoja prze-

nikliwość... Wasza książęca... generalska... mość czytasz w sercach, jak w książce otwartej...

— Ach, poeto! poeto! — zaśmiał się książę — nie potrzebowałem bynajmniej sięgać aż do serca, aby twą tajemnicę odgadnąć. Dość mi o niej powiedziały twoje włosy ufryzowane, twój rabat wypachniony, twoje oczy roztkliwione, jak u dziewicy, z pierwszego balu powracającej... Gadaj-że teraz po żołniersku, otwarcie i krótko: o kogo w tej eklodzie chodzi? jaką mnie przeznaczyłeś w niej rolę?

Kapitan nabral wreszcie śmiałości.

— A więc tak, generale! postokroć tak! — zapałem oświadczył. — Kocham dziewicę, która urodą oraz przymiotami rozumu i serca przeszła wszystko, co świat posiada i kiedykolwiek posiadał. Kocham uczuciem wzniosłem, jak...

— Szczyty Osy i Pelionu! — podpowiedział książę pod wąsem.

— Uczuciem płomiennem...

— Jak Iono Wezuwiusza — znów książę dopomógł.

— O! — zapalał się tamten coraz bardziej — nie sądź, generale, że to afekt, podobny do tysięcy innych — że to jakaś zwykła miłostka ułańska albo romans z salonów warszawskich. Jejmościanka panna Rozalia Zrzelska, serca mojego wybranka, jest dla mnie...

— Czem Chloe dla Dafnisa — podszeptnął książę.

— Hero dla Leandra — poprawił poeta.

— Tisbe dla Pirama — ciągnął książę.

— Andromaka dla Hektora! — dokończył ka-

pitan z mocą, i wypachnioną chusteczkę do oczu wilgotnych przyłożył.

Książę pociągnął dymu z fajki.

— Rozumiem cię teraz — spokojnie oświadczył. — Żądasz, żebym ci w tej imprezie dopomógł i serce panny dla ciebie zniewolił. No, i dobrześ się wybrał, bowiem ta Różia, czyli inaczej »Różyczka« jest moją chrześniaczką. Zapomniałeś wszelako, kapitanie, że w tego rodzaju kampaniach tylko na osobistym męstwie polegać należy.

Poeta przeciał sprawę jednym zdaniem.

— Panna jest mi wzajemna!

— W takim razie — rzekł książę — nie wiem doprawdy, w czem mogę ci być przydatny? Chcesz może, żebym oblubienicę do ołtarza poprowadził? Towarzyszowi broni i tej nie odmówię przysługi.

— Panna jest mi wzajemna — powtórzył kapitan, przybierając nagle minę poważną i bolesną — i z tej strony przeszkód nie obawiam się. Niestety! przeszkody stawia kto inny...

— Rodzice?

— Moja ukochana jest sierotą. Matkę straciła przed rokiem; ojciec nie żyje od lat trzynastu.

Książę przesunął dłoń po czole.

— Ach, tak... major Zrzelski... mąż wielkiego serca, mocnej ręki. Pod Dubienką ze mną walczył, potem w legionach. Bił się, jak lew... nie! jak Polak zrozpaczony. Zginął...

Piękne oblicze księcia zniknęło za chmurą dymu. Mroczkowi wydało się, że w tym dymie dosłyszał ciche, zaledwie wyszeptane słowo:

— Szczęśliwy...

Po chwili zapytano głośniej:

— Któż więc ci przeszkadza, kapitanie?

— Opiekun.

— Jakiś wuj, stryj, nieboszczyka ojca przyjacieli?

— Dziadek.

— Dziadek... — zadziwił się książę i ręką machnął lekceważąco.

Ale zaraz zamilknął i niecierpliwym ruchem dym rozgarnął. Z poza dymu ukazała się twarz surowo namarszczona.

— To sprawa poważna, kapitanie!... Znam tego dziadka. Stary konfederat, niegdyś Stanisława Leszczyńskiego stronnik. Ze sto lat mieć już musi. Rzymianin, mąż Plutarchowy, stoik. Sztuka zadzierżysta i zajadła. Znam go. Ten staruch wnuczki za mąż nie wyda. Gdyby syna miał, nie ożeniłby go. Wszystkim Polakom i wszystkim Polkom ślubów-by zabronił...

— On, generale, nie zabrania. On czyni to tylko zależnem...

— Wiem. Zależnem od chimery — od pięknej zresztą chimery, za którą wszyscy gonimy — nie zawsze nawet w jej pochwycenie wierząc...

Książę znów w dymie zatonał, jakby i siebie i myśli swoje chciał uczynić niewidzialnemi.

Po chwili podjął niecierpliwie:

— Jeśli spodziewasz się, kapitanie, że ja ową przeszkodę usunę, to...

— To nadziejom swym daję podstawę granitową! Ty jeden, mości książę, jesteś do tego powołany. Ty jeden masz moc zdziałania cudu. Ty jeden!

Porwał się książę z sof, fajkę odrzucił. Na twarz wystąpiły mu krwawe rumieńce, szeroka pierś dyszała. Trudno było poznać, czy rozgniewał się, czy obraził — widziało się jednak, że jest do głębi wzburzony.

— Szaleńcze! — wykrzyknął — dlaczego obciążasz mnie zadaniem, siły jednego człowieka przechodzącem? Nie dźwignął tego ciężaru Kościuszko — skąd we mnie wziąć się ma moc nadprzyrodzona? Alboż jestem unoszącym świat Atlasem? Alboż mam w sobie coś z Herkulesa, z cyklopa, z tytana? Niedawno jeszcze zwaliście mnie lekceważąco »księciem Pepi«, poczytywaliście za kukłę salonową, tylko do tańca, hulanki i romansów zdolną. Jeszcze przed dwoma laty byłem dla was »bratankiem królewskim« i »zdrajcą« — trzymaliście w zaciśniętych dłoniach brukowce, aby mnie ukamienować... Czegóż dziś chcecie odemnie? Życia? Każdej chwili uczynię wam z niego ofiarę. Geniuszu? Nie mam go. Jestem prosty żołnierz. Jestem Polak, nie gorszy, lecz i nie lepszy od was wszystkich. Nie olśniewajcie mię widokiem Chanaanu, do którego dojść mocy mi brak. Nie zmuszajcie mnie do płaczu nad własną bezsilnością. Nie kaźcie mi złorzeczyć losom, które uczyniły mnie niczem, wówczas, gdy wy żądacie odemnie wszystkiego. Przebaczcie mi moją maluczkosć! Liłość miejcie! Nie urągajcie!

Upadł wyczerpany na sofę; twarz dłońmi zakrył.

Mroczek patrzył na księcia w osłupieniu. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło. Widział, że jego szef ukochany cierpi; boleść i przestrach spra-

wiała mu myśl, że to może on tego cierpienia przyczyną...

Gdy książę długo nie przerywał milczenia, kapitan osądził, że najlepiej uczyni, usuwając mu się z przed oczu. Więc z miną strapioną, przygarbiony, prawie nie oddychający, próbował wymknąć się na palcach z gabinetu.

Ale w tejże chwili książę stanął przed nim wyprostowany.

— Hola, kochasiu! — swym zwykłym, żołnierskim, żartobliwym tonem zawołał — nie rzucisz mnie przecie bez pożegnania. Aniś ty Kajetan Węgierski, ani ja — uwiedziona przez ciebie Nice!

Zmieszany poeta jąkał niezręczną wymówkę...

— Żal mi ciebie i twojej Różyczki. Pocieszajcie się tem, że dziad panny nie wieczny. Już dlań Charon miejsce w swej łodzi gotowi...

— Generale! — rzekł smutno kapitan — on swą wolę testamentem utrwali — on już ją pewnie do testamentu wpisał!

Książę rozłożył ręce na znak bezsilności.

Przechodzili przez wielki salon. Miejsce wydatne zajmowało tu duże, złocone popiersie Napoleona.

— Oto bóstwo — rzekł książę — w którego rękach twoje losy. Co ono postanowi, to będzie.

— Mości książę... — szepnął Mroczek nieśmiało — na postanowienie takich bóstw wpływa niemało... areykapłan.

Sklonił się wymownie, okazując, kogo na myśli ma.

Książę brwi ściągnął, zpod oka spojrzął.

— Tak sądzisz? — przez zaciśnięte zęby syknął.

Palcem stuknął w popiersie, które dźwięk metaliczny wydało.

— To bronz!... — z naciskiem wyrzekł.

Poeta, choć pokornie schylony, nie ustępował.

— I bronz mięknie — w ogniu...

— Wojennym — dokończył książę, myśl mowiącego odgadując. — Pamiętaj wszelako, że ogień, który zmieczy bronz, obrócić może w popiół mnie, ciebie — nas wszystkich!

Znów się wyprostował, jakby nadstawiając pierś niebezpieczeństwu. Odstąpił od popiersia; przed zwierciadłem stanął. Udawał, że poprawia sztuczne kędziory, piętrzące mu się nad czołem, znać wszakże było, że myśl jego czem innem zajęta.

— Wiesz, kochasiu — rzekł nagle, do Mroczka się obracając — mam dla ciebie wielką estymę, że o małżeństwie myślisz. Znać, żeś nie lekkoduch, nie rozpustnik — że cię zaraza Wielkiej rewolucyi szczęśliwie ominęła. W Polsce dość już bałamutów — mężowie i ojcowie rodzin jej potrzebni.

Nieco dziwnie brzmiały te słowa w ustach bezżennika, którego życie było jednym pasmem miłostek... Jeszcze dziwniejszem wydało się Mroczkowi wyznanie:

— Wiesz! — i mnie czasem starokawalerstwo dokucza... Gdy deszcz pada, ludzie odbiegają, w ustach niesmak po wczorajszej hulance, zwierciadło nową zmarszczkę wykryło — uczuwałam żal gorzki, żem się nie ożenił...

— Generale! — pośpieszył tamten z pociechą — twoje położenie wyjątkowe. Tyś poślubił wielkość, sławę...

— Dodaj: ojczyznę.

— Twoje serce jest pełne, myśl ponad ziemskim ulatuje padole. Jowisz innem rządzi się prawem, niż śmiertelni — innem nawet, niż półbogi...

Uśmiechnął się książę. Właściwie usta tylko do uśmiechu ułożył.

— Ach, poeto! — zawołał — ty zawsze duszą tkwisz w Olimpie! Wszelako sięgnij pamięcią do Homera; przypomnij, co twój pieśniarz o Jowiszu mówi. Tam, gdzie każdy z bogów kącik posiada przytulny, on i największemu spoczynku szukać pozwolił...

Wspomnienie o Homerze rozgrzało klasyka. Z zaiskrzonym wzrokiem, z palającą twarzą skandował:

Jowisz także tam idzie — i swój umysł boski
Snem zasila, wielkimi zmordowany troski.
Sklania głowę i daje odpoczynek oku —
Na złotem łożu Juno śpi przy jego boku...

— Otóż to! — zaśmiał się książę. — Junony zbrakło na polskim Olimpie i stąd cała bieda!...

Jeszcze w przedpokoju, nakładając płaszcz i szako, słyszał Mroczek śmiech księcia, głośny a nieszczerzy.

ROZDZIAŁ II.

— A BUTY?...

— Dziś wypoczywam... — mówił książę Józef do pani de Vauban, przesuwając dłoń po czole ruchem, okazującym znużenie. — Nie przyjmuję nikogo, prócz przyjaciół.

Francuzica uśmiechnęła się.

— To znaczy, że dziś ma wstęp do księcia: cała Polska...

— Zbyt dobrze trzymasz pani baronowo o Polsce. A mnie — pochlebiasz.

— Czyż nie są przyjaciółmi księcia wszyscy Polacy?

— Do Polaków nie zaliczasz widocznie: Dąbrowskiego, Zajączka...

— To wyjątki.

— Można by z nich uformować dywizję... Ale to nic. Przed dwoma laty miałem przeciw sobie połowę narodu. A wcześniej jeszcze: cały naród. Dziś wrogowie moi w mniejszości. Uporam się z nimi. Byle tylko Najwyższy Budowca światów...

Po zapadłych ustach pani de Vauban znów przemknął uśmiech.

— A! książę mówisz o *l'Etre Suprême*... Bardzo tę istność szanuję — mniej wszakże nadziei pokładam w niej, niż w krzepkości księcia, w jego twarzy rumianej, w oczach pełnych ognia...

Książę spojrzał ostro.

— Ja mówię o bóstwie — z naciskiem wyrzekł.

— A ja o chimerze. To prawie jedno.

— Pani baronowo! — książę powstał. — Polak jestem, a Polakowi nie wierzyć w Boga niewolno.

— Książę odchodzisz? — spytała, ostatnie słowa mimo uszu puszczając.

— Pracować idę.

Sklonił się — niecierpliwym krokiem przeszedł do drugiego pokoju, pełnego szaf i półek otwartych z papierami. Środek zajmował tu długi stół, zielonem suknem pokryty. Przy stole siedział, oczekując na gospodarza, zastępca ministra wojny, prawa ręka księcia — generał Hebdowski.

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu i zaraz do pracy zasiedli. Była to praca Syzyfowa — odwalanie ciężkiej skały deficytu, która nieustannie spadała, grożąc zmiążdżeniem. Potrzeby rosły, rosły... a kraj, wycieńczony wojnami, podatkami, częstą zmianą rządu, upadkiem politycznym i ekonomicznym, le dwie dyszał.

— Wolalbym sobie samemu krwi upuścić, niż biednych ludzisków nowymi ciężarami okładać! — mawiał często książę, marszcząc się, zżymając, chmurząc, ale nigdy z głośnie nie występując skargą.

Towarzysze przeglądali papiery, listy, czynili

notatki, zapisywali całe arkusze cyframi, dodawali, mnożyli, odejmowali... Posepny wyraz twarzy wskazywał, że rachunek nie wypada im po myśli.

Co chwila wpadały w ciszę słowa prędkie, frasośliwe, gniewne.

— Płaszcz dla strzelców!...

— Dla wołyżerów kaszkiety!...

— Na gwałt uździenic!

— Bagnetów! bagnetów!...

— Dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt przez dwa naście...

— Czteryśta dwadzieścia cztery *minus* trzydzieści pięć...

Nagle książę podskoczył na krześle.

— A buty?... — z rozpaczą prawie wykrzyknął.

Hebdowski pióro za ucho założył, w oczy mu spojrzał.

— Buty dla infanteryi! — krzyczał książę. — Skąd wezmę dwanaście tysięcy ciężem na twardej podeszwie?

— Są szewcy pułkowi... — mruknął zastępca.

— A skóra?... A dla czeladników pieniądze?... Toć wiesz, Hebdosiu, że kasa pusta. A ta kanalia serdeczna drze obuwie bez litości, jak własną skórę. Mamże ich prowadzić bosych?...

Hebdowski przełożył pióro za drugie ucho.

— Wiesz, mości książę? Nie znam dobrze historii, ale przysięgłbym, że zuchy spartańskie na bosaka walczyły.

— Ano, pewnie i u siebie doczekamy się Sparty!

— Nie, nie! — zaprzeczył Hebdowski — tak źle nie będzie! Bignon do tego nie dopuści.

— Pieniędzy da?

— Nie — ale powie, jak jego poprzednik Serra: — »On chce, żeby były buty, więc buty być muszą«... No, i będą buty!

Skrzywił się książę. Nic wszakże nie wyrzekł.

Wniesiono zapalone kandelabry. Przyjaciele dość długo jeszcze pisali, radzili, kombinacyi próbowali...

Po odejściu Hebdowskiego, książę przeszedł do swego gabinetu. Przywołał kamerdynera, zapytał o pogodę, ubierać się kazał. W nowym, pięknym mundurze, wyświeżony, wypachniony, z przyciemnionym lekko wąsem, z misternie ułożonymi, sztucznymi lokami, wyglądał, jak młodzieniec.

Na strój paradny narzucił prosty, szary płaszcz szeregowca; głowę nakrył szakiem bez kity, po same oczy na oczy wciśniętem. Przygarbiony, z twarzą podniesionym kołnierzem zakrytą, podobny był do wszystkich — prócz do siebie.

Nocne »eskapady« księcia wszystkim były znane. Służba bez zdziwienia patrzyła, jak jej pan, sam jeden, chyłkiem, z pałacu się wymykał. A jednak do zdziwienia istniał tym razem powód. Pod fałdami płaszcza unosił dziś książę duże pudło, rankiem z miasta przyniesione i aż do tej chwili starannie w szafie ukrywane.

Co w tem pudle być mogło?

ROZDZIAŁ III.

RĘCE, KTÓRE WSTRZYMUJĄ, I RĘCE, KTÓRE PRZYZYWAJĄ.

Po słońcu całodzienniej, w nocy mróz chwycił. Niebo było bez chmur, lecz i bez księżyca. Na szaro stalowem tle widniały rozplywające się sylwety: z jednej strony, dwóch wież zamkowych oraz wyniosłego, ostrego trójkąta Fary, z drugiej — wąskich gmachów Karmelitanek i Bernardynek. Na wysokiej kolumnie garbił się Zygmunt Trzeci, opuszczając miecz, jakby dla jego ręki za ciężki...

Książę, szczelnie płaszczem osłoniiony, przemyczał się zaułkami pustymi, wzdłuż dawnych murów miejskich, już do połowy w gruzy rozspanych. Okrążając zabudowania zamkowe, obchodząc zdala rzadko rozstawionych, drzemiących szyldwachów, wydostał się na ulicę Grodzką, w pobliżu Bramy Krakowskiej.

I tu pusto było, bezludnie. Stary, stateczny król Saski nauczył warszawian wcześniej kłaść się do łóżek. U niego nawet bale podobne były rekolekcyom i kończyły się o dziewiątej wieczorem

Żywej duszy nie spotkawszy, wstąpił książę

w ulicę Świętojańską, zupełnie ciemną. Światło dalekiej latarni już tu nie sięgało; wielkie, ciężkie fasady Fary i kościoła Jezuitów gruby cień na domy przeciwległe rzuciły.

Tylko w jednym z tych domów pierwsze piętro mdłym złośliło się światłem. Do furty tego domu, blachą żelazną opancerzonej, zakolatał książe. Otworzono mu — on szybkim krokiem przebiegł się wązką, drewniane schody — niecierpliwie do drzwi mieszkania zadzwonił.

Po chwili zgrabna służebna pomagała mu wydostać się ze zwojów fałdzistego płaszcza. Obciągnął mundur, poprawił fryzurę, pomusknął wąsa — strojny, uśmiechnięty, dziarski, do półciemnego salonu wkroczył.

A tu już biegła naprzeciw niemu piękna, olśniewająco biała blondynka, cała w koronkach wieczornej neglizżu zatopiona.

— Ach, Pepi niedobry! Jak można tak się spóźniać!...

Dalszy ciąg wymówek zatamowano dzwoniącym głośno pocałunkiem.

— *Jou-jou?* — spytał książe, ujmując kobietę wpół i kierując się w stronę sypialni, kolorową lampką wyblękitnionej.

— Tsss... — szepnęła, przytrzymując go. — Żużus śpi!...

— Szkoda... Cacek mu przyniosłem — jego uciechę ucieszyć się chciałem...

— Przez cały dzień mówił o koniu...

— Dziecko kawalerzysty!... Konia jutro mu przyprowadzą. Dziś dostanie »munderunek«. — Każ przynieść pudło, które-m w przedpokoju zostawił.

Z pudła wyjmował książe kolejno: maleńki mundurek ulański, granatowy z ponsowym rabatem, lilipucie szako z wysoką kitą, spodeńki obcisłe, szabelkę, lancę z chorągiewką, buciki z brzęczącymi ostrogami...

Kobieta zanosila się od śmiechu radosnego, przyciskając każdą drobnostkę do ust, do piersi.

Z sypialni dobiegło wołanie dziecięce:

— Tiatia!... Tiatia!...

— Przez sen cię poznał!... — zawołała matka z uciechą. — Chodźże prędzej, bo gotów z łóżeczka wyskoczyć...

Pobiegli oboje z pełnemi rękoma podarków. Ale choć śpieszyli, uprzedzono ich. Po dywanie toczył się już, jak kula, tłusciuchny dwuletni chłopczyna, z jasnymi potarganymi włoskami, w samej koszulce, boso... Książe pochwycił chłopca, w górę podniósł, okrąglą buzię i wielkie błękitne oczy pocałunkami okrywał. Dziecko zarzuciło pulchne rączyny na szyję ojca; przytulone, uśmiechnięte, z uciechą pieścizotom się poddawało.

— Szczęśliwy tatusiu! — mówiła kobieta, obejmując obu miłosnem spojrzeniem — nie wiesz nawet, jak twój syn jest w tobie zakochany. Po całych dniach bawi się twoją miniaturą; nie zaśnie, dopóki się o ciebie nie wypyta; w nocy budzi się, na posłoci siada i woła: — Tiatia!... tiatia!...

Książe oddał dziecko matce, spoważniał.

— Staraj się go od tego odzwyczaić... — chmurno wyrzekł.

— Dlaczego?

— Nie trzeba przywiązywać się do rzeczy nie-trwałych.

— Nie rozumiem cię, mój Pepi...

— Cóż nietrwałszego nad życie żołnierza! Słyszałem pioszeczkę, w której matka zaklina córkę, żeby poślubiła raczej żebraka, dyabła, śmierć nawet samą, niż księcia lub króla, gdy na wojnę wyruszają.

— Dziewczyna matki nie posłuchała...

— Niestety!

— I wierz mi, że już tak do końca świata ze wszystkimi dziewczynami będzie...

— Ha, nie bez powodu inna piosteczka zapewnia: »Sznurem panny, sznurem za pięknym mundurem«...

— Gdybyż tylko panny!...

Joujou przerwał spór rodziców.

— Tiatia, tonia!... — wołał, czepiając się kolan ojca.

— Koń będzie jutro. Tymczasem masz to... i to... i to jeszcze... i tamto...

Obrzucał dziecko błyszczącymi podarkami.

— Tiatia cacy!... Tiatia lala!... — wołał zachwycony chłopczyzna z płonącemi, jak gwiazdy, oczkami.

Ubrano go w mundurek, włożono mu szako, dano w rękę szabelkę.

— Tela Ziuziu tiatia!... — wykrzykiwał radośnie. — Mama da Ziuziu buzi!...

Nadstawiał policzek matce, która go pocałunkami okrywała, zapewniając, że jest prawdziwym tatusiem.

Książę na tem nie przestał. Na widok małego żołnierzyka, obudziła się w nim natura rycerska. Musztrować zaczął synka; uczył go marszu, obrotów, komendy. *Joujou* przewracał się co chwila na dywan, śmiejąc się głośno, nóżkami fikając. Śmieli się i rodzice; całe mieszkание rozbrzmiewało krzykiem i wesołością, jak gniazdo na wiosnę...

Wreszcie chłopczynę zmogło znużenie. Szabelka wypadła mu z dłoni, szako przekrzywiło się na ukos — dyszący, spotniały, zarzucił ojcu rączki na szyję, i w tejże chwili zasnął.

— Odmalować was teraz!... — szepnęła kobieta, obejmując rozkochanym wzrokiem ojca i dziecię.

— Jeśli chcesz — rzekł książę — sprowadź Lesseura — mogę mu pozować. Choć postarzał, tęgi zeń miniaturzysta.

— Nie! nie! — przerwała kobieta, inną już myślą tknięta. — To mi nie wystarczy. Mnie trzeba czegoś więcej, niż obrazka. Jabym chciała...

— Czego?

— Jabym chciała... zawsze was mieć przed sobą...

— Ba!

— Nie malowanych...

— Jakichże?

— Żywych!

Pomusknął książę wąsa — z pod oka na kochankę spojrzął.

— Kobiety z takimi chęciami nie oddają serca żołnierzom — szepnął. — Jużem cię o tem ostrzegał...

— Zapóźno!

— Nigdy nie zapóźno na rezygnację.

— Więc ona mi już tylko pozostała? Więc zgodzić się mam poddańczo ze wszystkim, co mi los zsyła?...

— Jest to tem konieczniejsze, że znów na kilka tygodni — może na kilka miesięcy — opuścić cię będę musiał...

W oznajmieniu tem był smutek — nie było bólu. Książę mówił z głową opuszczoną, tonem przy-ciszonym, ale głos nie zadrżał mu niepokojem ser-decznym.

Pani Czosnowska, siostra adjutanta Potockiego, piękna, nieco płocha rozwódka, nie była ani pierwszą, ani jedyną miłością Alcybiadesa, czy też Don Żuana z pod Blachy...

Była wszakże, jak inne, namiętnie rozkochana, ufająca, do ostatniej chwili wiary i złudzeń pełna.

— Chodź, Żużus... chodź, skarbie mój... — lkała, odbierając dziecko z rąk księcia i do łóżeczka je niosąc. — »Tiatia« nie kocha nas; »tiatia« nas porzuca...

Otuliła synka kołderką i dłońmi zakryła oczy, z których łzy obfite popłynęły.

— Przestań... — prosił książę słodko, uprzejmie, ale zdradzając bardziej zniecierpliwienie, niż współczucie i współbolesć. — Wiesz, że nie zabawa, lecz służba mnie wzywa...

— Dokąd?

— Do Paryża.

— I cóż... cóż tam... tak gwałtownego... wypadło?

— Mnóstwo spraw ważnych. Najpierwsza, lecz nie najważniejsza: rocznica narodzin cesarzewicza.

Kobieta otarła łzy. Oczy jej zapłonęły blaskiem najwznioślejszego z uczuć: miłości macierzyńskiej.

— Ach, tak! — z mocą wyrzekła. — I on teraz jest ojcem; i do niego wyciągają się drobne, a tak silne i nieustępliwe ręce dziecka. Wojownicy! bohaterzy! zdobywcy! Czemu wy się z wysiłkiem, a brutalnie z uścisku tych rąk wyrrywacie! One wstrzymują nad przepaścią; one drogę do szczęścia wskazują. To ręce anielskie; to ręce waszych aniołów-stróżów. Oczy wasze wpatrzone tylko w plany bitew, w mapy strategiczne, w rozkłady wojsk, w zimną stal i w zimne cyfry... Zwróćcie je w inną stronę: zagłębcie wzrok w przeczystych źrenicach dzieci. Wyczytacie w nich tajemnicę szczęścia powszechnego, — szczęścia, za którem wśród obłoków dymu, przy ogniu wystrzałów i grzmocie fanfar wojennych, nadaremnie gonicie. Oczy dzieci powiedzą wam: — Nie opuszczajcie tych, którym, dawszy życie, winicie miłość i opiekę. Drobne rączęta przytrzymają was i przyciągną do tych, które... przysięgom waszym zawierzyły, i którym... może również... coś się od was należy...

Książę słuchał przemowy w milczeniu, z głową pochyloną, o kolumnę marmurową wsparty, niby rzeźbiarzowi do posągu pozujący. Gdy kobieta zamilkła, głowę podniósł. Przez krótką chwilę, twarz jego dziwnie się przemieniła. Była teraz poważna, energiczna, dostojna; była też zmroczona chmurą zadumy rzewnej, o głębokim, pokonanym smutku mówiącej...

Już to nie był Filon, Mirtyl, Celadon. Homer i

wego w nim coś ocknęło się, i coś także, co Żółkiewskich i Czarnieckich przypominało.

— Posłuchaj pani — wyrzekł powoli, głosem o kilka tonów od zwykłego niższym i głębszym.

Po raz pierwszy od lat dwóch nazwał swą kochankę »panią«. Nie było w tem niechęci; było tylko zaznaczenie, że to przemawia nie pewien mężczyzna do pewnej kobiety, lecz cała męska strona narodu do jego strony żeńskiej.

Książę mówił:

— Teokrytowe idylle i Wergiliuszowe eklogi są cudnymi kwiatami, których zapachem pragnąłby każdy stale się cieszyć. Ale ziemia nie rodzi samych kwiatów i życie nie składa się z samych sielanek. Na ziemi rosną także pożyteczne warzywa i jadowite zioła, a w skład życia wchodzi też epopeje i tragedye. Obraz, który pani roztoczyłaś, to czarownie piękna sielanka. Jest tu Dafnis, jest Chloe, jest żywy miłości ich owoc — brak tylko fletni, kóz, winnicy i greckiego, wiekuiście pogodnego nieba. Któżby się tym obrazem nie zachwycił! Któżby w nim nie chciał stałego miejsca zabrać, czynnego udziału przyjąć! Ale posłuchaj pani. Do Dafnisów, czy to greckich czy polskich — ach! przedewszystkiem polskich — wyciągają się ręce nie tylko anielskich dzieci i boskich kochanek. Gdziekolwiek oni krok obróć, otacza ich nieprzejrzana gęstwa innych, cudzych ramion — ramion, rwących się ku nim w błagalnym, rozpaczym pełnym ruchu. Tamte ręce to rozkosz; te — ból. Tamte to słodycz, uspokojenie; te — burza, walka. Tamte to rodzina; te — naród. Więc jakże? Zamknąć się w cichym, w bluszcze

spowitym domku, usta kobiety i usta dziecięcia całować — a tam... niech naród ginie, niech zrozpaczeni bluźnią, niech świat się zapada? Może pod greckiem niebem, z jednego turkusa wyrzezanem, na takie szczęście Zews pozwala — u nas niebo wciąż w ogniu, piorun bije po piorunie, oczy szatanów zewsząd straszą... Niewielka przestrzeń dzieli to mieszkanie od mojego — jednak, gdy ją przebywam, tłumy widziadeł drogę mi zachodzą. Wszystkie straszne, skarżące się, bolesciwe. Roi się niemi cała stolica i kraj cały — najgęściej zagnieździły się dokoła Zamku i w Zamku: na podwórcach, gdzie jeszcze w murze herby Wazów widnieją; w podziemiach, tak niedawno zdrajcom za więzienie służących; w izbie sejmowej, pełnej o północy ech gwarnych, klóących się, niesfornych; w sali, gdzie tron stoi, zimnej dziś, z gobelinów odartej; w gabinecie narożnym, przez »Białą Damę« nawiedzanym; w komnatach balowych, pajęczyną zasnutych, przez nudę i dewocję wyjałowionych; w bramach, sieniach, zakamarkach... My w rozkosznej, Teokrytowej grocie zamknąć się mamy i od świata odgradzić — a tam, we wspaniałym gmachu, miliony naszych bliźnich mieszczącym, co?... Objęte pożarem mury pękają i runięciem grożą, syczące węże płomieni pną się od piwnic do szczytu z okien wybladłe, przerażone tłumy krzyczą gasnącym głosem o pomoc, która się znikąd nie zjawia, o współczucie, które się w nikim nie budzi. Ach, pani! Polki kochają tylko męźnych, szlachetnych, życie za Ojczyznę niosących. Czyżby już Polek na ziemi zabrakło?

Pani Czosnowska, która do tej chwili siedziała

przy łóżeczku synka z czołem w dłoniach, z oczami zakrytymi, powstała. Oczy jej były już suche, wyraz twarzy spokojny i uroczysty. Przystąpiła z wolna do księcia, na jedno kolano przykleła...

— Jedź, mości książę! — mocnym głosem wyrekła. — Pośpieszaj, gdzie cię powinność wzywa. Nasze myśli, uczucia, modlitwy polecą za tobą. Ani łza, ani uśmiech, ani uścisk na miejscu cię nie wstrzymają.

Podniósł książę kochankę — do piersi przycisnął.

Gdy o północy powracał do siebie, nad miastem płynęła kula księżycowa, pokrywając ziemię szachownicą światła i cienia. Cisza była głębsza jeszcze, niż z wieczora.

Książę siedł swobodniej, pewny, że nikogo nie spotka. Nieopodal Bramy Krakowskiej wyrastał z poza muru słup kamienny, z Zygmuntem Wazą u szczytu. Posąg w srebrze księżycowym żyć i poruszać się zdawał. Zatrzymał się książę, aby na staro króla popatrzeć.

— O, królu! — szepnął — na ileż ty już klęsk, przewrotów, huraganów, z wyżyny swej patrzyłeś! Gdyby te spiżowe usta przemówić mogły, opowieści twej słuchanoby, jak bajki... Przetrwaleś wiele — przetrwasz więcej — przetrwasz wszystko...

Posępny, przygarbiony, postarzały, zstępował z wolna po drodze pochyłej, do pałacu »pod Blachą« wiodącej.

W kilku oknach świeciło się jeszcze. Poznawszy, że to czuwa pani de Vauban, wyprostował się, żołnierską postawę przybrał, na usta uśmiech przywołał zwykły.

Na wstępie zaraz powiedziano mu, że *madame* widzieć się z nim pragnie. Zrzucił płaszcz, przeczesał przed zwierciadłem włosy — po chwili, z junackim wyrazem twarzy, z Francuzicą się witał.

Pani de Vauban siedziała przy wielkiej, papierami zarzuconej »sekreterze«.

— Listy?... Nowiny?... — wesoło zapytał.

— I listy, i nowiny. Siadaj, mości książę. Oto dzisiejsza korespondencya.

Siadł. Jedną rękę na oparcie krzesła zarzucawszy, drugą duży stos listów niedbale przegarniał.

Jeden wydobył, złamał pieczęć, pismo oczyma szybko przebiegl.

— Zawsze ten sam!... I zawsze z tem samem!... — przez zaciśnięte zęby syknął.

— Książę na Klewaniu?... — spytała de Vauban, śledząca z pod oka każde poruszenie towarzysza.

— Ach, tak! Człowiek z jedną ideą. Najniebezpieczniejszy!

— Czy plany księcia krzyżuje?

Uśmiechnął się i rzucił błyskawicę spojrzenia. Spojrzenie groziło; uśmiech lekcewał.

— Pani baronowa wiesz, że to niemożliwe!...

Skłoniła głowę ruchem przytwarzającym.

— Zeszły się dwa upory — dodał — bo ja również jedną ideą żyję. On ciągnie w prawo, ja w lewo...

— On ku Wschodowi, książę na Zachód...

— A żaden przeciągnąć się nie da!

Roześmiał się, lecz jakby z przymusem.

Znów wziął się do listów. Adresy czytał, do środka nie zaglądał.

— Od siostry Tyszkiewiczowej z Paryża. Ręczę, że z dopiskiem kulasa Talleyranda... Pismo z Zamku — urzędowe — jednak... królowną Augustą pachnie. Pięć listów do »ministra wojny«. Dwa do »generała«. Trzy do »jaśnie oświeconego księcia«. Liścik »à mon Pepi«. Niech mię dyabli porwą, jeśli wiem od... której! Bilecik do »wujaszka« — od Anetki.

De Vauban skrzywiła się.

— Przyznaj, mości książę...

— Nie, nie przyznam!... — przerwał wesoło, wybuchając głośnym, szczerym, swawolnym śmiechem. — Lubię swą siostrzenicę, i kto się przyjacielem moim nazywa, również lubić ją powinien!

Zakryła twarz arkuszem gazety francuskiej i zamilkła, udając, że czyta.

— Wystarałam się dla księcia o pieniądze... — po chwili podjęła.

Brzmiało to, niby wymówka:

— Widzisz, jakam dla ciebie dobra — a ty...

Książę rzucił się jej do kolan, ręce całował.

— Droga przyjaciółko!... Jakże mam ci dziękować?...

Rozrzewniła się. Z czułością, napół siostrzaną, napół macierzyńską, w której jednak i cieplejszego coś się tailo — dłoń mu po włosach przesunęła.

— Ile? — zapytał, pierwszą radość opanowawszy.

— Na podróż do Paryża wystarczy.

— To mało.

— Żyd stawia warunki twarde. Im większa suma, tem procent uciążliwszy.

— Co mi tam procent! co warunki!... Ja trzy tysiące dukatów mieć muszę!

— Zrukuje to księcia.

— Mniejsza o to — byle na mojej ruinie innym szczęście zakwitło. Połowę sumy, jeszcze przed wyjazdem, w Warszawie mi zabiorą.

— Kto?

— Garbarze i szewcy...

— Za co?

— Za cóżby? — Za buty!

De Vauban oczy rozszerzyła...

— Tak, za buty. Muszę kupić buty — nie sobie, lecz infanteryi mojej. Toć jej boso w bój nie prowadzę!

Spowaźniała Francuzica, postawę przybrała mentorską.

— Mości książę! — upominając rzekła. — Nie do ciebie to należy. To jego obowiązek. On wysługuje się waszą armią — on we wszystko zaopatrywać ją powinien. Małoż jeszcze ofiar ponieśliście: i ty, książę, i wszyscy twoi rodacy? Nie dośćże krwi waszej popłynęło za jego sprawę w Egipcie, w Hiszpanii, we Włoszech, Austrii, Prusiech?... Trzebaż wam jeszcze z остатków mienia dla niego się wyzuwać?

Książę poprzestał na mruknięciu:

— Ba!...

Była to jego zwykła w podobnych okolicznościach odpowiedź. Zwykła i jedyna. Nigdy nie posunął się poza to jedno słowo, którem dysputę drażliwą przecinał i zamykał.

— Zabieram listy i odchodzę. Żyd niech przybywa jutro z trzema tysiącami dukatów.

— Z dwoma.

— Z trzema koniecznie. Dobranoc. Dziś długo jeszcze pisać będę.

— Do Anetki?...

Odpowiedzią był ten sam, co wpierw, wybuch pustego śmiechu.

W pół godziny później, ksiązę, przebrany w ulubioną kurtkę szeregowca, odprawivszy kamerdynera, siedział przy małym, podręcznym biurku, w sypialni. Dziwna, ruchliwa jego twarz już w tym dniu po raz czwarty, czy piąty wyraz swój zmieniała. Była teraz powagi pełna i bolesna, widomie postarzała i życiem zmęczona...

Ksiązę rozłożył przed sobą duży arkusz papieru, umaczał pióro i śmiałym, bujnym pismem u góry arkusza nakreślił:

»Na wypadek mej naglej śmierci«.

Potem, przygarbiwszy się, pisał długo, czoło trąc, na palcach licząc, przemazując i poprawiając...

ROZDZIAŁ IV.

NIEMA JUŻ POLSKI, MOŚCI PANOWIE!

W początkach kwietnia zdarzają się południa tak słoneczne i piękne, jak wśród zupełnie już rozkwitłej wiosny. Mieszanina płynącego z nieba ciepła z chłodem, którym tchnie ziemia, wytwarza dziwny, drażniący, lecz i przyjemny akord. Śnieg gwałtownie topnieje, dachy są pokryte białymi i czarnymi łatami, cienkie strugi wody spływają z wysoka, łagodnie mrucząc, albo głośno, rytmicznie dzwoniąc. Wróble wprost oszalały. Przepływają z miejsca na miejsce bez powodu; w obłędnym, waryackim pędzie wpadają ludziom pod nogi, rozbijają główki o drzewa, ściany, szyby; co chwila to tulą się do siebie miłośnie, to czubią zajadle i pierze sobie wyszarpują. Obsiadły gromadnie rynny, płoty żerdziane, czarne, jeszcze bezlistne drzewa, i straszny wrzask podnoszą. Podobny jest ten wrzask do tłuczenia miliona orzechów i wkręcania w twarde drzewo miliona świrdrów. Przyczajony za dymnikiem, od marcowych miłości wychudły matus, przygląda się ptakom zmrużonemi ślepiami, z zazdrością i — apetytem. A słońce wszystko

ozłociło, roziskrzyło, rozteńczowało, wybrylantowało. W jego promieniach cudotwórczych piękna jest nawet nietynkowana ściana starego, drewnianego dworku. Mchy na niej różnobarwne stały się kosztownymi mozaikami; ogrzane, rozzłocene deski, cedrem i sandalem pachną. Na dziedzińcu szczek, pisk, gdakanie i krótkie, tęskne poryki. Koń-safandula, którego mieszczanin do wozu chce zaprządz, powodować się nie daje: nogi rozstawił, łbem potrząsa — zdobywa się nawet z wysiłkiem na ochryple, skrzypiące rżenie...

Wiatr naprzemian szczypie i głaszcze; przynosi to ostre technienia tającego śniegu, to miłe, nikłe zapachy rozkwitłych gdzieś daleko fijołków, przylaszczek, sasaneł. W piersiach, które się jeszcze drewnem i glazem nie stały, zrywają się ze snu serca i ku słońcu, jak pszczoły wyrojone, lecą...

Ganek omszałego dworku na Faworach, na południe obrócony, pławi się w słońcu, z widoczną w rozzielenionym dachu i w szybach błyszczących rozkoszą. Usiadła w tym ganku piękna, blada panna z czarnymi oczami, z czarną, obfitą, w dwa warkocz splecioną kosą. Przed panną stoi hoży ułan, z jedną ręką na szabli, z drugą przy wąsie — potulny zresztą, rumieniący się, skromny.

Panna powieki opuściła — szalem tureckim otula się, w ziemię patrzy, i mówi głosem, który chce być bardzo rezolutny, a co chwila załamuje się i drży lekliwie:

— Wyperswaduj to sobie waćpan... Z tego nie być nie może... Sam Pan Bóg tu nie poradzi!

— Gdyby była rzetelna inklinacya...

— Nic po próżnych słowach! Rozsądnym być

trzeba, statecznym. Po co masz waćpan jedną osobą świat sobie zawiązywać!...

— A jeśli światem jest mi ta właśnie osoba?...

— To być nie może. Świat jest ogromny. W nim jedna osoba to tyle, co kropla w oceanie.

Gromada wróbli spadła z dachu przed ganek z okropnym hałasem, zagłuszając odpowiedź ułana. Zaczęły gdakać kury, szczekać psy, hałasować dzieci. Powstał okropny zamęt — w którym jednak nie było dla ucha i nerwów przykrego.

Młodzi zamilkli. Ona pobiegła wzrokiem w głębie długiej, ogrodów i wiejskich pałacików pełnej ulicy; on zatopił oczy w licach ukochanej, potem do nieba je podniósł.

Panna, w dal zapatrzona, półgłosem nucila. Gdy hałas przycichł, można było dosłyszeć jedną ze strof smutnej piosenki:

— Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną...

— Ty będziesz chłopcem, ty będziesz chłopcem,
A ja dziewczyną...

Ułan, z oczami w niebie, przyciszonym, skarżącym się głosem mówił:

— Niech wieszcz, lub kapłan powie: skąd ta chłosta sroga?
Albo snów tłumacz — wszakże sny od Boga...

Niechaj powie: dlaczego Feb naszej chce zguby?
Czy go niedopełnione obrażają śluby?

Czyli stał, że świętego stugłowu nie bierze?...

Każde mniemało, że go drugie nie słyszy. Ale gdy nagle stała się cisza, uwyraźnił się głos i jej

i jego. Pokraśniał młodzieniec, pokraśniała dziewczyna. W zakłopotaniu milczeli, wzrok w ziemi utkwivszy.

W tej chwili we wnętrzu dworku rozległ się głuchy, rytmiczny łoskot, z takimże brzękiem zmieszany. Łoskot i brzęk wzmagaly się co chwila, widocznie ku gankowi zmierzając. Rzekłby kto, że to idzie kamienny posąg, w łańcuchy spowity.

— Dziadzio... — szepnęła blada panna, podnosząc się z ławki.

— Pan Zrzelski!... — zawołał zcicha ułan, prostując się i do samych stopni ganku cofając.

Brzękły szklane drzwi. Na ganek wstąpił siwy olbrzym na szczudle, podpierający się olbrzymiem, prastarem, jakby z cmentarzyska dobytem szabli-skiem.

I sam wyglądał, jak z trumny, lub — do trumny.

Wierzchołki jego głowy był zupełnie z włosów wypełzły — z tyłu tylko i z boków zwisały długie, srebrne pasma, na kołnierzu kontusza śniegiem miękkim się kładące. Srebrne też i niezmiernie długie były wąsy, w skrętach węzowych na pierś spływające. Czaszka miała gładkość i połysk starej kości słoniowej. Ona też najwymowniej o sędziwości olbrzymia świadczyła. Starzec barczysty był i piersisty; na grubej szyi wypukliły mu się mocne mięśnie i arterye, trzymał się prosto, owszem, głowę zadzierał, szeroką łapą szablę krzepko dzierżył — jednak zdawało się chwilami, że silnie potracony, w proch się rozsypie...

Już-bo mu też dziewięćdziesiąt minęło!

Podbiegła wnuczka do dziada, usiąść mu na ławce, w słońcu najgorętszem, pomogła. Z dworku

wyniosła poduszek kilka, obstawiała go niemi. Przysunęła stolik, i wskazując na salutującego ułana, w samo ucho krzyknęła:

— Kapitan Mroczek, dziaduniu!

Starzec na gościa ani spojrział. Z kieszeni kontusza wyciągnął i na stoliku złożył stertę cienkich, bibulastych broszur; szabli-sko wielkie o ławkę oparł, tak, by je mieć pod ręką. Potem oczy dziko mu się zaiskrzyły — głosem rozziewającym jęknął:

— Niema już Polski, mości panowie!

Przez chwilę trwała cisza. Zmącił ją szelest kartek, które wiatr na stoliku przewracał. Zbudzony z zadumy staruch obrócił wzrok na broszury, do czytania się zabrał. Czytał napół głośno, a to mamrotanie jednostajne przypominało pacierz mnicha na chórze.

Nagle szablę pochwycił, w podłogę nią stuknął...

— Moja wnuczka — groźnie zakrzyknął — nikogo nie zaślubi! Moja wnuczka niewolników płodzić nie będzie!

A po chwili, znów mamrotał, w broszurach swych zatopiony. Nosiły zaś te broszury tytuły niezwyczajne: »Cygan z gandziarą«, »Książd z kropidłem«, »Czamarka do sarafanu«, »Sarafan do czamarki«, »Dzwon staropolskiej fabryki«, »Od spichrza puławskiego palowi z warszawskiego mostu«... Jalone, polemiczne płody ostatnich walk Rzeczypospolitej. Szumna piana na wirach, które okręt zatopiły.

Na chwilę mamrotanie przycichło. Skorzystała z tego wnuczka, żeby się do dziada przysiąść, do

ucha mu coś prawić. Spojrzenie, życzliwsze nieco dodało jej odwagi; skinieniem przyzywała kapitana...

— *Cóż de publicis?*... — mruknął starzec, przezierając ułana takim wzrokiem, jakby on był ze szkła, i jakby wskrós niego widziało się rzeczy bardzo dalekie. — Obce potenciey trupowi naszemu klaszczą! Heca to dla nich! *circenses!*...

Więc Mroczek siadł wedle olbrzyma, i gadać mu jął. Gadał długo o Francyi. Młody był, i poeta, i wojsk francusko-polskich oficer, i zakochany — na ziemi widział niebo, w ludziach aniołów...

Z iskrami w oczach, z płomieniami w twarzy dowodził starcowi, że Napoleon jest geniuszem; że na zbawcę Polski Opatrzność wybrała Napoleona; że, jak dziecię matce, tak kraj niech ufa Napoleonowi; że nadzieja dziś cała w Napoleonie; że iść nam trzeba, walczyć i zwyciężać z Napoleonem...

— O kim waśc prawisz? — przerwał nagle starzec, jakby teraz dopiero zauważywszy mówiącego.

— O Napoleonie.

— O kim?

W palcach domyslniej »Różyczki« znalazł się szybko kredy kawałek. Na stoliku przed dziadem wypisała kredą, literami wielkimi: NAPOLEON.

Wpatrywał się starzec długo w to imię, jakby ze kształtu liter tajemnicę człowieka odgadnąć chciał. Od wnuczki wziął kredę, drżącą ręką nakreślił duży krzyż przed imieniem. Wpatrywał się długo w napis, medytując. Krzyż z przed imienia starł — umieścił go po imieniu. Znów się wpatrywał i znów krzyż starł. Wypisał go nad imieniem, potem pod imieniem. Próbował wzrokiem, jak będzie lepiej. Aby dobrze

widzieć, odchyłał się w tył, powieki stulał. Nie zadowolila go żadna kombinacya. Nachmurzony, posępny, szeroko zamachnąwszy się, starł chustką cały napis, kredę daleko odrzucił...

— Niema już Polski, mościpanowie! — boleśnie, rozpaczliwie jęknął.

I padł ciężko na poduszki, któremi go wnuczka obłożyła.

Szpioniaste, pomarszczone, trzęsące się palce wygarnęły z pod kontusza szkaplerzy pęk, wśród których błyszczał, jak srebrny talar, duży, wypukły Matki Bożej medalion. Ręka poniosła świętość do ust, które do niej na długo przywarły. A potem popłynął szept zbożny, westchnieniami przerywany:

— *Sancta Dei genitrix... Turris eburnea... Stella matutina...*

Błada panna szepnęła do ułana:

— Widzisz waćpan... Sprawy obecne przystępu do niego nie mają!

Ułan zauważył:

— Wszystko w nim zamiera — jak zwyczajnie u starców...

— O! nie wszystko!... Wspomnieć przy nim konfederacyę, Pułaskich, Okopy Świętej Trójcy — zaraz jak proch wybucha... Mówię waćpanu, że jak się dźwignie, ogromny taki, i w powietrzu szablą zaśwista — strach patrzeć... Wróg-by mu kroku nie dotrzymał.

— Naszym zamysłem to nie pomoże...

— Nie...

W tej chwili po całej ulicy szum poszedł. Z chmury, która nagle słońce zaćmiła, posypały się

gęsto drobniuchne perelki. Ubieliła się niemi ziemia, jak w maju kwieciami jabłoni.

— Dziadziu, do pokoju! — zawołała panna energicznie.

Brzmiało to, jak komenda i było nią w samej rzeczy. Dziewięćdziesięciu latom rozkazuje lat osiemnaście.

Starzec dał się posłusznie ująć za ramię, do środka dworku prowadzić. Stukając drewnianą nogą, brzęcząc starem szablikiem, mamrocąc ostatnie inwokacye litanii, szedł potulnie, jakby świadomy swej niemocy i przyznający się do niej.

Wiek osiemnasty, wiek-rozbitek, w długich zapasach pokonany i prawie bez chwały poległy, składał broń przed wiekiem dziewiętnastym, wiekiem-młodziankiem, który z podniesioną hardo głową w przyszość kroczył.

Ulan nie wszedł do mieszkania. Proszony był — lecz prośby nie poparto zachęcającym uśmiechem, przyzywającym spojrzeniem. Na pożegnanie otrzymał ukłon, pełen tej wyszukanej grzeczności, która obójnych czaruje, a zakochanym — krew lodem ścina.

— Wyperswaduj to sobie waćpan... — syczały mu w sercu węże przypomnień, nie dających się odpędzić żadną cytata z Homera.

Stosunek był tu odwrotny. Osiemnastu latom wydały rozkaz lat dziewięćdziesiąt.

ROZDZIAŁ V.

W KAWIARNI »POD PĘPUSZKIEM«.

Chmury dymu tytuniowego przewalały się po wielkiej, lecz niskiej izbie, niby mgły listopadowe po moczarach. I jak w mgłach ogniki, tak w tym dymie migotały zawieszone zda się w powietrzu, żółte, migotliwe światełka przytwierdzonych tu i owdzie do ściany kinkietów. A nie brakło i widziadeł, przed którymi chłopak pobożny przeżegnałby się i uciekł. Byli niemi ludzie z krwi i ciała, ci właśnie, którzy stworzyli gęste chmury, wydmuchując przez kilka godzin dym z fajek na długich cybuchach.

Był to Olimp — bez Jowisza i Junony. Za to Mars i Apollo królowali w nim w licznych egzemplarzach. Nie brakło też bożków drugiego i trzeciego stopnia, między którymi Momus poczesne trzymał miejsce. Huczny rozgwar, chwilami aż w grzmot przechodzący, dostojne grono przyjemnie ożywiało. Wśród dostojników krzątała się Hebe, ogień Prometejowy roznosząc i ambrozyę. Pierwszy wyobrażały siarniczki i płonące zwitki papieru. Drugi nosił miano bardzo proste i zupełnie ziemskie: »poncz ulański«.

Wszystko to zaś działo się przy ulicy Długiej, o sto, lub sto kilkadziesiąt kroków od Teatru Narodowego, w kawiarni, utrzymywanej przez »pannę Maryannę«.

Każdy taki przybytek musiał wówczas istnieć »pod« czemś... temu jednak obojętna na rozgłos właścicielka żadnego miana dać nie chciała. Przeto zając się tem musieli jej goście.

Panna Maryanna łatwo się unosiła. W chwilach wzburzonych gniewem namiętności, najczęściej wypadało jej z ust życzenie:

— Bodaj ci pępek wysadziło!...

Usłyszał to i zapamiętał aktor Teatru Narodowego, Aloizy Żółkowski — na jego też wniosek, kawiarnia dostała tytuł: »pod Pępuszkiem«. Delikatnie (należał do nich profesor Ludwik Osiński) uczynili poprawkę: »pod Łonem Panny Maryanny«. Obie nazwy, na użytek prywatny stworzone, mocy prawa obowiązującego nie miały i do wiadomości ogółu nie doszły.

Wspomniany komedyant Żółkowski zbytecznie co prawda zajmował się panną Maryanną. Gdy doszła do Warszawy wiadomość o świetnem zwycięstwie pod Somo-Sierra, i gdy wszyscy pod niebiosa wynosili niedoścignione bohaterstwo Kozietulskiego, ów wykpisz niepoprawny mruknął pod nosem, tak jednak, że go wszyscy słyszeli:

— No, no... Niechby spróbował ożenić się z panną Maryanną!

A panna Maryanna o mężu wcale nie myślała — zadość posiadając wzrostu, siły fizycznej i straszego wyrazu twarzy, gęsto włochatemi brodawkami okry-

tej, żeby jej ramię mężczyzny w życiu było potrzebne.

W kawiarni »pod Pępuszkiem« kawy, mlecznej zwłaszcza, prawie wcale nie pijano. Bywali tu aktorzy, oficerowie i literaci. Tacy turecko-szwabskiego trunku nie ciekawi. Poncz, krupnik litewski, wino grzane z korzeniami — oto, co im panna Maryanna podawała. Czasem wkręcił się tu intruz i żądał kawy, w naiwnem przekonaniu, że po nią to właśnie do kawiarni się przychodzi. Musiał nieborak długo czekać, a gdy bardzo się niecierpliwił, posyłano mu z poza »bufetu« półgłośnie, lecz energiczne: — Bodaj ci... i t. d.

Tego wieczoru, który był wietrzny i słotny, liczniejsze, niż zwykle, grono zebrało się »pod Łonem panny Maryanny«. Cywilni, przemieszani z wojskowymi, jak fasola czarna z kolorową, pławili się w tumanach dymu, obsiadając stoliki, stojąc, przechodząc się, nawet napół leżąc na niskich, twardych kanapkach.

W głównym pokoju, pod owalnem, w muślin spowitem zwierciadłem, na wielkiej, rozłożystej kanapie, zasiadło trzech najpoważniejszych w tem gronie ichmościów. We fraku był jeden, drugi w surducie, trzeci w sutannie.

Frak przywdział hrabia Aleksander Chodkiewicz, wielkiego Jana Karola potomek, poeta, chemik, eks-żołnierz, sztuki miłośnik i mecenas — mąż najpiękniejszej w Warszawie kobiety. Właścicielem surduta był Bromirski, gazeciarz, członek redakcyi »Gazety Warszawskiej«. W sutannie chadzał eks-ksiądz

Petrykowski, nic wspólnego, prócz tej szaty, z kościołem i religią nie mający.

Rzadcy to byli goście. Zjawiali się wówczas tylko, gdy teatr wystawiał sztukę nową, lub powtarzał starą, lecz klasyczną. Na godzinę przed »spektaklem«, tu się spotykali i stąd razem do teatru szli. Czekał tam już na nich czwarty towarzysz: ksiądz Onufry Kopczyński. W teatrze zajmowali pierwszą ławkę, ostro wszystko krytykując.

U panny Maryanny zwano ich: statysci.

Gdy tylko znaleźli się *in collegio*, hrabia posiedzenie zagaił.

— Żle jest, proszę acanów... Coraz gorzej! — oświadczył, wyciągając niezmiernie długie nogi i trąc jasną, jak len, czuprynę.

Gazeciarz zauważył:

— No, nie ze wszystkim źle... Ja-bym powiedział: średnio.

Ksiądz stanął w opozycji z jednym i drugim.

— Ja zaś twierdzę — porywczo zawołał — że jest zupełnie dobrze!

To była zwykła przegrywka. I to był również punkt wyjścia do dalszych dysput, natury politycznej.

Chodkiewicz wyobrażał opozycję. Surowej krytyce poddawał wszystko, co innych w zachwyt wprowadzało.

— Liczycie tylko na niego — mówił. — A przecie już Kollataj wam wytłumaczył, że odbudowanie Polski w jego planach nie leży!

— Kto wie, hrabio, kto wie... Gdyby chęć mu przyszła na Wschód się posunąć, i my odegralibyśmy w tem rolę niejaką...

— Powiedz waszmość: największą! — wybuchnął ksiądz Petrykowski.

— Proszę acanów — podjął znów pierwszy — nie wszystko złoto, co się świeci. Wychwalacie jego kodeks, po ulicach go, jak monstrancję, obnosicie... A zajrzyjcie, proszę, do naszych statutów, do starych praw koronnych i litewskich — choćby nawet do statutu Kazimierzowskiego — ileż tam rzeczy dobrych, mądrych, praktycznych. A dlaczego praktycznych? Bo wyszły z łona narodu, dla którego je przeznaczono.

— Naród rozwija się i zmienia: rozwijać się i zmieniać muszą też prawa. Dla mnie nowy kodeks już przez to jest dobry, że nowy.

Człowiek w sutannie zapalczywie oświadczył:

— To kodeks genialny! Jak on wszystko upraszcza! Wielbię go już za to jedno, że klechów do pracy zapędził, z pasażerów urzędnikami uczynił!...

Hrabia obracał w palcach podługną, szyldkretową, złotem nabijaną, tabakierkę.

— Tak, tak, proszę acanów. Tak, tak... — w zamyśleniu mówił. — Racyę miał mądry Kollataj, gdy Księstwo Warszawskie »zagadką polityczną« nazwał...

— Nie godzi się, hrabio, zapominać — pośpieszył z uwagą Bromirski — że Niemcewicz nazwał je: »niemowlęciem wielkich nadziei«.

W tej chwili od sąsiedniego stolika zawołano:

— Szkoda, że to niemowlę nieślubne! I że je cudzym, saskim mamkom na wykarmienie dano! Dziw byłby, gdyby taki noworodek na coś zdrowego, pięknego — polskiego — wyrósł...

Rozległy się krzyki:

— Brawo, Molski!... — Dobrze gada brygadyer!... — Wiwat pan Marcin!...

Okrągłe, świecące policzki autora »Stanisłaidy« i jego nos, zdradzający barwą zamięłowanie trunków rozpalających, promieniały zadowoleniem.

— Ba! — podniósł się gruby głos z innego kąta — coś polskiego wyrosnąć może w kraju, który nazywa się Księstwem Warszawskim, ma króla saskiego, wojsko francuskie, a pieniądze niemieckie!

Chodkiewicz uśmiechał się. Bromirski miał minę kwaśną. Eks-ksiądz zębami zgrzytał.

— Mości brygadyerze — ozwał się życzliwie hrabia. — Poetą acan jesteś, czemuż prozą przemawiasz?

Molski wstał i skłonił się.

— Na życzenie pana hrabiego...

Pomyślał trochę i zaczął mówić powoli, głośno wybijając skandówkę:

Gdy różne dzielą się nacye
Tem niemowlęciem milutkiem,
Będę podobno miał rację,
Jeśli je nazwę — podrzutkiem...

O Pokoju! przed którym niczem są podboje,
To dziecię podrzucone weź na łono swoje!
Mniej dbam o tytuł, jaki los Księstwu udzieli —
Byleśmy tylko — lepszych zawiadowców mieli...

Przyjęto wiersz nowymi okrzykami. Nową też kolejkę ambrozyi przydzwignąć musiała Hebe.

Jeden tylko gość, na stronie siedzący, uroczysty, przyzwolicie otyły, wygolony i starannie odziany,

w pochwałach udziału nie brał. Ten gość z pogardliwym dolnej wargi wysunięciem do sąsiada mówił:

— Barbarzyńskie rymy... Chropawe, niechlujne, bez rytmu, dowcipu i przystojności... Ani śladu wpływów Horacego!...

Sąsiad potakiwał w milczeniu, w ustach bowiem trzymał fajkę, a nos tabaką miał zapchany.

Surowym krytykiem był Ludwik Osiński, który zdobyłby się z pewnością na rymy »polerowniejsze«, lecz — zbyt długo nad nimby śleczął.

Gdy już kawiarnia była pełna i kotłowało się w niej, jak w garnku, zabrzęczał dzwonek, zwiastując nowego przybysza. Z obłoków dymu wyłoniła się twarz niezwykła, o której rzec było można, że przypomina zarazem Eola i Momusa. Była bowiem jak u bożka wiatrów pyzata i do dmuchania ułożona, a jak u bożka śmiechu wesola i wesolość budząca.

Wszyscy pośpieszyli do gościa z wyciągniętymi dłońmi. Posadzono go na wygodnym krześle, i zaraz posypały się pytania:

— Co słyhać, panie Aloizy?...

Przybysz bardziej jeszcze policzki wydał.

— Według ostatniego humorometru — rzekł pisliwie nieco, lecz donośnie — Warszawa jest »na wesolo«, województwa na »co z nami będzie?« U dam pogoda niestała; u fireyków nawet w poście karnawał, a politykom nosy na łokieć urosły z ciekawości: skąd wiatr wieje?...

Zaczęto wyciągać ulubionego komika na słówka. On improwizował w lot dwuznaczniki, które nazajutrz całą Warszawę obiedz miały.

Wiele w owym czasie mówiono o zaprowadza-

nych w Księstwie reformach. Ktoś oznajmił, że zmieniony ma być rezydent francuski; ktoś inny — że ulegną zmianie mundury wojsk polskich. Żółkowski poważną nastroiwszy minę, wtrącił:

— Słyszałem, że szykują się też zmiany w kalendarzu i alfabecie. Dotąd Józef był zawsze w marcu, na przyszłość ma być... w *Augustie*. Tak postanowiono na radzie rodzinnej w Zamku.

Przyjęto dowcip w milczeniu, bo dotyczył osób koronowanych. Ale każdy z obecnych znaczenia się dorozumiał. W wyższych sferach społeczeństwa warszawskiego nikomu nie był tajny afekt królowny Augusty dla księcia Józefa.

Dopytywano o zmiany w alfabecie.

— Te — oświadczył wciąż poważny pan Alojzy — dopiero się projektują. Marzeniem biedaków jest po *ć* *h*; panny Maryanny — *k* w *k* i *k* pod *k*; młodzi kandydaci do munduru pragną tylko pół *q*, ale usłyszą pewnie: *o* w *c*!

Jeszcze nie wszyscy zdołali odgadnąć znaczenie kabalistycznych liter, gdy znów dzwonek głośno u drzwi zabrzączał i »pod Pepuszkciem« znalazła się jedna osoba więcej. Zanim gęsty tuman rozstąpił się, aby ukazać przybysza, już on zwiastował się głośnym śpiewem. W chmurach rozległa się i wszystkich uwagę zbudziła modna arya z »Królowej w Syras«.

Zostawszy potężnym panem,
Wszystko-mogącym sultanem,
Synu! czyn tak, jak ja robię...

Zaraz też z chmury wynurzył się młody, smukły porucznik wołyżerów. Twarz miał rumianą, choć

szczupłą, rysy wyraziste, oczy pełne żaru. Cały dyshał młodością, wesołością, pustotą. Wykwintny, lecz niedbale noszony uniform, włosy zalotnie skędzierzone, bijący odeń silny zapach piżma oraz pewne znamienne przewracanie oczu i zmiękczanie mowy wskazywały wzrokowi doświadczonemu, że to — ulubieniec dam.

— A! Zefiryn!... — Zefir!... — Skąd, Zefirku, przyszedłeś? — Dokąd Zefirek wieje?...

Młodzieniec śmiał się do wszystkich, rozdając witającym uściski.

— Dajcie mi — zażądał — bardzo duże naczynie bardzo mocnej ambrozyi; do tego: bardzo wielką stambulkę bardzo mocnego tytoniu na bardzo długim cybuchu — a powiem wam bardzo ważną nowinę!

— Pewnie o nowych podbojach Francuzów... w warszawskich alkowach? — zaśmiał się ktoś z kąta.

— Albo o pojedynku pana Serry z Adamem Brońcem na noże... widelce... i łyżki?

— Albo o chorobie angielskiego pieska pani Aleksandrowej Potockiej.

Żartowano coraz kąśliwiej, lecz Zefirowy oficer, wnurzywszy twarz w olbrzymią szklanice ponczu, nie odpowiadał. Dopiero, gdy szklanica została osuszona i uprzątnięta, a na jej miejscu znalazła się fajka dymiąca, porucznik Zefiryn, usta otarłszy i dymu pociągnawszy, oświadczył:

— Powiem waćpanom nowinę o księciu...

Zbudziły te słowa ciekawość. Gwar przycichł. Przysunięto się z krzesłami.

— Książę wyjechał... — oświadczył porucznik.

— To mi nowina! — zaśmiano się dokoła. — Gadają już o tem przekupki pod ratuszem!...

— Wyjechał do Paryża...

— Ha, ha, ha!... Ocieżałeś, Zefirku — spóźniasz się z nowinami o całe dwie doby!

— Zapłacisz nam za poncz, boś w pole nas wywiódł.

— Wiemy nie tylko to, co ty wiesz, ale i więcej. Nawet i bez ponczu możemy cię objaśnić, poco książe wyjechał.

Zefir odstawił fajkę, ręce skrzyżował na pierśsiach, głowę dumnie unosił.

— Bardzom ciekawy — ironicznie zagadnął.

— Pojechał po to, żeby »Jemu« powinszować syna.

— A czy też »On« powinszuje tegoż samego księcia? — wtrącił półgłosem któryś ze słuchaczów.

— Czy tylko po to? — ironizował dalej młodzieniec.

Pytanie było niespodzianką, i obecnych nieco zakłopotало. Nie zaraz zdobyto się na odpowiedź. Ci i owi pomrukiwali coś niewyraźnie. Wreszcie współredaktor »Gazety Warszawskiej« z miną dyplomatyczną oświadczył:

— Jeśli książe miał jakieś cele uboczne, to one do tajemnic stanu należą...

— Ach! tajemnice!... — zaśmiał się Zefir. — Dla waćpanów, lecz nie dla mnie!...

Brzmiało to tak pyszałkowato, że nawet śmiechu nie wywołało. Starsi zaczęli szemrać, odwracając się i lekceważąco wzruszając ramionami. Chodkiewicz

uznał za właściwe zgromić młodzieńca z wysokości, na jaką wyniosły go: wiek, stanowisko, wzrost i tytuł.

— I skądże to, mości poruczniku, czerpiesz wiadomości, nikomu innemu niedostępne?

Zepsuty różnorodnymi tryumfami młodzieniec wytrzymał śmiało wzrok uczonego magnata, i prawie bez namysłu odparł:

— Tym razem... od pańskiej żony, mości hrabio!

Zmieszali się wszyscy — zmieszal się najbardziej sam Chodkiewicz. Ale autor »Katona« filozofem będąc w swych pismach, nie mógł nim nie być w życiu. Uśmiechnął się i pobłażliwie rzekł:

— No, no, osobliwych miewa niekiedy moja żona powierników... Z pewnością i sama wielkiej wagi do tej »tajemnicy« nie przywiązywała.

— Pani hrabina — pysznił się dalej młodzieniaszek, niedbale końce palców po swej fryzurze przesuwając — powtórzyła mi tylko to, com już wprawdzie od pani Czosnowskiej słyszał...

Rozmowa wchodziła na grunt coraz niebezpieczniejszy... Aby jej koniec położyć, kilku oficerów otoczyło porucznika, mówiąc umyślnie podniesionym głosem:

— A wykrztuś że nareszcie, Zefirku, swą wielką nowinę! Bo jak nie, to — dobranoc.

Wówczas Zefir, głos zniżając, aby tylko najbliżsi słyszeć go mogli, oświadczył:

— Słuchajcie, waćpanowie, i dobrze to sobie rozważcie. Książe po to do Paryża pojechał, aby — z »Nim« razem — nową robić wojnę.

— Co?... Co takiego?... Co powiedział?... — dopytywali dalej stojący. Wieść, prawie szeptem udzie-

lana, z ust do ust przechodziła. Niebawem nie było w całej kawiarni jednej osoby wojskowej, czy cywilnej, którejby do uszu nie wśliznęła się, do duszy głęboko nie zapadła.

W pierwszej chwili wszyscy tę wieść przetrwalili w milczeniu; znać jednak było, że na wszystkich wstrząsające wywarła wrażenie. Eks-ksiądz pierwszy przemówił:

— O wojnie mówisz, poruczniku? Być to może. Ale z kim? Nie z Hiszpanią przecie?

— To się wie. Nie może być nowem, co jest stare. I nie można zaczynać tego, co już ku końcowi się ma.

— Chyba-ż i nie z Prusami? — ktoś inny wtrącił.

— Naturalnie. Już zdeptane.

— I nie z Austryą?...

— Któżby zbrojno przeciw ojcu swej żony stawał!

— Zatem...

Nikt już jednego słowa więcej nie powiedział. Ale już wszyscy wiedzieli o co idzie.

Zbliżała się godzina siódma, o której w teatrze grać zaczynało. Opuścili swe miejsca »statystyści«. Za statystami i inni wychodzić zaczęli.

Pozostali, skupiwszy się przy dużym, okrągłym stole, długo jeszcze wiodli poważne, polityczne rozprawy.

Nikt nie krzyczał, nie hałasował, o rum do ponczu nie wołał — aż panna Maryanna dziwić się jąła tej niezwykłej stateczności.

— Pewnikiem, coś ważnego w polityce za-

szło — mówiła do siebie. — Trzeba zobaczyć w gazecie...

Włożyła okulary — nad bibulastym arkuszem »Gazety Warszawskiej« ślepieć zaczęła...

Ale i w tem piśmie nie znalazła — i w pismach świata całego znaleźćby nie mogła — nic takiego, coby zaniepokoić ją mogło...

ROZDZIAŁ VI.

HISTORYI ŻDZBŁO I SZCZYPТА PSYCHOLOGII.

W roku 1811 dusze niektórych narodów w cudze, rzecz można, przeniosły się ciała. Dusza Rosyi mieszkala wówczas w Paryżu, dusza Francyi w Petersburgu. Nad Newą wszystko zeszło na stronę przed pytaniem: — Co zamysla Napoleon?... Nad Sekwaną, jeśli nie na ustach, to w głowie wszystkich znajdowała się kwestya: — Jakie są zamiary Aleksandra?

Napoleon i Aleksander... Cesarz i Car...

Tu — nadzwyczajne skupienie siły czynnej, burzliwej, wywrotowej, zapładniającej. Tam — moc niesłychanie spokojna, bierna, olbrzymia, choć rozproszona.

Huragan i senna cisza. Pęd szalony i bezruch. Rozuzdanie i wędzidło. Piorun i skała.

Napoleon — cesarz z wysługi, *homo novus*, wtęt, polityczny dorobkiewicz. Aleksander — car z carów, władca dziedziczny, rdzenny Rosyanin, pan osiadły, samodziernca.

Dwie chmury, przeciwną tające elektryczność: na Zachodzie jedna, druga na Wschodzie.

Takie chmury, takie elektryczności, takie moce — mogą nie przyciągać się wzajem?

Cesarz i Car przez całe lata ciążyli ku sobie, szukali siebie. A co bywa z chmurami na niebie, powtórzyło się z władcami na ziemi.

Patrząc zdala, wydawać się mogło, że to miłość kieruje nimi i w objęcia ich sobie rzuca, że gniazda swoje, na dwóch krańcach Europy uwite, opuścili po to tylko, żeby, zespoliwszy się, stworzyć najdoskonalszą na ziemi jedność i harmonię.

Choć pod Austerlitz, Ilawą, Friedlandem gęsto krzyżowały się kule francuskie z rosyjskimi, nie wyłobiło to między Cesarzem i Carem przepaści. Car, coraz boleśniej dojmowany, zżymał się niekiedy i na chwilę swój uśmiech czarujący tracił — prędko to wszakże mijało. Krwawe zapasy w cudzej sprawie nie zawsze raziły tragiczną ostrością zarysów — niekiedy brać je można było niemal za niewinne *querelles d'amour*.

Jeśli się przypuści istnienie widza, który gdzieś tam, nad chmurami usadowiony, spraw ludzkich ciekawy, choć najzupełniej im obojętny, przypatrywał się wówczas ze swej wyżyny temu przeciwnych potęg kółowaniu, zazdrościć mu wypadnie przedniej, zaprawdę, zabawy. Lew i tygrys żądzą wzajemnego zagryzienia się trawieni, nie po innych, niż owe potęgi, liniach, wśród wrzących piasków pustyni ku sobie się skradają.

Napoleon, gromiąc okrutnie Aleksandra, jednocześnie bez miary go wychwalał. Im mocniej gromił, tem goręcej wychwalał. Zachwycony był Carem, niemal rozkochany w Carze.

Nie mniejszy afekt zdawał się żywić Aleksander dla Napoleona. Cichy entuzysta, któremu ciasny mundur krępował nie tylko ciało, lecz i duszę, widział w Napoleonie wcielenie wszystkich lotnych, w pierwszej młodości nawiedzających go rojeń. Rojenia te były nieziszczone i nieziszczalne — najzaufańszym zaledwie ujawniane.

Pokutujący w Carze »drugi człowiek« wyrwał się do geniuszu Napoleona, jak do wszystkiego, co było mistyczne, nadludzkie, przedewszystkiem zaś: nadrosyjskie. Z tym drugim człowiekiem walczył w sercu Aleksandra: wnuk Katarzyny. Wynikiem ścierania się dwóch sił równoważnych był dobrotliwy spokój i uśmiech czarujący, które na chwilę z twarzy Cara nie schodziły.

Widziano obu olbrzymów, przejeżdżających konno, w najdoskonalszej zgodzie, przed frontem wojsk zwycięskich i zwyciężonych. Widziano ich na Niemnie, jak w obliczu tłumów po bratersku się ściskali.

Czy jeden był faryzeusz? Czy byli faryzeusze obydwu?

Te pytania, to pierwsze długiego łańcucha ogniwa. Następne brzmią: Czy byli parą zamaskowanych wrogów? Czy Napoleon był wróg Aleksandra? Czy Aleksander wróg Napoleona? Skąd płynęła nienawiść? Czy do nienawiści istniał powód?

Interesy Francyi i Rosyi nie wchodziły sobie w drogę. Cesarz i Car mogli byli doskonale istnieć obok siebie. Nawet po zagarnięciu przez Napoleona całego środka i południa Europy, Rosya i Francya

pozostawały jako dwie siły równomierne, do utrzymania równowagi powszechnej potrzebne.

Jeśli Napoleon był geniusz, powinien był to rozumieć. I zdaje się, że rozumiał.

Wrogiem Francyi i Napoleona nie była Rosya. Była nim — Anglia. Państwo miało w Anglii wroga przyrodzonego; cesarz — osobistego. Przeciw wrogowi tak potężnemu należało sprzymierzać się. Czynił to Cesarz początkowo, umizgując się do Cara.

Tylża była umizgów zenitem.

Bystry nurt Niemnowy (*perfide l'onda!*) stał się gruntem, na którym zbudować chciano gmach niebywalej wielkości. Zręby gmachu utworzyć miały punkty traktatu »sekretnie«. Czyniły one umowę rodzajem zdradzieckiej budowli, gdzie na piętrach mieszczą się pokoje gościnne, a w podziemiach — miny.

Cóż było w punktach owych, które dopiero po latach wypełznąć miały z ukrycia? Był po prostu: podział kuli ziemskiej pomiędzy Cesarza i Cara.

Aleksandrowi oddawał Napoleon Azyę, sobie przeznaczał Afrykę. Posiadacze trzech głównych części globu łatwo daliby sobie radę z dwiema pozostałemi.

Myśl podziału od Napoleona wyszła. Ktoby wątpił, tego oświecą traktatu punkty dodatkowe. Jest w nich: i o utrwaleniu władzy Bonapartych w Hiszpanii i Portugalii; i o zniesieniu władzy świeckiej papieża, z przyłączeniem Rzymu do Królestwa Włoskiego; i o współdziałaniu floty rosyjskiej w zdobyciu Gibraltaru; i o zamknięciu morza Śródziemnego dla okrętów angielskich...

Cesarz magnetyzował cara, rzucał nań urok — obezwładniał go mocą włoskiej, korsykańskiej *jetta-tury*. Widywano ich trzymających się nieustannie pod rękę. Mieniali się na szarfy, zegarki, pierścionki. Z ust Cara nie schodził historyczny już, czarujący uśmiech. Ten uśmiech mówił, że medium uległo całkowicie magnetyzmowi.

Gdzież tu miejsce na nienawiść? I w którymże z tych dwojga oddanych sobie serc miałby ów brzydki chwast wyrosnąć? Alboż nienawidzą się dwa bogi, podzieliwszy zgodnie pomiędzy siebie władzę nad światem?

Napoleon znalazł w Aleksandrze nie tylko przyjaciela: pozyskał w nim także potężnego współszermierza. A współszermierz potrzebny mu był w walce z największym z jego wrogów. Wszystko przemawiało za tem, że Napoleon będzie Aleksandra kochał, czcił, ochraniał. Tymczasem, w tej duszy przepaścistej wówczas już kielkowała myśl: powalenia Cara.

Prawda, że Aleksander zwolna trzeźwiał, zwalczając rzucony na siebie urok. Prawda, że w systemie kontynentalnym, na zdławienie Anglii obliczonym, pozwalał czynić wyłomy swym i kupcom. Prawda, że uznając Napoleona za równego sobie na Olimpie, nie chciał zrównać się z nim w kole rodzinnem, i siostry swej za żonę mu nie dał. Prawda to wszystko — jednak o ileż zamało było tego do przemiany przyjaźni w nienawiść, przymierza w walkę, współnika i powiernika w odstępcę, wroga i kata!

Któż zaręczy, że sam Napoleon z pobudek tej przemiany sprawę sobie zdawał? Nie zawsze ludzie, nawet genialni, są właściwymi twórcami wypadków,

pozornie za ich sprawą spełnianych. Gdyby w ludzkich rękę spoczywał ster świata, cóżby miała do czynienia Moc Najwyższa, której poza światem widowym upatrujemy?

Napoleon opierał się długo porywającemu go prądowi. Walczył z przeznaczeniem, wyobrażając sobie, że walczy ze sobą. Postawiony oko w oko ze Sfinksem, usiłował napróżno zmusić go do przemówienia. Gryzło go to; myśli jego, zwykle po liniach prostych biegnące, wichrzyło.

Jeden wszakże z nakazów, pochających go przeciw Rosyi, mieszkał w nim samym: strach.

Strach bywa czasem rodzicem nadzwyczajnych, zadziwiająco śmiałych bohaterstw. Z ludzi o duszach jagnięcych, czyni niekiedy lwy.

Napoleon doświadczał strachu, jaki ogarnia ludzi na znacznych wysokościach: na szczycie wieży, na wierzchołku skały. Ludzi tych, choćby najlepiej zabezpieczonych, przeraża myśl, że spadną i zabiją się...

Napoleon, cesarzem zostawszy, znalazł się na jednym z takich szczytów zawrotnych. Zdobył władzę zwierzchniczą nad najpotężniejszym, do rządzenia najtrudniejszym, narodem. Shodłował sobie połowę Europy. Braci swych i siostry poczynił królami i królowami. Córkę cesarską pojął za żonę. Przez urodzenie syna dał początek dynastji Bonapartych. Półbogiem był dla ludu, całym bogiem dla armii. Miał wreszcie zawistnych i wrogów nieprzejednanych, co jest ostatecznem wielkości stwierdzeniem.

To powodzenie przeszło miarę ludzką najwyż-

szą. Wyglądało na fantazję gorączkową, na bajkę. Cesarz zapytywać musiał niekiedy sam siebie:

— Czy ja nie śnię?...

Rzeczy nadludzkie człowieka przerażają. Nie można być bezkarnie, w jednym i tym samym czasie: synem ziemi i bożyszczem. Człowiek, przekraczający granicę, dzielącą ludzi od duchów, ulatuje do nieba, albo stacza się w przepaść. Mojżeszowi wystrzelają z głowy promienie, potem znika on z przed oczu śmiertelnych. Eliasza porywa z ziemi wóz, unoszony przez ziewające ogniem rumaki. Wielu geniuszów kończy obłąkaniem.

Napoleona ciągnęła przepaść. Długo, długo kołował, chcąc od niej uciec. Ale stać się z nim miało, jak z émą, która zawsze kończy — rzuceniem się w płomień.

ROZDZIAŁ VII.

SIOSTRA I BRAT.

W pałacu pani referendarzowej Tyszkiewiczowej, jednym z najświetniejszych w Paryżu i najliczniej za Cesarstwa odwiedzanych, wykwinęto towarzystwo tylko co wstało od stołu.

Służba otworzyła podwoje salonu, dokąd goście udali się parami, zachowując najściślejsze wymagania etykiety.

Do niemożliwości obostrzono we Francyi etykietę od czasu połączenia się Cesarza z domem Habsburgów.

Panią referendarzową wiódł pod ramię kulawy Talleyrand, przybierający tu rolę prawie gospodarza domu. Mógł być to czynić tem łatwiej, że sam referendarz, zakopany w dalekiej, puszczy i bagniskami otoczonej Świsłoczy, nie zjawiał się nigdy u swej żony, nawet w roli gościa.

Salon tchnął rozkoszną fijołków wonią — pierwszym darem nadchodzącej wiosny. Wielkie okna były do połowy otwarte. Napływała niemi fala świeżego, ostrego jeszcze powietrza, którą łagodziły ciepłe od-

dechy dwóch kominków narożnych, gdzie wesoly płomień trawił zwolna drobne, żywiczne polanka.

Dygnitarze, obwieszani orderami, we frakach, w białych, jedwabnych pończochach i płytkich ciżmach; generałowie błyszczący świetnymi, haftem złotym naszywanymi, mundurami; wśród nich, jakby wypadkiem tylko zabłąkane, szczupłe gronko dam wygorsowanych, w zawojach, z piórami na wysoko spiętrzonych włosach — wszyscy syci, pogodni, z siebie i z życia zadowoleni — obsiedli wygodne, rozłożyste, półkolem ustawione fotele. Obsiedli je na krótko — co wskazywała niedbała, rwąca się, jakby tymczasowa tylko, rozmowa. Nie podsycala rozmowy i pani domu, dość jeszcze piękna, mimo minionej (od lat już kilku) czterdziestki.

Nie zapalono nawet wielkiego kandelabra, i ogromny salon był tylko w połowie rozjaśniony. Za to rzesiste światło płynęło z salonu obocznego, ku któremu często a tęskliwie zwracały się spojrzenia wytwornych gości. W tym drugim salonie mniej było wykintu, więcej natomiast wygody; środek zajmował długi stół, ostawiony krzesłami, zielonem suknem pokryty. Leżały na tym stole karty i różne do gry przyrządy.

Gdy wlokąca się zaledwie rozmowa już zamierała, Talleyrand strzepnął palcami, kulawą nogą po kobiercu szurgnął. Inni poruszyli się na fotelach niecierpliwie. Zrozumiała to pani referendarzowa...

— Może — pytająco rzekła — urządzimy partię taroka? Salon gotowy.

Westchnienie ulgi wybiegło z ust obecnych. Najrozkoszniej westchnęły damy.

Znajdowali się w tym gronie ludzie poważni:

książę de Frioul, książę Winczency, hrabia de Segur i inni — ale i oni zdawali się przekładać grę nad rozmowę.

Wiedziano w całym Paryżu, że do pani Tyszkiewiczowej przychodzi się głównie na smaczne jedzenie i karty. Okrasą jednego i drugiego bywała powściągliwa rozmowa dyplomatyczna, nieunikniona tam, gdzie przebywał stary mistrz dyplomacyi.

Po chwili, strojni państwo siedzieli już przy długim, zielonym stole, który w potokach światła błyszczał wesoło, jak słońcem zalana łąka. Rozwiązały się usta; zaczęto śmiać się, żartować; miły gwar napelnił wszystkie kąty, aż do powały się wzbił...

Każdy z gości sięgnął do sakiewki, rulonik złota przed sobą ułożył. Talleyrand objął bank. W głębokim milczeniu rozdano karty — poprawiono się na fotelach — gra rozpocząć się miała...

W tej chwili służący oznajmił donośnie:

— Jego ekscelencya minister, książę Poniatowski!

Jednocześnie w głównym salonie dały się słyszeć śpieszne kroki i śpiew półgłosny, lecz wyraźny:

— Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Staniem na swej ziemi,
Bo nas uczył Bonaparte,
Jak się stać wolnemi...

Uragalo to wszystkim prawom etykiety — było wszakże takie miłe i zuchowate, takie rycerskie, polskie, mazowieckie...

Pani Tyszkiewiczowa krzyknęła z radością: *Pepi! Quelle surprise!* — i rzucając karty, wybiegła ku

nadchodzącemu. Gości ogarnęło zakłopotanie. W progu ukazał się książę Józef, napelniając salon blaskiem swej osoby i świetnego, jeneralskiego munduru.

Już o kartach mowy nie było. Zrozumiano, że przybycie »z mroźnej Północy«, »z krainy lodów i śniegów« (damy na myśl o tem naciągały na ramiona swe szale indyjskie) wielkorządcy polskiego, jest rzeczą od taroka ważniejszą.

Z zakłopotania wyzwolił się pierwszy Talleyrand.

— Sprawileś nam książę niespodziankę... spodziewaną — wycedził przez zęby, z dyplomatycznym uśmieszkiem, zanurzając cienkie palce w małej złotej tabakierce z miniaturą cesarza.

— Jak zawsze, panie ministrze, jak zawsze! — odparł wesoło książę. — Urządzanie niespodzianek niespodziewanych jest rzeczą dyplomatów. Ja, jako Polak i żołnierz, na takich sztukach najzupełniej się nie znam.

Książęta: de Frioul i Winczeny, oraz hrabia de Segur otoczyli księcia, serdecznie dłoń jego ściskając. Siostra była mu niewymownie rada. W innych damach zbudził również zajęcie, od hazardów karcianych większe.

— Przejdziemy?... — szepnęła gospodyni, wskazując oczyma wielki salon.

Przeszli wszyscy. Ale tym razem aeropag fotelowy w senność nie zapadł.

Talleyrand dopytywał księcia o szczegóły podróży, o zdrowie, o stan pogody w Warszawie i Dreźnie... Dyplomatyzował — nie chcąc w licznej zebraniu poruszać spraw kapitalnych. Inni byli mniej

wstrzemięźliwi — niebawem też przystąpiono do tego, co dusze wszystkich przepełniało: do Napoleona i jego stosunku do Rosyi.

W salonie pani Tyszkiewiczowej zbierali się przyjaciele Polski. To było poniekąd obowiązujące. Wyjątek stanowił może Talleyrand — ale on nie był przyjacielem niczym. Formalnie i jakby urzędowo okazywał przyjaźń gospodyni domu, a ten to afekt, obok wysokiego stanowiska, dawał mu kartę wstępu do siostrzenicy króla polskiego.

Książę Józef więcej słuchał, niż mówił. Przybywał po wiadomości, nie z wiadomościami. Słuchał pilnie, z głębokiem, lecz ukrytem wzruszeniem. Dla Francuzów zamysły Napoleona mogły być tylko nową kombinacją polityczną, nowym hazardem, może tylko nową igraszką; jemu, przedstawicielowi Polski, »chodziło — jak w bajce Krasickiego — o życie«...

Wyrozumiał niebawem książę, że w salonie siostry przeważają prądy przeciwwojenne. Zgromadzili się tu ludzie starsi, doświadczeni, rozważni. Prawość i szczerłość przekonań, wypróbowany patryotyzm, pozwalające im przekonań swych nie taić. Wypowiadali je nawet w oczy gromowładnemu Cesarowi. Słuchano ich bez gniewu, lecz z lekkim — tajonem zresztą — lekceważeniem...

W pałacu pani referendarzowej rodziły się surowe, prorocze, do rdzenia rzeczy sięgające krytyki. Sprawiały one później niemało niepokoju w Tiuileryjach (przezwanach »Pałacem Rządowym«), w Saint-Cloud — nawet w Malmaison. Dla gości tutejszych nie istniał »najjaśniejszy pan«, ani »wielki Napoleon« — znali

tylko »Jego«, tak samo zupełnie, jak goście »z pod Pępuszka« i całe Księstwo Warszawskie.

Poważni mężowie zabierali głos kolejno, uroczyscie przez innych słuchani.

Książe Winczency mówił:

— Nie trzeba nadużywać siły. I nie trzeba dziwić się, gdy nadużycie wywoła odwet. Jeśli kto nie tylko rozszerza swą władzę na cały kontynent, lecz zagarnia jeszcze posiadłości swego sprzymierzeńca, jakież ma prawo wypowiadać temu ostatniemu wojnę? I za cóż ona? Za to, że sprzymierzeniec zobowiązaniom swym rzekomo uchybił, że systemu kontynentalnego nie popiera... Gdy wojska francuskie zalewają całą Europę, jest to rzecz godziwa, ale gdy Car armię swą zbroi, nazywa się to *casus belli*. Poczytując własną ambicję za cnotę, czyż można w ambicyi cudzej dopatrywać się grzechu?

Hrabia de Segur dalej myśl towarzysza rozwijał.

— A sprzymierzeńcy? Na jakich sprzymierzeńców »On« liczy? Kto uczynił sprzymierzeńca wrogiem, czyż potrafi wrogów zrobić sprzymierzeńcami? Dziś zachciało mu się zdjąć pęta z Niemiec i pójść z nimi ręką w rękę. Zapomniał, że ten kraj dyszy nienawiścią, którą tylko siła trzyma na wodzy. I właśnie środkiem tego kraju biedz ma linia pochodu i działań wojennych — najdłuższa, jaka istniała kiedykolwiek! Środkiem kraju, gdzie żądza zemsty tai się na każdym kroku, jak ogień wulkanu, zlekka tylko popiołami nakryty!...

Ognisko opozycyi podsycał de Frioul nowem zarzewiem.

— Oparł wszystko na armii — niechże posłucha jakie odzywają się wśród niej pomruki... Wodzowie twierdzą, że najlepszy żołnierz pozostał w Hiszpanii. Oddziałom, zbyt często świeżymi rekrutami zwiększanym, spójności brak. Ludzie tych samych pułków nie znają się ze sobą; żaden nie wie, czy w niebezpieczeństwie mógłby liczyć na towarzysza. Pierwsze, najdobrańsze szeregi napróżno osłaniać będą słabość drugich i trzecich. Już dziś, z powodu przedwczesnych poborów, wielu niedojrzałych rekrutów upada pod ciężarem karabinu i tornistra...

Do rozmowy wmieszała się jedna z dam, potrząsająca obfitym przy zawoju pióropuszem.

— Ach, mój książe! mój hrabio! — sznurując usta, zaszczębiotała — czyż nie wiecie, że on na wszystko znajdzie odpowiedź. W tych dniach hrabia Mollien, jako minister, przedstawiał mu niepewny stan skarbu. »Najjaśniejszy panie — mówił — finanse Francyi potrzebują spoczynku«. Wiecie, jak mu odpowiedziano? »Dla finansów, potrzebujących spoczynku, nic niema korzystniejszego nad — wojnę!«

Lekki, zaledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po ustach wytwornego zebrania. Nie uśmiechnęli się tylko: Talleyrand i książę Józef.

Długo jeszcze toczyła się rozmowa o tym przedmiocie niewyczerpanym. Każdy i każda znaleźli do przytoczenia coś, co było piaskiem, sypanym na niecony przez cesarza płomień. Dyplomata prawil tylko zdawkowe, dwuznaczne frazesy. Książę Józef milczał, wymawiając się znużeniem.

Późno już było, a gwar rozmów, zamiast cichnąć, wzrastał się.

Nagle służący oznajmił:

— Adjutant jego cesarskiej mości z poleceniem do jaśnie oświeconego księcia-ministra Poniatowskiego!

Wiadomość uczyniła silne na wszystkich wrażenie. Książę zerwał się, do czekającego wybiegł.

Oczekiwano jego powrotu w milczeniu.

Zjawił się po chwili uśmiechnięty, swobodny. Ze zwykłą szczerością oświadczył:

— Cesarz już wie o mojem przybyciu. Po całym Paryżu gońców za mną rozesłał. Wzywa mnie jutro na godzinę siódmą rano.

Zrozumiano, że człowiekowi, przybywającemu z „mroźnej północy“, należy się wypoczynek. Służba zajęła się przywoływaniem karet. Książęta, hrabiowie, księżne, hrabiny, z wielkim atłasów i aksamitów szumem, wśród przesadnie niskich ukłonów i na zbyt słodkich uśmiechów, pałac opuścili.

Książę Józef żegnany był czulej jeszcze, niż witany. Minister, którego monarcha oczekuje tak niecierpliwie, to dla dworaków prawie bożyszcze.

Brat i siostra pozostali sami.

Książę rozpiął natychmiast haftki u ciasnego munduru, przeszedł z panią domu do jej gabinetu i zażądał — ponczu, oraz fajki na wiśniowym cybuszku. Napół leżąc na sofie, dymem się otaczając, drobnymi łykami mocny napój ciągnąc, siostrę o nowiny dworskie wypytywał.

Pani Tyszkiewiczowa wyznała otwarcie, że ani wie, co się wyłoni z panującego w Pałacu rządowym chaosu..

— Potrzebny im jesteś, mój Pepi, do rady —

mówiła. — Może właśnie ona wahające się szale przeważy...

Książę milczał, pilnie fajką i ponczem zajęty.

— Czy pragniesz, bracie, wojny? — spytała z błyszczącymi bardziej ciekawością, niż zapalem, oczyma.

Książę fajkę odłożył, szklankę odsunął.

— Pragnę! — wyrzekł mocno.

— Będziesz mu ją zatem doradzał?

— Nie!

Oczy pani Tyszkiewiczowej jeszcze mocniej zabłysły.

— Nie rozumiem cię, Pepi... — głosem niepewnym wyjąkała.

— A to takie proste! — mówił książę, do fajki wracając. — Jako dobry Polak, pragnąć muszę wojny, która mi obiecuje wolność, ale jako człowiek uczciwy, nie mogę zachęcać do przedsięwzięcia, które wydaje mi się niepewne.

— Więc zniechęcać będziesz?

— I to nie. Będę tylko szczery. Na każde za pytanie odpowiem uczciwie, niczego nie tając, niczego nie fałszując...

— Choćby to miało wojnę powstrzymać?

— Choćby to miało wojnę powstrzymać!

Siostra przyglądała się bratu wzrokiem zdumionym. Nie pojmowała go. W sercu jej nie było miejsca na takie walki, na takie subtelności. Gdy pożycie z mężem wydało jej się niemiłym, oświadczyła mu to wręcz i — z domu odjechała.

Książę w chmurze dymu namarszczył się, przy-

garbił. Rozmowa nie była mu widocznie przyjemna. Spojrzała to siostra — pytać przestała.

— Pojutrze pokażą ci cesarzewicza. Pokłonisz się władcy przyszedłemu...

— Tyś już to czyniła?

— Tak. Ale wyznam ci, że mnie to nie uszczęśliwiło. Wolałabym pokłonić się — królewiczowi.

— Komu?

— Królewiczowi. Naturalnie — polskiemu.

Księżę rozgarnął dłonią dym, badawczo wpatrzył się w siostrę. Drobne usta rozszerzył mu uśmiech domyślny.

— Murata syn nieobecny w Paryżu... Pani Davoust nie obdarzyła męża potomkiem... A może myślisz o jakimś młodym Talleyrandzie?...

— Ach Pepi, Pepi! — chwiała księżna głową — jakiś ty... osobliwy!

Księżę puszczał kółka z dymu, wzruszając lekko ramionami.

Siostra przysunęła się z taburetem, dłoń na ramieniu mu złożyła.

— Wyznaj, bracie — poufnie szepnęła — czyś ty nigdy nie marzył o... berle?

— Ani mi się śniło! — odrzekł księżę z żołnierską, szorstką nieco, otwartością.

— Nie nęciła cię korona?

— Nie. Widziałem ją na czole stryja, i — narzędziem męki mi się wydała.

Zamilkła pani referendarzowa. Podniesione czoło, twarz prostolinijna, skupione brwi, dolna warga lekko wysunięta — wyrażały dumę, pańskość, majestat. Wyglądała już nie na bratanek króla, lecz na królową.

Z wysoka spoglądała na brata, z gniewnem niecierpliwością przez zęby syknęła:

— Ambicyi nie masz, Pepi...

Poprawiła się:

— Zamałoś ambitny, bracie!

Odpowiedź księcia była spokojna.

— Jesteś w błędzie, *ma soeur*. Ambicyi mi nie brak, lecz tylko w sprawach, Ojczyzny mojej dotyczących. Niech ona nosi koronę — ja poprzestanę na swem ułańskim szaku. Skwituję ze wszystkiego. Ty wiesz, jak proste mam upodobania. Wystarczy mi spokój, nieskalane sumienie...

— Ładne buziaki... — odpowiedziała siostra.

— To prawda... — uśmiechnął się księżę.

— I duży salon, strojnych dam pełny, z doskonale wywoskowaną do tańca posadzką!

Księżę porwał się na nogi rozbawiony. Ostrogami zadzwonił, kilka taktów mazurkowych przetańczył. Wybił hołubca, przytupnął, ramię zaokrąglone do siostry wysunął.

— *Serais-je assez heureux, madame la comtesse?*...

Roześmiali się oboje.

— Zapomniałaś, siostro — dodał, siadając — o dobrym koniu, strzelbie myśliwskiej, furkocie chorałówek ułańskich i kielichu tęgiego węgryna na biwaku, lub w kniei, po otrąbieniu »trupowego«...

Zaróżował się, odmłodził; biała ręka nawykowo posunęła się ku górnej wardze, wąs niewielki podkręcając.

— A co do tańców — rzucił jeszcze z jakimś dziwnym, ponętnie szelmowskim, zachwycającym oczu

błyskiem — to wiesz co? Niech się w kącie schowają wasze menuety i kadryle przed naszym swojskim, rodzimym, piastowskim może jeszcze — obertasem! Tańczyłem-ci go niedawno u dzierżawcy pod Jabłoną. Dotąd mnie rozpala... Ależ bo tancerkę miałem — siarczystą. Liczko, jak krew z mlekiem, oczy jak węgle, kosa w dwa warkocze, usta, że tylko całuj... A w sobie jędrna, jak rzepa... Psiakrew!

Nie wiedziała pani referendarzowa, czy śmiać się, czy krzywić. Dwuznacznie głową chwiejąc, tonem lekko strofującym szepnęła:

— Och, panie ministrze, panie ministrze!... Och Pepi, Pepi!... Tyś widzę zawsze...

— Lekkoduch — co? Ha, ha, ha!

Zaśmiał się książę z całego gardła, śmiechem polskim, obozowym, sejmikowym, jakiego może jeszcze nigdy mury tego pałacu nie słyszały. Zgorszyć musiał ten śmiech sztywnie bóstwa mitologiczne, które z plafonu *al fresco* malowanego, przyglądały się rozmawiającemu rodzeństwu.

— Lekkoduch... — powtórzył. — Jednak dla tamtych (ramię w stronę Wschodu wyciągnął) rękę ciężką zawsze miał i zawsze mieć będzie!

Mówić zaczęli o sprawach politycznych. Pani Tyszkiewiczowa zagadnęła ciekawie o męża. Była to ciekawość, jaką budzą dziwy przyrody, które dobrze jest oglądać zdala, lecz Boże zachowaj wchodzić z niemi w zażyłość...

— Imć pan szwagier dobrodziej — opowiadał książę — już przed rokiem nie wychylał się poza swą Świsłocz; od pół roku nie opuszcza swego pa-

lacu — a od niedziel kilku, *ut fama fert*, nawet się na cal jeden za obręb swego sarafanu nie wysuwa...

— Cóż przecie robi? Czemu nudę zabija?

— Grywa w maryasza, klóci się i godzi ze starym poetą Karpińskim. Przytem w swym białoruskim zaścianku buduje Łuki Trajana, obeliski, termy, może nawet amfiteatry — słowem klasyczny Rzym Cezarów na błota pińskie przenosi. Wreszcie łapie muchy, marynuje piskorze, pali fajkę i — dobrze mu z tem.

Pani Tyszkiewiczowa uśmiechała się z żywym zadowoleniem. Tak miło przyglądać się słoniom, mamutom i mastodontom z miejsca, do którego ich trąby nie sięgają...

Przy pożegnaniu siostra szepnęła bratu:

— Słuchaj, Pepi: wierzyciele już bardzo nacierają... Możebyś ty o tem jemu coś szepnął? Wiadomo przecie, że to na jego sprawę wszystko szło...

Książę Józef odrzekł:

— Ba!...

ROZDZIAŁ VIII.

ON.

— A więc tak, mój książę. Postanowiłem rozpocząć drugą wojnę polską!

Książę skłonił się głęboko.

— Polechtało cię to mile po sercu — nieprawda?

Książę skłonił się głębiej jeszcze.

Dużą komnatę zalewało mętne światło wczesnego poranku. Jeszcze po kątach tały się mroki, wśród których surowymi połyskami bronzu dawał znać o sobie konny posąg Fryderyka, przezwanego »wielkim«. Sennej, złowrogiej jawie był ów bronz podobny.

W powietrzu mieszały się prądy zimne z ciepłymi. Ciepło wysyłał kominek, na którym płonął ogień sowity; chłód napływał otwartym oknem, które było jedyne, lecz bardzo szerokie.

Okno wychodziło na ogród. Młoda jeszcze, prawie żółta zielen drzew zdawała się drzeć w zimnych uściskach rodzącej się dopiero wiosny.

Co chwil parę wpadał przez okno dzwonny, szczerozłoty, do samego dna duszy zapadający, tryl

słowika. I był przykry rozdźwięk między tem, co śpiewał ptak, a tem, o czem rozmawiali ludzie.

Cesarz, mimo wczesnej godziny, ubrany już był, ogolony, do przyjmowania gości gotowy. Stał, wspierając się o krawędź olbrzymiego mahoniowego biura, które zajmowało środek pokoju. Bogaty był to sprzęt, poważny, ciężki, bronzami przeładowany. Czynił wrażenie posępne; na czterech złożonych gryfach wsparty, wyglądał prawie, jak sarkofag. Do biura przypierało jakby kurulne krzesło z bardzo wysokiem oparciem, spowitem w surową, klasyczną draperyę z zielonego jedwabiu, przewiazaną grubym, czarnym sznurem. Poręcze kończyły się potężnymi łbami lwów ze złożonego bronzu, z rozwartą paszczą, z wyszczerzonymi groźnie kłami. Wierzch biura niemal ugiął się pod stosem papierów.

Na tem tle ponuro majestatycznem, Napoleon wydał się księciu kimś obcym, nowym...

W ostatnich dwóch latach, to jest od zaślubienia Habsburżanki, zajęć musiała w Cesarzu jakaś znaczna wewnętrzna przemiana. Sztywniejszy się stał, surowszy, bardziej majestatyczny i — posępniejszy. Przybyło mu tuszy, twarz wypełniała, wydając się trochę nabrzęklą. Policzki, zwykle blade, nabrały odcienia żółtawego; znany kosmyk na czole nie zakrywał już czaszki, prawie zupełnie wyłysiałej. Oczy zdawały się bezsennością zmęczone.

Cesarz mówił szybko, energicznie:

— Rad ci jestem, mój książę. Przybysz mi w tobie posiłki. Walczę bowiem. Mam przeciw sobie wszystkich — często nawet samego siebie. Za dnia stawiam czoło przeciwnikom; po nocach toczę bój

z własnymi myślami. Znużyło mnie to. Ty mnie popokrzepisz, Polaku, bo moja sprawa jest zarazem twoją.

Księżę położył rękę na sercu.

— Ręczę za siebie i za mych rodaków. Cała Polska stoi przy tobie, najjaśniejszy panie!

— A Litwa?

— Litwa i Polska jedno mają serce.

Napoleon mówił dalej:

— Przedsięwzięcie rzecz wielką. Zaledwie czyny Aleksandra Macedońskiego z zamysłem moim porównać się dadzą. Zaprowadziłem kiedyś Francuzów do Egiptu — ale to był poryw młodzieńczy, napół szalony. Do wyprawy na Rosję przystępuję z powagą męża dojrzałego. Nie oddaję się złudzeniom. Wszystkom przewidział, wszystko obliczyłem. Długiej walki nie chcę, i dlatego wyruszam z siłą trzykroć większą od potrzebnej. Za pierwszym natarciem, przeciwnika zgniotę, do układów zmuszę. Aby nie działać na ślepo, pod uwagę biorę najmniejszą możliwą zawadę. Pozwoliłem mówić każdemu, kto ma coś do powiedzenia. Widzisz, miły księżę, tę górę papierów? To wszystko zarzuty, memu przedsięwzięciu stawiane. Spisywać je każe — potem, co wieczór, odczytuję. Nazajutrz każdy z zarzutów zwalczam. Dotąd ani jeden się nie ostał. Ale męczy mnie to. I dlatego po witał cię, mój księżę, jako sprzymierzeńca. Polak jesteś, więc serce masz prawe; żołnierz — więc obłuda ci obca. Niechże zatem z ust twoich usłyszę prawdę, której inni zaprzeczają: że zamierzona kampania jest sprawą łatwą i pewną.

Księżę, stojący dotąd w cieniu, postąpił krok

naprzód i, jakby mu nagle sił zabrakło, o krzesło się oparł. Mowa jego była zwykle cokolwiek szepłeniąca, teraz jednak mówić mu przyszło z tak wielkim trudem, jakby język miał drętwy...

— Najjaśniejszy panie — wyjąkał. — Wyprawa do Rosji jest przedsięwzięciem... nadludzko trudnem i nad wszelki wyraz ryzykownem!

Wyrzekłszy to, głowę pochylił, jak człowiek, ugięty brzemieniem, siły jego przerastającym.

Cesarz pobladał. Jedną ręką z wysiłkiem trzymając się stołu, drugą pocierać ją szybko, pod kolanem, drgającą nogę. Taki kurcz chwytął go rzadko. Tylko nadzwyczajne wstrząśnienie mogło go było wywołać.

Ale mocarz, rozkazujący milionom, rozkazywać umiał i samemu sobie. W niespełna minutę, już znowu był marmurem.

— Na czem oparłeś, mój księżę, tak bezwzględna krytykę? — zahaczył księcia, wbijając weń szpon orlego spojrzenia.

— Zanim odpowiem — prosił tamten prawie pokornie — pozwól mi, najjaśniejszy panie, błagać przebaczenia za zbytnią może szczerość...

Cesarz poprzestał na rozkazie:

— Mów, księżę!

— Obawy moje, najjaśniejszy panie, dotyczą głównie przyrodzonych warunków kraju, w którym twoja wielka armia gościć, a może i w zapasy iść, będzie.

Napoleon brwi ściągnął; twarz jego przybrała dość częsty na niej wyraz inkwizytorski.

— Litwa? — ostro rzucił.

— Kraina puszczy obłądnych i zdrażliwych mokradel. Im dalej na Północno-wschód, tem lesistsza, odludniejsza, dziksza..

— Drogi?

— Często nie do przebycia — jesienią zwłaszcza i w zimie. Dla artylerji trakt zgoła piekielny.

— Mieszkańcy?

— Podejrzliwi i nieufni. Przytem zawzięci.

— Wysłañcy ich ofiarowywali mi przyjaźń i wierność...

— W zamian za wolność. Ale ich marszałek Berthier odtrącił — obraził...

— Sam został za to obrażony.

— Litwini czują głęboko, myślą wolno. Tamto przyjęcie przywarło im do duszy. Nie zapomną go prędko.

— Wrogów w nich mam?

— Nie — ale ludzi wahających się, uczucia swego niepewnych...

— Cóż więcej?

— Olbrzymie płaszczyzny, zawilgocone grzązkiemi, nigdy nie wysychającemi bagnami, opłatane siecią rzek, rzeczulek, strumyków, nieustannie łożysko zmieniających. Wsie niekiedy o mil pięć, sześć od siebie oddalone. Pomiedzy wsiami kilkomilowe wydmy, błota, albo grunta oddawna ugorujące. Gdzie furaz dla koni? Gdzie wikt dla ludzi?..

Zachmurzył się cesarz. Lewą rękę w tył założywszy, palce prawej zatknawszy za kamizelkę, miarowym, żołnierskim krokiem przemierzać zaczął pokój. Na chwilę zatrzymał się i rzekł:

— Spisz wszystko, mój książę. Spisawszy, marszałkowi dworu oddaj. Do zbioru to dołącz.

Oczyrna wskazał stroszące się na biurze papiery.

Znów chodzić zaczął — najpierw po linii prostej, potem kołując i okrążając olbrzymi sarkofag z mahoni i bronzu. Rytm kroków, z początku wolny, stopniowo szybkości nabierał. Jednocześnie zacięte dotąd wargi zaczęły nieznacznie poruszać się, dźwięki niewyraźne wydawać...

Dźwięki przybrały po chwili formę określoną. Cesarz przemawiał. Przemawiał do ścian, do sprzętów, do drzew, przez okno widnych, do Francyi, do Europy, do ziemi całej. Przedewszystkiem jednak: do samego siebie.

— Tyle drogi przebytej!... Jeszcze jeden krok, ostatni. Zatrzymać się dziś, na zboczu skały, gdy szczyt tuż, tuż?... Niedorzeczność! Francya — ognisko świata. Prawodawczyni. Pani samowładna. Dokoła tamci — rozdrobnieni, sproszkowani. Pyl, który już w bryłę skupić się nie da.

...Zresztą nie ja otchłań wyzywam. Bronię się tylko, ustępuję. Deptać się pozwalam. Spełniłem wszystko, com przyrzekł Carowi. Ale Car dopuszcza się fałszu. Krzywdzi mnie. Znieważa. Spokojnie patrzę na jego zabory. Nie mieszam się między Rosyę i Turcyę. Na krzyk rozpaczny grabionych Szwedów, odpowiadam:

— Cierpliwi bądźcie...

...Cóż czyni Car w ośmset dziewiątym? Działać miał w Galicyi łącznie z Polakami... Wywodzi ich w pole, na łaskę losu rzuca! A ukaz grudniowy

z ośmset dziesiątego? Policzek, wymierzony Francyi. Gorzej, niż policzek — kopnięcie! Car czyni wyłom w systemie kontynentalnym. Wrogowi memu dopomaga. Handel Francyi dławi.

...Nie ja wyzywam! Pobrzękiwanie szablą nie z Francyi dochodzi. Car zwie siebie miłośnikiem pokoju. A oweż siedmdziesiąt tysięcy żołnierza, wystawione na granicy? Car twierdzi, że to straż celna. Można i tygrysa przezwąć kotem!

...Nienawidzę dróg krętych. Do celu zmierzam prosto. Inni są moi wrogowie. Mówią: — Sprawiedliwości bronić idziemy. A myślą: — Krew zeń wytoczmy. Żądać, żeby wojska francuskie ustąpiły z Prus, czyż to nie toż samo, co wojnę wypowiadać Francyi?!

...Tam, w tych lodach złowrogich, knuje się zdrada. Północ czai się na Południe. Okropny skok niedźwiedzia polarnego. Bronił Europy ostrokół — Polska. Niema Polski — niema ostrokołu. Prusom i Austrii sił braknie. Francyi obowiązek: stanąć w pogotowiu. A Francya, to ja. Wypowiadając wojnę, czynię się obrońcą cywilizacji. Po mojej stronie: oświata, wykuint, ład, dobrobyt. Po stronie Cara: ciemnota, barbarzyństwo, żądza łupów, nieobyczajność. *Rudis indigestaque moles!*

Potok myśli i słów coraz dalej unosił Cesarza. Już zapomniał, że nie jest sam; myślał głośno, jakby w przekonaniu, że jego myślenia nikt nie podsłucha. Krok jego był teraz nierówny. To biegał, to zatrzymywał się; twarz, zamiast nabierać rumieńca, coraz bledszą się stawała. Ze ściągniętą brwią, z pod

której białka oczów, jak emalia błyszczały, zdanie rzucił po zdaniu:

— Straszą mnie... Mnie przestraszyć nie można! Francya zostanie bez armii... Więc cóż? Obroni ją imię Napoleona. Przed tem imieniem drżą jeszcze wrogowie. Nie wam kusić naród, panowie z opozycji! Nie wam, rojalści; nie wam, republikanie; nie wam, wiochrzyciele! Dawniej władca armii, dziś — władca narodu. Całego narodu od wyrobnika do księcia, od księcia do monarchy. Lud ze mną; królowie i cesarze przy mnie, lub — pod stopami memi.

... Prusy? Powalone i spętane. Nie drgną. Cała ich municypalność w moich rękach. Dzierzę Głogów, Kistrzyn, Torgau, Sztetyn, Szpandawę, Magdeburg. Wierna mi jest Saksonia. Obsadzę swem wojskiem Berlin i Kołobrzeg. Monarchowie? Jeden — moim teściem; inni — braćmi, szwagrami, przyjaciółmi, lub... niewolnikami. Reszta z czemże na mnie? Z ludem? Tego byka jam spętał. Rozpętany, swych szczwaczów najpierw stratuje.

... Przeraża ich wojna? Pokój od niej groźniejszy! Dokoła wrą namietności. Skierować je na wroga, to — oczyścić kraj ze żmij i padalców.

... Lękają się o życie moje. Niedorzeczność! Ostrzono na mnie noże, nabijano broń, zakopywano miny. Mogli byli zginąć moi adjutanci, najbliżsi towarzysze, lecz nigdy ja. Alboż swe posłannictwo spełniłem? Alboż godzina moja wybiła? W Paryżu czy w Moskwie, pod kamiennym stropem pałacu, czy pod płótnem namiotu, los mój jeden. Gdy godzina wybije, pierwsza lepsza choroba, potknięcie

się, upadek z konia na łąkach, trupem mnie położy. Policzone są dni człowieka!

Zatrzymał się przy otwartym oknie. Wzrok zapuścił w otchłań nieba, przez rzadkie gałęzie przeświecającą. Przez chwilę milczał, rozmyślał. Potem wyrwały mu się z ust słowa głuche:

— Nie zaślepiam się. Widzę gwiazdy; dostrzegam i mrok. W mroku straszydła. Przeciwno straszydłom iść — muszę. I przeciw wszystkiemu. Wiem, że to wielkie dzieło jeszcze dwunastu lat wymaga. Ale czekać nie mogę. Czasu mi brak!

W ostatnim zdaniu był ból. A może była tylko — głęboka, ukryta wściekłość.

I znów kołować zaczął po pokoju krokiem nierównym, nerwowym. I znów rwały mu się z ust luźne, niepowiązane zdania.

— Nic mi nie wstrzyma. Idę. Szczyt tuż, tuż... Może otchłań? Cała, cała Europa. Bóg słońca, Apollo. Tam mrok; tam lód; tam dziez. Wstrzymują mnie... Ha! wstrzymajcie kamień, z procy wyrzucony! Idę. Na Azyatów idę, na mrok, na lód, na dziez. Ze szpon Cara Litwę wyrwę. Przed szponami Cara Polskę obronę. Polska jest mi potrzebna — wskreszę ją. Lada łupieżca, nawet nie szatan zupełny, zabić naród potrafi. Ale naród wskresić — rzecz prawie boska. Polska będzie wskrzeszona. Godna jest tego. Polska, to prawie Francja. Za nią i z nią na Cara pójdę. Pójdę mimo wszystko — choćbym nawet miał walczyć z samobójczym Polaków uporem. Odradzano mi tu wojnę. Polak odradzał. Polak... Polak... Nie do pojęcia! Czyż można

dalej posunąć szaleństwo? Lecz ja szaleńców nawet wskrzeszać pójdę!

Teraz dopiero przypomniał sobie księcia. Szybko obrócił się w jego stronę. Czoło zmarszczył — strofować chciał.

A książę, jedno kolano zgiąwszy, jakby przyklękając zamierzał, wyciągał doń ramiona ruchem, pełnym zapału i niewysłowionej tkliwości. Twarz mu promieniała, jak w słońcu skąpana.

— Cesarzu! — wołał głosem, od wzruszenia przerywanym. — Cała Polska z tobą pójdzie! Cała Polska, na skinienie twoje, broń chwyci, konia dosiądzie! Prowadź nas, panie, którego Istność Najwyższa na zbawcę Polski wybrała! Ostatniej kropli krwi nie pożałujemy dla sprawy twojej — która jest zarazem sprawą naszą, sprawą świętą, sprawą całej uczciwej ludzkości! Jeśli na drodze będą zawady, piersiami je odtrącimy. Jeśli będzie przepaść, ciała ją nasze zrównają! Prowadź, cesarzu — prowadź jak najprędzej!

Zdumiał się po raz drugi Napoleon — on, który tak rzadko zdumieniu ulegał.

Skrzyżowawszy ręce na piersiach, bez słowa jednego wpatrywał się w księcia, którego usta zamilkły, ale oczy, ognia pełne, więcej jeszcze od słów mówiły.

Zrozumiał wreszcie, co działo się w sercu tego człowieka, dwojgiem sprzecznych uczuć targanego.

Rozpogodził się jednym z tych uśmiechów, które były na jego twarzy, jak promień słońca wśród chmur gradowych.

Z tym jasnym uśmiechem do księcia przystąpił — zlekka w ucho go uszczypnął...

— Jeśliście wszyscy tacy — z naciskiem rzekł — toście bytu samoistnego warci, i ja wam go przywrócę!

ROZDZIAŁ IX.

MINISTER PRACUJE. — KSIĄŻĘ PEPI SIĘ BAWI.

Książę Józef wszedł na palcach do wielkiego pokoju, gdzie kapitan Mroczek siedział sam jeden nad książką i głośno deklamował czytane wiersze. Ta właśnie deklamacja patetyczna, płacziwa, rozjęczona, która budziła echa w całym, prawie zupełnie o tej porze pustym pałacyku, przywiodła tu zaintrygowanego księcia, gotowego już do wyjazdu na miasto.

Mroczek należał do przybocznej świty ministra Księstwa Warszawskiego, do Paryża z nim przybył. Jego zdolności pisarskie, w połączeniu ze znajomością topografii i strategii, bardzo tu były ministrowi pomocne.

Pobyt księcia w Paryżu przeciągał się z miesiąca na miesiąc. Tiulerye nieustannie żądały coraz nowych informacji, dotyczących Księstwa, Litwy, Rosyi. Minister utrzymywać musiał oddzielnie biuro, w którym, prócz jego oficerów nadwornych, pracowali zaproszeni do pomocy inżynierowie francuscy.

Pokój, do którego wszedł książę, przed chwilą przez pracowników opuszczony, podobny był do »kancelaryi« księcia w Warszawie. Tak samo, jak tam, rozłożone tu były na licznych stołach deski rysownicze z planami, stały biurka, pełne papierów z nagłówkami różnych ministerjów, instytucyj, warsztatów wojennych — nawet przybocznej kancelaryi cesarskiej. Półki przy ścianach dźwigały całe archiwum.

Mroczek, siedzący przy oknie i w książce zatopiony, nie zauważył wejścia księcia. W lewej ręce trzymając niewielki tomik, a prawą trzęsąc teatralnie, rozdzierającym głosem krzyczał:

— Gaje Izmaru! byliście mi lubie!
Wesołe przy was chwile odbywałem!
Drzewa te, skacząc, czyniły mi chlubę,
Kiedy zagrałem!

Dziś tu posępno! — a gdy tęskne tony
Z jęczącej lutni żalność dobyć pragnie,
Ledwo się który wierzchołek zielony
Z niechcenia nagnie!

Czytającego tak pochłaniała książka, że nawet stuknięcia potrąconego przez księcia krzesła nie zauważył. Owszem, głośniejsze jeszcze i z większą żalnością jęczał:

— Ach! po tej serca i duszy utracie
Nie znajdzie folgi umysł dolegliwy!...
Mile ptaszęta! na cóż mi śpiewacie?
Jam nieszczęśliwy!

Śpiewajecie temu, kto w związku pomyślnym
Tak żyje, jak ja z Eurydyką żyłem...

Tu już książę wytrzymać nie mógł. Przyskoczył do przyjaciela, za ramię go pochwycił, uściśnął...

— Orfeuszu! — ze szczerem współczuciem zawołał — skąd ci te żale niewczesne? Wszakże twoja Eurydyka...

— Umarła! — grobowym głosem wyrzekł kapitan, zwracając na księcia zażawione oczy.

Książę przeraził się.

— Co mówisz? Różyczka?... moja chrześniaczka?...

— Umarła! — powtórzył Mroczek, dopiero teraz uprzytomniając sobie, kto przed nim stoi i z krzesła się podnosząc. — Umarła dla świata i dla mnie. Do klasztoru wstępuje!

Wskazał oczyma list otwarty, leżący przy książce.

Książę siadł uspokojony.

— Powiedziałeś, kapitanie: wstępuje; nie powiedziałeś: wstąpiła. Czas teraźniejszy od czasu przeszłego dokonanego dzieli przestrzeń tak wielką, że pomieścić się w niej może wszystko — nawet twoje małżeństwo z jejmościanką Zrzelską.

— Ach, mości książę!... Ach, generale!... — wybuchnął poeta, gwałtownymi a sprzecznymi miotany uczuciami. — Gdyby tak było, jak mówisz, ekscelencyjo!... Ale nie! postokroć nie! Ja wiem, że to stać się nie może — *fatum* na to nie pozwoli!... Niema

na tej ziemi szczęścia dla przeklętych — niema go dla kapitana Mroczka!...

Książę zrozumiał, że dalsze perswazyje byłyby daremną czasu stratą. Odrazu przedmiot rozmowy zmieniając, na sprawy publiczne ją zwrócił.

— Siedzimy tu już dwa miesiące — rzekł, trąc w palcach koniec małego wąsa — a czy wiesz, kochasiu, że zanosi się na dłuższe jeszcze siedzenie? Cesarz wciąż wahający się, niepewny... Z dnia na dzień myśli i plany odmienia. Codziennie posyłamy mu memoriały, o które nagli, jakby od nich los świata zależał. A gdy je otrzyma — zaledwie okiem na nie rzuciwszy, ciska je między stos papierów, które zalegają jego olbrzymie biuro. Częstokroć już nazajutrz nie pamięta, co się w nich znajdowało!...

Przejrzał się książę w zwierciadelku, które wprost niego wisiało; strzepnął pyłek z błyszczącego, złotem haftowanego munduru. Potem ziewnął.

— A! już mnie to nudzi, mój kapitanie... Pocomy tu tkwimy, jeśli się nic nie robi i robić nie zamierza? Bezczynności nie lubię, czas muszę czemkolwiek zapęłnić, więc — bawię się...

Ironicznie się uśmiechnął.

— Czyż nie jestem »księciem Pepi?« Czyż nie mówią o mnie, żem tylko do zabawy, trzpiotania się i romansów zdolny?

Mroczek szepnął z błyszczącymi oczyma:

— I mnie już ta cisza martwa znużyła. Takbym chciał, żeby piorun, kryjący się w obłokach, raz nareszcie wypadł i ziemią wstrząsnął! Walczyć pragnę, kulom i bagnetom pierś nadstawiać. Zdaje mi się, że byłbym zdolny do czynów bohaterskich.

Wszakże najłatwiej stać się bohaterem temu, kto życia pozbyćby się pragnął. Świsł kul, szczęk stali, ryki dział, jęki konających, grzmoty wystrzałów, plusk krwi — oto, co mnie dziś czaruje i nęci!

Brwi ściągnął, oczami błyskawice ciskał — niepokojne jego ręce wykonywały ruchy rąbania szabłą, strzelania z pistoletu, potrząsania sztandarem, nacierania z lancą ułańską...

Nagle sposepniał — ramiona mu obwisły, palce spłotły się i załamały.

— A raczej, nie! — boleśnie jęknął. — I to już nie dla mnie! Ciszy mi dajcie — ciszy pustyni, stepu — ciszy cmentarza!... Pozostać chcę sam na sam ze swym bólem, ze swą rozpaczą...

Znów chwycił książkę; znów głosem, jękami i westchnieniami przerywanym, deklamować zaczął:

— O, gdyby jeszcze podług mej niedoli
Bóg mi dozwolił użyć własnej woli,
Nie kamieniem ja, ani drzewem jakim,
Nie marnym kwiatem, ani błędnym ptakiem,
Ale stałbym się — Izami! tylko Izami!...
Gorzkimi-bym się zalewał zdrojami
Na zawsze — boś mnie na zawsze rzuciła,
Moja pociecho! Eurydyko miła!...

Książę nienawidził płaczliwości. Nie był też — choć sam wielki poeta czynu — miłośnikiem poezyi książkowej. Przypominał tem cara Aleksandra, który utworów rymowanych nigdy do ręki nie brał. W tem gronie ścierających się olbrzymów najbardziej literacki był Napoleon, którego szumne tyrady Kornela i Rasyna w zachwyt wprowadzały.

Krzywił nosem bohater z pod Dubienki, słuchając jeremiad swojego kapitana — widząc wreszcie, że się nad miarę przeciągają, wstał i pożegnał go. Przy rozstaniu, rękę mu silnie uściśnął.

— Uszy do góry, kapitanie! Jeszcze Polska nie zginęła! Łzy zostaw Orfeuszowi, a sam w pamięci miej, że ani wroga, ani kobiety nie zwycięża się — płaczem.

Po chwili, siedział już w lekkim kabryolecie, zaprzężonym w ogniste rumaki, i z zawrotną, w podziw Paryżan wprawiającą, szybkością pędził do Neuilly, gdzie z obiadem czekała go księżna Paulina Borghese.

Księżna była najpiękniejszą, lecz nie najmądrzejszą z siostr Napoleona. Jednak pod względem mądrości posiadała jeszcze znaczną wyższość nad swym mężem — który za to należał do najbogatszych ludzi we Francji.

Pałac księżnej w Neuilly był urządzony z istic królewskim przepychem. Było tam może równie bogato i wystawnie, jak w Tiuleryjach; z pewnością zaś znacznie weselej. Księżna dbała, żeby jej salonów nie pominęła żadna osobistość, znajdująca się w danej chwili »na świeczniku«. Starła się też zawsze o dobór pięknych kobiet i wesołej młodzieży. Zazdrośna nie była; zaćmienia przez czyjąś większą urodę (o co zresztą było trudno) nie lękała się. Jednego tylko znieść nie mogła: rywalizacyi pod względem stroju. Na pokojach pięknej Pauliny nikt nie mógł być strojniej ubrany i mieć wspanialszych, niż ona, klejnotów.

Rzecz prosta, że na przyjęciach w Neuilly, jako

gość, nie tylko pożądany, lecz wprost niezbędny, znaleźć się musiał wielkorządca Księstwa Warszawskiego, ulubieniec cesarza, jego główne wsparcie w najbliższych politycznych zamierzeniach. Niemal zaraz po przybyciu do Paryża, wprowadzono go do niej; niebawem też pozyskał tam zarówno *grandes*, jak i *petites entrées*, to znaczy: wolno mu było bez oddzielnego zaproszenia z gościnności księżnej korzystać.

Tego dnia jednak przyzwano go do Neuilly biuletem umyślnym.

Spodziewał się obiadu wystawnego, licznych znakomitych gości — doznał zupełnego pod tym względem zawodu. Obiad miano spożyć w najściślejшем domowym kółku. W pierwszej chwili wprawiło go to nawet w zakłopotanie. Wielki mistrz ceremoniału towarzyskiego rozumiał, że tylko jakaś okoliczność wyjątkowo ważna mogła być w tych warunkach usprawiedliwić jego obecność.

Pokrywając zmieszanie, badał z pod oka pana i panią domu. Wynik badań wprawił go w zdumienie. Księżę był rozpromieniony i tak serdeczny, jakby w gościu widział już nie tylko przyjaciela, lecz zbawcę. Natomiast księżna wydawała się kwaśną, chmurną, cierpiącą. Co najdziwniejsze, ubrana była bez zwykłego wykwintu i zbytku, tak dalece, że nie włożyła nawet żadnych zgola klejnotów. Nie wyrządzało to zresztą najmniejszego jej wdziękowi uszczerbku; może nawet blask jej południowej urody podnosiło. Zato piona w lekkich indyjskich, barwnych kaszmirach, podobna była Wenerze, pianami morskimi nakrytej. Ten szczególnie, na pół mitologiczny czar czynił ją nadzwyczaj ponętą i działał oszalamiająco nawet

na księcia Józefa, przeciw strzałkom Amora mocno już opancerzonego.

Przy obiedzie księżna była małowówna; gość rozmawiać musiał niemal wyłącznie z jej mężem. Ciężka to była zaprawdę pańszczyzna. Ale *arbiter elegantiarum* i z tej próby wyszedł zwycięsko. Był dowcipny, ożywiony, z powodzeniem nawet udawał zadowolonego — na chwilę wszakże nie przestając się niepokoić pytaniem: po co tu przybył? i jakie będzie tej zagadki rozwiązanie? Powitał też z uczuciem ulgi koniec obiadu, radość zaś niewymowną sprawiła mu wiadomość, że książę Borghese wybiera się do Paryża na operę i jego do swej łóży zaprasza.

— Jedźcie, panowie — wyprawiała ich księżna głosem bolejącym — i starajcie się zabawić jaknajlepiej. Ja waszą radość odczuję zdaleka, i będzie mi ona dostateczną w osamotnieniu pociechą...

Zamierzał już książę zapytać: dlaczego-by im towarzyszyć nie miała — ale rzuciła mu spojrzenie dziwne, które milczeć kazało.

Dopiero w ostatniej chwili zagadka znalazła rozwiązanie. Gdy już gość i gospodarz siadać mieli do karety i piękna Paulina, w kaszmiry przejryste spowita, w przedsionku ich żegnała, książę Józef poczuł tuż przy uchu usta gorące. Jednocześnie usłyszał szept:

— Staraj się zgubić go po drodze...

Silny uścisk dłoni odpowiedział:

— Zrozumiano.

Nazajutrz o wczesnym ranku, gdy jeszcze połowa Paryża we śnie spoczywała, kabriolet księcia Józefa toczył się zwolna po bulwarach zewnętrznych,

zdała od śródmieścia, bogatych pałaców i stołecznego, namietnościami politycznymi kipiącego wrzasku.

Książę umyślnie tę wybrał drogę. Orzeźwić się chciał świeżem tchnieniem pięknego, rodzącego się dopiero dnia. Pragnął też duszę skąpać, oczyścić i wyszlachetnić w źródle prostych a pocziwych wrażeń, jakie daje widok biednej, podmiejskiej ludności, wstającej o świcie do modlitwy i pracy.

Dzwon fabryczny mieszał się z głosem sygnaturki kościelnej. Przez otwarte drzwi kościołów i kaplic widać było nawę dymem kadzidła zamgloną, tłum ludzi klęczących, gdzieś tam księdza przy ołtarzu. Robotnicy w bluzach, jedni z narzędziami pracy, inni z blaszankami, mieszczącemi poranny posiłek, wstępowali choć na chwilę przyklęknąć, przeżegnać się, pacierz krótki odmówić. Kobiety zatrzymywały się dłużej.

Szalejąca przed kilkunastu laty wywrotowa, wszechniszcząca rewolucja nie odebrała tym ludziom najdroższego skarbu biedaka: wiary. Lud paryski na wiecach wolnomyślnie rozprawiał, przy kieliszku piosenki bluźniercze śpiewał, lecz przy pracy i w nieszczęściu bywał stale pobożny. Pobożności wyzbywał się wówczas tylko, gdy szedł na wojnę...

Kabriolet księcia wolno się toczył; on sam senym, znużonym wzrokiem wodził po ludziach i rzeczach. Minę miał zgnębioną — miewał ją podobno zawsze, gdy wiedział, że nikt nań nie patrzy.

Życie wesołe, a nawet hulaszczę nie rozpraszało wewnętrznej troski polskiego ministra wojny. Powszechny wir zabaw i szaleństw unosił i jego; mimo to książę w Paryżu nie zapominał o Warszawie, wśród

rozrywek o obowiązku. Zawrotny korowód zalotnych strojniś i butnych elegantów, błyszczących mundurów, świetnych sukien, sadzonych rubinami szabel, brylantowych dyademów, zawojów z piórami strusimi nie zasłaniał mu na chwilę nędzy i smutku jego braci znad Wisły. Od swego wysłańca oni wyglądali dobrych wieści, pomocy, może nawet zupełnego zbawienia — czyżby im zawieźć miał tylko plecionki z włosów kochanek, karnety balowe, strzępy wstążek, zasuszone kwiaty i nowy zapas listów miłosnych?...

Przesycona wyziewami pachnideł i ciał niewieścich atmosfera Paryża wydawała się niekiedy księciu czadem duszącym. Uciekłby od niej chętnie na pola i łąki, do swych lasów Jabłonowskich, do parku Wilanowskiego, wreszcie nawet pod płótno obozowego namiotu, lub na ziejące śmiercią pole walki.

Gdy tak posuwa się truchtem przez mało zaludnione bulwary, ludowi roboczemu dziwowiskiem będąc, spostrzegł nagle, o jakieś sto kroków przed sobą — Mrocza.

Kapitan nie był sam. Szedł w towarzystwie mnicha, karmelity bosego. Obaj żywą wiedli rozmowę. Pokorna postawa i ruchy nieśmiałe oficera wskazywały, że zakonnik ma nad nim duchową przewagę.

Książę kazał zatrzymać konie, wysiadł — ku adjutantowi swemu pośpieszył.

— Czołem, mości kapitanie! ranny ptaszku!... *Salve, carissime frater!*... — pozdrowił wesoło idących, zrównawszy się z nimi.

Kapitan osłupiał i niezręcznie uklon sokwojwy złożył. Mnich odrzekł spokojnie:

— *Servus humilissimus* waszej książęcej mości..

— Cóż to? *Frater* gadasz po polsku?

— Jako Polak rodzony, mości książę — ślepy Mazur z pod Ostrołęki.

— A mnie skąd znasz?

— Któżby zaś z Polaków nie znał księcia pana?

Książę zwrócił się do Mrocza:

— A ty, kapitanie, skąd się tu wzięłeś o tej porze? Jakaż myśl płocha lub nazbyt porywcza wywiodła cię tak daleko od domu, dając towarzystwo, dla oficera tak osobliwe?

Mroczek wyszedł już z osłupienia.

— Generale — bez zwykłej potulności rzekł — mniemam, że poza godzinami służbowymi, robić mi wolno, co zechcę...

— Ależ tak, nie inaczej!... — przytwardził książę, przyjaźnie uśmiechnięty. — To też nie zwierchnik pytał cię, lecz przyjaciel. Ale pocóż w miejscu stoimy? Jeśli nie wzgardzicie mem towarzystwem, chętnie z wami pójdę. Czy idziecie do kościoła?

— Z kościoła wracamy.

Mnich dodał:

— Z jutrzni. Pan kapitan dobrodziej, ledwie światło, ubożuchny nasz klasztorzek nawiedził.

— Zapewnie nie po raz pierwszy?

— To się wie, mości książę. Od dni kilku wpisaliśmy pana kapitana do bractwa różańcowego. Pod rygor klasztorny poddał się; komendy przeora *strictissime* słucha. Służbista z niego tęgi — znać, że w dobrej pozostawał szkole.

Ton mowy i żwawe poruszenia zakonnika uderzyły księcia. Doświadczonym wzrokiem spenetrował go od stóp do głowy.

— Założyłbym się — rzekł, oko mrużąc — że i braciszek dobrodziej nie wyłącznie przy ołtarzu służywał. Pewnie i żołnierskiego kosztowało się chleba?

Zmieszał się ksiądz. Aby zmieszanie pokryć, z jednego rękawa tabakierkę, z drugiego fular czerwony pośpiesznie wyciągnął. Tabaki zażywszy, fulem lekceważąco machnął.

— At! mości księżę — dawne to są historye... I mówić o tem nie warto...

Księżę nalegał.

— Wszelako... gdzież to było i kiedy?

Otarł mnich spocone czoło fulem i do rękawa go wsunął.

— Ano... — odsapnął — widzę, że się już nie wykręcę. Więc wyznam wręcz: pod Napoleonem służyłem, w strzelcach Księstwa Warszawskiego. Tłukłem się z Chłopickim po Hiszpanii — i Saragosa z nim dobywałem... — W klasztorze zowie się: brat Anioł, a ze świata: Jacek Wielgowas, z przezwiskiem »Hulajdusza«.

Mówiąc to, jedną rękę podniósł ruchem szybkim do górnej wargi, drugą zaś musnął kilkakrotnie po lewym boku, szukając tam mocnego dla szerokiej dłoni oparcia. Niestety! wargę była gładko wygolona, a bok okrywało tylko grube, bure sukno karmelickiego habitu...

— A teraz?!... — zadziwił się księżę, wyrażając tonem głosu ubolewanie z lekkim odcieniem lekceważenia związane.

— A teraz jestem pokorny sługa Boży, modlący się dniem i nocą o pomyślność Ojczyzny i jej dobrych synów — wśród których waszą księżęcą mość na pierwszym stawiać śmiem miejscu!

— Skądże to jednak poszło?... Jaka była okazyja?... — dopytywał księżę, przyspieszając z niecierpliwości kroku.

Towarzysze ledwie mogli zdążyć.

Słońce mocno już przygrzewało. Zakonnik, dość otyły, zmęczył się, zasapał. W pobliżu, pod murem ogrodowym, trafiła się ławka — prosił, by na niej spoczęli.

— Pytasz, mości księżę — rzekł ksiądz, siadając — skąd poszło, żeś sutannę przywdział? Odpowiedź najprostsza: z Boskiego zrządzenia. Bóg tak chciał i basta. A nie myśl, mości księżę, żeś długo nad tem deliberował. Szybko to się odbyło, na dwa tempa. Raz, dwa — i po wszystkim. A okazała? Dostarczył jej szturm Saragosa.

Spojrzał po obecnych, a dostrzegłszy na ich twarzach zaciekawienie, z ożywieniem ciągnął:

— Mordowano nas tam bez litości, myśmy też mordowali bez pardonu. I działy się przy tem rzeczy okropne. Pijany byłem, jak inni — nie winem, lecz okrucieństwem. Jak inni, zabijałem niewinnych: dzieci, kobiety — nawet, Boże przebac! odprawiających Ofiarę Świętą kapłanów! Ale Bóg nie odstąpił mnie w tym odmiecie, śmiercią wiekuiącą grożącym. Czuwał nademną mój Anioł Stróż. Gdym w klasztorze jednym, wśród huku i dymu, napół nieprzytomny i prawie oślepy, na sługę Bożego rękę podniósł, coś mi nagle ramię zatrzymało. I uderzyła mnie

jasność wielka, jak Szawła, dążącego do Damaszku... W jednym momencie zrozumiałem cały ogrom swego grzechu i — przeraziłem się czekającą mnie karą. Rzuciłem i podeptałem nogami szablę, uczyniłem toż samo z karabinem. Do księdza przypadłem i po rękach go całując, wołałem: — Rozgrzesz mnie, sługo Boży! abym w grzechu śmiertelnym z tego świata nie schodził!... Ach, mości panowie! — trzeba było widzieć twarz kapłana i jego oczy, które się zwolna łzami napępniały... Nie zapomnę tego do śmierci. Zupełnie, jakby się niebo przedemną rozwierało. Kapłan położył dłonie na mojem czole, drżącym głosem wyszeptał łacińską formę przebaczenia. Wówczas — nie śmieście się, panowie oficery — wówczas i ja, Wielgowas, przewany Hulajdusza, pierwszy w pułku zuch i zabijaka, którego sumienie ogłuchło, a serce skamieniało — łzami się zalałem. Zaraz też — marsz na ulicę! potem — buch do jakiegoś zaułka! Leżał tam trup młodego Hiszpana. Zdarłem z siebie i odrzuciłem krwią zbрызany mundur, ściągnąłem z nieboszczyka i przywdziałem odzież hiszpańską. W przebraniu, przez ogrody i winnice, wydostałem się z miasta. Gnałem, jak jelen; uciekałem, nie oglądając się za siebie, jak Lot z pałacej się Sodomy... Obdarty, zgłodniały, krwią ociekający, przebiegłem całą Hiszpanię, przedarłem się przez Pireneje, o żebranych chlebie przeszedłem Francję — zatrzymałem się dopiero w Paryżu, pod furta Ojców Karmelitów, gdzie padł zemdlony. Dobrzy bracia zabrali mnie do klasztoru, ocucili, chleba i wina dali, i — mnichem pobożnym, jako sami, uczynili. Chwała Bogu, w Trójcy

Świętej jedynemu, na ziemi i w niebie, teraz i zawsze, i po wieków wieki, amen!

Książę, który przez cały czas opowiadania marszczył się i wąsa niecierpliwie przygryzał, mruknął przez zęby:

— Dezerter...

Zakonnika ten wyraz nie stropił.

— Wiem, mości panowie oficery — spokojnie wyrzekł — co mi się od sądu wojennego należy. Kula w łeb i po wszystkim. Ale ja apeluję do wyższej instancji: do sądu Chrystusa Pana naszego, który swą krew przenaświętszą za ludzi wylał, im zaś krwi bliźniego rozlewać nie pozwolił.

Zaskoczony tą całą niespodzianką książę nie wiedział, co odpowiedzieć. Z księdzem trudno było wojskowemu w spór się wdawać. Więc tylko zmarszczeniem gniewnem protest wyraziwszy, do Mrocza się zwrócił:

— Ubliżyłem ci kapitanie, posądzeniem, że uczucia, zrozumiałe u ludzi w habitach, zagościły choć na chwilę w twej piersi, którą okrywa zaszczytny mundur wojsk Księstwa Warszawskiego!

Mroczek milczał. Wzrok w ziemię miał wbity.

Zaniepokoiło milczenie rycerskiego ministra wojny. Nie chciał przy księdzu rozpoczynać ze swym adjutantem dysputy — więc tylko pod ramię go ujął i tonem zwierzchnika rozkazał:

— Pojedziesz, kapitanie, ze mną. Pilna czeka cię robota.

Księdzu chciał rzucić słowo ostre — ale on już stał spokorniały, potulny i z rozbrajającą poczciwością, tabakierkę otwartą podsuwając, prosił:

— Racz, wasza książęca mość... choć ździebło... na szczęście...

Książę odburknął:

— Mnie można życzyć tylko szczęścia na polu walki.

— Nie o innem i ja myślałem! — odparł zakonnik. — Wszyscy tu walczyć musimy; całe życie nasze jest walką. Walczył i Chrystus Pan; walczą pułki anielskie z szatańskimi. Nawet nasz święty katolicki Kościół »bojującym« się zwie. Wszelako różne są walki i różnej broni w nich się zażywa...

— Więc życz mi, *frater*, zwycięstwa.

— I tobie, mości książę, i całej ukochanej Ojczyźnie naszej! Ale — zwycięstwa w Bogu. Ono jedno jest trwałe. Ono jedno cuda tworzy: góry przenosi, przepaści wyrównywa. Przepaści, mówię, to znaczy: nie jeno ziemne otchłanie, lecz i głębokie, między ludźmi i ludami, dyferencye...

Sklonił się książę mnichowi, zapominając, że ma przed sobą dezertera. On zaś księcia znakiem krzyża pobłogosławił. Gdy konie ruszyły, jeszcze za odjeżdżającym krzyżyki w powietrzu kreślił. I długo stał w miejscu, cichą szepcąc modlitwę...

Przez całą drogę książę żywo dysputował z Mroczeniem. W dyspucie spotkał się z większą, niż przypuszczał, odpornością. Wrażliwa, poezją czulostkową rozhartowana dusza kapitana, chyliła się już ku ucieczce ze świata, ku pustelniczemu, za kratą klasztorną, medytacyom. Na zwroty do honoru wojkowego, do świętości sprawy, do obowiązków obywatela, Mroczek był głuchy. Argumenty świeckie cytatami z Pisma świętego odpierał.

Długo trwała walka rycerza z poetą. I rycerz odniósł zwycięstwo wówczas dopiero, gdy już po przybyciu na miejsce, ujmując poetę za guzik od munduru, tonem stanowczym oświadczył:

— Zapewniam cię, kapitanie, że tylko z szablą w ręce i przy moim boku, Różyczkę sobie wywalczysz...

Mroczek skłonił się — przekonany.

ROZDZIAŁ X.

MAELSTRÖM.

Gdy ten północny lej morski, który nazywają Maelström, pochwyti ofiarę, przez długi czas nie ma ona świadomości grożącego jej niebezpieczeństwa. Już ją wodne, mordercze skręty dzierżą; już bezbronna i bezsilną wiodą przymocnie do przepaści — ona jeszcze ludzi się, że to tylko figlarny taniec fal, z którymi własnowolnie igra. Cóż, że łódź, zamiast płynąć przed się, krąży uparcie po obwodzie koła? — promień koła jest tak olbrzymi, że się krzywizny nie czuje... Przytem, czyż nie można każdej chwili krzywej linii porzucić i prosto, jak strzała na pełne morze wypłynąć? To rytmiczne kołysanie się na płynnych kryształach ma tyle powabu...

Tymczasem promień koła nieznacznie i niedostrzegalnie, lecz z automatyczną, nieugiętą stałością, co chwila się kurczy. Pozorne koło nie jest kołem. Ofiara posuwa się nie po kolistej, zamkniętej linii, lecz po skróconej w zgięcie tysiące węzownicy. A w ognisku węzownicy — śmierć...

I Napoleona niosły fale Maelströmu; i on też

ulegał złudzeniu, że ruchomym żywiołem kieruje, że, gdy zechce, łódź swą na inną pchnie drogę...

Rok 1811 dobiegł do połowy. Już w całej Francji i we wszystkich krajach przez Francję zdobytych, dopełniano świeżych poborów; już gromadzono wszędzie amunicję, wozy, zaprzęgi artyleryjskie, zapasy odzieży, bielizny, obuwia; już dreszcz przedwojenny, naksztalt wichru poprzedzającego burzę, przebiegał bezkreśne posiadłości nowego Cezara — a jeszcze wyraz »wojna« nie padł z ust Napoleona.

O wojnie bezustannie mówiono, wojną jedne dusze cieszyły się, inne przerażały — wojna wszelako jako rzecz postanowiona, jako rozkaz dzienny, była dotąd mglistem, w powietrzu unoszącem się, widmem.

Paryż śpiewał, tańczył, balował. Zwiezione ze zdobytych krajów bogactwa przelewały się potokiem złota przez salony, alkowy, magazyny wytworne i miejsca rozpusty. Gdyby nie obecność dworu cesarskiego, potok zerwałby pęta i wylał się na ulicę, rodząc szal pogański, wskrzeszając kult Wenery i Bachusa. Dawna Lutecya była upojona wielkością, czuła się panią świata, równą Bogu, może od Boga mocniejszą...

Tylko wyteżone ku nizinom społecznym ucho dosłuchiwało się głuchego, jęklivego, niepokojącego pomruku. Tylko brzmiaćemu na wielkim świecie chórowi bachantów i bachantek odpowiadał niekiedy z padolu chór młodych wdów i sierot po żołnierzach lub starych matek, oplakujących synów, co byli jedyną ich życia podporą. Tylko nędzarz, któremu zabierano konia i niedorostek, pół-dziecko jeszcze, do służby wojennej, na śmierć pewną, ciągniony, cichem przekleństwem macili powszechną, wesela pełną, harmonię.

Hałas balowych kapel wszystko głużył.

Jeszcze w połowie 1811 roku ścierały się, wydzierając sobie kolejno zwycięstwo, dwie partye, równie liczne, równie potężne. Jedna trzymała z Napoleonem i Polakami, głosując za wojną. Sympatyie drugiej były po stronie cara — i ta układów pokojowych żądała. Ale to były tylko słowne lub papierowe walki: nie przerywały one na chwilę przygotowań wojennych, odbywających się jawnie, choć dla całej Europy, jakby mgłą nieprzenikliwą zakrytych. Co z tego wyniknie — nie wiedział nikt, a raczej wiedział tylko Ten, który wszystko z góry postanowił, i który aż do końca ludzkości całej drogi wykreślił.

Bracia i siostry Napoleona żądali wojny. Gorąca, korsykańska, upojeniami władzy i użycia bardziej jeszcze rozgrzana krew krzyczała w nich o wstrząsające nerwy widowiska bitewne, o zapasy fizyczne, o ścieranie się orężów i pięści. Dręczeni też byli nie-nasyconą żądzą złota, łupów, zaszczytów — gdzież zaś, jeśli nie na wojnie, to wszystko się zdobywa?

Duszę Józefiny wypełniał całkowicie ból osobisty. Rozłzawiona, rozjęczana, zrywająca pierś ciągłymi westchnieniami lub krzykiem spazmatycznym, obojętna była najzupełniej na sprawy polityki. Nie obchodziło ją: dokąd los rzuca Napoleona — w Paryżu czy w Madrycie, w Warszawie czy w Moskwie, byłby on dla niej równie daleki, gdyż miłością innej kobiety, jak przepaścią nieprzebytą, odgradzony. Stroniąc od spraw publicznych, wołała szukać pociechy w kwiatkach cieplarnianych, w cackach kosztownych, w budowaniu pałaców, zakładaniu ogrodów, wreszcie

u dzieci i wnucząt. Rosya, Car, wojna z północą — były to dla niej wyrazy bez treści.

Cesarzowa Luiza wśród wiru najszaleńszych namiętności politycznych, żyła, jak salamandra w ogniu — zimna, płomieniami nietknięta. Z wysuniętą dolną wargą, z niemądrym na ustach uśmiechem, z nieruchomą, jak maska, twarzą, równie obojętnie i równie nie-uważnie słuchała wybuchów wulkanicznych Cesarza, jak lodowato zimnych rozumowań jego przeciwników. Zresztą ciągnęła ją do siebie kolebka dziecka — nie głębokiem serdecznem uczuciem, lecz tylko ponętą nowego urozmaicenia, nowej zabawy.

Stary lis Talleyrand, otoczony serajem leciwych odalisek, przytem zawiedziony w ambicyach i Cesarzowi niechętny, to klócił się z nim, to godził, zmieniając z dnia na dzień zdania, starając się umyślnie prowadzić wszystkich na manowce.

Inni trzymali z Cesarzem, lub głosowali przeciw niemu. Było niemało obojętnych, godzących się z góry z tem, co większość uchwali; nie brakło i takich, co wyznawali się wręcz stronnikami Cara.

A Cesarz?

Z olimpijskiego czoła Cesarza nie schodziła na chwilę pionowa między brwiami zmarszczka. Twarz jego stawała się z każdym dniem żółciejsza, spojrzenie głębsze i jakby we wnętrze własnej duszy zapatrzone. Usta miały stale wyraz surowy; wzmagająca się tusza czyniła chód ociężalszym i poważniejszym. Rozchylone poly zielonego surduta ukazywały wydatną okrągłość brzucha. Dworacy mówili między sobą:

— Teraz dopiero wygląda na cesarza...

Po kilkanaście razy na dzień Napoleon odwiedzał swego małego synka. Ładna, różowa dziecina z kędzierzawymi włoskami zdawała się wyłącznie jego myśl zaprzętać. Ile razy zbliżał się do wspańialej wyzłacanej kolebki, twarz jego stawała się pogodniejsza; gdy odchodził, na jego czole i w oczach więcej jeszcze osiadało mroku.

Syn razem cieszył go i niepokoił, napelniał dumą i strachem. Orli wzrok Cesarza sięgał w przyszłość, rozdierał zasłonę, kryjącą wyroki przeznaczenia, i — cofał się strwożony.

On wiedział, że mimo holdów, hymnów, kadzi-deł, otoczony jest wrogami. Wiedział więcej jeszcze: że, walcząc ze wszystkimi, wszystkich ma przeciw sobie. I budziła się w nim Lucyferowa chęć: postawienia stopy na głowie całej ludzkości. Wywrócić chciał cały istniejący porządek rzeczy, a potem świat na nowo, po swojemu, urządzić.

Czy skała, waląca się na ojca, nie spadnie na syna? Czy nie spadnie wpierw, zanim Cesarz zdąży rozsadzić ją prochem, lub też żelazną, wszystkim pociskom świata urągającą, wznieść nad synem kopułę?...

Te myśli odbierały mu spokój, gdy patrzył na śpiące bez troski dziecię, a potem wzrok przenosił na matkę, która z wysuniętą dolną wargą, z niemądrym na grubych ustach uśmiechem, obcą się wydawała i dziecku i ojcu...

Nie brakło trosk cesarzowi. A że olbrzymem był, wszystko w związku z nim olbrzymie przybierało rozmiary. Huragan szalał w jego piersi i pod jego czaszką. Na zewnątrz ujawniał się tylko blys-

kami oczu, zmarszczeniem czoła, słowem gwałtownem — czasem zaciśnięciem pięści lub drżeniem nogi.

Nie minął jeden dzień, aby przed oblicze Napoleona nie był przyzywany książę Józef. Nierzadko audyencya ograniczała się na kilku słowach, kończyła wzruszeniem ramion lub piorunującym spojrzeniem.

— W tej waszej Litwie — rzuczał cesarz przedkie pytanie — do ilu stopni mrozy dochodzą?

— Do dwudziestu, czasem do dwudziestu pięciu — objaśniał książę.

— A dalej? w państwie Cara?

— Do trzydziestu — i wyżej...

— W którym zaczynają się miesiącu?

— Nierzadko już w listopadzie.

Cesarz zatapiał w oczach księcia przenikliwe spojrzenie, marszczył czoło, myśli skupiał.

— To mię nie obchodzi! — rzuczał nagle, czyniąc ręką ruch lekceważący. — Ja kampanię skończę w lipcu.

I posłuchanie było zamknięte.

Czasem, na balu dworskim, gdy wśród bajecznego przepychu strojów i dekoracyi, wśród ślepiących potoków światła i upojnej zawieruchy dźwięków, zabawa do szału bachicznego dochodziła — skinieniem władcy przyzywało rozbawionego księcia.

Rozgrzany tańcem, zdyszany, z napół obłędni oczyma, stawał przed Cesarzem, od którego wiał chłód posągów marmurowych.

Biała, marmurowa dłoń ujmowała księcia za gu-

zik od munduru; zimne, przenikliwe oczy, jak dwa ostre noże zatapiały się w jego duszy.

Cesarz pytał:

— Jak zabezpiecza się ludność tamtych stron od mrozu?...

Książę był przez chwilę odurzony. Mróz, ścięte lodem rzeki, srebrne od szronu bory, oszklone białą powłoką pola, bezbrzeżne martwe pustynie, przyciśnięte śmiertelnym całunem zimy... jakże to wszystko było dalekie od czarodziejstw paryskiego balu, od ciepłej, wonnej atmosfery, od tęczowego migotania klejnotów, od blasku świeczników, od perłowo-różanego obnażonych ramion polysku!

Myśl wykonać musiała prawdziwy skok w przepaść, przebiec z jednego krańca Europy na drugi, aby zrozumieć pytanie i dać na nie odpowiedź.

— *Sire* — odpowiadał książę, z trudem wyrazy w zdania wiążąc — głównej obrony od mrozów dostarczają tamtej ludności wielkie lasy. Z nich ona bierze obfitość drzewa na opał, polując zaś na dzikie zwierzęta, ma z nich futra ciepłe...

— Wszyscy futer używają?

— Wszyscy, *sire*. Najbiedniejszy kmieć nosi zimą lisiurę, wilczurę, a przynajmniej kozuch barani.

Napoleon przez chwilę milczał. Pionowa zmarszczka na jego czole głębszą się stawiała. Wargi lekko się poruszały; palce wykonywały również ruchy nieznaczne. Cesarz obliczał coś — może koszt zaopatrzenia dwukroćstotysięcznej armii w lisiury, wilczury, a przynajmniej w kozuchy baranie...

Nagle rozpogadzał się.

— Nam futer nie trzeba. Ogrzejemy się przy

własnych ogniskach rodzinnych, powróciwszy przed zimą do Francji!

Lekkie skinienie głowy dawało poznać księciu, że już niepotrzebny.

Napoleon zapewniał uparcie innych i siebie, że zimy litewsko-rosyjskiej w rachunek brać nie potrzebuje. Jednak wracała mu ona nieustannie do myśli; nieodżegnanem widmem, w dzień i w nocy, przesładowała.

Książę, na każdym kroku zaszczytnie wyróżniany, otrzymał zaproszenie na łowy dworskie w Compiègne. Na łowach Cesarz »zaszczycił« go rozmową. Wywołało to wielkie wrażenie w kołach dworskich; nawet urzędowy »Monitor« o tem wzmiankował.

Rozmowa była krótka.

— Jakiego ptactwa — zapytał Cesarz — najwięcej zimą w litewskich i rosyjskich lasach?

Książę wyliczać zaczął różne gatunki, zimujące na miejscu.

— Nie! nie! — niecierpliwie przerwał Cesarz — nie o to mi chodzi! Chcę wiedzieć, jakich ptaków jest tyle, że ich każdy z łatwością dostać może. Biblia mówi o chmurach przepiórek, któremi na puszczy karmił się cały naród izraelski. Okolicę podbiegunową zapelniają niezliczone stada bezłotków, które ręką dostawać można. W puszczech amerykańskich ciągi dzikich gołębi dostarczają mieszkańcom setek tysięcy tych ptaków na pożywienie. Rozumiesz teraz, książę, co mam na myśli?

— Takich ptaków tam niema — objaśnił książę. — Chyba wrony i kruki!...

— Wrony i kruki... — powtórzył Cesarz w zamysleniu. — Mięso ich jadalne?

— Nie, *sire*.

— Nie o bogaczach myślę, ani o smakoszach. Ale dla ludzi głodnych — bardzo głodnych — z głodu umierających?...

— Nie wiem, *sire*. Być może.

Cesarz zamknął rozmowę uśmiechem lekceważącym. Uśmiech wskazywał, że to wszystko mówiło się tak sobie, bez żadnej określonej tendencji, i nie miało najslabszego nawet związku z zamierzoną na Moskwę wyprawą.

Na takim kołowaniu, nie mającem z pozoru żadnego określonego celu, ubiegła większa część lata. Kończył się już lipiec — księcia wciąż trzymano w Paryżu.

Równolegle z falą dyplomacyi, płynął rwący potok zabaw, a polski minister wojny, istny Antinous w ułańskim mundurze, unosić się dawał naprzemian to fali, to potokowi.

Z Petersburgiem porozumiewano się nieustannie. Ale te wszystkie dyplomatyczne noty i spory wyglądały na grę w ciuciubabkę. We wszystkim, co mówiły sobie Paryż i Petersburg, nie było ani cienia szczerości. I Cesarz i Car chodzili w maskach. Maskowali przed sobą swe myśli — jak one zaś wyglądały w rzeczywistości, podobno żaden z nich nie wiedział.

Na dworze cesarskim wzrastała partya przyjazna Polakom. Wmawiano w nią, że wszystko, co się czyni, dobro Polaków ma na celu. Cała rodzina cesarska, książę Benewentu, księżęta de Frioul i de

Bassano, a także ogromna większość dworzan, trzymali z Polską i z jej rycerskim przedstawicielem.

Opozycja z każdym dniem słabła.

Tymczasem Napoleon, jak szermierz gotujący się do pojedynku, odbywał próbne starcia na prawo i lewo, wyzywając wszystkich, stawiając czoło wszystkiemu. Zapalczywy się stał, nieustępujący nikomu, owszem, z każdym szukający zaczepki. Może winna była temu częściowo chorobliwa ostrość krwi, o której mawiał, że wtrąca wprawdzie do grobu, lecz się bez niej bitew nie wygrywa...

Odnowił zatarg z papieżem i prześladował jego wysłańca kardynała Fescha. Kardynał, równie żarliwy papista, jak krewki Włoch, okoniem stawiał się cesarzowi. Przychodziło do gwałtownych, krzykliwych sporów.

— Zapominasz, klecho — wybuchnął raz Napoleon — że do posłuszeństwa zmusić cię mogę!

— Zmuszaj, cesarzu, gdy taka twa wola — śmiało odparował kardynał. — Masz siłę, użyć jej możesz. Ale siła to nie argument. Jeśli mam słuszność, to brutalną przemocą nikt mi jej nie odbierze. Zresztą, znasz mnie, cesarzu. Nie ulękę się niczego, nawet — męczeństwa...

Napoleon spłonął rumieńcem strasznego gniewu. Ale w tejże chwili ochłonął i — uśmiechnął się.

— Ech, kardynale! — zawołał drwiąco — cóż mi tam prawisz o męczeństwie? Do tej operacyi, o ile mi wiadomo, dwóch trzeba ludzi: ofiary i kata. Może ty chciałbyś stać się ofiarą — ja wszakże katem być nie myślę!

Żaden z obu zapalczywych południowców usta-

pie drugiemu nie chciał. Im samowładniejszy był cesarz, tem śmielszym i zuchwalszym stawał się kardynał.

— Strzeż się, cesarzu! — gromił go raz z krzykiem wielkim. — Wyzwałeś do boju ludzi i żywioły, politykę i religię, ziemię i niebo... Zginiesz, gdy to wszystko razem runie na ciebie!

Gniew, czy wzruszenie, oniemiały cesarza. Zwykle tak wymowny, słowa jednego znaleźć nie mógł. Wreszcie, z odrętwienia wychodząc, kardynała za rękę pochwyił, do okna przywiódł.

Była noc ciemna, chmurna. Cesarz szarpnął okno, otworzył.

— Tam, wysoko — mówił zduszonym głosem, jedną ręką ściskając ramię księdza, drugą wskazując niebo, chmurami pokryte — gwiazda... Czy widzisz ją?

— Nie widzę, *sire* — spokojnie odrzekł kardynał.

— Wpatrz się lepiej, wzrok wyteż...

— Wpatruję się, wzrok wyteżam i — nic dostrzedz nie mogę...

Cesarz ironicznie się roześmiał.

— Ha, ha! — zrozumiejsze teraz dzielącą nas różnicę. Gwiazda, której ty dostrzedz nie jesteś w stanie, jest moją gwiazdą — i ja każdej chwili mam ją przed oczyma!

Fala Maëlstromu, nieznacznie, lecz z nieubłaganą stanowczością, szybkość swą powiększała.

ROZDZIAŁ X.

LITEWSKA JOANNA D'ARC.

Pilno było do Warszawy księciu, pilniej jeszcze jego adjutantowi. Ale Paryż chwycił ich i nie puszczał.

Księciu były pociechą podobne czarnym brylantom oczy pięknej Pauliny Borghese. Mroczek znajdował ucieczkę przed nostalgią i rozpaczą w pobożnych dyalogach z bratem Aniołem, *recte* Wielgowskim Hulajduszą.

Były to wpływy przelotne. Ani mnich nie przeciągnął na swą stronę poety, ani piękna Korsykanka nie usidliła księcia. Pani Czosnowska i panna Mroczkówna panowały nad ich sercami; poza tem należeli całkowicie do Ojczyzny. Ojczyzna zaś ani klasztorną kontemplacją, ani tem bardziej miłostkami, zbawiona być nie mogła.

Nareszcie w początkach sierpnia oświadczone księciu, że w dniu 5 tego miesiąca będzie mógł Paryż opuścić. Z czem? Na to wyraźnej odpowiedzi nie było...

Jeszcze w tych dniach ostatnich nowego klina w głowę księciu zabito.

— Co myślisz o Rosyi? — wpadł na niego cesarz niespodzianie.

— Toż samo, *sire*, com myślał wczoraj, przed miesiącem, przed rokiem...

— Nie o to chodzi. Posłuchaj. Przypuśćmy, że Rosya zażądała odemnie Polski... Czy wiesz, cobym wówczas uczynił?

Pobladł księżę, wargi mu zadrżały. Wpatrzył się w cesarza, którego twarz była w tej chwili nieprzenikliwa, i — milczał.

Cesarz sam z odpowiedzią pośpieszył.

— Gdyby Rosya tego zażądała... oddałbym Polskę!

— Carowi? — wyjąkał księżę ledwie dosłyszalnym głosem.

Napoleon uśmiechnął się nieznacznie i milczał przez chwilę, jakby ciesząc się niepokojem księcia.

Wreszcie rzekł:

— Oddałbym Polskę... bratu Cara.

— Konstantynowi?

— Tak.

Zrozumiał księżę, że cesarz swej całej myśli nie wypowiedział. W milczeniu, z wyteżonym wzrokiem, z powstrzymywanym oddechem, na rozwiązanie zagadki czekał.

— Oddałbym ją Konstantynowi... A we dwa tygodnie później zażądałbym od niego posiłków — na wojnę z Carem!

Na oblicze księcia powrócił rumieniec. Oczy jego zajaśniały.

Uśmiechnięty, bo uczuć Polaka świadomy cesarz uszczypnął go przyjaźnie w ucho.

A potem tajemniczo dorzucił:

— Wielki skarbnik cesarstwa ma coś do oznajmienia panu ministrowi.

Sklonił się głęboko księżę, domyślając się łaski cesarskiej.

Tegoż dnia był u swej siostry, Tyszkiewiczowej.

— Ciesz się, pani referendarzowo! — oświadczył, gdy znaleźli się sami w gabinecie hrabiny. — Długi twoje będą splacone.

— Moje długi? — spytała, opanowawszy radość. — Powiedz raczej: nasze... Ale nie! i to nie będzie dość ściśle. Tobie, mój Pepi, najlepiej wiadomo...

Przerwać jej chciał niecierpliwem chrząknięciem i wzniesieniem ramion. Ale nie ustąpiła.

— Tobie najlepiej wiadomo, w czyjej sprawie były czynione wydatki. Jeśli *on* je płaci, to oddaje tylko, co winien.

Zamilkła, widząc w twarzy brata wyraźne zniecierpliwienie. Poprzestała więc tylko na zapytaniu:

— Darowizna?

— Nie przyjąłbym jej... — odparł wyniośle bratanek królewski. — Jego cesarska mość udzielił mi łaskawie pożyczki, na moich dobrach zabezpieczonej.

Przygryzła usta, ściągnęła brwi — wybuchnąć miała. Powstrzymał ją brat spojrzeniem.

Przeszli do salonu. Czekala tu na księżnę młoda, piękna panna — wyniosła wzrostem, z twarzą Junony.

— Hrabianka Marya... Litwinka — przedstawiła bratu pani referendarzowa.

Panna zjadała księcia oczami. Wzrok jej łakomie go rozpatrywał od srebrnych ostróg aż do sztucznie skędzieronego czuba. Zdawało się, że ją, jak

dziecko, wprawiają w zachwyt błyszczące guzy, barwny rabat, złote sznury, hafty na kołnierzu, szlify jeneralskie...

Książę, choć do spojrzeń pochlebnych nawykły, pociągać jął węża z niecierpliwem zakłopotaniem.

— Ach, mości książę! — zaśpiewała wówczas z litewska panna — nie dziw się, że twym widokiem nasycić mi się trudno. Jesteś pierwszym polskim żołnierzem, którego w swem życiu oglądałam!

— Hrabianka Marya — objaśniła pani Tyszkiewiczowa — nigdy się dotąd poza Wilno nie wychylała. O tem, co dzieje się w Księstwie, tylko głuche, bo przez policyę tamowane dochodziły ją wieści. A serce jej jest istnym wulkanem patriotyzmu. I jeśli, przemagając wiele przeszkód, wyrwała się do Paryża, to podobno...

Hrabianka żywo przerwała:

— Nie podobno, lecz tak jest w samej rzeczy. Pośpieszyłam do Paryża po to głównie, żeby — waszą książęcą mość zobaczyć.

Podniósł się książę i skłonił hrabiance głęboko, ostrogami zadzwoniwszy. Podobiał mu się zapal i zachwyciła go szczerość tej panny — tak niepodobne do mizdrzenia się, cedzonych słówek, wymuszonych ruchów dam paryskich i warszawskich.

Odrzucając stanęli oboje na stopie przyjacielskiej, prawie poufalej.

Hrabianka wystąpiła niebawem z zapytaniem śmiałym i stanowczym:

— Kiedy do nas przyjdziecie? Oczy śmy już wypatryli, was wyglądając. Wszystkie nasze ciche modlitwy (głośnych mógłby kto podsłuchać) odma-

wiane są na intencję wkroczenia wojsk waszych na Litwę. Z otwartemi rękoma będziecie przyjęci, kwiatami was obsypimy, ugościmy wszystkim, co mamy najlepszego... Ale nie zwłóczcie!

Zachmurzył się książę i oczy spuścił, jakby go płomienne źrenice mówiącej nazbyt razily. Ze spuszczonego oczyma szepnął:

— Na radość, hrabianko, zawczasie...

— Zawczasie? Co mówisz, mości książę? — wykrzyknęła Litwinka, zrywając się z miejsca i stając przed księciem z płonąca twarzą. — Niecierpliwość nasza miary już nie ma, tchu nam braknie — a książę mówisz: zawczasie?

— Nie chcę podsycać nadziei, która okazać się może omylna...

Panna stała przez chwilę, jak spiorunowana. Oczy jej były pełne popłochu, przenosiła wzrok z brata na siostrę, z siostry na brata.

— Co to znaczy? — spytała głucho złamanym, żałosnym, niemal płaczliwym głosem. — Mości książę! pani referendarzowo! wyjaśnijcie mi tę straszną wątpliwość. Dlaczego przedwczesną ma być radość, wątpliwą nadzieja? Wszakże wojna...

— Nie wypowiedziana! — westchnął książę.

— Ale postanowiona.

— I nie postanowiona! — ze smutkiem zaprzeczył.

Hrabianka wsparła się o poręcz krzesła, jakby nagle tracąc siły.

— Co to znaczy? — powtórzyła jeszcze żałośniej. — Wszyscy mówią o bliskiej kampanii, wszędzie czynią do niej przygotowania; we wszystkich

miastach, przez które przejeżdżałam, każdy obywatel, młody czy stary, wojskowy czy cywilny, witał mnie słowem; »Wojna«...

— Ale z *jego* ust to słowo jeszcze nie wyszło...

— Lecz wyjdzie! Nieprawda, mości książę, że wyjdzie?

Książę miczał, oczu nie podnosząc.

— Czemu książę milczysz? Odpowiedz! Odpowiedz!

Chwyciła go za ramię, silnie potrzasała — zapomniiała w uniesieniu o miejscu, gdzie się znajduje, o randze, wieku, godności człowieka, przed którym stoi.

— Nie o mnie jedną tu chodzi! Miliony czekają na to słowo, jak na wyrok życia lub śmierci. Więc jakże ty, książę, milczeć możesz?

Książę przesunął dłoń po białem czole, głosem nie rycerza, lecz ministra oświadczył:

— Wojna, hrabianko, to nie bal, na który bez wielkiego namysłu rozsyłają się zaproszenia. Tu do ostatniej chwili sprawa jest niepewna — nawet wówczas, gdy już ci, co ją prowadzą, ostateczne postanowienie powzięli. Wszystko spodziewać się pozwala, że na Rosyę wyruszymy — jeszcze wszakże dyplomacya ostatniego słowa nie wyrzekła.

— Cóż dyplomacya! Tak będzie, jak cesarz zechce.

— Prawda — trzeba jednak, aby zechciał.

— Ach, mości książę! — wybuchnęła Litwinka — czyż on może nie chcieć? Pójdę do niego, do stóp mu się rzuczę, z płaczem wielkim będę mu naszą opowiem... Cesarzu! — zawołam — Bóg ciebie narzę-

dziem swem uczynił, czyżbyś ty woli Boga śmiał się sprzeciwiać?!

Zmogło ją wzruszenie. Upadła na krzesło, oczy chusteczką zakryła. Siłą woli, której musiała mieć zasób niemały, powstrzymywała łzy i łkania. Ale widać było po silnych wstrząśnieniach, jak wielka burza w jej piersi szaleje.

Książę pomyślał, że nie zdarzyło mu się dotąd w Polsce spotkać z taką dziewczicą. Zapomniał, że ma przed sobą — Litwinkę.

Podziwem i czcią przejęty, zbliżył się do siedzącej, z szacunkiem rękę jej ucałował.

Spojrzała z wdzięcznością.

— Mości książę — rzekła, odrazu głos i cały nastrój ducha odmieniając — chciałabym do twego oddziału na ochotnika wstąpić. Przyjmiesz?

Książę nie odpowiedział wprost.

— Jak widzę — z nieznacznym uśmiechem uważał — hrabianka jesteś z rodu Amazonek...

— Nie zgadłeś, mości książę! Inny przyświeca mi ideał. Inny ja wzór, od lat najmłodszych do naśladowania sobie wybrałam.

— Jaki?

Zmieszała się. Rumieniec dziewiczej wstydlivosti twarz jej oblał. Nie nie odrzekła — tylko pani Tyszkiewiczowej rzuciła spojrzenie porozumiewawcze, proszące...

Zrozumiała tamta.

— Hrabianka Marya — zwróciła się do brata — jeszcze małem dziewczątkiem będąc, postanowiła zostać — litewską Joanną d'Arc...

Po tem oznajmieniu, zapanowała cisza. Wszyscy zrozumieli, że powiedziano rzecz wielkiej wagi. Przed wszystkimi stały obrazy dziwne, swą wzniosłością aż przerażające. Sam książę, choć z bohaterstwem i bohaterami zażyły, pograżyć się musiał w myślach, aby ogrom tej wizyi objąć i właściwie ocenić.

Ciszę przerwała hrabianka.

— Wysoko mierzyłam... i dziecinnie! — przyznała się. — Cudowne cacko rzeczywistość stłukła... Jednak i okrucy tego cacka są piękne i dotąd mnie czarują. Nie wprowadzę do kraju zbawcy, jak to uczyniła pasterka z Dom-Remy, gdyż tego dopełni kto inny (na księcia wymownie spojrziała) — lecz zrobię wszystko, do czegoś zdolna, aby »tyrana Północy« pomiędzy lody zapędzić i w nich na zawsze go zamknąć. Tak mi, Panie Boże, dopomóż!

Bez wybuchu zostało to powiedziane, owszem prawie zgola spokojnie. Ale ten spokój większej jeszcze mocy słowom dodawał.

Do palacu pani Tyszkiewiczowej ściągać zaczęli zwyczajni, tarokowi goście. Ani książę Józef, ani hrabianka Marya nie mieli ochoty zasiadać z nimi do zielonego stołu. Hrabianka, bawiąca w gościnie u referendarzowej, przeszła do dalszych pokoi i u siebie się zamknęła. Książę pojechał do Saint-Cloud.

Pierwszą osobą, z którą spotkał się w palacu cesarskim, był książę de Bassano.

— Panie ministrze — rzekł ów — pan się gotowisz do odjazdu?

— Tak, mości książę — potwierdził książę Józef, okazując całą twarzą zadowolenie, jakie mu ta okoliczność sprawia. — Odjeżdżam piątego.

— Czyś terminu pewny?

— Sam cesarz mi go wskazał.

— Dziś go odwołuje.

Książę Józef przeraził się.

— Pewneż to?

— Jaknajpewniejsze. Przybywam z tem od jego cesarskiej mości.

— Jakiż powód?

— Nie wiem.

— I długoż jeszcze trwać ma ta niewola... przepraszam: ta najrozkoszniejsza pod słońcem gościna?

— Najjaśniejszy pan życzy sobie, aby pan minister był obecny w Paryżu piętnastego.

— Cóż się ma stać w tej dacie?

— Nie wiem.

Oczy księcia Bassano przeczyły ustom. Ale książę Józef zanadto był... ministrem, żeby o odpowiedź nalegać. Ujął pod ramię przyjaciela — bo książę de Bassano należał do najżyczliwszych Polakom i ich przedstawicielowi — i obaj zmieszali się ze strojnym tłumem, napelniającym salony.

Cierpliwość księcia już się wyczerpywała. Nie-nawidził kunktatorstwa i wstręt miał do dyplomacyi. Zawsze był gotów uderzyć na wroga dziesięćkroć liczniejszego — wobec dyplomaty tracił rezon, języka w ustach zapominał..

Nie bawił się tego wieczoru. Już go Paryż nudził, a jego szaleństwa drażniły. Zwłoka dziesięciodniowa nie była mu na rękę. Tęsknił do dziecka, do kobiety ukochanej — ciągnęło go najbardziej do kraju zbiedzonego, do armii półnagiej.

Błyszczące buty strojnych oficerów, ciżmy z bry-

lantowemi sprzążkami, nawet jedwabne trzewiczki dam balujących przywodziły mu na myśl stopy jego piechurów, z palcami wylażącemi z podartego obuwia...

Jedno go pocieszało: nadzieja, że te dziesięć dni opóźnienia rozwiążą nareszcie dręczącą zagadkę wojny. Inaczej, cóżby oznajmił rodakom, na spotkanie jego wychodzącym?

Nazajutrz znów go cesarz zahaczył pytaniem:

— I cóż ta wasza — jak się to zwie? — *»la... la pospolite«*...

— Pospolite ruszenie, ruchawka — odpowiedział książę po polsku.

— Tak, tak. Iluż ona może dostarczyć ludzi?

— Sto tysięcy, *sire*.

— Uzbrojonych?

— O ile się broń znajdzie...

— Musi się znaleźć!

Książę opuścił głowę w milczeniu.

— Sto tysięcy... sto tysięcy... — powtarzał Napoleon, uderzając się ręką po biodrze, co czynił tylko, będąc dobrej myśli. — To mi się podoba! Te sto tysięcy trzeba mieć w pogotowiu, generale!

Zatknął palce za kamizelkę — chodził po gabinecie, uśmiechając się do swych myśli.

— Lubie was, Polacy! — oświadczył, zatrzymując się przed księciem. — Dzielny z was naród! Zbrodnię popełniono, pozbawiając was wolności. To trzeba naprawić — i ja o tem pomyślę. Ale owe sto tysięcy musicie na koń wsadzić...

— Wsadzimy, *sire*.

Bezdźwięczne były ostatnie słowa księcia. Gdy je wymawiał, stała mu przed oczyma biedna, wy-

niszczona, ledwie dysząca Polska, dla której ów wysilek byłby stawką o życie...

Ale cesarz, wielki protektor Księstwa, okazał zadowolenie. To powinno było jego generałowi i ministrowi wystarczyć.

ROZDZIAŁ XI.

CZERWONY CZŁOWIECZEK ZJAWIA SIĘ PO RAZ
PIERWSZY.

15-go sierpnia odbywało się u cesarza wielkie posłuchanie dyplomatyczne. Przybyli na nie przedstawiciele wszystkich mocarstw europejskich. W tłumie dostojników znajdował się i książę Józef.

Cesarzowi zależeć musiało na obecności księcia, gdyż go i przez ministrów swych i osobiście na ten dzień zaprosił.

W sali posłuchalnej długo nie ukazywał się Napoleon. Przeciwnie to było jego zwyczajom. Ktoś szepnął, że cesarz pomaga żonie »przewijać« dziecko... Dowcip obiegił całą salę, budząc wesołość.

I wogóle było tu bardzo wesoło.

Koniec lata, tak zawsze w Paryżu piękny, dał go w tym dniu wyjątkowo czułości i gorącymi pieszczotami. Tuilerye pławiły się w złocie słonecznym. Przez wielkie okna, karmazynem jedwabów rozplomienione, wpadał ulewą jasny, upalny dzień, barwiąc purpurowo bogate wnętrza sali. Razem z dniem wdzierała się wrzawa tłumów, napęlniających ogród —

panującym zaś w tej wrzawie tonem były śmiechy i krzyki dziecięce.

Rozbawiony był Paryż i cieszył się z obecności, mało myśląc o jutrze. Osiągnawszy pełnię bogactwa, potęgi, zadowolenia, nie pożył już zmiany.

Gdy czara po brzegi nalana, któż dba o jedną lub dwie krople więcej!

Wśród książąt, baronów, margrabiów przeciągał się nastrój wesoły. Błyszczały pyszne mundury, iskrzyły rozweselone oczy — ze wszystkich twarzy biła luna sytego, pewnego siebie zadowolenia.

Potworzyły się grupy. Rozmowa, z początku przyciszona, stała się gwarem, przechodzącym chwilami w hałas. Mówiono o wszystkim — z wyjątkiem wojny. Myślał o wojnie każdy; wspominać jej nie śmiał nikt.

Wszystko zresztą pozwalało domyślać się, że ta straszna zmora dławić już Europę przestała. W pogodnej, rozpromienionej twarzy księcia Kurakina, ambasadora rosyjskiego, czytali wszyscy wróżbę pokoju. Uśmiech tryumfujący księcia mówił:

— Czyż byłbym taki w przededniu wojny między moim a waszym monarchą?

Ambasadora na krok nie odstępował Caulaincourt, były poseł francuski w Petersburgu, jeden z najświetniejszych przedstawicieli rycersko-szlacheckiej Francji.

Pokazywano sobie tego Francuza, chodzącego pod ramię z Rosyaninem, i widziano w tej parze symbol najświeższej polityki.

Książę Józef przechodził od grupy do grupy —

dostrojony pozornie do powszechnej wesołości, w sobie jednak dręczącego niepokoju pełny.

On może jeden w tem całym gronie lękał się tego, w czym inni otuchę znajdowali. Dusza rwała mu się do walki, bo w niej tylko zbawienie swego narodu upatrywał. Ciche dyplomatyczne rokowania były mu nienawistne. Myśl o pokojowym załatwieniu sprawy zdawała mu się wyrokiem śmierci dla niego i dla jego rodaków.

Otwarły się wreszcie wielkie drzwi w głębi. Wyzłoceni lokaje i starzy gwardziści straż przy nich objęli. Donośnie rozległ się okrzyk: »Jego cesarska mość!«...

Jak stado ptaków rajskich, wysypała się gromada strojnych dworaków. Dopiero poza nią ukazał się sam jeden, tem właśnie odosobnieniem wyodrębniony i uwagę na siebie zwracający — Napoleon.

Było to zwykle cesarskie *mise en scene*, podobno wspólnie z Talmą obmyślane.

Napoleon był blady i poważny. Nie patrzył na nikogo. Zesunięte brwi żłobiły mu na czole zmarszczkę pionową. Głowę miał pochyloną, co czyniło wyrazistym jeszcze energiczny jego profil. Było coś drapieżnego w jego dużym, orlim nosie, coś twardego i nieugiętego w wysuniętej brodzie i okrągłym podbródku.

Cały tchnął wielką, rzymskich imperatorów przypominającą dostojnością. Czoła się przed nim chyliły; usta składały do okrzyku:

— *Ave, Caesar!*

W sali odrazu stało się duszno. Bezpowrotnie uleciała wesołość. Oficerowie zeszytnieli w prostej

służbowej postawie. Na ustach dyplomatów pojawiły się zwykle, nieokreślone, nic nie mówiące półuśmiechy.

Laskawie lub obojętnie rozmawiał cesarz z ambasadorami państw obcych. Rosyjskiego pomijał. Zdawał się go nie dostrzegać. Ale to właśnie wskazywało, że jego ma głównie na uwadze, że on będzie tego dnia bohaterem.

Przykry nastrój zgromadzenia potęgował się z każdą chwilą. Wszyscy czuli, że coś ciężkiego osiada na piersiach. Zmarszczka na czole cesarza coraz bardziej się pogłębiała; nos stawał się coraz drapieżniejszym, broda coraz nieubłagańszą...

Nagle, ze wszystkimi już skończywszy, zwraca się Napoleon do posła rosyjskiego. Obrzuca go najpierw wzgardliwym spojrzeniem, które od stóp przechodzi do głowy; potem przemawia... Nie! nie przemawia — naciera nań, jak ze szpadą wzniesioną w pojedynku.

— A! pan jesteś Kurakin?... Książę Kurakin?... Cara rosyjskiego posel?...

I przeszywa go ostrzem stalowo zimnego spojrzenia.

Książę czerwienieje, potem blednie. Na twarzach innych osób maluje się przerażenie. Jeden Caulaincourt miny nie traci, pewnym siebie wzrokiem cesarza mierzy.

A cesarz, z rozmachem biegłego fechtmistrza, na posła wpada.

— Przejrzałem wasze kręactwa, mości pośle! Car rosyjski mienił się mym przyjacielem — wiem już teraz, co o tej przyjaźni trzymać! Car rosyjski twierdził, że wojny nie chce — znam już dziś dobrze

wartość tych twierdzeń! Car przyczaił się, podstępem wziąć mnie pragnie. Car inaczej myśli, a inaczej pisze i mówi. Carowi ufać nie można. Z carem podstępnym być trzeba. Car ściska i uśmiecha się, a w zanadru nóż chowa. Car jest...

Urwał nagle, jakby konia rozpedzonego uzda zdarłszy, na miejscu osadził.

Skorzystał z tej chwili Kurakin.

— Najjaśniejszy panie — z pokłonem niskim oświadczył — uroczyście zapewnić mogę, że...

Nie dał mu dokończyć.

— Świadeństwo księcia o carze Aleksandrze jest mi tu zbędne. Inną, lepszą, bo bezpośrednią drogą otrzymuję wiadomości o tem, co car czyni i czynić zamierza. Nie zaprzeczysz mi chyba, panie pośle, że pulki rosyjskie ściągają zewsząd nad Niemen?

— Nie byłoby to dziwne — wobec wieści, że i najjaśniejszy pan tam dążyysz...

Napoleon zakipiał gniewem. Drobną jego postać wyprostowała się, nasrożyła, rzekłbyś nawet: urosła.

— Wieści? — na całą salę zakrzyknął. — Odkądże to wieści o krokach wojennych decydują? Poważny przeciwnik nie z wieściami liczy się, lecz z faktami!

Posel wtrącił nieśmiało:

— A jeśli były i fakty?...

— Jeden tylko fakt może tu być uwagi godny: wypowiedzenie wojny. A ja wojny nie wypowiedziałem.

Księżę Kurakin skinieniem głowy przytaknął.

— Uczynił to car... w sposób milczący! — grzmiał

dalej Napoleon. — Ale ja jestem żołnierz, który służy tylko tego, co mu wręcz powiedzą, lub na piśmie przedstawia. Wiem, że car wojnę szykuje, lecz się z tem nie liczę. Za wszystko, co stąd wyniknie, car tylko odpowie.

Przeszedł nagle w ton inny — drwiący.

— Księżę myślisz zapewne, że nie wiem o waszej bitwie pod Ruszczukiem?

— Nie ukrywamy jej. Pocóż mielibyśmy ukrywać zwycięstwo?

— Wy nazywacie to zwycięstwem?... Turcy sądzą o tem inaczej!

Posel podniósł ramiona ruchem, oznaczającym zupełną bezradność. Czyż mógł wdawać się w spory? Wielkiemu Napoleonowi zaprzeczać?

— Ach! ze mną nie tak łatwo, jak sądzicie! — podjął tamten tym samym krzykliwym, patetycznym tonem. — Mnie nie zwiodą ani wasze kłamliwe biuletyny, ani obłudne oświadczenia. Jedno i drugie odrzucam, jak rzecz niegodną rycerza i Francuza. Car Aleksander jest inny. On wojny pożąda, a udaje miłośnika pokoju. On, zamiast do celu iść prosto, dróg krętych szuka. Car Aleksander nie postępuje, jak wielcy monarchowie. Car Aleksander mnie zwodzi igrą, drażni się ze mną. Car Aleksander za to zapłaci!

Ostatnie zdanie wykrzyczał głosem piorunującym.

Posel głowę w ramiona wtulił, skurczył się, znikczemniał. Po sali przeszedł szmer... Taka poniewierka monarchy w osobie jego reprezentanta! Wszyscy byli zmieszani, jakby zawstydzeni i prze-

lękli. Jeden książę Józef wąsika podkreślał, promieniając radością.

Czerwień, od karmazynu firanek płynąca, zalała całą salę. Zdawało się, że wszystko we krwi się pławi. I było coś w tej krwawej kąpieli symbolicznego i proroczego, co razem przerażało, podniecało i dreszcz budziło dyonizyjski.

Po chwili znów podniósł się głos cesarza i nad szmerami zapanował. Szpadę, ledwie dobytą z piersi Kurakina, skierował cesarz przeciw Caulaincourtowi.

— Car Aleksander generałów mych usidla i na stronę swoją przeciąga. I ciebie, diuku, przekabacono w Petersburgu na Rosyanina. Tyś także ofiara załoŹności cara!

Caulaincourt nie łatwo dawał się stropić. Śmiało cesarzowi w oczy spojrzał i odparł:

— Tak, *sire* — w tym bowiem wypadku car Aleksander był prawdziwym Francuzem.

Ściągnął brwi Napoleon, lecz nic nie wyrzekł. Tylko skrzące pod brwiami oczy mówiły, że Caulaincourt — wypadł z łaski.

Różnie tłumaczono sobie znaczenie tej sceny, zbyt dobrze odegranej, aby ją można było wziąć za improwizację. Ogromna większość poczytała ją za wyraźną zapowiedź wojny. Ale byli i tacy, co w niej widzieli znak wręcz przeciwny, mianowicie: lęklive cofanie się przed krokiem stanowczym.

Podług ostatnich, cesarz zamierzał cara przerazić, aby go uczynić skłonniejszym do układów pokojowych.

Rzeczywistych zamiarów Napoleona nikt nie był w stanie odgadnąć. Ale dla nikogo nie było tajem-

nicą, że ta rzecz była przygotowana zawczasu i wykonana według programu.

Książę Józef mógł już nareszcie wracać nad Wisłę.

Dowiedział się o tem z uczuciem prawdziwej ulgi. Już mu się tęsknota do kraju w serce wżerała, pozbawiając przyrodzonej żywości i tężyzny. Już mu się Paryż szopką zapustną, a paryżanki bezwstydniami wydawały. Już biedna, lecz szlachetna ojczyzna stawiała przed nim w gloryi rzeczy anielskich.

Powracał z niepokojem w myślach, z rozterką w sercu.

Prawda, że ostatni wybuch cesarza równał się wypowiedzeniu wojny — nie był niem wszakże *de facto*. A w tych sprawach formy są rzeczą ważną; częstokroć są wszystkim.

Przy pożegnaniu, cesarz uściskał mu dłoń przyjaźnie.

— Powiedz, mości książę, swym Polakom, że o nich pamiętam. Poczytywałem ich zawsze za dzielny naród i zdania nie odmieniłem. Ale niech pamiętają, że główne prawo do mojej wdzięczności będzie miała ta ich... jak to się nazywa?... *la polspolite*.

Książę uczuł niepokój, lecz go na zewnątrz nie ujawnił.

— Czy zaraz potrzebna? — zapytał.

— Tymczasem jeszcze nie. Ale w danej chwili, na pierwszy mój rozkaz...

— Będzie!

— Sto tysięcy zbrojnego narodu na koniach?

— Sto tysięcy zbrojnego narodu na koniach!

— Doskonale. Powiedz książę Polakom, że ich lubię.

— Powiem, najjaśniejszy panie.

Bardziej jeszcze od księcia zadowolony był jego adjutant. Już go myśl o dewocyi odbiegła. Technął teraz cały rycerskością. Fantazyja poetycka unosiła go daleko. Widział się już w murach pokonanej Moskwy, okryty w równej mierze ranami (lekkiemi) i zaszczytami — wagi niezmiernej. Wiózł także łupy bezcenne — na ślubny podarek dla narzeczonej. I dalej jeszcze myślą wybiegał. Oto siedzącego w cienistym ogrodzie przy dworku otacza dzieciątek hoźych grono. Jego Różyczka — dziś już w pełni rozkwitu Róża — do złocistego puharu nalewa mu tokaju, czule się doń uśmiecha. Najstarszy chłopiec ciągnie go za wielkie wąsiska (dziw to zaiste, jak szybko, we własnej zagrodzie, rosną wąsy wysłużonym wojakom, liczącym tyleż lekkich ran, co ciężkich zaszczytów). Nieco dalej, przy omszałej flaszy miodu, siedzi w krzesle wygodnem stuletni konfederat barski, trójniaka cmokecze, na kolanie prawnuczkę kolebie. Tak, prawnuczkę, gdyż obok pięciu dorodnych chłopiąt znaleźć się musiała i jedna dziewczeczka...

Ani dnia jednego nie zwlekając, książę ze swym adjutantem, drogą na Drezno, do Warszawy ruszyli.

Hulajdusza Wielgowas *vulgo* ojciec Anioł, karmelita bosy, mszę na intencję ich pomyślnej podróży odprawił. Odprawił i drugą, na inną intencję — z tej się wszakże nikomu nie zwierzył.

Cesarz przez resztę owego dnia, tak dla ludzi i narodów ważnego, milczący był i — nieprzenikliwy. Wbrew zwyczajowi, niewiele czasu poświęcił piesz-

czotom z synem, długie natomiast a poufne narady toczył ze swymi ministrami.

Naradzał się naprzemian ze zwolennikami wojny i z rzecznikami pokoju. Słuchał jednych i drugich, pytania im krótkie zadawał, sądy ich w myślach wazył — swego wszakże zdania nie wyjawiał.

Do późnej nocy pracował w swym gabinecie sam. Potem udał się na spoczynek.

Tego wieczora był wyjątkowo błądy i znużony. Zauważono, że często podrzucał prawe ramię i krzywił kurczowo usta. Przed wieczorem wziął ciepłą wannę. Jak zwykle, czytano mu w czasie kąpieli dzienniki i papiery urzędowe. Żądał przedewszystkiem tego, co ujawniało trudności zamierzonej kampanii. Starał się je zwalczać. Czynił to z widowym wysiłkiem, a nie zawsze z powodzeniem.

Gdy pozostał w sypialni sam, oczekując kamerdynera, który miał go rozbierać, spojrzał nagle na wierzch stojącej w kącie szafy i — skamieniał.

Na gźemście szafy siedział mały człowieczek, ze skrzyżżowanemi na piersiach rękoma. Ubrany był po napoleońsku: miał surdut rozpięty, kamizelkę kształtu ułańskiego rabatu, buty kawaleryjskie, kapelusz trógraniasty. Miał także bystre oczy, orli nos, wąskie wargi, brodę wystającą. Słowem, był to pomniejszony Napoleon.

Twarcz człowieczka, jego ręce, oczy, włosy, a zarazem wszystkie części ubrania miały barwę jednostajnie czerwona. Wyglądał, jak posążek z korala, albo, ściślej mówiąc, z laku.

Było w tem zjawisku coś wyjątkowo strasznego. Chimera, smok, szatan z rogami — mniejszą od

niego tchnęliby zgrozą. To było w niem najokropniejsze, że wyobrażał żywego, istniejącego człowieka. I to również, że był cały jakby we krwi skąpany.

Zesłupiałemi oczami wpatrywał się cesarz w ohydneho sobowtóra. Sobowtór wpatrywał się w cesarza. Trwało to długo; zdawało się nie mieć końca.

Nagle czerwony człowieczek poruszył się, cesarzowi pogroził i — zniknął.

Cesarz stał długo w miejscu, nie poruszając się. Oczy miał nad miarę rozszerzone, usta półrozwarte. Zdawał się nieprzytomny.

Wreszcie silnie się wzdrygnął. Doświadczył wrażenia, jakby go owiał wiatr zimny.

Wyraz najwyższego przerażenia objawił się na jego twarzy. Gwałtownie pochwycił dzwonek, z całej siły nim szarpnął.

— Nie wchodzić! — krzyknął na kamerdynera, który ukazał się w progu.

Kamerdyner cofnął się. A zaledwie zamknęły się drzwi za odchodzącym, cesarz potoczył się bezwładnie ku sofie i całym ciężarem na nią runął.

Twarz mu zżółkła; oczy przewróciły się, ukazując tylko białka; wargi poczęły drgać, wykrzywiając się ku jednej stronie. Po chwili, kurczowe drgania pojawiły się w rękach i w nogach. Na usta wystąpiła piana.

Kurcze przeciągały się dość długo: minut kilka, może kilkanaście. Potem ciało wyprężyło się i stężało. Cesarz zapadł w ciężki sen letargiczny.

Gdy się ocknął — oczy miał błędne. Wodził

niemi dokoła, przecierał je, nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło.

W końcu głębokie westchnienie wybiegło z jego piersi. Wstał pośpiesznie, bez pomocy służącego rozebrał się i na pościeli legł.

Spał snem kamiennym do rana.

Nazajutrz był taki, jak zawsze.

CZĘŚĆ DRUGA

PO TAMTEJ STRONIE

ROZDZIAŁ I.

O SÓL I O ŚLEDZIA.

Był wczesny wieczór zimowy — jeden z tych żalobnych wieczorów, które w Petersburgu są wyjątkowo przykre i gnębiące.

Latań ulicznych jeszcze nie zapalono. Miasto, rozbielone od mrozów i śniegu, jak kość w piaskach wysuszona, samo przez się, tą swoją trupią białością, rozpraszało mroki. Tem posępniejszym wydawało się wiszące nad tymi alabastrami niebo — mętne, brudne, bez gwiazd, bez księżyca.

Na Newskim Prospekcie było prawie pusto. W tej porze jedne rozrywki stolicy już się kończą, inne jeszcze się nie zaczęły — jest to rodzaj nudnego antraktu.

Zbliża i zdaleka słychać było tylko dzwonki przelatujących błyskawicznie sanek. Ta dziwna, rozjęczona, nic prawie w sobie europejskiego nie mająca muzyka rozbijała się głucho, wśród ciszy, o zimne, marmurowe fasady pałaców. W sankach, przeważnie jednokonnych i jednoosobowych, pędzili: grubi, jak kule słomy, kupcy z twarzami zafrasowanemi; dy-

gnitarze w olbrzymich, dzwoniastych kapeluszach, zdobnych w pióropusze, rozchylający futra dla pokazywania orderów; wojskowi wysokiej rangi w sobolowych szubach, przesadnie wygięci, przesadnie grzeźni, z przesadnie uprzejmym na wygolonych wargach uśmiechem. Chwilami, wśród rozpedzonej, nielicznej zresztą w tej porze czeredy, w małych saneczkach, w rosłego, szatańsko dzikiego konia zaprzężonych, przemykał wichrem napół pijany bogacz, trzymając na kolanach mizdrzącą się, wyróżzoną »duszkę« — oboje zatopieni w stercie wspańiałych, bezcennych futer.

Pieszycy prawie wcale nie było. Czasem tylko prześlizgnął się pod murem mizerny urzędniczy najniższej klasy, w kusym, wytartym paltocie, w butach łatanych, z czerwonym nosem, owiany atmosferą alkoholyczną — ale w czapce z gwiazdą, na wszystkie guziki zapięty i »w strunę« wyciągniony. Obok damulki, skośnemi, beczelnemi oczami w prawo i lewo strzelającej, laźla mała babina w lichej »duszogrzejce«, uśmiechająca się wciąż do siebie niewiedomo dlaczego. Wielki, pański, wypasiony pies uganiał się za prostym, bezrasowym kundlem z brudną, potarganą sierścią, który szczerzył nań zęby i warczał.

Od tego lichego tła rażąco odbijał kroczący chodnikiem wysoki, dostojnie wyglądający oficer. Był to piękny mężczyzna, prawie młodzieniec, ze świeżą, okrągłą, starannie wygoloną, z pozostawieniem tylko małych bokobrodów, twarzą. Nawet w przedwieczornym mroku dostrzegało się, że znamiennymi rysami jego twarzy były: dobroć, łagodność, szlachetność.

Skromna czapka oficerska i brak wszelkich błyskotek nie pozwalały oznaczyć rangi tego oficera. Na »tuza« wszelako nie wyglądał. Z pod jego płaszcza, skromniejszego od wielu szub dygnitarskich, wychylał się koniec szpady oraz buty kawalerskie z ostrogami. Szedł krokiem wojskowym, rytmicznym, nie nazbyt śpiesząc.

Jedno było w tym oficerze niezwykle. Idąc, pochylał górną połowę ciała naprzód — co dawało mu pozór człowieka zasłuchanego. Ale zasłuchany być mógł tylko we własnych myślach, na głosy bowiem uliczne uwagi najmniejszej nie zwracał.

Gdy tak idzie piękny, wyniosły a skromny i w myślach pogrążony, z jakiegoś brudnego zaułka wypełzła para pijaków. Wspólność pijaństwa narówni ze wspólnością idei, ludzi zbliża i przyjaciółmi czyni. Pijacy trzymali się za szyję, darząc się wzajem wybuchami gorącego afektu.

Jeden z przyjaciół był, jak się to w Petersburgu mawia, »śmiertelnie« pijany. Drugi podtrzymywał go z wysiłkiem, od upadku broniąc. Ale przyszła chwila, gdy wysiłek nie pomógł, i pijaczyna zwałił się na kamienie.

Stało się to o kilkanaście kroków przed idącym oficerem. Wypadek był w stolicy cesarstwa powszedni, nie zwracał na siebie zwykle niczyjej uwagi. Dostojnicy zwłaszcza mijali zawsze takich »poległych« z wyniosłą obojętnością.

Piękny oficer postąpił inaczej. Ze współczuciem pośpieszył ku leżącemu, podniósł go, i silną ręką pod ramię ująwszy, ku schodom najbliższego pałacu doprowadził. Posadziwszy go na schodach, opatrywał sta-

rannie, czy mu się co złego nie stało. Pijak miał oczy zawarte, ciężko dyszał, był zgola nieprzytomny — zresztą w upadku znaczniejszej krzywdy nie poniósł. Biedna odzież wskazywała, że to niezamożny rzemieślnik, może wyrobnik.

Oficer własną chustką otarł twarz leżącego, potem po portmonetkę sięgnął. Jednocześnie upominał:

— Wstydźcie się, niegodziwcy! Ludzie jesteście, na obraz i podobieństwo Boże stworzeni — jakże czynić się możecie bydlętami? Hańbicie swą godność Rosyan, ludzi prawosławnych.

Trzeźwiejszy przeciągle zaśpiewał:

— Ech, bat'ku, co tu uragać? Nie z grzesznej duszy to poszło — ot, z serca uciśnionego...

— Cóż to wam? — czule dopytywał tamten. — Nieszczęście was spotkało? Z rodziny kto umarł?

— O więcej tu chodzi, bat'ku. Rodzina, chwalić Boga, zdrowa — ale Rosieja nasza święta, wszystkich nas matuszka, w wielkiej jęczy niedoli.

— Cóż to mówisz, bracie? Nie mi się o tem słyszeć nie zdarzyło.

— To i cóż! Oficery najmniej wiedzą. Naczalstwo krótko trzyma. — Pilnuj — mówi — konia i szabli, komendy słuchaj, a co już tam poza tem — rzecz nie twoja.

— Więc może, rodaku, objaśnić mnie zechcesz?

— Co tu i mówić! Nawet nasz prosty naród wie, że dziś Francuz, farmazon, antychryst, co chce, to na świecie robi. Anglika za łeb wziął i mocno trzyma, a nasz brat Rosiejanin tak musi tańczyć, jak on jemu zagra.

Oficer słuchał z zajęciem, lecz głową kręcił nie dowierzająco.

— To pewnie plotki... Gdzież dowód?

— A ot dowód. Bez soli dziś musisz jadać, aż gęba się wykrzywia. A śledzia i za pięć asygnacyjnych rubli nie dostaniesz. A dlaczego tak? Bo francuz-poganin słono lubi żreć i śledzie łykać. Więc wszystko zabrał dla siebie, a carowi naszemu przykazał, żeby swój naród od soli i śledzia odzwyczail. — Niech zdycha — mówi — pies-moskwicin, abym ja słono jadł i codzień śledziem przegryzał. I car jego słucha. A jak nasz brat nie ma soli i śledzia, tak cóż jemu zostało? Jeden Bóg i jedna gorzalka!

Oficer miał dość tej rozmowy. Trzymany w ręce woreczek z pieniędzmi wcisnął w szeroką łapę robotnika, i kilka nowych upomnień rzuciwszy, odszedł szybko. Pobiegło za nim śpiewne dziękczynienie.

— Do nóg kłaniamy się waszemu błagorodiu...

Ściemniło się już; z głośnem skrzypieniem sznurów i kólek zapalać zaczęto latarnie uliczne. Oficer spojrział na zegarek, kroku przyśpieszył. W tejże chwili sypnął się śnieg gęsty, zabielaając powietrze, ćmiąc oczy.

Oficer podbiegł do sankarza, który stał tuż przy chodniku, trzymając w obu rękach lejce i powściągając niecierpliwego klusaka.

Oficer skinął na woźnicę, żeby odpiął fartuch — tamten wszakże siedział obojętnie, jakby znaku nie rozumiejąc.

Oficer żądanie powtórzył. Wówczas woźnica wziął lejce w jedną rękę, a drugą, szeroko rozwartą, do oficera wyciągnął.

— Pieniądze! — rzekł szorstko.

Oficer sięgnął do kieszeni, lecz przypomniał sobie, że woreczek oddał robotnikowi.

— Dostaniesz jak zawieszysz — wyrzekł obojętnie.

— Kiedy bo... — mruczał tamten. — Panowie oficerzy tumanić lubią... Z nimi ani wiesz, kiedy w biedę wpadniesz. Zresztą...

Badawczym wzrokiem oszacował piękny płaszcz oficera.

— Siadajcie, wasze błagorodie — dokończył, fartuch odpinając. — Pojedziemy. A dokąd?

— Do pałacu Zimowego.

Pojechali z umiarkowaną szybkością.

Gdy sanki mijały gmach Senatu, gdzie płonął rząd wielkich, jasnych latarń, uderzono w bęben i warta wystąpiła, broń prezentując.

Woźnica rozejrzał się dookoła.

— Musiał przejeżdżać jego wieliczestwo... — oznajmił. — Ale nic nie widzę. Śnieg przekłety wszystko zakrył.

Sanki pomknęły dalej.

Oficer nie kazał wjeżdżać w główną bramę pałacu, ani stawać przed nią. Zatrzymał woźnicę nieopodal i rzekł:

— Poczekasz tu. Należność przyniesie lokaj.

Wyrzekłszy to, chciał wysiąść, lecz gruby kaczmarem spojrzeniem swych małych, podpuchniętych oczek do miejsca go przygwoździł.

— Tak nie można! — brutalnie oświadczył. — Znam ja »sztuki« panów oficerów. »Czekaj — mówi — zaraz wyjdę, albo ci rubla srebrnego wyślę«. Ty cze-

kasz, a on jak w jedną bramę wpadł, tak drugą zaraz wyleciał — i ty durniem zostales!

Oficera zdawało się to bawić.

— Więc cóż będzie? — z uśmiechem spytał.

— A cóż? Szuba u was niczego, to ją dla pewności zostawcie...

Tamten skłonił głowę na znak zgody, zrzucił płaszcz z ramion — lekko wyskoczył na chodnik. Śnieg na szczęście przestał padać, inaczej znalazłby się w przykrem położeniu.

Po kilku minutach zjawił się lokaj. Doręczając woźnicy banknot dwudziestopięcio-rublowy, zażądał zwrotu futra.

Kaczmarem pieniędzy nie przyjął.

— Płaszcz więcej wart... — filuternie zmrużył oczki.

— Więc cóż?

— Więc ty nie myśl, żeś na głupca trafił...

I, przygarniając do siebie futro, złośliwie dodał:

— Patrzcie go! zachciało się frantowi za dwadzieścia pięć rubli sobole kupić!... Niech tu przyjdzie ten barin, com go przywiózł — i za jednego rubla futro mu oddam.

— Oszalałeś! — z pasyą zakrzyknął lokaj. — Barin ma do ciebie wychodzić? A czy wiesz, bałwanie, kogo miałeś cześć przywieźć?

— Chwała Bogu, zdrowe mam oczy. Oficera od kozy odróżnię.

— Milcz, świńska mordo! Bóg ci dał szczęście, jakiego swym bydlęcym mózgiem pojąć nie mo-

żesz. Przywiozłeś — jego wieliczestwo Gosudara Cara!

Kacap zaniósł się głośnym śmiechem.

— Ot wymyślił! Ot wykpił!... Taki on car, jak ty następca tronu!...

I aż się na wznak od gwałtownego śmiechu położył.

— Sukinsyn! — zaklął tamten. — Przyjdzie tu zaraz taki, co cię rozumu nauczy!...

Ze zmiętym banknotem w ręce wbiegł w bramę. Po chwili, przy sankach zjawił się kamerdyner w dworskiej liberyi; w odwodzie gwardzystów miał kilku.

Zrozumiał woźnica, co się święci. Zeskoczył z kozła, z głośnem zawodzeniem rzucił się na chodnik, do stóp cesarskiego sługi.

— Winien jestem, ojcowie moi! Sto knutów winien jestem! Zabierajcie, wasze światłości, futro, sanki, konia, mój kożuch — zabierajcie wszystko. Bijcie, katujcie — grzesznej tylko duszy odpuszczenie dajcie.

Podniesiono go. Odprawiony został z zapewnieniem, że wina darowana, i nic mu nie będzie.

Tymczasem car wielkimi krokami po gabinecie swym chodząc, powtarzał:

— Ostatnia kropla!... Ostatnia kropla!...

Prócz cara znajdował się tam mężczyzna dość jeszcze młody, bardzo wysoki, w którym uderzały najbardziej: całkowicie wyłysiała czaszka, szare, lodowato zimne oczy i mądry, a wzgardliwy na wąskich ustach uśmieszek.

Był to pierwszy minister cara Aleksandra — Speranskij.

Car w obcisłym mundurze, w butach z ostrogami, był i tu tym samym, co na Newskim Prospekcie, pięknym, okazałym mężczyzną, prawie młodzieńcem, z twarzą pełną łagodności i dobroci. I tu również pochylał się, chodząc, z miną człowieka za słuchanego.

ROZDZIAŁ II.

SŁOŃCE I CHMURY.

Zanim jeszcze Rosya i Francya myśleć zaczęły o wojnie, już Rosya była przez Francję zawojowana. Odbił się ten podbój bez rozlewu krwi; ściśle zaś rzecz biorąc, nie obejmował całej Rosyi, lecz tylko jej dwie stolice.

Nad Newą i nad Moskwą panował wówczas zwycięsko »duch francuski«.

Paryżanin, przeniesiony w tym czasie do Petersburga lub Moskwy, mógł być żyć tam długo, zmiany miejsca nie odczuwając.

Poczynając od dworu cesarskiego i najwyższych władz rządowych, skończywszy na domu bylejakiego kupca, którego żona i córki do mody stosować się chciały, wszędzie rozbrzmiewał język francuski, czytano francuskie książki, panowały francuskie obyczaje.

Datowało się to od Katarzyny II, udającej przyjaciółni dla Woltera, który płacił jej za nią udaniem uwielbieniem. W czasie wielkiej rewolucyi, rojaliści szu-

kali nad Newą schronienia i znajdowali je w formie, przechodzącej najśmielsze ich nadzieje. Nauczyciele tańca, fryzjerzy, dentyści, jak liche ziarna w grunt tłusty przesadzone, wspaniale tu rozrastali się i kwitnęli. Wielu z nich dało początek rozgłośnym później rodom.

Franцуza Laharpe'a uczyniono nauczycielem cesarzewicza Aleksandra. Nigdy może jeszcze tak dzielny i szlachetny pedagog nie spotkał się z tak miłym i pojętym uczniem.

W wyższych sferach stołecznych uprawiano nawet specjalny kult Napoleona. Zaszczepił go swym rodakom Car Paweł. Przejął go po ojcu młody Aleksander.

W pierwszych latach XIX stulecia, nie odbyło się ani jedno zebranie arystokratyczne, na którem nie mówiono o generale, potem o pierwszym konsulu, wreszcie o cesarzu Napoleonie Bonapartem. Na tych zebraniach nie był nazywany inaczej, jak »gieniuszem«.

Znajdował się wszakże na dworze carskim człowiek żywiący do Napoleona jakby instynktową niechęć. Był nim Polak, minister i przyjaciel Cara Aleksandra: książę Adam Czartoryski.

Trzeba było mieć nie lada odwagę, aby stawać w sprzeczności z opinią dworu, kobiet i wszystkich ludzi wpływowych. I trzeba było być bohaterem, aby wyrażać *voluntatem separatam* wśród głosów całej niemal Polski, Bonapartego uwielbiającej.

Na tę odwagę i na to bohaterstwo książę Adam zdobyć się umiał. Może mocy dodawała mu

myśl, że ma sprzymierzeńca w niezależnym duchu Kościuszki.

Niechęć księcia Adama była długo tłącem się tylko zarzewiem — wybuchła dopiero w r. 1804, z powodu mordu politycznego, spełnionego przez Napoleona na niewinnym księciu d'Enghien.

Napoleon osiągał wówczas szczytu swej ziemskiej potęgi; krok już tylko jeden dzielił go od tronu cesarskiego. Europa drżała przed silaczem, który jej na piersiach ciężką stopę postawił. Choć krew niewinnie zamordowanego o pomstę wołała, choć wszyscy w sumieniu swem Napoleona o ciężki grzech oskarżali — nikt nie śmiał z jawnym wystąpić protestem.

Przelekła i z trwogi jakby oniemiała Europa w letarg zapadła. Pełna grozy cisza zaległa dwory królów, książąt, cesarzów.

Wśród tej ciszy rozległ się nagle potężny głos protestu. Wystąpił z nim Petersburg. Na proteście było imię Cara Aleksandra, była też w nim jego czuła, na gwałt oburzająca się dusza — w pomysle swym jednak i w całym układzie protest był dziełem księcia Czartoryskiego.

Dyplomacya, zawsze po kocjemu pazury chowająca, rzadko zdobywa się na tak silne i uczciwe słowa, jakie w imieniu Cara rzucił książę polski władcy francuskiemu.

»Ze zdziwieniem, równajacem się boleści, dowiedzieliśmy się o tem, co zaszło w Ettenheim... Widzieć w tem musimy pogwałcenie prawa narodów — czego następstwa nie dają się nawet obliczyć, zniszczyć zaś mogą w przyszłości wszelkie bez-

pieczeństwo państw niepodległych... Żądamy, aby się pierwszy konsul z tego niesłychanego czynu usprawiedliwił, i żeby przedsięwziął środki, na przyszłość świat cały od podobnych czynów zabezpieczające«.

Zerwała się burza. Głos serca i sumienia spotkał się z zuchwalstwem, jakie dają: pewność siebie i siła. Złowrogie, od Sekwany do Newy sięgające błyskawice rozdarły mrok, który ciążył nad Europą. Przyszło do wymiany energicznych not — nawet do odwołania ambasadora. Zdawało się przez chwilę, że olbrzym z Północy i olbrzym z Zachodu naprzeciw siebie staną za bary się chwycą.

Przeszkodziły temu Prusy. Przeszkodziły ze względów samolubnych. Napoleon deptał je wprawdzie, ale im rzucał ochłapy. To wystarczało podłemu państwu, aby stopy mocarza lizać. Zato, gdy upadł, pierwsze pośpieszyło z kopnięciem.

Jednak szlachetne oburzenie Cara i energiczny czyn jego ministra zdziałały swoje. Były pierwszą skazą na sławie Napoleona, dotąd bezkrytycznie w Petersburgu wielbionej. Z każdym rokiem skaza pogłębiać się miała — naksztalt zdraśnięcia na młodem drzewie, które rośnie z niem razem.

Długo jeszcze pozostał Aleksander wielbicielem Napoleona. Ale już przyjacielem jego być nie mógł. Nie mógł pomimo Tyłży, pomimo Erfurtu, pomimo uścisków i oświadczeń serdecznych, których nie skąpił mu tamten.

Obaj olbrzymowie szli do boju, ociągając się: Napoleon z powodu przesadnej ostrożności, mozolnego opracowywania planu, który miał bez zawodu zmiażdżyć przeciwnika; Aleksander — dla wyraźnej niechęci, bliskiej lęku, graniczącej z odrazą.

ROZDZIAŁ III.

IDÉE FAVORITE.

Polska była w tym czasie podobna do legendowej trumny Mahometa.

Dwie potężne, równoważne, nawzajem znoszące się siły, ciągnęły ją w kierunkach przeciwnych — wisiała przeto nieruchomo w powietrzu.

Szczęściem jest dla jednostki i dla narodu, gdy posiadają mocnego przyjaciela. Ale biada jednostce i narodowi, gdy mają dwóch mocnych przyjaciół, z których jeden jest wrogiem drugiego.

Polisce oświadczeni równocześnie przyjaźni: Napoleon i Aleksander. Była z równą mocą pociągana przez Zachód i przez Wschód. Do zbawienia jej wystarczyłaby jedna z tych przyjaźni — dwie budziły niepokój, przeszkadzały sobie wzajem, groziły starciem, które jej przedewszystkiem zgubę niesło..

Można różnie sądzić źródło i cel tej osobliwej miłości, to wszakże pewne, że Car Polskę naprawdę miłował. Żadne uczucie nie bywa wolne od pobudek samolubnych, więc i w tym wypadku Polska nie była pewnie miłowana altruistycznie i bezinte-

resownie. Ale i Napoleon miłośnikiem platonicznym nie był.

Obaj kochankowie Polski mieli swych pośredników — swych, rzec można, swatów. Swatem Cesarza był Poniatowski; swatem Cara — Czartoryski.

Charakter i rodzaj miłości każdego z Don Żuanów odbił się w jego politycznym Leporellu. Książę Józef występował zawadyacko, obcesowo, z szaloną brawurą polskiego ułana; w księciu Adamie jawił się ostrożny, skryty, dróg bezpośrednich unikający, dyplomata. Zgóry można było wiedzieć, który z nich zostanie wysłuchany. Do serca Polaków łatwiej się trafia krzykiem, niż szeptem; brzękiem szabli i miną zadzierzysztą, niż frazesem układnym i gabinetową notą.

Polacy lubią być porywani. Przekonywać ich rozumowaniem, to najczęściej zachód stracony.

Było wiele ironii w ówczesnych losach Polski. Może najboleśniej ona się objawiła we współzawodnictwie dwóch najpotężniejszych mocarstw Europy, którym służyli dwaj najlepsi synowie Polski.

W zwykłym porządku rzeczy, fatalność, stawiająca Poniatowskiego i Czartoryskiego na dwóch przeciwnych biegunach, powinna była uczynić ich wrogami. Jednak nie uczyniła. Dwaj patryoci odsunęli się od siebie, rozumiejąc, że w ich stosunku na ustępstwa miejsca niema, ale żaden z nich nie stracił dla drugiego szacunku. W sercach obu był tylko żal, że do celu, jednako każdemu świętego, po jednej drodze zmierzać nie mogą.

Naród nie zawsze bywa platnikiem sprawiedliwym; nie zawsze do bohaterstwa jedną miarę przykłada. Książę Józef do polskiego Panteonu wstąpił,

bohaterem stał się narodowym; książę Adam zniknął w cieniu — szerokim masom obcy, przez wielu podejrzewany, dla niejednego nienawistny...

A jednak wysilek, z jakim obaj ojczyznę wskrzesić usiłowali, równej był mocy; były też równe: ich miłość kraju, cnota obywatelska i bezgraniczna ofiarność.

Książę Józef tem jeszcze skarbił sobie umysły Polaków, że był niezmiernie prosty, i że go mieli zawsze przed oczyma. Osobistość księcia Adama była bardziej złożona; przytem od lat najmłodszych przebywał on zdala od kraju: w Petersburgu, na dworze Katarzyny, potem Pawła. Wiedzano, że nosi mundur generała rosyjskiego, że jest darzony łaskami przez carycę i jej syna... Do jego duszy nikt zajrzeć nie mógł, bo tę duszę na siedem pieczęci warunki życia zamknęły.

Gdy rozwiała się mgła, zakrywająca przed oczami rodaków postać zagadkową, zadano sobie pytanie: — Nie jestże car, zalecający się do Polski, nakreconą przez Czartoryskiego maryonetką?...

Możliwość postawienia takiego pytania zdzieraa urok z osoby cara, czyniła podejrzanemi jego oświadczenia przyjaźni, obietnice pomocy.

Było wszakże z carem i jego młodym przyjacielem zgola inaczej. Zanim jeszcze Czartoryski usta w tej sprawie otworzył, już młody Aleksander pofornie oświadczył, że nad losem Polski boleje, lepszej doli jej życzy, z pomocą pospieszyby jej rad...

To powiedziane zostało na wiosnę 1796 roku w ogrodzie Taurydzkim, gdzie się dwaj młodzieńcy samotnie przechadzali.

Spokojny, refleksyjny, do cichej melancholii skłonny umysł księcia Adama, owo nagle, z objawieniem graniczące wyznanie, do głębi wstrząsnąć, wielkimi myślami zapłodnić musiało. Uczuł się powołanym do wzniosłej, nieobliczalnymi następstwami brzemiennej misji — światłem nadzwyczajnego szczęścia był olśniony i prawie przelekleł. Przez czas długi zamykał przed nim oczy — nie dowierzał mu...

— Oświadczenie dziewiętnastoletniego następcy tronu czyż powtórzy — car?...
Powtórzył.

Zaledwie wciśnięto mu na skronie ciężką za prawdę koronę Monomacha, pismem własnoręcznem przyzywał do swego boku księcia. A książę mówił później: »Znalazłem go takim, jakim znaleźć pragnąłem — już wprowadzie ujętym żelazną dłonią rzeczywistości, z marzeń wszakże nie wytrzeźwionym«...

Książę stawał się coraz silniejszym — nigdy jednak ostrożności nie zaniedbując. Car czyni go swym pierwszym ministrem; on, zanim zaszczytny ciężar obowiązków przyjął, przypomina carowi obietnice, potwierdzenie ich zyskuje. Car ma w nim poświęconego bez granic przyjaciela, ale za cenę przyjaźni dla niego i dla jego ojczyzny.

Nadchodzi wreszcie chwila, gdy carska *idée favorite* pięknym kwiatem wystrzela i owoc wydaje dostały. Tym razem czynnym współpracownikiem cara staje się książę — wyleczony już z chronicznej nieufności, zdobywający się nie tylko na ostrożne podszepty, lecz i na energiczne działanie.

Dzieje się to w roku 1805 — niemal w przededniu stworzenia Księstwa Warszawskiego, to zna-

czy: zagarnięcia przez Napoleona wszystkich serc polskich. Dzieło zamierzone ma właśnie ów podbój uprzedzić i unicestwić.

Nieopatrzny i nielogiczny wynik ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej musiał uleść przeróbce i naprawie. Nazbyt on wzmacniał stanowisko Prus, butnie krzyżacki swój łeb z prochu podnoszących. Potęga niebezpiecznego państwa musiała być złamana, a przynajmniej ukrócona.

Tę polityczną i cywilizacyjną konieczność książę Adam dowodnie carowi wykazał. Aleksander został przekonany, przynajmniej przekonany się wydawał. Przygotowano plan równie śmiały, jak pewny i na granitowej wsparty podstawie. Prusy miały być pobite na swym własnym gruncie, przy ujściach Wisły i Niemna. Z wydartych im prowincyj polskich miano stworzyć Królestwo Polskie.

Jeden skryty, podstępny, przemądry, faryzejski manewr króla pruskiego zburzył gmach, który się zdawał z żelaza wzniesiony. Chwiejna, Hamletowa dusza Aleksandra, w ostatniej już niemal chwili, pociągnąć się dała samolubnej obłudzie Prusaka. Hamletyzm cara dotkliwą szkodę wyrządził Polsce, dotkliwą szkodę Rosji.

Inną koleją potoczyłyby się losy całej Europy, gdyby wielkiej myśli Czartoryskiego nie zwichnęła pruska intryga. Ale w dziejach martyrologii polskiej Prusom przypada zawsze rola podszezuwacza, wichryciela i oprawcy. Zawsze one czuwały pilnie, żeby nie dopuścić do polsko-rosyjskiego porozumienia, cóż dopiero do polsko-rosyjskiej przyjaźni.

Aleksander okazał się w tym wypadku złym

politykiem i złym psychologiem. Wątpić nie można, że mu zależało na pozyskaniu serc polskich; w rękę już je trzymając, pozwolił, że pierzchnęły, jak ptaków spłoszonych stado. Pierzchnęły niepowrotnie. Gdy nadchodził rok 1812, najśłodszy lep, przez cara i jego doradcę przygotowany, już ich z powrotem sprowadzić nie zdołał...

Zmarnował Aleksander chwilę jedyną, chwilę nienagrodzoną, chwilę, gdy w dążeniach panowała jedność, a książę Józef i książę Adam ręce sobie do wspólnego czynu podawali. Już się ta chwila powtórzyć nie miała. Już odtąd na Aleksandra, nawet *donafarentem*, patrzeć miano nieufnie, może z otwartą niechęcią. Nieufność i niechęć spadły też — najniewinniej — na Czartoryskiego.

Odtąd drogi dwóch najlepszych patriotów rozeszły się — i tak już trwać miało aż do końca, aż do Elstery. Raz jeszcze, bezpośrednio przed kampanią 1812 roku, zbliżyli się do siebie, lecz już ani porozumieć się, ani nawet zrozumieć nie mogli.

Trudno było księciu Józefowi, trudno było całej Polsce, przebaczyć carowi zawód i zniewagę, wyrządzone im w roku 1805. Gdybyż choć nie obiecywał! gdybyż w Puławach »królem polskim« głośno nazywać się nie pozwalał! Faryzeizm króla pruskiego, bezwstyd jego urodzivej małżonki, wreszcie romantyczna komedia, przy grobie Fryderyka Wielkiego przemądrze odegrana, stłumiły w sercu cara szlachetne, z czystszych źródeł płynące porywy. Polska odwróciła się od Aleksandra, żeby tem skwapliwiej i tem bezpamiętniej rzucić się w objęcia Napoleona.

Nie odwrócił się jednak od swego ukochanego monarchy książę Adam. Nie zwątpił też o nim, mimo ciężkiego, boleśnie odczutego zawodu. Znał Aleksandra lepiej, niż ktokolwiek inny, lepiej może, niż on sam siebie. Wiedział, że tę chwiejną, bluszczową naturę cudza energia podtrzymywać i kształtować musi, i sam się tej trudnej roli podjął. Książę Józef w Paryżu, książę Adam w Petersburgu, pracowali nad urabianiem serca dwóch olbrzymów, mianujących się przyjaciółmi ich ojczyzny.

Różnił się też krańcowo stosunek każdego z nich do »swego« monarchy. Książę Józef, mimo wysokiej rangi i szacunku, samą osobą swą budzonego, był tylko posłusznym podkomendnym, nie wpływającym na wolę i zamysły samowładnego cesarza. W księciu Adamie Aleksander miał więcej, niż ministra, i więcej nawet, niż przyjaciela: książę carowi czynił wyrzuty i napomnienia, książę czynił się cara mentorem, książę cara gromił. Do tej roli wysokiej potrzebna była księciu niezależność — zapewnił ją sobie, pozbywając się teki ministra, wyzuwając się z wszelkich dostojeństw, z wszelkich materyalnych, krępujących ducha więzów.

Całkowicie niezależny, nie liczący się z niczem, a najmniej z osobistym u dworu powodzeniem, zdobył Czartoryski prawo mówienia carowi prawd, którychby on od nikogo innego nie usłyszał. W listach i memoryałach potępiał książę bezwzględnie fałszywą politykę Aleksandra. Z bezwzględną otwartością krytykował nawet jego charakter. Wyrzucał mu, że jest zmienny w myślach i uczuciach, że mu brak stałych przekonań, że w jednych sprawach bywa uparty i na

głos rozsądku głuchy, w innych powodować się daje nie temu, kto mówi i rozumuje, lecz kto chytrością i obłudą wkraść się potrafi w jego zaufanie. Nie szczędził wreszcie gorzkiego zarzutu i prawdziwie Kassandrowej wróżby, że przyjaźń cara dla króla pruskiego największą szkodę wyrządziła państwu i nowemi szkołami w przyszłości grozi...

Książę Józef i książę Adam tworzyli we wszystkim sprzeczność zupełną. Różniły się nie tylko ich dusze, lecz i temperamenty. Pierwszy był zapalny, wybuchliwy, do zachwytów i uwielbień skłonny; przytem z sercem na dłoni, ze szczerością w słowach, z ramieniem, zawsze do uścisku lub do... sztychu śmiertelnego gotowem. Drugi miał spokojną rozagę dyplomaty, wielką wstrzemięźliwość słowa, form towarzyskich, nawet gestów; zamknięty był w sobie i nieprzenikniony; wydawał się zimnym i sfinksowo nieczytelnym; w wielu Rosyanach budził podejrzenia chytrości, nawet niechęć wyraźną.

W jednym ci dwaj najlepsi synowie Polski schodzili się ze sobą: w stałości przekonań. Gdy Poniatowski raz uwierzył w Napoleona, a o Aleksandrze zwątpił, już go do końca życia nic z tej drogi nie wyważyło. Toż samo było z Czartoryskim, z jego przyjaźnią dla Aleksandra, z niechęcią do Napoleona.

Największe tryumfy konsula, przedzierzgniętego w cesarza, najbardziej olśniewający blask jego wojennego geniuszu, nie mogły księcia ani przejednać, ani na chwilę w przekonaniach zachwiać. O Napoleonie mówił i pisał: »Wszystkie narody walczą o niepodległość, z pod jarzma cudzego wyzwalać się pragną. Czemuż jedni Polacy chcieliby ugiąć karki pod

jarzmo Napoleona? Nie jest-że to dziw niepojęty, z szaleństwem graniczący, że zbawcę swego upatrują w człowieku, splamionym tyłu zbrodniami, przelewem krwi tyłu niewinnych, w człowieku, który nie ma w sercu jednego zacnego uczucia, w głowie jednej szlachetnej myśli i którego cała uczciwa Europa nawiadzi«.

Tymczasem Aleksander z roku na rok zmieniał barwy i jakby nową przywdziewał skórę. Najfatalniejszą z tych metamorfoz było przypuszczenie do władzy przedstawiciela dawnego porządku, apostoła knuta, spadkobiercy mongolskich tradycji: pół dzikiego oprawcy Arakczejewa. Sfinksowość duszy cara w tym wyborze najmocniej się objawiła.

Kiedyindziej car, jakby o swych oświadczeniach przyjaźni zapominając, zgola już despotycznie zabraniał Napoleonowi wszelkiej myśli o wskrzeszeniu Polski. Gniewały go nawet same wyrazy: Polska, Polacy...

Było to bardzo niepokojące. Człowiekowi wrażliwemu nasuwało podejrzenie, że car pod obłudną maską przyjaźni kryje nienawiść pobratymczego narodu, owszem do jego zagłady tajemnie dąży.

Czartoryski obaw nie doświadczał. Tyleż wiary pokładał w swoim władcy, co Poniatowski w swoim.

Nie omylił się. I oto niebawem po zawarciu konwencji z Napoleonem, kładącej jakoby kres wszelkim marzeniom o wskrzeszeniu Polski, car oświadcza przyjacielowi, że jak dawniej, tak i teraz zajęty jest żywo swą *idée favorite*: przywrócenia bytu Polakom i uczynienia ich szczęśliwymi.

Od kilkunastu lat tajone i zaledwie słabo tlejące

tych myśli i uczuć zarzewie, wybuchu w roku 1811 płomieniem potężnym, rozdmuchanym przez wichry dmący z Zachodu.

Car odrzucił odrazu wszelkie dwuznaczności i niedomówienia. Jego *idée favorite* staje przed Czartoryskim i ogółem polskich sprzymierzeńców w szlachetnem obnażeniu: jako wskrzeszenie Polski.

»Po dwakroć — pisze Aleksander do Czartoryskiego — silniejsze odemnie okoliczności przeszkadzały mi wprowadzić w czyn swą dawną, ukochaną myśl przywrócenia Polsce bytu politycznego. Nigdy się jednak z tą myślą nie rozstawał. Chwila obecna jest do wcielenia jej jaknajbardziej odpowiednia...«

Mylił się car. Chwila była właśnie jaknajbardziej — nieodpowiednia. Nieodpowiednia dla niego i dla jego polityki. Ale ten wiekuisty marzyciel nigdy nie miał poczucia rzeczywistości. Mimo wszystkich pozorów siły, był słaby jak dziecko. Dziećmi opiekuje się Opatrzność, i ona to wiodła go, prawie bez jego wiedzy, na szczyty tryumfów i powodzenia. W zamian za to odmówiła mu szczęścia osobistego. Aleksander jako człowiek był bardzo nieszczęśliwy.

Tylko niepoprawny ideolog kusić się mógł, w przededniu kampanii 1812 roku, o przeciągnięcie Polaków na swą stronę. Rząd dusz polskich należał wówczas niepodzielnie do Napoleona i księcia Józefa. Przeciwwstawiać tym dwom bożyszczom narodu wnuka Katarzyny, oraz Polaka, któremu przezwisko »sługi Cara« zamykało drogę do serc rodaków, było aktem niesłychanej łatwowierności.

Czartoryski carowi odmówić nie mógł. Do Warszawy pojechał, z księciem Józefem w bezpośredni

wszedł stosunek. Nie przybywał z byle czem: car zaopatrzył go w pełnomocnictwo, sięgające bardzo daleko, obejmujące na podziw wiele...

Polska miała być przez Aleksandra »odrodzoną«. Efemeryda polityczna, zwana Księstwem Warszawskim, niknęła; na jej miejsce występowało Królestwo Polskie, obejmujące wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Z posiadłości, znajdujących się pod berłem rosyjskiem, powracały do Polski wszystkie — z wyjątkiem tylko jednej Białej Rusi. Aleksander, obok tytułu rosyjskiego imperatora, przyjmował drugi: króla polskiego.

Aby ten piękny miraż pochwycić i w kształty realne wcielić, należało: zgodzić się, aby na wieczne czasy Królestwo Polskie było połączone z Cesarstwem Rosyjskiem; żeby zgodę na to w imieniu całego narodu objawili i na piśmie stwierdzili wszyscy wybitni jego przedstawiciele — żeby wreszcie Polacy wyrzekli się Napoleona i za broń przeciw niemu chwycili.

Zaraz po zawarciu tego paktu, car w pole wyruszy i z potężną armią na brzegach Odry stanie.

Księżę Adam powiósł nad Wisłę słowa carskie, choć o ziszczalności ich powątpiewał. Powątpiewał nie tylko z politycznych, okolicznościowych powodów. Zamysł cara wydawał mu się »zbyt piękny, aby Duch złego, tak silny jeszcze na ziemi, mógł na jego tryumf pozwolić«.

Dwaj antagoniści polityczni, dwaj przeciwnicy ideowi, dwaj patryoci równej ceny, choć nierównego — wówczas — wpływu, stanęli przed sobą twarzą w twarz, z sercem przy sercu, i umieściwszy na jednej szali to, co im było najdroższe: Ojczyznę i jej zbawienie,

kładli na drugą swe rady, przestrogi i środki rozporządzalne.

Właściwie czynił to tylko Czartoryski.

Urodzony dyplomata, nawet i w tej, tak bardzo poufnej rozmowie nie wyzbył się politycznego krasomówstwa i politycznej ostrożności. Mówił pięknie, mówił dobrze, mówił długo. Przekonałby najwytrawniejszego i najuporniejszego dyplomate; odniósłby zwycięstwo nad Talleyrandem i Metternichem..

Ale nie z dyplomata do czynienia miał, lecz z żołnierzem. Trafił nie na umysł giętki, do szermierki dyalektycznej sposobny, lecz na pierś opancerzoną.

Księżę Józef w głębokim milczeniu, wąs tylko mały gryząc i brwi gęste zsuwając i rozsuwając, słuchał wywodów carskiego wysłannika. A gdy przyszła kolej na niego, rzucił jedno tylko zdanie, ale ciężkie i ostre, jak szabla po Sobieskim odziedziczona:

— Nigdy i za żadną cenę!

Losy Polski, losy Napoleona, może pośrednio losy całej Europy ta krótka odpowiedź rozstrzygnęła.

ROZDZIAŁ IV.

LITWINKA Z DOM-REMY.

W głębokim krześle, z obwisłymi bezsilnie ramionami, ze wzrokiem utkwionym w lesisty, litewski krajobraz, roztaczający się za oknem, od godziny już hrabianka Marya siedziała nieruchomo.

Wysoko podniesione brwi, półotwarte usta, wzrok wyteżony a przecie zdający się nic nie widzieć, dały jej twarzy wyraz osłupienia. Hrabianka zdawała się być wprowadzona czemś w podziw nadzwyczajny, który ją aż okamieniał.

Choć minęło już południe, dokoła panowała wielka, senna, prawie nocna cisza. I w istocie w całym pałacu, prócz hrabianki Maryi, wszyscy spali. Wypoczywano po nużącym przyjęciu licznych, nadzwyczajnych gości.

Odwiedziny tych gości trwały krótko, bo tylko od zmroku poprzedniego dnia do godziny piątej rano, spowodowały wszakże nadzwyczajne wstrząśnienie i przewrót zupełny w spokojnem życiu wiejskiego zamożnego dworu.

Gościł tu przez godzin kilkanaście — car Aleksander.

On to właśnie był powodem osłupienia dziewiętnastoletniej panny.

Hrabianka Marya bawiła czasowo tylko w tym pięknym, bogatym pałacu. Przebudowywano dom jej rodziców, leżący w głębi Litwy, zdala od szerokiego, zawsze pełnego ruchu gościńca, który łączył Petersburg z Wilnem — panna znalazła ucieczkę przed przykrym harmidrem pod dachem dalekich krewnych. Tu najniespodzianie los postawił ją oko w oko z tym, którego postać olbrzymia od lat dziecięcych świat jej cały zasłaniała.

Hrabianka Marya dawno już rozstała się z naiwną mrzonką o roli pasterki z Dom-Remy, jednak płomień, który ujawniła w Paryżu, w salonie pani referendarzowej, stale pierś jej przepalał. Nęciły ją wysokie, niebosiężne ideały; dla zdobycia ich gotowa była każdej chwili życie poświęcić. A skałą, która na drodze jej leżała, zaporą, kroki jej tamującą, smokiem legendowym, który przy zaklętej królownie, jej pani i bożyszczu, straż trzymał, był właśnie On, »tyran Północy«, olbrzym, wypełniający sobą niemal połowę ziemi, złowrogi i straszny, jak każda potężna, na szalach przeznaczeń ciężąca siła, która samą już swą nieruchomością inne dławi.

I tę siłę, tę skałę, tego olbrzyma, tego smoka los nagle przed nią postawił. Przez całe godziny patrzyła nań zbliżając, słyszała jego głos, siedziała w tym samym, co on, pokoju, przy tym samym stole, rozmawiała z nim, czuła zapach wody lawendowej i ambry, którym tchnął cały.

Dziwem dla niej było, że to spotkanie przeżyła. Dziwem większym jeszcze — że odniosła wrażenie, wcale niepodobne do tego, jakiego się spodziewała. Była przerażona i zawstydzona; na samą siebie się gniewała, samej sobie czyniła wymówki. Wogóle nie zdawała sobie sprawy dokładnej z tego, co w duszy jej zaszło.

Więc teraz, w zupełnej nieruchomości siedząc, siłiła się nad zaprowadzeniem ładu w myślach i uczuciach. W tym celu wskrzeszała w pamięci, niczego nie pomijając, najdrobniejsze szczegóły nadzwyczajnego zdarzenia, przeżywała po raz drugi dzieje kilkunastu minionych godzin.

Przed oczyma jej, wpatrzonemi pozornie w łąkę ledwie zieleniejącą i w las omglony, przesunął się z niesłychaną wyrazistością, moment po momencie, szczegół po szczególe, obraz krótkiego pobytu rosyjskiego monarchy.

Car Aleksander, swym świetnym dworem otoczony, jechał do Wilna; po drodze zatrzymał się u hrabiego Morykoniego, który był mu zaledwie znajomy. Pędzący przodem kuryerowie zapowiedzieli, że jego carska mość przybędzie na obiad, lecz z powodu zlej drogi dostojny gość zjawił się dopiero z zapadnięciem wieczoru.

Okazało się później, że większą od wiosennych roztopów rolę odegrały tu właściwe carowi: dworskość i szacunek dla dam. Dowiedział się, że w domu hrabiego znajdują się panny, nie chciał więc stać przed nimi w ubraniu podróżnym. Zatrzymał się po drodze u jakiegoś dzierżawcy i tam długo się przebiegał. Od silnego zapachu wody lawendowej,

którą koronowany wytwornie nadmiernie szafował, dzierżawczyni dostała migreny — ale za to towarzysstwo zebrane w pałacu ujrzało cara w całej gloryi świetnego stroju i urody.

Nadzwyczajnym blaskiem mundurów, szarf, orderów, bogatej uprząży i wspaniałych rumaków, olśniewał też cały orszak carski.

Na odgłos zbliżających się pojazdów wyszła przed pałac witac gościa gospodyni domu z siostrą. Sam gospodarz honorów domu czynić nie mógł, gdyż do fotelu na kółkach przykuwał go częściowy paraliż. W pewnem oddaleniu od starszych dam stały hrabianki Morykoniówny i hrabianka Marya.

Z szybkością strzały wpadła na przedpałacowe zakole błyszcząca kolaska, błyskawicznie wyskoczył z niej wysoki, piękny oficer, i zrzućwszy płaszcz, który w lot pochwycili dworscy lokaje, ku damom się skierował. Zanim hrabina zdążyła krokiem postąpić i usta otworzyć, już on stał przy niej, i, zgięty w pełnym szacunku pokłonie, rękę jej całował. W chwilę później witał się z pannami z wdziękiem i wykwintem zawodowego salonowca.

Odbyło się to w tempie bardzo szybkim, trwało wszakże dość długo, aby zebrani mogli ocenić zarówno piękność jak uprzejmość młodego cara. Przed pałacem dość jeszcze było widno od dogasających na zachodzie zórz, a z wielkich, rzęsiście oświetlonych okien pałacu lały się strumienie blasku.

Mimo to wszystko, hrabianka Marya cara nie widziała. Gęsty tuman świat przed nią zakrył; stała jak w ziemię wrosła. Choć odznaczała się wielką

śmiałością, nie byłaby w stanie jednego słowa wymówić.

Przeciągnął się ten stan długo i trwał jeszcze po wkroczeniu orszaku carskiego na pokoje. Hrabianka pół życia dałaby za to, żeby znaleźć się zdala od tego zgiełku, wśród głuszy puszczy, otaczających jej dom rodzinny.

Ale sama czuła, że to było niemożliwe. Silniej jeszcze od obowiązków towarzyskich trzymał ją tu wszechmożny nakaz ducha, zniewalający iść naprzeciw niebezpieczeństwu i śmiało w oczy mu patrzeć...

Wcisnęła się w najustronniejszy kącik salonu, i udając ból głowy, nie przyjmowała udziału w rozmowie.

Tuman, rozpostarty pomiędzy nią a carem, cokolwiek zrzędził — może dzięki wspaniałemu oświeceniu salonu — dotąd jednak »tyran Północy« był dla niej tylko mglistą, rozplywającą się sylwetą.

Nie rozumiała też toczącej się w salonie rozmowy. Głosy rozmawiających stapiały się w szum niewyraźny, w którym oddzielne słowa całkowicie ginęły. Ten szum wydawał się jej złowrogim, napełniał ją niepokojem i lękiem.

Tymczasem car, widząc, że hrabia Morykoni, z wysiłkiem podniósłszy się z fotelu, sunie ku niemu, ubrany w mundur maltański, ze wstęgą Orła białego, przyspieszył kroku, i podawszy choremu ramię, odprowadził go na poprzednie miejsce.

— Jeśli chcesz, hrabio, mieć mnie u siebie — mówił, sadzając go i poduszkami obstawiając — to nie krępuj się ani trochę moją obecnością. Jeśli choro-
roba czyni ci przykrem przebywanie w towarzystwie

i noszenie stroju ceremonialnego, zrzucić go i powrócić do łóżka.

W salonie carowi towarzyszył tylko wielki marszałek dworu, hrabia Tolstoj. Hrabianka dostrzegając wyraźnie tego okazalego, orderami obwieszonego dygnitarza; on również budził w niej uczucie strachu i niechęci. Nie rozróżniała słów rozmowy, lecz była pewna, że ona technicznie zajadła nienawiścią do wszystkiego, co dla niej święte.

— Z pewnością — myślała — i car i jego służba najpierwszy się na bezczeszczenie i obryzgiwanie jadem ideałów, za które ja życie oddać gotowam.

W tej chwili hrabina Morykoni, katarem od kilku dni dręczona, nie mogła powstrzymać kichnięcia. Zrazem potem kaszlać zaczęła.

Te głosy, tak bardzo pospolite, zbudziły i do rzeczywistości przywołały hrabiankę Maryę. Dojrzała, że hrabia Tolstoj i jakiś drugi piękny i ugrzeczniony oficer pochylają się do jego ciotki z twarzami, wyrażającymi najżywsze współczucie, po chwili zaś marszałek wydobywa małe, emaliowane pudełeczko i otworzywszy je, podsuwa ruchem uprzejmym hrabinie.

Hrabianka dosłyszała też dyalog, jaki się przy tej sposobności zawiązał.

Hrabia Tolstoj. Proszę wyświadczyć mi zaszczyt skosztowania tych pastylek. Są niezawodnym środkiem na kaszel.

Hrabina Morykoni (z uprzejmym dygiem, zanurzając palce w pudełeczku). Hrabia wzruszasz mnie swą grzecznością. Jakże mam ci za nią dziękować?

Piękny oficer (śmiejąc się głośno). Strzeż

się, hrabino! Mój marszałek dworu niejednego już zgubił. Trudni się pokątnem leczeniem i będzie miał nawet wytoczoną o to sprawę karną.

Hrabia Tolstoj. Ucieknę się wówczas pod opiekę matki waszego wieliczeństwa, która zaświadczy, że ja swymi pastylkami z kaszlu wyleczyłem... Dyalog skończył się ogólnym śmiechem.

Hrabianka Marya oczom i uszom swym wierzyć nie chciała. Ten głos łagodny, te słowa żartobliwe, banalne... To wszystko snem jest chyba... A w tym śnie demon ironii urąga jej bezmyślnymi żartami.

Potem mówiła coś druga ciotka hrabianki, wdowa po generale. Jej słów nie dosłyszała hrabianka, uderzył ją jednak, zadziwił i przeraził wyraz oczu mówiącej. Były to oczy osoby, ogarnionej ekstazą religijną; z takimi oczami staje człowiek głęboko wierzący przed cudownym wizerunkiem bóstwa. Utkwione były te oczy w jeden punkt: w oblicze pięknego oficera.

Spojrzała w ten punkt i hrabianka. Och! nie ciągnęło jej tam żadne uczucie poważne: była tylko posłuszna zwykłej kobiecej ciekawości. Chciała po prostu przyjrzeć się »pięknemu oficerowi«.

W tej chwili, niewiadomo skąd, przypomniawszy się jej dawno słyszane słowa: »grecki bóg«...

— Nie! — pomyślała — greckim bogiem nie jest — znać jednak, że był... W tych złocistych, rzadniejących włosach świecą już gdzieś srebrne nici; ciało nie ma już giętkiej smukłości efeby; cała postać lekko się pochyla, jak drzewo nazbyt wybujałe. Ale jak dziwnie promienieje ta twarz okrą-

gła o blado-niebieskich oczach... Rozjaśnia ją tak uśmiech dobrotliwy, uśmiech, zniewalający serca, uśmiech »czarujący«...

Wstrząsnęła się hrabianka, jak człowiek, nagle ze snu zbudzony. Skąd jej takie myśli, takie spostrzeżenia? I to, co widzi, nie rzeczywistością być musi, lecz majakiem. Mimo pozorów wytrzeźwienia, śpi widać jeszcze.

Nie! nie śpi. Inaczej, czyżby słyszała fortepianową przegrywkę, szelest nut rozkładanych na pulpicie, i ten sam głos greckiego boga, który się uczył pięknym oficerem:

— Błagam panią, zapomnij, że przed tobą stoi cesarz...

Po chwili rozległ się śpiew. Śpiewała hrabianka Dorota. Poważne tony arii *Ombra adorata*, z początku nieśmiało i drżące, potem mocne i pewne siebie, przepłynęły przez salon, napelniając go kościelną prawie solennością. Przy fortepianie stał piękny oficer w ugrzecznionej postawie młodego gwardzisty i przed śpiewającą nuty przewracał.

Po skończonym śpiewie, coś do hrabianki mówiono i ona coś odpowiadała, ale kto mówił i jaka była treść rozmowy, to już dla niej na zawsze miało pozostać tajemnicą.

Od tej chwili hrabiankę pozostawiono w spokoju. Trwał on długo, lecz nie miał trwać ciągle. I znów słyszała gwar bliskich głosów, i niesiona prawie bezwolnie przez falę współbiesiadników, znalazła się przy wielkim stole z bogatą zastawą, błyszczącą srebrem, kryształami, kwiatami.

Natrętny, prześladowający ją a zawsze miły i uprzejmy głos, gdzieś blisko hrabianki, mówił:

— Racz, hrabino, zająć miejsce pierwsze. A mnie pozwól się gdziekolwiek i być prostym śmiertelnikiem. W tej tylko roli bywam szczęśliwy.

Hrabina miała zasadę nie dać się nikomu w grzeczności prześcignąć.

Kłaniając się nisko, odparła:

— Każde miejsce, które zajmie wasza cesarska mość, będzie miejscem pierwszym.

Gdy ustał loskot przesuwanych krzeseł, hrabianka Marya ujrzała się przy stole, w gronie strojnych dam i wojskowych dygnitarzy. Obok niej siedział książę Wolkonskij i hrabianka Dorota, której bliskość dodała jej śmiałości. Opuściła ją wszakże odrazu śmiałość, gdy oczy podniósłszy, ujrzała na przeciw siebie — cara.

Na chwilę poprzednia mgła wzrok jej zaćmiła. I wydało się jej, że w tej mgle widzi rzeczywistego »tyrana Północy« — postać kolosalną, straszną, sfinksową, przygniatającą ogromem i ciężkością granitowej skały. Chwycił ją strach niewymowny, uczuła zimno w krzyżu i pod czaszką — chciała krzyknąć i rzucić się, lecz wysunąwszy przed siebie ręce, zatrzepotała tylko niemi w powietrzu i zesunęła się z krzesła — zemdlona.

Odzyskawszy przytomność, omal jej natychmiast po raz drugi nie straciła. Głowa jej spoczywała na ramieniu pięknego oficera, który, przyklękawszy, jedną ręką podtrzymywał ją, drugą podsuwał jej flakonik z solą trzeźwiącą. Stały dokoła

niej i inne osoby, ona wszakże tylko jego jednego widziała.

Chciała wyrwać się i uciekać, lecz przytrzymał ją w miejscu znany już jej miły, dobry głos, mówiący pòlszeptem:

— Lepiej ci już, hrabianko?... Dzięki Najwyższemu! Jakże nas pani przestraszyłaś... Czyżbym to ja sprowadzić miał to nieszczęście? Byłbym w rozpacz!

Litwinka z Dom-Remy, sojuszniczka księcia Józefa, patriotka, pod straż orłów Napoleońskich lecieć gotowa, zniknęła na chwilę z pośród wytwornego towarzystwa. Zajęła jej miejsce hrabianka, hrabiny Morykoniowej krewna, osoba do najwyższej arystokracji należąca i obowiązków światowych świadoma. Ta ostatnia przywołała na poblądle wargi najpowabniejszy ze swych uśmiechów, pięknemu oficerowi za jego uprzejmość zapłaciła wyszukany francuskim frazesem.

Na tem skończył się ten epizod, po którym wszystko do poprzedniego trybu wróciło. Przyczyniła się do tego i hrabianka Marya, poczytawszy również za obowiązek osoby światowej, własną słabością nie przeszkadzać cudzej zabawie. W tym celu, przywdziawszy przed chwilą maskę salonową, postanowiła już do końca jej nie zrzucić.

Przy wieczery nastrój panował przyjemny, obustronnie uprzejmy i ugrzecziony. Czyż mogło być inaczej?

Car siedział pomiędzy damami, mając z jednej strony hrabinę Morykoniową, z drugiej jej siostrę.

Hrabia, korzystając z »najwyższego« pozwolenia, powrócił do łóżka.

Z hrabianką Maryą dziwnie dziać się zaczęło. Jakby w trans zapadłszy, zgola automatycznie mówiła i postępowała.

Wszystko już teraz wydawało się jej naturalnem: i to, że siedzi naprzeciw Cara, i to, że jej ciotka wpatruje się w monarchę rozmodlonemi oczyma, i to, że »tyran Północy«, przedzierzgniony w wykwintnego *cavaliere servante*, usługuje swym sąsiadkom, napęlniając ich kieliszki to szambertynem, to znów tokajem, który wychwala niby po polsku:

— *Dobro starowino, sławno starowino...*

Miły nastrój biesiady zmącił dziwny szmer i szelest, podobne do chłostania różgami wielkich szyb pałacowych. Nagłą zawieją śnieżną przypomniła się zima, która według kalendarza dawno już odejść była powinna.

Choć w wytwornej jadalni było aż nadto ciepło, ten i ów wzdrygnął się, jakby chłód poczuwszy.

Hrabia Tolstoj zauważył banalnie, że wiosna spóźnia się, jakby niechętnie zstępowała na ziemię litewską.

Na to ozwał się ktoś świeżym, dziewczęcym głosem:

— Tem dziwniejsze to, że Litwa powinna by okryć się dziś kwieciami — na przyjęcie swego młodego monarchy...

— Czyj to głos? — pomyślała hrabianka Marya z niepokojem. Niepokój stał się przerażeniem, gdy dostrzegła, że car pełne wdzięcznego rozczulenia oczy zwraca — na nią.

Zapłonila się silnie, potem zbladła i skamieniała. Litwince z Dom-Remy nie przestawała uragać arystokratka litewska. Postanowiła wyteżyć wolę, aby już nadal nie dopuszczać tej ostatniej do głosu.

Rozmowa przy stole dotykała różnych przedmiotów — zawsze w sposób delikatny i dla wszystkich przyjemny. Jeśli car był ogniskiem rozmowy, to z tego ogniska ciepło i jasne promienie rozchodziły się na wszystkich.

Była jednak w rozmowie i w całym nastroju zebrania pewna niepokojąca osobliwość. Nie dotykano, jakby rozmyślnie, tego, co przepełniało serca wszystkich, co cisnęło się nieustannie na usta — co naksztalt olbrzymiego, złowrogiego widma unosiło się w powietrzu. Nie rozmawiano o wojnie.

I tu, jak w Paryżu i całej Europie, zdawali się ludzie ulegać jakiemuś czarowi, który pętał języki, kłamać kazał słowom, spojrzeniom, uśmiechom.

Była jednak chwila, gdy wzbierająca w umysłach fala omal nie zerwała krępujących ją zapor.

Rozmawiano o życiu wiejskiem i miejskiem. Car zwrócił się do hrabiny Morykoniowej z zapytaniem: czy często odwiedza miasto?

— Dawniej — odrzekła hrabina — każdą zimę spędzaliśmy w Wilnie, lub za granicą.

— A teraz?... — podjął ciekawie, domysłając się niedomówienia.

— Teraz, najjaśniejszy panie — z lekkim westchnieniem dokończyła hrabina — oszczędzać się musimy. Pora jest niespokojna, czasy dla wszystkich ciężkie.

Białe czoło Aleksandra spochmurniało.

— Obawiać się można, że wkrótce będą cięższe jeszcze — szepnął, oczy spuszczaając.

Wszyscy spoważnieli. Nastąpiła cisza, w której bystrzejsze ucho dosłyszałoby może przyspieszone bicie serc. Oczekiwano jakichś wynurzeń, słów, choćby powściągliwych, lecz rzucających nieco światła w straszne dla wszystkich mroki.

Oczekiwania zawiodły.

Na okrągłe oblicze cara powrócił spokój. Błękitne oczy zaczęły łagodniej spoglądać, kształtne usta uprzejmie się uśmiechały. Z mgieł wychyliła się nieodgadniona twarz Sfinksa.

Jedno tylko zdanie uronił Sfinks — jakby dla przelania własnego spokoju w serca współbiesiadników.

— Mam jednak nadzieję, że jeszcze wszystko pomyślnie się ułoży...

I znów potoczyła się rozmowa poprzednim torem — rozweselona żartami, rozjaśniana uprzejmością monarchy, przy którym nabierali wszyscy śmiałości i swobody. Życzenie cara spełniło się: był przy stole najzwyczajszym śmiertelnikiem. Pozwalano sobie nawet niewinnych z niego żartów.

Car, uśmiechniętymi oczami wskazał damom księcia Wołkońskiego, smacznie zającącego pieczoną indyczkę.

— Przypatrzcie się panie — półgłosem rzekł — temu obżartuchowi. Zmiata z talerzy, jakby dziś nie jadł obiadu...

Na to książę głosem płaczliwym:

— U jego wieliczewstwa, gdy człowiek o je-

denastej przed południem zje kawałatko kury i jedno jajko, nazywa się, że — obiadował.

Hrabia Tolstoj pośpieszył z pomocą towarzyszowi.

— Jego wieliczeństwo nie lubi jeść, ani na jeżdżących patrzeć. Gdy wyrusza w podróż, nie pozwala brać żadnych na drogę zapasów. Gdy przeto zdarzy się ta nadzwyczajność, że raczy mieć apetyt, ja muszę biegać od domu do domu, żebrząc tu o kawałek chleba, tam o parę jajek, owdzie o odrobinę masła. Dopiero, gdy się dorwie do cudzego, pałaszuje za czterech. Kto nie wierzy, niech się przypatrzy.

Rozumie się, że nikt na monarchę oczu nie podniósł, i żart wielkiego ochmistrza wysłuchany został w milczeniu.

I baraszkowano tak długo jeszcze przy porcelanowej i srebrnej zastawie, wśród kwiatów, światel, brzęku kryształów i częstych, choć powściągliwych, wybuchów wesołego śmiechu, którym towarzyszył monotony szum zawiei. Ten, komuby nie nazwano uczestników biesiady, sądziłby, że to grono ludzi jednego stanu, jednej narodowości, jednych myśli, przekonań i dążeń.

Hrabianka Marya była tylko uchem, które słyszy, i okiem, które dostrzega.

Wrażenia zmysłowe uświadamiała sobie — rozbierać ich i oceniać nie była w stanie. Odkładała to na później.

Podniósł się wreszcie car, za nim inni. Długo trwał zamęt ukłonów, podziękowań, usprawiedliwiania się, zapewnień pamięci. Gdy się ta powszednia salonowa komedia skończyła, Aleksander zwrócił się do gospodyni domu i jej rodziny z pożegnaniem. Śpieszył

do Wilna, wyjechać miał nazajutrz o wczesnym ranku.

Na sypialnię dla monarchy przerobiono tak zwany »pokój bilardowy«. Łóżko i meble ustawiono proste, gdyż kamerdyner carski uprzedził, że jego pan tylko takie lubi.

Całe towarzystwo odprowadziło gościa do drzwi sypialni. Tam on zwrócił się do gospodyni domu i rzekł:

— Nie zaprzeczysz, hrabino, że byłem gościem posłusznym. Spełniłem wszystko, czego odemnie żądano; nawet wbrew zwyczajowi, siadłem z innymi do wieczerzy. Zkolei niech i mnie będzie wolno wystąpić z prośbą. Proszę cię, hrabino, żebyś jutro nie trudziła się i innym trudzić się nie pozwoliła rannem wstawaniem, i żeby pozwolono mi odjechać stąd bez budzenia nikogo.

Przy tych słowach skłonił się wszystkim głęboko i zniknął we drzwiach pokoju, do którego wprowadził go hrabia Tolstoj.

Towarzystwo wróciło do salonu i w tejże chwili wśród kobiet wszczął się gwar opozycyjny. Ani myśleć nie chciano o tem, żeby gość miał odjechać nie pożegnany przy samych stopniach pojazdu. Sprzeciwiałoby się to tradycjom szlacheckiej, polsko-litewskiej gościnności, wywracałoby cały porządek ceremoniału, w pałacu Morykonich obowiązujące.

Chodziło jednak o pozwolenie cara. Wysłano doń, w imieniu dam, delegację. Skutek był nieoczekiwany: zjawił się car we własnej osobie. Prosił, przekładał, tysiące argumentów przytaczał, żeby od powziętego zamiaru odstąpiono. Ale gdy car żarto-

bliwie zauważył, iż podobny niewywczaś znosić mogą tylko wojskowi, hrabianka Dorota, salutując dwoma palcami, zawołała:

— Zaręczamy ci, najjaśniejszy panie, że staniemy do apelu prędzej i składniej, niż twoje wojska pod Wilkomierzem!

Car ustąpił. Powiódł pełnem wdzięczności spojrzeniem po całym gronie; potem, przystępując kolejno do każdej z dam, silnie dłoń jej uściśnął.

Odszedł — i jeszcze raz powrócił, aby pożegnać chorego hrabiego. Ucałował go serdecznie w oba policzki, i przykazał surowo, żeby nazajutrz rano ze swego pokoju nie wychodził.

Mimo późnej godziny, hrabina i jej domownicy nie śpieszyli z udaniem się na spoczynek. Kobiety, podniecone wrażeniami tego wieczoru, myśleć o śnie nie mogły. Co chwila to ta, to inna powtarzała zapamiętane słowo cara, przypominała jego gest i wyraz twarzy. Gdy wreszcie zmogło je znużenie, rzuciły się na pościel w ubraniu, przykazując służbie, żeby je o czwartej rano zbudziła.

Hrabianka Marya w paplaninie swych towarzyszek udziału nie brała. Zasunięta w głęboki fotel, z przymkniętymi oczyma, z głową na ręku wspartą, zdawała się śpiąca — sen jednak był od niej daleki. Nie wyszła jeszcze z odurzenia, czuła też, że nie prędko jasność myśli odzyska. W ten sposób upłynęła jej reszta nocy.

O świcie przybyły garderobiane, zjawił się stary służący hrabiny. Okazało się, że i służba noc spędziła bezsennie.

Kamerdynier pałacowy przynosił wieści od ka-

merdynera carskiego. Okazało się, że są współpowiernikami — a że obaj też butelczyną nie gardzili, więc przy kieliszku i gawędzie noc prędko im zbiegła. Do kompanii należał krawiec dworski, który przygotowywał carowi ubranie na dzień następny.

Dowiedziały się damy, że jego carska mość, odrzuciwszy poduszki puchowe, kazał sobie podać jaśka i poduszkę, sianem wypchaną, na których zawsze sypiał i które w drogę brał ze sobą. Obudzić go musiano o oznaczonej nie tylko godzinie, lecz i minucie, i biada byłoby słuzącemu, któryby się choć o ułamek czasu ze spełnieniem rozkazu spóźnił.

Damy ubrały się i przystroili z możliwym pośpiechem, który im wszakże blisko dwie godziny zajął. Przed samą szóstą zgromadziły się w salonie, przylegającym do pokojów carskich. Ustawiwszy się w półkole, czekały na wyjście gościa.

W ściśle oznaczonym czasie służba otworzyła na całą szerz podwoje. Ukazał się car... Wyglądał wspaniale, i, mimo lat trzydziestu pięciu, prawie młodzieńczo — białoróżowy, świeży i, jak zawsze, czarująco uśmiechnięty.

Z ust jego posypały się zaraz uprzejme wymówki i strofowania: że panie do życzeń jego zastosować się nie chciały, że zdrowia nie szanują, że on na sumieniu mieć je będzie...

Śniadanie było już zastawione z całym, mimo wczesnej godziny, przepychem. Car, opięty, wyprostowany siadł na brzeжку krzesła i przedewszystkiem poprosił, aby mu pozwolono pić jego własną herbatę, którą kamerdynier dworski już wcześniej naparzył. Dowiedziały się później ciekawe damy, że to był wy-

borowy gatunek, umyślnie z Kiachty sprowadzany i placony po 25 rubli za funt.

Krótko trwał ranny posilek. Niebawem zaszły przed pałac dworskie pojazdy. Car, spojrzawszy na maleńki zegarek, porwał się z miejsca, jak podrzucony sprężyną. Mimo oporu z jego strony, wszystkie damy wyszły przed ganek, aby towarzyszyć gościowi do samego odjazdu.

Gibkim, sprężystym ruchem młodego gwardzysty wskoczył car do swej kolaski, posłał ostatni czarujący uśmiech kobietom, poczem konie go uniosły i zniknął w różowych mgłach wiosennego poranku.

Kończąc przerwane śniadanie, w dalszym ciągu dzieliło się towarzystwo pałacowe swemi wrażeniami i uwagami. Słuchała ich w milczeniu i z zupełną na pozór apatią hrabianka Marya. Przywłókł się do stołu na szczudłach i sparaliżowany hrabia. On również o niezwykłym gościu mówił dużo, w sądach wszakże był powściągliwy i entuzjazmu nie objawiał.

Upłynęło zaledwie pół godziny od odjazdu cara, gdy w pałacu zjawił się miejscowy proboszcz, okrągluchny i jak jabłko rumiany staruszek, który miał zawsze na ustach jowialny uśmiech i figlarnie zmrużone oczy. W tej jednak chwili nie był podobny do siebie. Twarz jego była poważna, uroczysta, nosiła wyraz świątobliwego przerażenia. Mimo dnia chłodnego był zgrzany, rozcierwieniony i kraciastą chustką spocone czoło ocierał. Musiał biedz prędko z jakąś ważną a niezwykłą nowiną.

— Ach! Panno Anielska! Ach, jaśnie wielmożni kolatorowie moi! — prędko mówił zdyszany. — Osobliwość mnie dziś spotkała, o jakiej przez wiek swój

cały nie myślałem. Szczypię się, Panno Anielska, to w ucho, to w nos, żeby wykalkulować: czylim wypadkiem nie spał i rzecz owa mnie się nie przyśniła?...

— Kawy, księżę proboszczu?... sucharków?... — zapraszała hrabina, podsuwając gościowi filiżankę, koszyk z ciastem i usiłując wzruszonego kapłana uspokoić.

Ale on nie przestawał chustką machać, czoła marszczyć, brwi zsuwać i rozsuwać.

— Co tam kawa! co tam sucharki!... Tu idzie o rzecz wielką, większą, niż ten pałac — nie ujmując pałacowi i jaśnie wielmożnym kolatorom moim... Wszakże to, Panno Anielska, świat się do góry nogami przewraca. Bo czy słyszał kto kiedy, żeby taka potencja, taka *majestas*, takie ziemskiej mocy najwyższe wcielenie... Ach, Panno Anielska — dotąd mi w głowie kołuje! Odkąd na nogi wzrosłem...

— Wykrztuśże raz nareszcie, miły proboszczu, swą nadzwyczajność — wtrącił zniecierpliwiony hrabia. — Toć widzisz, że kobietom z ciekawości oczy na wierzch wychodzą.

— Ano powiem — choć to nie łatwo... Ach, Panno Anielska, jak niełatwo... Bo gdyby tu chodziło o mnie, lub choćby — nie ujmując należnego honoru — o jaśnie wielmożnych państwa... Ale rzecz idzie o taką personę, co to nawet strach pomyśleć... Wszelako, jak mus, to mus. Jaśnie państwo kazali, więc powiem. Krótko powiem, prawdziwie powiem. Najjaśniejszy imperator mnie, niego-

dnego sługę Chrystusa — w łapę cmoknął. Ratuju, Panno Anielska!

Zdumienie było ogólne. Zażądano natarczywie szczegółów.

Proboszcz, jakby przerażony uczynionem wyznaniem, płacząc się w słowach i zająkując, opowiedział, co i jak się stało. Dowiedziawszy się, że car ma przejeżdżać, ksiądz uważał za obowiązek ubrać się pontyfikalnie i z krzyżem w ręce, w otoczeniu służby kościelnej, na drogę, naprzeciw monarchy wyjść. Car, ujrzawszy zbliżający się orszak, zatrzymał konie, wyskoczył z kolaski, i z odkrytą głową, wzięwszy krzyż od księdza, nabożnie do piersi go przycisnął. Proboszcz, przyjmując krzyż z powrotem, chciał cara pocałować w rękę, on zaś wówczas, swoją rękę usuwając, na rękę księdza pocałunek złożył...

Staruszek przy opowiadaniu jak mysz się spocił, a oczy miał tak wystraszone i w twarzy taki wyraz zdumienia, że litość obudzał.

— Panno Anielska!... — żegnając się powtarzał — tylem lat przeżył, a nigdy nawet pomyślenia o czemś takim nie miał. Bo gdyby jeszcze nasz... Ale on przecież innej jest wiary, do innego należy kościoła!

Hrabiankę Maryę opowieść proboszcza z drzemki wyrwała. Każdy wydatniejszy szczegół rozżarzał w jej oczach blaski gorące, na twarz rumieńce sprowadzał. I gdy wszyscy, po odejściu księdza udali się na długie, do zmierzchu trwać mający spoczynek, ona w swym pokoju, wytrzeźwiona i czuwająca, z myślami swemi długie toczyła boje.

Minęło już południe, gdy z roz pogodzonego nieba

strzelił promień słońca — jasnym grotem w oczy ją uderzył.

Wzdrygnęła się, dłoń do czoła podniosła, i z roz pogodzoną twarzą człowieka, który rozwiązał nareszcie trudne zagadnienie, zawołała:

— Znalazłam! Kto potrzebuje Litwy, temu i Litwini potrzebni!...

ROZDZIAŁ V.

CAR SIĘ BAWI.

Car przybył do Wilna.

Poco przybył?

Różnie ten fakt objaśniano — żadne objaśnienie krytyki wytrzymać nie mogło.

Cokolwiekby, każdy mniemał i miał prawo mniemać, że przyjazd Cara pozostaje w związku z zagrażającą Rosyi wojną. Tylko z »zagrażającą« — choć to już bowiem był maj 1812 roku, nikt jeszcze wojny za sprawę realną nie poczytywał.

Tylko w najwyższych kołach zajmowano się tem poważnie. Poważnie, ale dorywczo i jakby bez głębszej wiary w potrzebę tego zajęcia.

Odbływały się narady starych generałów, doświadczonych wodzów, wytrawnych strategików — nie one jednak pozytywnego nie przynosiły. Spierano się o szczegóły, w grę wchodziły podrażnione ambicje i osobiste, samolubne wyrachowania — nikt nie był przejęty wielkością sprawy i nikt się podobno wielkości jej nie domyślał. Do obrad należał mocno już wiekiem pochylony i zawsze jakby napół zdrze-

mnięty Kutuzow. Traktowano go z pobłażliwym lekceważeniem; on też prawie wcale głosu nie zabierał.

Ostateczny wynik narad był prawie nijaki. Naszkicowano kilka, może kilkanaście planów pogotowia wojennego i obrony kraju. Żaden nie okazał się dość praktyczny, żaden wiary nie budził w nikim — nawet w swych twórcach.

Początkowo, gdy jeszcze plany Aleksandra nie uległy zupełnemu rozbiciu, wojska rosyjskie kierowano zewsząd ku granicy Księstwa Warszawskiego. Był to pochód napół tajemny, dość zręcznie maskowany, obudził wszakże czujność księcia Józefa, który uważał za obowiązek donieść o nim Napoleonowi. Pochód wstrzymano — zresztą stracił on rację bytu z chwilą, gdy po ostatnim dyalogu księcia Józefa z księciem Adamem, Księstwo miejscem akcji wojennej stać się już nie mogło.

Teraz największe siły wojenne ściągano na Litwę, wysyłano ku Niemnowi. Wilno było przepelnione zapasami amunicji, żywności, furazu, wszelkich potrzeb wojennych. Można było mniemać, że tu właśnie nastąpi decydujące starcie się olbrzymów, że pod tym starym grodem Gedymina, lub w samym grodzie, jeden drugiemu granitową stopę na karku postawi...

Ale te wszystkie nadzwyczajne przygotowania, te magazyny, z ogromnym nakładem napelniane, te liczne pułki w różnych punktach Litwy, z bronią do strzału gotową na hasło czekające, miały niebezpieczną przeciwwagę w myśli cara:

— Mam nadzieję, że się to jeszcze jakoś ułoży...

Ta myśl, ujawniająca się we wszystkim, co

Aleksander mówił i czynił, udzielała się jego otoczeniu, promieniowała na całe społeczeństwo.

W Petersburgu, w sferach dworskich i dworu najbliższych, nie wiele czyniono sobie z zaostrażającego się coraz bardziej sporu z Napoleonem. Uważany on był przeważnie za zwykłą sprzeczkę dyplomatyczną, którą noty ministrów prędzej lub później załagodzą. Gdyby nawet przyjąć miało do wymiany strzałów, to ta pukanina, dość w owych czasach częsta, na szalach historyi nie wiele zaważy.

Car nie chciał wojny — co jest zupełnie zrozumiałe. O wiele mniej zrozumiałem było, że się wojny nie obawiał. I całe zachowanie się cara było do wytłomaczenia trudne. Może być zresztą, że on sam, na ścisły egzamin wzięty, wytłomaczyłby go nie potrafił.

W Wilnie, tak samo jak w Petersburgu, panował nastrój pogodny i prawie wesoły; zdawało się, że nikt nie zdaje sobie sprawy z położenia, które nie było ani wesołe, ani pogodne. Ulicami, od rana do późnej nocy toczyły się powozy odkryte i karety; przebiegały z szybkością błyskawiczną, z krótkimi, jakby rwanymi krzykami: »na bok!« lub »bieregiś!« Kolarzki, zaprężone w pojedynkę, dwójkę lub trójkę, przełykały błyskawicznie; strojni, piękni, ugrzecznieni oficerowie przejeżdżali na okazałych wierzchowcach, gnąc się na siodle i przesyłając ukłony stojącym na balkonach damom. Niemal codziennie odbywały się publiczne i prywatne zabawy. Obchodzono dziwny, hulaszczy, nigdy tu dotąd nie widywany, karnawał wiosenny. Była w tem wszystkim jakaś niepojęta, pra-

wie dyonizyjska zapamiętałość, upodabniająca ciche zwykle Wilno do szalejącego za cesarstwa Paryża.

Jak tam wszakże, tak i tu, życie pod maską krotochwilną ukrywało surowe, tragicznie namarszczone oblicze. Rzeczywistego nastroju Litwy szukać należało nie w Wilnie, a przynajmniej nie na jego głównych ulicach i w wielkopańskich pałacach. On tał się po zaułkach i przedmieściach, wśród miasteczek i małych zaścianków.

Na zabawach rażąco uderzał brak młodzieży. Rolę tancerzów i bawidamków pełnili niemal wyłącznie oficerowie rosyjscy. Przesadnie błyszczące, prawdziwie bizantyjskie tło zabaw tworzyły bogate, szlifami, szarfami, akselbantami i orderami zawieszane mundury. Mieszczanie mówili, że to są »rządowe, wojenne, cesarsko-rosyjskie bale«.

W początkach, car, dziwiąc się brakowi miejscowej młodzieży, dopytywał ojców o synów, siostry o braci... Odpowiedzi były niejasne, zdradzały pomieszczenie i nieszczerłość. Car dopytywać przestał. Za to do Litwinów i Litwinek tem czarowniej się uśmiechał.

Młodzieży nie było, gdyż gęściej jeszcze, niż przed laty pięciu, przemykała się do Księstwa. Czarujący uśmiech na nią nie działał. Jak wszyscy, pod znakiem Orła i Pogoni skupieni, porwana została rozchwianami kręgami maelstromu, którego ogniskiem był Napoleon.

Niemало tej młodzieży służyło w szeregach wojsk carskich. Ta dzieliła się na dwie grupy. Jedna, w pogoni do szlif generalskich, wysokich urzędów i gwiazd orderowych, wszystko inne z przed oczu straciła; druga czekała tylko na chwilę, gdy

szeregi o tyle się przersedzą, że przez lukę można będzie czmychnąć.

Pobyt cara w Wilnie trwał już blisko miesiąc. W tym czasie ani jedna chmurka nie zasępiła pogodnego na pozór horyzontu. Zdawało się, że ta pogoda trwać będzie wiecznie.

Nader rzadko car dotykał w rozmowie polityki. Można było mniemać, że o niej nie myśli, że uciec od niej, zapomnieć jej pragnie. Gdy konieczność zniewała do poruszenia tej sprawy drażliwej, słowa cara brzmiały ufnie i prawie zawsze jednakowo:

— Nad wszystko miłuję pokój... Dla utrzymania pokoju poniosłem już немало ofiar; gotów jestem ponieść ich więcej... Chciałbym za wszelką cenę obronić naród swój przed niebezpieczeństwem wojny — on już i bez tego dość cierpi... Powziąłem silne postanowienie: nie rozpoczynać kroków wojennych... Reszta w ręku Boga...

Najczęściej kończyły się wynurzenia pocieszającym zwrotem:

— Nie tracę nadziei, że jeszcze wszystko pomyślnie się ułoży.

Aby zbliżyć się więcej i niejako pokumać z wilnianami, car kupił od generała Benningsena Zakret.

— Ot, ja teraz i obywatel wileński... — mawiał potem z dumą i uciechą. — Radzi nieradzi, musicie mnie panowie uważać odtąd za swego...

Stosunki dyplomatyczne z Paryżem trwały. Co dziwniejsze, mimo wszystko, co mówił i czynił Napoleon, nosiły spokojny charakter rozpraw akademickich.

W tym czasie przybył do Wilna jeszcze jeden

wysłaniec Napoleona: hrabia de Narbonne. Cesarz wyprawił go — z Paryża; na odpowiedź czekać miał — w Dreźnie. Ze strony monarchy francuskiego była to ostatnia próba pokojowego zakończenia sporu. Czy szczerą?

Nowy pełnomocnik Napoleona, układny a wytrawny dworak, był rodzajem kameleona, zmieniającego kolor i przybierającego barwy otoczenia. Za Ludwika XVI rojalista, potem rewolucjonista, następnie emigrant, powróciwszy do Paryża za cesarstwa, stał się zagorzałym imperyalistą, i jako generał-adjutant Napoleona, służył mu z tem samem oddaniem się, co swym dawnym panom.

Wygolony, upudrowany, ubielony, nawet urożowany, gnący się w pokłonach, jak sprężyna stalowa, wnosił ze sobą atmosferę wieku minionego, i nierównie odpowiedniejszym był dla Burbonów, niż dla Bonapartych.

Właściwie nic ten poseł nie miał do powiedzenia — i dla tego właśnie wybrany został przez Napoleona. Tylko dworacy, mądrzejsi w tem od Salomona, potrafili nalewać z próżnego.

Przebiegłość i wyrachowanie niezem nie zwalczają się tak łatwo, jak prostota. De Narbonne, stanawszy przed Aleksandrem, spojrzawszy w jego oczy błękitne i spotkawszy się z łagodnym ale wymownym uśmiechem, stracił grunt pod stopami. To, co mówił, było powtarzaniem znanych już carowi ogólników. W zamian usłyszał i od cara znane już dobrze dworowi francuskiemu poglądy i żądania.

Aleksander z wielkim spokojem oznajmił posłowi swą niechęć do wojny oraz gotowość czynienia

ustępstw, któreby jednak jego państwu nie przyniosły szkody materalnej i moralnej. Zamknięciem przemowy było przypomnienie dawnych żądań: wyprowadzenia wojsk francuskich za Ren, zgody z Prusami, usunięcia załogi z Gdańska i przywrócenia handlu z Anglią.

Ton przemowy był w równym stopniu łagodny i stanowczy. Car na chwilę nie przestawał się uśmiechać. Ale było widoczne, że z tym samym uśmiechem wyprowadzić gotów swe wojska w pole.

De Narbonne spróbował kilku dyplomatycznych sofizmatów. Były to puste ładunki, które podrażniły może słuch cara, lecz do duszy nie przeniknęły. Zrozumiał to poseł, zamilkł — może po raz pierwszy w życiu uczuł się zawstydzonym i zmieszanym.

Zaproszono dworaka na obiad do carskiego stołu. Obiad był wykwintny i obfity. Car wiedział, że de Narbonne jest smakoszem; chciał choć tem, nie mogąc czem innem, sprawić mu przyjemność.

Obiady, w których uczestniczą dyplomaci, bywają zawsze do pewnego stopnia dyplomatyczne. Spodziewano się, że i wysłaniec Napoleona odezwie się z czemś, co na szalach polityki zaważy. Więc, gdy otarłszy usta po jakiejś potrawie, zwrócił się do cara z bardzo solennem: *Sire...* — wyteżono uszy, żeby pochwycić, co z ust jego padnie.

— *Sire* — powtórzył wśród ogólnego milczenia — Francya czuje się przez Rosyę zawstydzoną...

— Czem? — spytał car ciekawie. — Rosya nigdy nie dąży do zawstydzania innych.

— Ja wszakże, jako przedstawiający tu Fran-

cyę, z rumieńcem wstydu będę musiał do ojczyzny powrócić. Chyba, że najjaśniejszy pan...

Milczenie stało się jeszcze głębsze. Wszyscy z wyteżeniem końca przemowy czekali.

De Narbonne zwrócił na cara wymowne, pełne rozrzewnienia spojrzenie...

— Chyba, że — z nadzwyczajną powagą dookończył — najjaśniejszy pan odstąpić raczy dworowi naszemu... swego kucharza. Takiego mistrza sztuki kulinarnej Francya w tej chwili nie posiada!

Roześmiał się car, roześmieli się wszyscy — jedni z ulgą, inni z rozczarowaniem.

— Wybacz, panie hrabio, że prośby twej spełnić nie mogę — odrzekł car żartobliwie. — Mój brat, cesarz Francuzów, wszystko w Europie zaanektowawszy, musi Rosyi choć dobrego kucharza pozostawić.

Sądzonem było, że honor wypowiedzenia dyplomatycznego słówka przypadnie w tym razie nie zawodowemu dyplomacie, lecz jego prostodusznym z pozoru gospodarzom.

Gdy przy wetach wszczęła się rozmowa o drogach w Rosyi, de Narbonne wystąpił z pytaniem: którądy jedzie się do Moskwy?

A na to któryś z dygnitarzy wojskowych, wyraził nieco przeciągając:

— Do Moskwy różne są drogi — jest też taka, która wiedzie przez Półtawę...

Zrozumiał dyplomatyczne słówko mistrz dyplomacyi i wypytывaniu dał spokój.

Nazajutrz do posła francuskiego przybyli: hrabia Koczubej i hrabia Nesselrode — z wizytą poże-

gnałą. Zaraz po nich zjawił się kuryer carski z doniesieniem, że na godzinę szóstą wieczorem będą przygotowane dla posła konie pocztowe. De Narbonne zrozumiał, że go wyprawiano, i tegoż dnia Wilno opuścił. Uwodził ze sobą przeświadczenie o wielkim spokoju i nie mniejszej pewności siebie cara, a zarazem o sile jego wojsk i obfitości zapasów. Uwodził także ofiarowaną mu przy pożegnaniu tabakierkę z portretem cara, wysadzoną brylantami.

Sprawozdanie z poselstwa składał swemu monarsze w Dreźnie. Przyjęto je obojętnie; zaledwie go słuchano. Jakkolwiek jeszcze do wypowiedzenia wojny nie przyszło, kość była rzucona.

W tym samym czasie, gdy cesarz wyprawiał swą armię ku Niemnowi, car wysyłał kuryerów do Petersburga, aby gwardya carska przybywała na Litwę.

Nie przeszkadzało to carowi i jego świcie w dalszym ciągu, z zupełną niefrasobliwością, oddawać się zabawom.

Przecudna litewska wiosna, tem cudniejsza w tym roku, że spóźniona, rzuciła na starą Litwę stolicę swe potężne, odmładniające czary. Liczne ogrody w śródmieściu i na dalszych ulicach okryły się wonnem, białem i różowym kwieciem drzew wiśniowych i czeremchowych; roztuliły swe nabrzmiałe pąki szkarłatne, ciemno-krwiste i złotawo-żółte róże. Dziwny, obezwładniający urok wywierało to na wszystkich wrażliwych nerwowców — cóż dziwnego, że poddał mu się i Aleksander, czuły, nerwowy — a i nie stały także — jak kobieta?

Młodość cara kończyła się — kto wie, czy nie

myślał o tem z rozrzuwaniem, nie pragnął wychylić do dna kielicha jej niepowrotnych upojen? Przechwalał może, iż to ostatnia w jego życiu pogodna, rozbłękitniona, widmami krwawych wspomnień nie straszająca wiosna.

Prócz balów tanecznych, na program zabaw weszły teraz: majówki, pikniki, dalsze wycieczki na koniach i łodziach. Car, jako »obywatel wileński«, bratał się z wilnianami, przyjmując ich u siebie i nawzajem ich odwiedzając. Prócz wizyt urzędowych odbywały się prywatne, od przymusu i sztywności wolne. Monarcha wcielał jedno ze swych najmilszych upodobań, i według własnego wyrażenia: stając się prostym śmiertelnikiem, bywał naprawdę szczęśliwym.

Arystokracja litewska prawie nie opuszczała Wilna, grzejąc się w promieniach carskiej uprzejmości i carskiego majestatu. Ale car zdobywał serca tylko starych przedstawicieli rodu oraz kobiet — młodzieży albo wcale nie było, albo od świetności dworskich rozmyślnie stroniła.

Straszne widmo, unoszące się od tyłu miesięcy w powietrzu, przybierało kształty coraz realniejsze, niemal wyczuwalnie dotykało ramion biesiadników, zaglądało im w oczy czarnymi otchłaniami pustych oczodołów. Czasem wśród najweselszej, najgwarniejszej rozmowy, nastawała nagle długa, dziwiąca wszystkich cisza. »Duch przelatywał« — a był to duch zniszczenia, od zarazy morowej straszliwszy. Czasem wieść głucha, mimo czujnych straży przemycana, nadlatując z Drezna, potem z Poznania, Gdańska, Torunia, mroziła serca, przerażała umysły...

Rychło to miało.

— Jeszcze się wszystko jakoś ułoży... — powtarzał car, powtarzali za carem wszyscy przy nim skupieni.

Zresztą, jakże lękać się miano wojny, gdy jej Napoleon dotąd nie wypowiedział?

Więc nie przestawały śmiać się usta, płonąć oczy, szukać uścisków ramiona. A widmu, coraz natarczywszemu, z niechęcią i gniewem mówiono:

— Ustąp! Wszystkie drzwi przed tobą zamknięte. Car się bawi!...

Do Wilna przybyła i hrabianka Marya.

Przybyć musiała.

O! gdyby to od niej tylko zawisło, oileż chętniej zaprzępałaby się wśród swych puszczych rodzimych, na pograniczu »świętej« Żmujdzi, gdzie tak dobrze roić sny wielkie, sny bohaterskie, sny piorunowe...

Tam tylko ta piękna, wysoka, smukła dziewczyna, z Dyany postawą i Dyany obliczem, której nad białym czołem tylko srebrnego półksiężyca brakło, aby śmiertelnych na kolana rzucać — była sobą.

Za litewską wieśniaczkę przebrana, latem w białym samodziale, zimą w borsuczym, krótkim, do ciała przylegającym kożuszką, uganiała pieszo lub na koniu za zwierzem dzikim, naprzemian sforą chartów lub ogarów otoczona. Kochano ją i wielbiono w okolicy, jakby naprawdę, jeśli nie Dyana, to przynajmniej boginką była litewską.

Nie miała matki; ochmistrzyni jej oddawna albo w świat odeszły, albo na łaskawym chlebie, milcząc, w kąciakach siedziały; ojciec, młody jeszcze i ży-

cia łakomy, wyrwał się często do sąsiadów, do miasta gubernialnego, do stolicy. Hrabianka żyła swobodnie, jak wiatr polny; wnikała też jak wiatr do każdej ludzkiej siedziby, czy nią był pałac z marmurowymi w bawialni słupami, czy dworek zaściankowego szlachetki, czy kurna chata napół pogańskiego kmiecia.

Najmilej było hrabiance w sferze średniej, wśród braci szlachty, po zaściankach siedzącej. Nawiedzała często tych krzepkich, zatajonych w sobie, z podelbą patrzących, jak żelazo twardych i jak żelazo nieugiętych junaków, a wmieszana w ten tłum olbrzymów, sama wyniosła, pasem rzemiennym ściśnięta, w obuwiu z wysokimi cholewami, z bystrem czarnych oczu spojrzeniem, wydawała się ich już nie siostrą, lecz — bratem i towarzyszem.

Przybywali nawzajem i panowie bracia do morderczego jej dworu. Przed ognistą czeluścią olbrzymiego komina, w którym z trzaskiem i sykiem kłoda smolna powoli się zwęglała, zasiadali goście pospołu z hrabianką, z jej staremi, na pół ogłuchłemi ciotkami, z gromadą rezydentów, pykających na stronie dym z krótkich, obozowych fajeczek.

Wnoszono gąsior miodu, zielone szklanki, ciasto jakieś — gawęda szła przez cały długi wieczór, do północy czasem, czasem i za północ.

Na tych to zebraniach dusza hrabianki Maryi wykarmiła się, urosła i skrzydeł dostała. Z nich wyniosła ona zbożny kult wspomnień dziejowych i płomienną wizję przyszłości.

Siwi wąsalsie przyspieszali bicie jej serca opowieścią o Kościuszkowskiej »insurrekcyi«, której po-

chód śladami własnej krwi znaczyli; młodszy roztańczyli przed nią rajske obrazy szczęśliwości, panujące w Księstwie, które po dawnemu Koroną zwali. Jedni i drudzy świadomi byli jakiejś wielkiej burzy, która z Zachodu nadciąga, a jest tak silna, że wyróci czarne, osadziste dęby, światło dnia młodzieży leśnej kradnące.

Dusza hrabianki wchłonęła i rozdzierający serce żal za przeszłością i płomienną żądę odrodzenia jej w przyszłości. Z temi uczuciami nie rozstawiała się na chwilę, niosąc je, naksztalt żagwi, w świat: do bliskich dworów i oddalonych pałaców, między rzesze kmieci, chodzących w łapciach i grona arystokratów, według mody paryskiej odzianych.

Nazywano ją dziką, stroniono od niej — lękano się jej nawet potrosze.

Hrabia ojciec był człowiek dobry i miękki, przytem, jako eks-szambelan króla Stanisława Augusta, wykwintu światowego pełny. Współczuł myślom i uczuciom córki, lecz jej formy raziły go i o zgryzotę przyprawiały. Więc, by hrabiankę dzikości nabytej pozbawić, z Dyany lukonośnej i bożyszcza zaścianków w pannę światową przekształcić, wywiózł ją z leśnych ostępów, osadzając naprzemian to w Paryżu u pani Tyszkiewiczowej, swej przyjaciółki dawnej, to u hrabiny Morykoniowej, bliskiej krewnej nieboszczki żony.

Po ostatnim pobycie u ciotek, pilno było hrabiance wracać do swej głuszy. W listach, otrzymywanych od pani referendarzowej, znalazła ważne wieści o Napoleonie i księciu Józefie — podzielić się niemi z zaściankami było nie tylko przyjemnością,

lecz i potrzebą. Prawie jej to nakazywano z Paryża i przez Paryż z Warszawy.

Była już przygotowana do drogi, gdy zaszedł fakt, który wszystkie szyki popsuł, o żal, gniew i niemal o rozpacz przyprawiał...

Car, wywdzięczając się za gościnność, mianował obie hrabianki Morykoniówny, a wraz z niemi i ją — *frejlinami*.

Ojciec hrabianki, wezwany w innych sprawach do Wilna i dopuszczony do stołu carskiego, otrzymał przy wetach, z rąk samego cara, pakiecik dla doręczenia go córce i jej siostrze ciotecznej. W pakieciku znajdowały się trzy brylantowe cyfry cara, które damy dworu na wszystkich publicznych występach obowiązane są nosić przy piersi.

Oprócz hrabianki Maryi i jej krewnych otrzymały w tymże czasie godność frejlin, oraz cyfrę carską panny: Wielhorska, Grabowska i Giedrojcówna.

Ceremoniał wymagał, żeby obdarowane osobistście podziękowały carowi za otrzymany zaszczyt. Obowiązane też były wraz z całym dworem na nabożeństwo, odprawiane w cerkwi w obecności monarchy.

Bunt zawrzał w sercu swobodnego, żadnych wędzideł nieznoszącego puszcza litewskich dziecka. W pierwszej chwili odesłać chciała cyfrę i dyplom, zerwać z całym wielkoświatowym otoczeniem, uciec na Litwę, zaszyć się w puszczy, lub w którymś z najnieodstępniejszych zaścianków, i dawszy nurka głębokiego, nie wypłynąć wcześniej, aż dopiero z orłami napoleońskimi nad Wisłą.

Uprzedzono ją, że sprowadziliby to nieszczęście na jej ojca, braci, bliższą i dalszą rodzinę. Ucierpiałaby też na tem niezawodnie i cała Litwa, znajdującą się, bądź co bądź, w ręku cara i zależna od jego przyjaznych lub nieprzyjaznych uczuć.

Osobiste niebezpieczeństwo nie przeraziłoby czarnookiej Litwinki; przed cudzem — cofnęła się. Przybyła do Wilna, gdzie czekał już na nią ojciec. Jedno spojrzenie, rzucone na córkę, dało poznać hrabiemu, jak wielką czyni ona dla niego ofiarę. Pocałował ją w czoło, uściśnął mocno dłoń, i w milczeniu, samym tylko wzrokiem, wdzięczność głęboką wyraził.

Nazajutrz hrabianka Marya powinność swą spełniła. Nie będąc strojnisią, przywdziała strój, zawczasu przez hrabiego przygotowany. Mówiono, że wyglądała zachwycająco w sukni jedwabnej koloru jabłkowego, czarnymi koronkami pokrytej — jej to było obojętne. Z zupełną apatyą pozwoliła włożyć na głowę wieniec z białych lilij i przypiąć do sukni carską, brylantową cyfrę.

W oznaczonej godzinie stała wraz z towarzyszkami w kaplicy greckiego obrządku, tuż przy drzwiach, wiodących do pokoiów cesarskich. W pobliżu »frejlin« skupili się świeżo mianowani »kamerjunkrowie«. Było ich sześciu — wszyscy ze znanych rodów litewskich, wszyscy ze wzrokiem błyszczącym żądzą dostojeństw, odznaczeń i pieniędzy.

Hrabianka Marya, blada, ze spuszczonej oczyma, wyrażała rezygnację, obojętność lub też chwilowe tylko zatajenie ducha. Wydawała się posągiem, lecz i w tem pozornem skamienieniu była piękna,

piękniejsza może nawet, niż w zwykłych chwilach życia.

Niebawem ukazał się car, zadymił kadzielnice, chór śpiewaków nadwornych wznosił swe uroczyste psalmodye, długowłosi popi w złotogłowach zbliżyli się do ołtarza — rozpoczęło się nabożeństwo.

Nabożeństwa słuchali wszyscy stojąc. Czy stał i car, hrabianka nie wiedziała, poprzysięgła sobie bowiem oczu na niego nie podnieść.

Po nabożeństwie słyszała, że car mówi coś do niej i do innych; widząc, że inne się kłaniają i ona uklon złożyła. Wszystko to było bezwolne, automatyczne.

Postanowienia dotrzymała: car pozostał dla niej niewidzialnym.

Długo jeszcze nie mogła wyjść z odrętwienia. Do obiadu siadła milcząca i zimna — co nawet dało powód ciotce do uwagi:

— Dziś wszystkie potrawy zimne, bo je Mania spojrzeniem swem ostudza...

Hrabia nie obiadował w domu. Zaproszony został do stołu carskiego. Przy obiedzie wielki ochmistrz dworu zwrócił się doń z zapytaniem:

— Czy córka pańska będzie dziś wieczorem w domu? Jego cesarska mość ma zamiar ją odwiedzić. Nie chciałby być gościem natrętnym, lub też przybyć nie w porę.

Hrabia, rozumie się, odrzekł z niskim pokłonem:

— Moja córka, tak samo, jak jej ojciec, każdej chwili, z najwyższą radością gotowi są na przyjęcie łaski, którą ich najjaśniejszy pan zaszczyca.

Hrabianka Marya miała właśnie wyjechać z cio-

tką na spacer i do powozu siadała, gdy jakiś służący w obcej liberyi doręczył jej z ukłonem małą kulkę papierową i zaraz zniknął.

Rozkręciła ciekawie kulkę, którą tworzyły trzy zwinięte razem papierki od cukierków. Na papierkach znajdowały się jakieś wyrazy nakreślone ołówkiem po francusku. Poznała pismo ojca i przeczytała co następuje:

»Imperator zapowiedział wizytę. Bądź przygotowana, lecz tak, aby nie było widocznem, że nią jesteś. Staraj się być miłą i uśmiechniętą. Błagam cię o to w imieniu Litwy i Litwinów«.

Podarła kartki, uprzedziwszy o ich treści ciotkę. Powóz odprawiono i wydano kilka rozporządzeń, dotyczących spodziewanych odwiedzin.

Hrabiankę opanovał gniew. Aby go uśmierzyć, dosiadła wierzchowca, przeleciała galopem drogę do Zakretu i z powrotem.

Żadnych przygotowań nie czyniła. Przywdziała zwykłą wieczorową suknię, przyczesła włosy i siadła z książką w ręce, obojętnie oczekując gościa.

O samej siódmej przyjechał Aleksander. Hrabia powitał go na najniższym stopniu schodów. Hrabianka, w postawie obrzędowej, stała na stopniu najwyższym. I teraz powieki jej były do połowy opuszczone, choć na ustach wykwiłał blady, wymuszony uśmiech.

Car zaczął od wymówek: dlaczego jest przyjmowany ceremonialnie, gdy pragnie najgoręcej, aby widziano w nim tylko starego, dobrego znajomego?

Serdeczny był i dobroduszny. Carskości ani cienia nie czuło się w jego głosie i całem obejściu.

Do świadomości hrabianki tylko głos jego do-

chodził. Postanowiła w dalszym ciągu, przynajmniej dopóki to będzie możliwe, na cara nie patrzeć. Niedługo jej się to udawało.

Car prosił, żeby zajęła miejsce na kanapie. Sam przysunął sobie krzesło i usiadł, stawiając swój angielski kapelusz na podłodze. Do hrabiego, który rozmawiał z nim stojąc, rzekł:

— Jeśli nie usiądziesz, panie hrabio, ja będę musiał wstać.

Z hrabianką rozmawiał o Wilnie, chwalił się swem świeżem obywatelstwem wileńskim, a gdy hrabia zauważył, że zamiast Zakretu, należało kupić piękniejsze odeń Werki, odrzekł:

— Za drogie dla mnie... Ty jednak, hrabio, powinienbyś Werki kupić.

— Dzieci mam.. — westchnął hrabia.

— Właśnie z powodu dzieci. Oddałbyś Werki swej córce, która niemi się zachwyca, i która tam w roli gospodyni domu sama byłaby zachwycająca.

Hrabianka nienawidziła pochlebstw, zwłaszcza dotyczących jej urody. Zwykle pochlebców gromiła spojrzeniem — i teraz, zapominając kogo ma przed sobą, do tej uciekla się broni.

Zgubiło ją to.

Zaledwie spojrzała na cara i spotkała się z jego czystym, przenikliwym wzrokiem, natychmiast ponownie oczy musiała spuścić. Opanowało ją dziwne wzruszenie — doznała uczucia, jakby ją nagle siły opuszczały...

Car tymczasem swym miękkim, romantycznym głosem, głosem jasnowłosego Wertera lub Hermana, mówił:

— Werki dla pani byłyby, czem stylowa rama do obrazu. Zresztą taką samą ramą jest dla niej całe Wilno. I nawet trudno mi wyobrazić sobie panią w innej oprawie...

Przy tych słowach westchnął.

Hrabianka poczuła z przerażeniem, że budzi się w niej ta druga, nieznosna istota, która jej wówczas, przy owej pamiętnej wieczerzy na wsi, tyle udręczeń sprawiła.

Mimo wysiłku, nie mogła tej istoty powstrzymać od zapytania: co znaczy westchnienie?

— Chciałem pani pokazać Petersburg — odpowiedział car przyciszonym, jakby bolejącym głosem. — To miasto ma również swoje piękności. Pokazywać je pani byłoby dla mnie wielkiem szczęściem. Ale teraz widzę, że obraz pogniewałby się pewnie na mnie za wyjęcie go z ram właściwych.

Hrabianka zapłonęła się i zbladła. Widoczne było, że, w wielkiem zakłopotaniu, nie wie co odpowiedzieć.

— Najjaśniejszy panie — pośpieszył jej ojciec z pomocą — pora obecna mniej sprzyja podobnym wycieczkom...

— Tak jest, niezawodnie — przytaknął Aleksander. — To też ja nie miałem na myśli pory obecnej. Gdy jednak niebo się wyjaśni, może prośbę mą raczy pani sobie przypomnieć...

— Największym zaszczytem to dla nas będzie — oświadczył hrabia.

— Największym zaszczytem to dla nas będzie... — powtórzyła, jak echo, hrabianka.

Przeszło godzinę trwały odwiedziny. Rozmowę

podtrzymywał głównie gość, nie zrażając się, że hrabianka odpowiadała pólśłówkami. Przed odjazdem zgodził się na przyjęcie filiżanki herbaty, do której zasiedli wszyscy domownicy.

Car, nie wychodząc i tu z ulubionej roli *cavalieri servante*, wzięwszy z rąk gospodyni mlecznik, wstał z miejsca i wszystkim damom dolewał do filiżanek śmietanki.

Hrabianka odmówiła.

— Pijam herbatę po angielsku — rzekła, filiżankę swą usuwając.

— Lepiej byłoby po polsku... — zauważył z uśmiechem.

Niewiadomo dlaczego zbudziły te słowa we wszystkich ogromną radość. Błyszczącemi wdzięcznością spojrzeniami podziękowano za nie monarsze.

Odjeżdżającego cara posłuszna skinieniu ojca hrabianka odprowadziła na schody. Z nią żegnał się najserdeczniej, jej okazywał największe względy; łatwo można było poznać, że dla niej głównie tu przybył.

Ściskając silnie dłoń pięknej panny i w oczy jej czule patrząc, szepnął:

— Mam nadzieję, że się jeszcze nieraz spotkamy...

Hrabianka nie odrzekła, spuściła tylko oczy.

— Powinnam być teraz bladą jak marmur, żeby go aż przeraziła ta bladość — pomyślała i całą siłę woli w tym kierunku wyteżyła.

A myśląc tak, stanęła cała w płomieniach, jak krzew gorejący.

Car odjechał wśród radosnych okrzyków tłumu, który zgromadził się przed domem, całą ulicę zalegając.

Wesoły, niefrasobliwy nastrój zaczynał już w mieście przenikać od sfer najwyższych do najniższych.

W kilka dni później, cała świta carska, wszyscy oficerowie sztabu generalnego, fligel-adjutanci, generałowie, pułkownicy *in pleno* urządzili kilka nadzwyczajnych, walnych posiedzeń. Przedmiotem długich, ożywionych, chwilami aż burzliwych obrad nie była wojna. Był nim — bal. Radzono nad uczczeniem cara zabawą składkową, któraby swym blaskiem zaćmiła wszystkie dotychczasowe.

Pani Beningsenowa oddała organizatorom do rozporządzenia swą willę w Zakrecie. Była to siedziba romantyczna, przerobiona z dawnego klasztoru Jezuitów, okolona wspaniałym ogrodem, pełnym cieni-
stych szpalerów, malowniczych altan i oranżeryi. Na nieszczęście, sam dom mieszkalny był za szczupły na pomieszczenie tłumu spodziewanych gości. Podziękowano uprzejmej gospodyni za grzeczność i — i szukano czego innego.

Na nowem, nadzwyczajnem, walnem posiedzeniu, gdzie zabierali głos poważni, jeśli nie osiwiiali, to wy-
lysiali w praktyce wojennej dygnitarze, postanowiono wzniesć na użytek balujących oddzielny budynek, i wybrano dlań miejsce na prześlicznej łączce w pobliżu Wilji. Przylegały do tego miejsca rozkoszne kwietniki, obstawione staremi pomarańczowemi drzewami w wazonach. Ten zakątek przeznaczono za-
wczasu dla dam. Budynek miał być wytworny a lekki,

z salą do tańca na piętrze, na drewnianych filarach wspartą.

Powierzono budowę znanemu, uzdolnionemu budowniczemu Szulcowi.

Car dowiedział się o przygotowaniach, które zresztą były przedmiotem rozmów całego miasta.

— Jeśli panowie — zwrócił się do urządzających — spraszacie na tę zabawę kwiat litewskiego towarzystwa, a zwłaszcza najpiękniejsze jego przedstawicielki, to wystąpić należy z czemś takim, co by godne było i ich i nas. Pozwólcie więc i mnie przyłączyć się do składki.

Wydostał sakiewkę, wysypał na stół pięćset imperyalów.

Budynek wznoszono z nadzwyczajnym pośpiechem. Młodzi, rwący się do życia i zabawy gwardziści napędzali flegmatycznego Szulca, nie dając mu chwili wytchnienia.

Budynek był już w trzech czwartych skończony, gdy ojciec hrabianki, przechodząc mimo niego, dojrzał rzecz, która go zaniepokoiła.

— Panie Szulce! — ostrzegł przywołanego architekta. — Te filary są za płytko wkopane — nie utrzymają pomostu...

— Niema obawy, panie hrabio — odrzekł pewny siebie architekt. — Wiązanie dachu wzmocni je. We dwa dni później pomost runął.

Za cud niemal trzeba było poczytywać, że wypadek nie pozbawił życia mnóstwa ludzi. Na szczęście przytrafił się w godzinach południowych, gdy liczni robotnicy zeszli z rusztowania dla spożycia obiadu.

— Nie dla nich to było przygotowane... — mówili półszepem różni ludzie poza sferą dworską i arystokratyczną.

I myśl straszną dopowiadali sobie oczami.

Miasto było wzburzone katastrofą; uderzyła w nie, jak grom. Ale ten grom był raczej grzmo-tem ostrzegawczym, niż piorunem. Ofiar nie widziano, choć je upatrywano. Pomiędzy młodzieżą, wśród rze-mieślników i mieszczan rolnych, krążyły wieści ró-wnie dramatyczne, jak nedorzeczne. Ten wszakże, którego powinny były najbardziej zatrzwożyć, był zu-pelnie spokojny, choć echa fantastycznych opowiadań i do niego dojść musiały.

Katastrofę przypłacił życiem jeden tylko pośre-dni jej sprawca: Szulc. Rzucił się do Wilii w pobliżu miejsca wypadku i utonął.

Na losy zabawy wypadek ani trochę nie wpły-nął. Miejsce Szulca zajął inny architekt, i prześli-czny letni pałacyk, otoczony zielenią i kwiatami, sta-nął w swoim czasie, gotowy na przyjęcie cara i za-proszonych gości.

Pierwszą myślą hrabianki było: wymówić się od uczestnictwa w balu. Sprawa była trudna, możeby jednak kosztem pewnych ofiar dała się przeprowa-dzić. Ale hrabianka z przerażeniem największem spostrzegła, że walczyć musi tym razem nie tylko z ojcem swoim, lecz i z sobą...

Jakaś głucha, bezimienna, sama siebie wsty-dająca siła ciągnęła ją na ową zabawę, ku czci i rozweseleniu cara urządzoną.

Czy tylko cara?

Od pewnego czasu zauważyli wszyscy otacza-

jący hrabiankę, a w końcu dostrzegła i ona sama, że staje się przedmiotem ogólnej ciekawości i — ado-racyi.

Ile razy pokazała się na ulicy pieszo, konno, czy w powozie, spotykała się na każdym kroku z uni-żonymi pokłonami, z oczyma, wyrażającymi zachwyt, z pokornymi, żebrzącymi łaski uśmiechami. Pokazy-wano ją sobie wzrokiem, zwracano na nią pilną uwagę, śledzono nawet jej kroki.

Zaczęło się to od oficerów wyższej rangi, do-stojników, do osoby cara zbliżonych; rozszerzyło się później na całą niemal wojskowość; przeszło wreszcie do dygnitarzy cywilnych, a od nich do całej wy-tworniejszej publiczności.

Była tem zdziwiona i zaniepokojona — w końcu ją to zniecierpliwiło. Nie wyjeżdżała odtąd na miasto inaczej, jak w zamkniętej karecie.

Teraz w duszy jej panowała rozterka. Zmagały się tam dwie moce, już nie tylko przeciwne sobie, lecz i wrogie. Chwilami zrywał się w jej piersi istny huragan, na którego skrzydłach ulecieć chciała jak najdalej od Wilna, zabaw, dworu carskiego i cara. Przycichało to nagle, a wówczas, zamiast wycia bu-rzy, słyszała jakąś przesłodką muzykę harf i fletów, z którą w jeden uroczy akord zlewała się brylantowa pieśń słowika...

Za słowikami przepadała. Dowiedziawszy się, że najpiękniej śpiewają w Zakrecie, jeździła tam nie-mal codziennie późnym wieczorem, żeby nasłuchać się ich do syta.

Samej siebie niepewna, starała się jak najmo-cniej przekonać ojca, że na bal jechać nie może.

— Zobaczycie — mówiła głosem niecierpliwym, nie patrząc na hrabiego i kreśląc coś ołówkiem na dużym arkuszu — zobaczycie, że jeśli nie uda mi się choroby skłamać, to się naprawdę rozchoruję.

Hrabia zwalczał jej upór najmocniejszymi argumentami; od argumentów przeszedł do prośb. Ona zawzięła się. Im bardziej nalegano, tem mocniej w uporze swym trwała.

Znając córkę, i wiedząc, że z nią tym razem do ładu nie trafi, zmienił hrabia przedmiot rozmowy.

— Co rysujesz, *Marie*? — zapytał.

To proste zapytanie nadzwyczaj ją zmieszało. Zmiała papier w ręce, do kieszeni z pośpiechem schowała.

— Nic nie rysuję... — zająkując się, odrzekła. — Kreśliłam coś tak sobie, bez myśli...

Hrabia nie dopytywał.

W rzeczywistości, hrabianka Marya rysowała szkic tuniki, w jakiej pragnęła wystąpić na balu...

Gdy jedna z dwóch istot, na które była teraz rozpolowiona, obmyśliwała plan ucieczki bodaj za Niemen, śladem braci, co się przekradli do armii Księstwa Warszawskiego, druga istota z nadzwyczajną pilnością pracowała nad przygotowaniem balowego stroju.

Właśnie w przededniu powyższej rozmowy zwierzała się swej siostrze, hrabiance Morykoniównie:

— Ty wiesz, *Dorothee*, że we wszystkim lubię być oryginalną. Dowiedziałam się, że większość dam ma przybrać suknie kwiatami — to dla mnie dość, żeby nie mieć na sobie ani jednego kwiatka. Szyją mi tunikę według mego wzoru. Cała z *crêpe de Chine*;

na niej haftowana atłaskiem girlanda z porzeczek. Przy tunice frendzla z tegoż samego białego jedwabiu, co cała suknia. Do tego szeroki pas ze sztucznych pereł, również frendzlą obsyty. Ta ostatnia znakomicie podłuża stan — na czem dużo mi zależało, nie lubię bowiem dzisiejszej mody z wcięciem pod samymi pachami. Gorset sznurowany, na końcu każdego sznurka duża perła formy gruszkowej. Wreszcie kolczyki z prawdziwych pereł i przepaska do włosów z wysokim grzebieniem, wysadzany brylantami.

Zwierzanie zakończyła zwrotem niespodzianym:

— Z tego wszakże nic nie będzie...

— Z czego?

— Z mego stroju i z mojej zabawy.

— Dlaczego?

— Czyż trzeba pytać! Dla żadnej z nas miejsca tam niema. Nasze miejsce gdzieindziej.

— Gdzie?

— Kto nie ma tej drogi w sercu wypisanej, temu daremnie ją wskazywać!

Rozeszły się zadasane.

Na kilka godzin przed balem, jeszcze w sercu hrabianki Maryi toczyła się walka. Nie ustała wówczas nawet, gdy garderobiana na kanapie i na poręczach krzeseł rozłożyła powabny strój balowy i gdy fryzjer gorącym żelazkiem skręcał jej loki, a bujne czarne włosy zaczesując do góry, wpinał w ich węzeł wysoki półkolisty grzebień, błyszczący drogimi kamieniami, jak dyadem królowej.

Jednak, gdy w oznaczonej godzinie zajechała kareta i hrabia, lekko pukając do drzwi zapytał:

Es-tu prête, Marie? — ze środka odpowiadano świeżym, pełnym energii i radości życia głosem: — *Tout-à-fait, mon papa!*

Po chwili para złocistych kasztanów niosła ich szybkim klusem do Zakretu.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, lecz jeszcze nie zaszło. Pogoda była przepyszna — »cesarska« mówili jedni, »królewska« poprawiali inni. Wielki za dnia upał jeszcze dokuczał, tamowały jednak żar słońca małe, różowo-złociste obłoczki, które rozsnuły się przed tarczą słoneczną, podobne girlandzie tańczących amorków.

— Pan Bóg dziś grzeczny dla dam — osądziła jakaś podstarzała piękność, pamiętająca epokę i filozofię Wolteryjską. — Zasłonił ogień swego kominka ekranem w stylu Bouchera.

Cały Zakret, wszystkie ulice ogrodu i malownicze pobrzeże Wilji zappełnił ogromny tłum przybyłej z miasta publiczności. Car Aleksander nigdy nie pozował na groźne bóstwo. Więc i teraz nikomu, przyzwyczajonemu, nie broniono wstępu do miejsca carskiej zabawy. Zdumiewało to tembardziej, że pora była przedwojenna i szef policyi petersburskiej kilkakrotnie ostrzegał cara o przygotowywanych zamachach. Ale carowi przez myśl przejść nie mogło, żeby ktoś mógł nie kochać go, źle mu życzyć — cóż dopiero po życie jego sięgać.

Na obszernym pomoście, po zburzonej galerii pozostałym, w otoczeniu osypanych kwiatem drzew pomarańczowych, zasiadły sproszone na bal damy. Różowa luna zachodu niezwykle a uroczem, bladob Rubinowem światłem oblewała ich twarze i stroje.

Podnosiło to świeżość młodych kobiet; starszym ujmowało lat, dodawało rumieńców. Wszystkie były zadowolone, a ich wesołość udzielała się mężczyznom. Ogród rozbrzmiewał pustymi śmiechami. Strojni sztabowcy, którzy przy rozbawionym carze mieli już czas przesycić się rozrywkami, promienieli radością życia i świeżym zapalem. Jednogłośnie utrzymywano, że ten bal przewyższy świetnością wszystkie poprzednie.

Ostatnie promienie słońca rozpałały ognie czerwone w srebrach i kryształach, któremi zastawiony był długi stół na środku pomostu. Przygotowano na nim wykwinny podwieczorek, czyli, według popularnego wówczas terminu: *gouter fin*.

Car miał przybyć o ósmej. Przed ósmą wszyscy zasiedli przy stole, car bowiem polecił, aby nań nie czekano. Zasiedli, lecz tylko do rozmowy. O samej ósmej cisza zapanowała solenna: ukazał się Aleksander.

W mundurze pułku Siemionowskiego wyglądał wspaniale i — młodzieńczo. Przy jasnoblękitnym, wysokim kołnierzu świeższą jeszcze, niż zwykle, wydawała się jego pełna, białoróżowa twarz, której delikatności i koloru pozazdrościć mogła niejedna kobieta.

Zaśladawszy wpierw, aby nikt z miejsca nie wstawał, zatrzymał się car przy stole, żeby jednym spojrzeniem objąć tę girlandę żywych kwiatów, która go otaczała. Obraz był prześliczny i uśmiech zadowolenia na usta carskie wywołał. Potem każda z dam otrzymała uścisk białej ręki monarchy. Wreszcie zwrócił się car do mężczyzn, najdłuższą rozmową zaszczycając ojca hrabianki Maryi. Nie była zresztą ta roz-

mowa dłuższa od tej, którą mimochodem zawiązał z hrabianką.

Car zajął swe miejsce i zaraz służba roznosić zaczęła potrawy, napełniać kieliszki. Świeże powietrze dodawało apetytu, a i *menu* było wysmienite. Rozpostarł się już wczesny, przejrzysty półmrok, gdy jeszcze ucztowano.

Hrabianka Marya wzdragala się jeść, poprzestając na cukrach i owocach. Ale nie mogła się wymówić od wypicia kilku kieliszków wina, które jej sam car nalewał. I zagnała, jej dotąd posępne i opuszczone oczy podniosły się, poweselały, czarną błyskawicą strzeliły. Świat wydał się jej piękniejszym, życie pełnem radości. Mgłą stała się przeszłość, mgłą przyszłość. Między temi dwiema mgłami obecność rozkwitła cudnym, barwami tęczowemi mieniącym się kwiatem.

Wreszcie wstali wszyscy od stołu. Do cara zwrócono się, żeby bal otworzyć raczył.

Umieszczona w ogrodzie orkiestra zagrała poloneza. Długa, wielobarwna wstęga par rozwinęła się na pomoście, mając na czele cara, który podał rękę hrabinie Beningsen, jako gospodyni zabawy. Tańczący obeszli dokoła pomost. Gdy powtórnie obchodzić go mieli, car zmienił damę, wybierając z kolei hrabinę Barclay de Tolly. Z pomostu tęczowo-łuski wąż wniknął do wnętrza budynku i przewijając się przez wiele korytarzy i galeryj, znalazł się wreszcie w sali balowej. Tu koronowany prowodyr oddał swą tancerkę któremuś ze starszych generałów, i przez chwilę wodząc oczyma po żywym bukiecie dam, namyslać się zdawał, którą wybrać. Hrabiny i hrabianki,

księżne i księżniczki rumieniły się i bladły, miotane to nadzieją, to niepokojem.

— Obyż tylko nie ja!... — westchnęła z trwogą hrabianka Marya, oczy spuszczać.

W tejże chwili uczuła się lekko popychaną; dokoła niej szeptano: — Imperator... imperator... Podniosła wzrok i ujrzała wyciągniętą do niej białą, piękną rękę, błyszczącą brylantami.

Car zrobił wybór. Litwinka z Dom Remy iść miała w pierwszą z nim parę.

Zdawało się hrabiance, że ją porwał tuman diamentowego pyłu, i przez eter, przez pustkę międzyplanetarną, ku słońcu niesie.

Polonezowi nie było końca. Szum melodyjny napełniał uszy hrabianki. Wpadały w nie co chwila francuskie, jakby z powietrza spadające wyrazy:

— Pani jesteś królową balu. Wszystkie towarzyszyki zgasiłaś.

— To komplement, w dodatku... przesadny — odpowiadała, musem wewnętrznym do odpowiedzi niewolona.

— To prawda najszczerza — znów dzwonił głos.

— Jest wiele odemnie piękniejszych.

— Ja nie uważam piękności za główną pani zaletę.

— Pochlebstwa!... pochlebstwa!.. A ja pochlebstw nie lubię.

Polonez się skończył, muzyka ucichła. Hrabianka ujrzała się nie na słońcu, lecz na ławeczce aksamitnej, na której ją car posadził.

To, co nastąpiło potem, było już tylko piękną prozą. Tańczyła kadryla z posłem szwedzkim; tań-

czyła coś jeszcze z innymi dostojnikami. Była zmęczona, zgrzana — z radością przyjęła ramię hrabiny Beningsen, która ją wywiodła na koniec długiej, odkrytej galeryi.

Tam, wsparte obie o balustradę, przyglądały się wspaniałemu widokowi zapalanej w ogrodzie iluminacji. Zdawało się, że to stada rajszych ptaków, roje świetlików olbrzymich i konstelacje różnobarwnych gwiazd obsiadają stopniowo wszystkie drzewa, krzaki, gazony. Było w tem coś czarodziejskiego; hrabianka czuła się przeniesioną w krainę baśni.

Z kolei, rozjaśniona została kolorowymi lampionami mała wysepka na rzece, gdzie czyniono przygotowania do wieczerzy. Zamiast jednego długiego stołu, rozmieszczono tu w malowniczym nieładzie mnóstwo małych stolików. Była to nowa, wygodna moda, pozwalająca każdemu ucztować w najmiłszym dla siebie kółku.

Rozkoszując się urokiem przepięknej wiosennej nocy, tonąc w miłych, choć nieokreślonych marzeniach, zapomniała hrabianka o wszystkim.

Nagle uczuła się pociągniętą za rękaw, w ucho jej wpadły słowa przyciszzone.

— Baczność. Nadlatuje motyl. Twoje to kwiaty go przynęciły...

— Nie mam kwiatów, hrabino — odszepnęła hrabianka, z zadumy się budząc.

— Sama jesteś kwiatem, *ma mie*.

Hrabianka obejrzała się; w głębi galeryi dostrzegła zbliżającego się cara.

— Odejdźmy stąd... — szepnęła do towarzyszki, przejęta nagle, niewytłómaczonym strachem.

— Zapóźno... — usłyszała w odpowiedzi.

Opanowało ją drżenie. Aby nie upaść, oprzeć się chciała na ramieniu towarzyszki. Lecz towarzyszki nie było. Hrabina Beningsen rozplynęła się w cieniach nocy, jak duch.

Zwróciła się w drugą stronę i zdrętwiała. Car stał tuż przy niej i uśmiechał się — czarująco.

Nigdy jeszcze nie wydał się jej tak pięknym, jak w tej chwili. Fantastycznie oświecała go luna zapalonych w ogrodzie światel oraz srebrna poświata księżyca, który wypłynął właśnie na niebo z poza zbitych gąszczów parku.

Zgrabny, opięty mundur uwydatniał pierś i barki Apollinowe.

— Grecki bóg... — po raz drugi, prawie bezwiednie, pomyślała.

Przez chwilę oboje milczeli. Ona była przełękła; car zakłopotany.

— Piękna iluminacja... — zdobyła się wreszcie hrabianka na nieśmiałą pospolitą uwagę.

Car podniósł oczy do nieba.

— Księżyc piękniejszy — z naciskiem oświadczył.

— Ach, tak! — zawołała prawie z radością. — Księżyc, to mój kochanek.

Na to car szeptem:

— Szczęśliwy...

Znów zamilkli.

Z sali balowej dobiegały dźwięki orkiestry. Grano przegrywkę do modnego »angleza«.

— Najjaśniejszy panie — ozwała się hrabianka — tam zaczynają tańczyć...

— Niech tańczą.

— Zauważą nieobecność waszej cesarskiej mości...

— Prawda. Uchybię swym obowiązkom. Ale to mi wolno. Alboż nie nazywają mnie »barbarzyńcą Północy«?

Uśmiechnął się car. Hrabianka spoważniała. I nie tylko spoważniała, lecz nawet przywołała na twarz wyraz wielkiej surowości. Znać było, że ją to wiele kosztuje.

— Najjaśniejszy panie — rzekła, unikając jego oczu — ciebie nazywają jeszcze inaczej...

— Jak?

— Powiedzieć nie mogę — nie jestem donosicielką...

— Ja proszę...

Poprawił się z udaną, urzędową powagą:

— Ja każe...

— Waszą cesarską mość nazywają także: »tyranem Północy«.

Westchnął i sposepniał.

— Tak. Wiem o tem. Jest to tytuł dziedziczny, którego ja chciałbym nie usprawiedliwiać. Wznowił go Napoleon dla zohydzenia mnie Polakom. A Polacy uwierzyli.

Głębiej westchnął.

— Nie mam szczęścia do Polaków...

— Jest to zapewne dla waszej cesarskiej mości obojętne.

— Przeciwnie. Boli mnie to.

— Dlaczego?

— Boli każde uczucie nieodwzajemnione.

— Czyżbyś wasza cesarska mość Polaków kochał?

— Kocham ich tyleż — może więcej — co swoich poddanych. Czy panią to dziwi?

Gdy milczała, nie wiedząc co odpowiedzieć, dodał:

— Wymieniliśmy dwa tytuły, narzucane mi przez innych. Pozwól, hrabianko, że wymienię trzeci, za którym sam się ubiegam. Byłbym szczęśliwy, gdyby mi go przyznano — jeśli nie teraz, to przynajmniej w przyszłości.

— Wasza carska mość, zbudziwszy we mnie ciekawość, nie zechce chyba pozostawiać jej bez zaspokojenia. Jakże brzmi ten tytuł?

— »Przyjaciel ludzi«, albo raczej: »przyjaciel ludzkości«.

Uroczyście brzmiał głos cara, gdy to mówił, z głową na piersi opuszczoną.

— Gdy wspomniałem — przerwał po chwili milczenie — o swej miłości dla Polaków, pani patrzyłaś na mnie z niedowierzaniem. Choć Litwinka, podzielasz uczucia wszystkich podobno Polek i wszystkich, niestety, Polaków. A jednak, jakże się oni wszyscy mylą! Moja przyjaźń dla Polski datuje się nie od dziś i nie od wczoraj. Zawsze mnie losy tego narodu obchodziły; zawszem nad jego nieszczęściem ubolewał. Wyrządzona mu krzywda oburzała mnie; naprawić ją było mojem marzeniem. Nie rozstałem się z niem dotąd — choć między mną a Polakami stała potężna postać Napoleona. On był wymowniejszy odemnie; ołsnął geniuszem wojennym, którego mnie Bóg odmówił. Mieli zresztą sto przyczyn

do ufania jemu i sto do niedowierzania mnie. A jednak tę rękę (car wyciągnął swą białą dłoń, która w świetle księżyca wydała się alabastrową) ścisnął przyjaźnie wasz Kościuszko. Mówię »wasz«, a nie »ich«, bo czytam w sercach waszych, i widzę, żeście Litwinami tylko z nazwiska. Powiedziałem, że marzę o jednym tylko tytule. Omyliłem się: wzdygam do dwóch jeszcze, nawet do trzech. Drugi brzmiałby: »Dawca pokoju«. A trzeci... Cóż myślisz, hrabianko — jakby brzmiał ten trzeci?

— Nie wiem, najjaśniejszy panie... — wyjąkała głosem drżącym, gdyż ją wynurzenia cara do głębi wstrząsnęły.

Car przysunął się bardzo blisko, jakby w obawie, żeby nie być podsłuchanym.

— Ten trzeci tytuł — wyrzekł cicho, lecz dobitnie — brzmiałby: »Wskrzesiciel Polski«.

Była wielka cisza. Publiczność opuściła już ogród. Nie powiewał najslabszy wiaterek. Drzewa stały nieruchomo, jak zaklęte; na wysepce płomienie świec nie poruszały się, choć niczem ich nie pokryto. Szanował tę ciszę nawet słowik, który w krzakach nad rzeką co chwila kilka swą *romanse* zaczynał i natychmiast przerywał.

Hrabianka słyszała w piersiach łoskot swego serca, bijącego prędko i mocno. Przyciskała je dłonią, milcząc. A car stał tak blisko, że czuła zapach perfum, któremi miał mundur skropiony.

— Słuchaj, hrabianko... — podjął, gdy ona się nie odzywała. — Mówią, że można być nieszczerym w słowach, ale oczy kłamać nie potrafią. Spojrz mi w oczy.

Przy tych słowach pochylił się ku niej całą postacią, tak, że twarze ich znalazły się na jednej linii. Twarz hrabianki znajdowała się w cieniu, twarz cara pławiła się w srebrze księżycowym.

Spojrzała we wpatrzone w siebie oczy i — śmiertelnie się przełękała ich bezdennej, błyszczącej, spokojnej głębi.

— Panno Ostrobramska! — jęknęła słabym głosem, osuwając się, bliska zemdlenia.

W tej chwili ktoś otworzył drzwi w głębi galeryi. Buchnęło światło, muzyka, gwar licznych głosów. Ktoś wyszedł na galeryę, chłodząc twarz dużym, składanym kapeluszem.

Car wyprostował się.

— Ot co! — wyrzekł swym zwykłym dzwicznym, miłym głosem. — Tam już bez nas tańczyć zaczęli. To nieładnie.

Ucisnął raz jeszcze drżącą rękę hrabianki i szybkim krokiem skierował się w stronę drzwi otwartych.

Przez długą chwilę hrabianka starała się z wysiłkiem skupić i uspokoić kłębiące się, napół obłądne myśli. Odzyskawszy trochę spokoju, drugą stronę galeryi na salę balową wróciła.

Zauważyła niebawem, że plecy wszystkich wojskowych i cywilnych dostojników gną się przed nią znacznie niżej, niż przedtem. Kiedyindziej tylko by ją to śmieszyło; w tej chwili czuła się rozgniewaną i obrażoną. Żadnego z tych uczuć nie wolno jej było ujawnić, powróciła przeto do poprzedniej, marmurowej obojętności.

Z nieruchomą twarzą posagu odtńczyła angleza

unikając wzroku cara, co przychodziło jej z trudnością, miała go bowiem na *vis-à-vis*.

Ledwie zdołała odpocząć i ochłodzić się szklanką oranżady, którą jej kilku gwardzystów, na prześcigi, w posuwistych lansadach, przyniosło, już znów przy jej boku pojawił się Aleksander.

Był rozpromieniony, wesół, kipiący życiem i młodością. Przeginając gibkim ruchem swą postać topolową, mówił:

— Śmieję się ze mnie, hrabianko. Choć młodość dawno mnie odbiegła, doświadczam pokusy puszczenia się w tańce wirowe. I jeśli pani wyświadczysz mi zaszczyt przyjęcia mnie za tancerza...

Odpowiedź mogła być tylko jedna: wstać, skłonić się, ramię podać.

Car okazał się znakomitym wykonawcą niemieckiego sentymentalnego tańca. Wogóle miał w sobie dużo niemieczyny i sentymentalności. Walcował zapamiętale, prawiąc przytem tancerce komplementa, unosząc się nad lekkością i wdziękiem jej tańca.

— Najjaśniejszy pan — broniła się skromnie — postanowił uczynić mnie zarozumiałą...

— Bynajmniej! — zaprzeczył. — To jest dar przyrodzony, a z takich darów dumnym być nie można.

Hrabiance trudno było powstrzymać się od uwagi:

— Jeśli tak, to pocóż wogóle uczyć się tańca?...

Po walcu nastąpiła polka. Tę przetańczył car z hrabianką Morykoniówną. Oddawał się tańcom z zapamiętałością, jakby poza nimi nic dla niego nie istniało.

Niebawem rozległy się dziarskie tony mazura.

— No, temu chyba da spokój... — pomyślała hrabianka. — Sam chyba zrozumie, że to nie jest taniec dla osoby koronowanej...

Omyliła się.

Car, którego twarz rozkwitła rumieńcem ośm-nastoletniej, balującej dziewczyny, zaprosił ją w pierwszą parę.

— Polski taniec tylko z młodą Polką się tańczy!

— Jam Litwinka... — zauważyła.

Zmrużył filuternie oczy, jakby chciał powiedzieć:

— Pisze się Litwinka, czyta się Polka. Znamy się na tem...

W mazurze rozochocili się wszyscy. Zniknęła sztywność dworska; wraz z nią zapodziała się gdzieś i francuzyczyna. Mieszały się okrzyki rosyjskie i polskie; w końcu same już tylko polskie. Nawet car starał się do swej tancerki przemawiać po polsku. I tylko w tej, tak zwanej stolicy Litwy, nie było słychać ani jednego okrzyku litewskiego.

Mazurem zamknięto tańce. Zbliżała się północ, czas wieczery. W sali balowej pozostały damy, przechadzając się po dwie, po trzy, i odpoczywając. Mężczyźni wraz z carem ustąpili do salonu obocznego.

Toczyła się gwarna, wesola, najdalsza od polityki rozmowa. Nagle, poza szklanemi drzwiami, wiodącemi do ogrodu, dała się słyszeć głośnie sprzeczka jakiegoś obcego człowieka z szyldwachem.

Pośpieszył tam natychmiast oficer dyżurny. Przez

chwilę słyhać było i jego głos podniesiony. Potem wszystkie głosy ucichły. Brzękły szklane drzwi — ukazał się oficer wyższej rangi, kawalerzysta. Uniform jego pokryty był od stóp do głowy kurzawą i błotem. Wprowadził oficera dyżurny, a wprowadziwszy, sam natychmiast na stronę ustąpił.

Zasalutował przybyły, i zaraz, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, skierował się prosto do cara. O trzy kroki od niego znów palce do czoła przyłożył i czekał.

Car bystro spojrzał mu w oczy, przystąpił, skiniem iść za sobą kazał.

Wyszli obaj do ogrodu.

Po niedługiej chwili car powrócił sam. Takież był, jak wpraw — wesół, spokojny, czarująco uśmiechnięty.

Dano znać, że wieczerza gotowa. Car i reszta mężczyzn powrócili do dam. Parami, jak w pochodzie tryumfalnym, po lekkim, kształtnie wygiętym mostku, wysepkę wszyscy przeszli.

Uroczym wyglądało to miejsce, oświecone setkami kolorowych, rozwieszonych na drzewach lampionów. Wśród mnóstwa małych, z przepychem zastawionych stolików, uwijał się rój wyfraczonej służby. Umieszczona w gąszczach orkiestra wykonywała arye z modynych oper. Miękkie, przytłumione dźwięki mieszały się z szumem spienionej kaskady, która w świetle różnobarwnych ogni bengalskich sypała deszcze rubinów, szafirów, topazów. Pokryte kwiatem drzewa pomarańczowe opływały wszystkich falami upojnego zapachu. Kwiecie jaśminu i czeremchy prószyło na głowy i talerze uczujących.

Car nie zasiadł z innymi do wieczerzy. Chodził od stolika do stolika, rozmawiając z damami, zachęcając do zabawy, podtrzymując nastrój wesół.

Przed końcem wieczerzy żegnać się zaczął. Przy pożegnaniu znalazł dla każdego jeszcze jedno, nowe, miłe słówko.

Najdłużej zatrzymał się car przy hrabiance Maryi. Ujął jej rękę, i nie wypuszczając ze swojej, głosem przyciszonym mówił:

— Wyświadcysz mi łaskę, hrabianko, zachowując w pamięci naszą dzisiejszą rozmowę. Bądźmy przyjaciółmi. Chciałbym we wszystkich mieć przyjaciół. Jest to duszy mojej potrzebą. A nie zapomnij pani o przyrzeczeniu i przyjeźdź z ojcem do Petersburga. Uczynię wszystko, co jest w mej mocy, aby ci pobyt nad Nową uczynić najmilszym.

Hrabianka usiłowała ukryć wzruszenie, zdradziła ją wszakże ręka, silnie w uścisku cara drżąca. Cisnęło się jej na usta zapytanie: dlaczego car żegna się tak, jakby już nigdy w Wilnie zobaczyć się z nią nie miał? Nie śmiała tego głośno powiedzieć, porzeczając na zwykłym, francuskim pożegnalnym frazesie.

Po odjeździe Aleksandra, wesół nastrój zebrania podniósł się jeszcze. Obecność monarchy krępowała niektórych — teraz czuli się swobodniejsi, więc i rzeświejsi. Nie podzielała tego nastroju hrabianka Marya. Na duszę jej padł nagle niewytlómaczony smutek. Napróżno starała się odgadnąć, skąd on płynie — choć dokuczało jej wyraźnie uczucie osamotnienia i jakby tęsknoty.

Gdy inni zamyślali o nowej seryi tańców, oświad-

czyła ojcu, że do domu chce wracać. Hrabia podał córce ramię, nieznacznie z wysepki ją wyprowadził.

W drodze hrabianka, zatopiona w fałdach obszernego jedwabnego płaszcza, miała minę znużoną i przynębioną. Szary blask przedświtę powlekał jej twarz przykrą bladłością. Ust prawie nie otwierała.

Hrabia zaś był rozpromieniony.

— *Recevez mes félicitations...* — mówił, nie ze wszystkim jeszcze z balowego czadu wytrzeźwiony. — *Tu étais ravissante.* »Udiwitelna« — *comme disait* graf Koczubej.

Gdy nic na to nie odrzekła, dodał jeszcze:

— Przyznano, żeś królowa balu. *Et plus que ça...*

Wzruszyła lekko ramionami.

Hrabia nie przestawał zwierzać się.

— Powiedzieć ci muszę, cośmy w naszym kółku uradzili. Ty wiesz, *Marie*, jak bardzo imperator lubi Werki. Otóż w dniach najbliższych urządzimy tam dla niego *une surprise*. Będzie to wspaniały piknik, do którego przygotowania do ostatniej chwili pozostaną tajemnicą...

Słowo *imperator* zbudziło na chwilę hrabiankę. Potem znów w senną apatyę zapadła.

W domu, zaledwie garderobiana do połowy ją rozebrała, rzuciła się na pościel i zaraz twardym, letargicznym snem zasnęła. Całą siłą woli wywołała ten stan niepamięci, spodziewając się, że znajdzie w nim uspokojenie i rozwichrzone myśli do równowagi przywiedzie.

Okna sypialni wychodziły na ulicę. Jakkolwiek było to śródmieście i ulica pierwszorzędna, ruch kołowy nie zaczynał się tu wcześniej, niż o dziewią-

tej rano. Ale tego dnia już o wschodzie słońca w szybkim tempie toczyć się zaczęły wozy. Jednocześnie rozległ się tentent licznych, galopujących koni.

Łoskot kół, szczęk podków nie ścichnęły po przemknięciu pierwszej partii wozów i jeźdźców. Nastąpiła, po małej przerwie, partya druga i trzecia. Potem straszny hałas ani na sekundę nie milknął — owszem z każdą chwilą stawał się mocniejszy.

Drżał bruk, dzwoniły szyby w oknach — drżenie przebiegało nawet grube mury, udzielając się sprzętom w mieszkaniu.

Hrabiankę obezwładnił sen tak mocny (wzmocniła go przed położeniem się kilkoma kroplami *laudanum*), że choć słyszała ów hałas i czuła drżenie, przebudzić się nie mogła. Przykre, nieokreślone wrażenia stały się dla niej zmorą senną, która dręczyła ją, dławiąc i oddech utrudniając.

We śnie, zdawało się jej, że ucieka przed burzą szaloną z grzmotami i piorunami. Silny wichur zapierał jej dech w piersiach; ohydne straszidła chwytaly za szyję, dusiły. Wyciągała ramiona przed siebie, błagając o pomoc potęg niewidzialnych. W uszach świszczal jej czyjś głos szyszający:

— Ocalenia nie znajdziesz — chyba za cenę swego i swoich rodaków honoru!...

Jęczała przez sen, czyniąc próżne wysiłki, aby się przebudzić. Zmora nie ustępowała z jej piersi; wichur, grzmoty, pioruny nie przestawały huczeć na jej zboląłą głowę.

Nagle doszedł do jej świadomości głos z jakiejś niezmiernej, otchłannej dali:

— *Lève-toi, Marie... A to spi!...*

Głos był kobiecy, krzykliwy; nie miał w sobie nic przyjemnego. Ale śpiącej wydał się muzyką lutni Arielowej. Jednak znaczenia wyrazów pojąć nie mogła.

— Zbudź się! — krzyknął głos mocniej. — Wielkie nowiny! Cesarz Napoleon...

Otworzyła oczy. Imię Napoleona zbudziłoby ją nawet w grobie.

Przed nią stała ciotka — potargana, bez pudru, w przekrzywionym kapeluszu, w zarzuconym byle jak płaszczu. Twarz jej wyrażała nadzwyczajne wzruszenie. Widać było, że zerwała się przed chwilą z pościeli i przybywa w pośpiechu niezmiernym, z wieścią nadzwyczajną.

— Cóż Napoleon?... co?

Ciotka, nachyliła się i usta do samego ucha jej przykładając, krzyknęła:

— Napoleon... na Litwie!

Hrabianka w jednej chwili zerwała się z pościeli, na łóżku siadła. Oczy miała przerażone, napół błędne.

— Niemen?... — szepnęła, wpatrując się w ciotkę tak bystro, jakby całą jej duszę na wskrós przejrzyć chciała.

— Przeszedł Niemen. I przeszła go jego cała milionowa armia!

Hrabianka stała już na nogach — w pantofelkach, w rannym, pośpiesznie zarzuconym szlafrocisku.

Wzruszenie jej było tak wielkie, że mówić nie mogła.

— Awantura!... — nie przestawała krzyczeć cio-

tką. — Myśmy tańczyli angleza, a on już z tej strony Niemna namioty swe rozkładał. Za dwa, trzy dni będzie w Wilnie.

— Car?... — z trudem, przez szcękające zęby wymówiła hrabianka.

— Od dwóch godzin już go tu niema.

— Rosyanie?...

— Na łeb, na szyję, z miasta uciekli!

Dopiero teraz, na kredowo-błądą twarz hrabianki powróciły rumieńce. Razem z rumieńcami odzyskała mowę.

Zerwała wiszący nad łóżkiem mały obrazek »Ostrobramskiej«, przycisnęła go do piersi — rzucając się na kolana, modlić się zaczęła.

Dusza jej podobna była w tej chwili do morza po burzy. Spiętrzone, rozbujane fale układały się zwolna do spoczynku; grzmot nieba i otchłani przycichał; czarna, jak noc, topiel przybierała barwę szmaragdu; złowrogie, postrach siejące chmurzyska uciekały w dal, ustępując miejsca tęczy i słońcu...

Hrabianka odzyskiwała dawną moc i dawną wiarę. Odzyskiwała samą siebie.

Z czarnych jej oczu, łzami zwilżonych, strzelał po dawnemu gorący, zwycięski promień. I po dawnemu jej twarz, od bielidla balowego wolna, nabierała ciemnych, gorących, energicznych tonów.

Z podniesioną wzruszeniem piersią znów się stawiała Dyana-łowczynią. Chwila jeszcze, a zbudziłaby się w niej i pasterka z Dom-Remy.

Już teraz żadnej nie czuła w sobie rozterki. Szybko otarłszy powieki, stanęła na środku pokoju

silna, prosta, niezmężona. Ruchem rycerskim ramię podniosła — całą piersią zakrzyknęła:

— Wojna!...

Po chwili cały dom, cała ulica i całe Wilno trzęsły się od potężnego okrzyku:

— Wojna! Wojna!

CZĘŚĆ TRZECIA

W OGNIU

ROZDZIAŁ I.

»JEST JUŻ POLSKA!«

- Nie pchać się!
- Toć nad głowami nie przefrunę!
- Jegomość udepnąłeś mnie w najlepszy nagniotek!...
- Pocoś go acani w taki tłok brała ze sobą?
- Patrzcie, i garbus tu się ciśnie...
- Hej! Wróć się waćpan — tłomok zostaw w domu!
- Nie mogę; dzwigam w nim ważne papiery.
- Hu, hu, dobra facecya... W górę skrybę!
- Im śmiech, mój kumie, a nam frasunek...
- Bez cóż?
- Wedle podatków, kumciu, wedle podatków.
- Gdzieżby zaś dziś o podatkach!... Słyszałem, że Izba publikować ma dobrodziejstwa.
- Niechby choć dukata na jedną porządną osobę!...
- Ustąpić! Miejsce dla jego przewielebności jaśnie oświeconego ambasadora Francyi!...
- W tłum wjechała zamknięta karoca. Przez

szyby widać było otyłego księdza w fioletach biskupich.

Rozstąpił się tłum z oznakami uszanowania. Wszyscy głowy odkryli.

Ambasador kłaniał się piuską.

Karoca zniknęła w otwartej bramie Zamku. W tłumie zaczęto czynić uwagi.

— Mówiono, że Napoleon heretyk — a to nieprawda.

— Sługę bożego przysłał. Kto z Bogiem, Bóg z nim.

— Taki sejm to się uda. Nie zerwałby go sam Siciński, gdyby z piekła wrócił.

— Błogosław Bóg sejmowi, Napoleonowi.

— I nam, i nam wszystkim!...

— Stulcie, waszmoście, gęby! Jedzie figura prze-najświętsza!

Pachołkowie miejscy wzięli się do rozpychania tłumy, który, zamiast ustępować z drogi, gapił się na pojazd nadjeżdżający i siedzącą w nim osobę.

Podziw i zdumienie wywołał ubiór feldmarszałka austriackiego: biały, złotem haftowany mundur, oraz olbrzymi kapelusz z pióropuszem. Z pod kapelusza wysterczał wielki, kobuzi nos, rzucając cień na wąskie, zapadnięte, uprzejmie uśmiechające się usta. Cała twarz, gładko ogolona, przypominała cokolwiek króla Stanisława Augusta.

— Angielezyk... pewnikiem Angielezyk. Któżby zaś inny tak osobiwie się oblókł!

— Nie Angielezyk, jeno Francuz. Święcie mówię ci, kumie, że Francuz. Niezawodnie brat Napoleona.

— Chyba ojciec...

— Przetrzejta, mazury, ślepie! A dyc to nasz jaśnie wielmożny książę, generał ziem podolskich!

Wzniosły się okrzyki — dość słabe: »Niech żyje książę Adam!...« »Niech żyje królik Puławski!...« »Niech żyje jaśnie oświecony prezes sejmu!«

Przeprowadzano okrzykami i uwagami pojazd każdego ministra, następnie powozy i karety magnatów.

W pobliżu bramy zamkowej stało dwóch sędziwych kontuszców. Ich ubiór staropolski i wąsy zawiesziste osobiwością już były. Nastaly takie czasy, że najlepsi nawet patryoci chodzili z gołemi, że aż wstydy, gębami.

— Wyeksplikuj mi, panie Pietrze — mówił jeden polonus, dłoń na głowicy karabeli wspierając — czem się to dzieje? Naród się weseli, słońce pięknie świeci, konjunktury polityczne układają się jak najlepiej, ba! o wskrzeszeniu całej Rzeczypospolitej rzecz idzie — a mnie wszelako robak jakiś serce gryzie, i wesołości z siebie wykrzesać ani rusz nie mogę...

— Co tu gadać, panie Pawle, co tu gadać! — odrzekł drugi. — Inne my czasy pomnimy, inne święta! Lat temu jedenaście, trzeciego maja, taksamo lud się tu tłoczył, radość przepełniała serca. Ale to było co innego! Był król, było królestwo, okrojone już, ale jeszcze potężne — naród dźwigał się o własnej sile, nie wysługując się krwią swoją nikomu, u nikogo pomocy nie żebrząc... A dziś, kumie, a dziś!...

Tymczasem wielka Izba senatorska napelniała się tłumem dostojników, magnatów, bogatszej i uboższej szlachty. Wszystkie ławy i przystawione do nich

krzesła były zajęte. Gwałtownie dobijano się o miejsca. Dochodziło do sporów głośnych, które wszakże zaraz ważnością sprawy publicznej uciszano.

Galeryę obsiadły damy. Wśród barwnego, rojowi motylów podobnego ścisku, srebrzyły się tu i ówdzie głowy starców, wykwiwały, jak maki ze zboża, rumiane twarzyczki chłopiąt i dziewczątek.

Obyczajem narodowym to było, że zawsze w wielkich krajowych uroczystościach uczestniczyć musiało pokolenie najmłodsze. Nic tradycyi przędła się nieprzerwanie.

Mieszczan dostrzegano się niewielu — bez porównania mniej, niż przed jedenastu laty. Panował prąd inny, rycerski — rzemieślnicy, kupcy, przemysłowcy potrzebni byli do dawania pieniędzy i towarów, lecz nie do rady. Byli w nich wszakże serca polskie nie gorsze od innych, więc łączyli się z wybraną warstwą narodu pośrednio, zalegając podwórze zamkowe oraz ulicę Grodzką i place, przylegające do Zamku.

Tłumny i wspaniały był ten sejm, z woli Napoleona zwołany. Cesarz też, choć nieobecny, wypełniał sobą całą Izbę, panował w umysłach, skupiał w sobie wszystkie pragnienia, projekty, nadzieje.

Już mu hołd oddano, już po raz tysięczny jego imię, jako przedmiot kultu religijnego, tłumowi rzucano. Sędziwy książę Czartoryski posiedzenie zagałał.

Mówił książę pięknie, ale — po literacku. Mówił wzniośle, ale — w duchu i stylu wieku minionego. Z wytwornością, godną ciotecznego brata Stanisława Augusta, losy kraju składał w ręce — dam...

Damy mówcę oklaskały. Mężczyźni przyjęli go

szmerem dwuznacznym. Jego mundur austriacki raziło i niemiłe odbijał od narodowego tła uroczystości.

Wszystkie oczy zwracały się ku łoży ambasadora francuskiego. Klaniano mu się, posyłano mu najuprzejmniejsze uśmiechy. Ukłony i uśmiechy przeznaczone były właściwie dla Napoleona, lecz pan de Pradt, arcybiskup Mechliński, dumny ze swych fioletów i ametystowego na złotym łańcuchu krzyża, przyjmował hołdy, jako rzecz sobie należną.

Pani Gutakowska, pochyliwszy się do hrabiny Aleksandrowej Potockiej, rzekła:

— Ambasador w wyśmienitym dziś humorze. Sprowadził już swą kucharkę, o której tyle nam opowiadał. Ma to być dziewiąty cud świata. Mówię: dziewiąty, gdyż ósmym są, jak wiadomo, jego dwa grube konie andaluzyjskie...

— W takim razie — tym samym tonem zauważyła tamta — do zupełnego szczęścia brak mu już tylko srebrnego...

Dokończyła szeptem.

Pani Gutakowska uśmiechnęła się, lecz oczy jej mówiły, że nie rozumie a rozumiećby rada.

— To się odnosi — objaśniła hrabina — do tych czasów, gdy jego eminencya mieszkał w pałacu mego teścia. Zasypywani byliśmy wówczas przezeń żadaniami najrozmaitszych naczyń — koniecznie ze srebra, z czystego srebra. Posłaliśmy już mu: srebrne półmiski i talerze, srebrną miednicę i nalewkę, srebrne lichtarze i kubki — domagał się jeszcze srebrnego... *tu sais déjà*. Trudno było taką rzecz znaleźć: posłano mu posrebrzany. Odrzucił go, pełnym

dostojnej dumy ruchem i oświadczył wyniosłe, że jako przedstawiciel wielkiego monarchy, nie może posługiwać się — imitacją.

Zakryły się obie wachlarzami, aby się wyśmiać, lecz w tej właśnie chwili arcybiskup powstał z miejsca i w odpowiedzi marszałkowi sejmu przemówił.

Stała się cisza, wszyscy słuch wyteżyli.

Mowa ambasadora nie była ani długa, ani zawiła. Francuskie, błyskotliwe, zaokrąglone frazesy mile wpadały w ucho. Na nieszczęście, nikt nie mógł zrozumieć, o co mówcy idzie. Z jego zręcznego przemówienia nie można było wycisnąć żadnego sensu. Zwłaszcza sensu takiego, jakiego wyczekiwali wszyscy od przedstawiciela Francji i jej cesarza.

Hrabina Potocka, wysłuchawszy mówcy, skrzywiła się.

— Jeśli i to *ragoût* — szepnęła do towarzyszek — przyrządziła panu de Pradt jego kucharka, może ją śmiało odesłać z powrotem do Francji...

Zafrasowali się ci, co nie zrozumieli mowy. Zafrasowali się bardziej ci, którzy ją zrozumieli. Ostatnich ona pouczyła, że cesarz przez usta swego pełnomocnika nic wyraźnego powiedzieć nie chce...

Upał dokuczać zaczynał; woźni otworzyli wielkie okna. Jak szum fal morskich, wtargnął przez nie do sali gwar wielotysięcznego tłumu.

Podniósł się hałas i wewnątrz sali. Damy z szalestem składały i rozkładały wielkie wachlarze; przesuwano krzesła; przechodzono z miejsca na miejsce, głośno rozmawiając. Nagle wszystko ucichło. Od stołu prezydyalnego powstał i, z papierem w ręce, do publiczności się zwrócił minister Matuszewicz. Publicz-

ność wcześniej już była uprzedzona, że dopiero od Matuszewicza dowie się rzeczywistych intencji Napoleona względem Księstwa i Polski wogóle.

Więc gdy mówca skinieniem ręki poprosił o uwagę, wszystko w Izbie znieruchomiało. Jak kiedyndziej wrzawa, tak tym razem cisza przez otwarte okna przelala się na zewnątrz i gwar ludu stłumiła. Mówca byłby słyszany, choćby nawet szeptem przemawiał.

To, co wygłaszał Matuszewicz, raz po raz do karty zaglądając, było bardziej obrazem, niż głosem sejmowym. Ale jakiż to był obraz potężny! — jak silnie wstrząsał sercem Polaka! Odbiły się w tym obrazie ostatnie dzieje Rzeczypospolitej, na które ogromna większość słuchaczy własnymi oczyma patrzyła, krwią swoją i łzami swemi one pisząc.

Więc był najpierw: wspaniały w swym tragizmie zachód słońca tego państwa, jedyne w Europie, które dla innych żyło, nie dla siebie, a przeto, jak Chrystus, na mękę krzyżową wydane jest.

Potem była długa państwa Golgota, śmierć i złożenie do grobu. Następowala noc okropna, bez jednej gwiazdy, rozdzierana jeno krwawemi błyskawic wstęgami i głuchym grzmotem miotającej się w konwulsjach ziemi.

Przyszły próby wskrzeszenia pogrzebionej. Bo wiem »nie umarła dziewczeczka«... Szlachetne i rycerskie były te próby — jednak zawiodły. Zawiodł Bar, zawiodła »insurekcyja«. Snadź dni męki nie wypełniły się jeszcze, godzina przebudzenia nie wybiła...

Cóż rzec o rządach pruskich? Letargiem były, w którym naród, na marach leżąc, widział, słyszał

i rozumiał, co się z nim dzieje, nie miał wszakże siły ani o pomoc krzyknąć, ani ręki ku obronie wyciągnąć...

W tem miejscu, na galeryi słyszeć się dały: najpierw westchnienia jękliwe, potem stłumione łkanie. Wreszcie zerwał się tu i ówdzie płacz głośny — zaraz jednak ścichnął, jakby z trwogi, że lud wszystkich może ze sobą unieść i w czarną rozpacz otchłań wtrącić.

A w tejże chwili i w obrazie ukazało się słońce — Napoleon!

Bóg ulitował się nad umęczonym narodem. W osobie Napoleona zesłał anioła, który odwali grobowy głaz Polski. Słońce, obwieściwszy Polakom koniec nocy i narodziny dnia, szybko odtąd wzbija się w górę. Chwila jeszcze, a dosięgnie zenitu.

»Jak wczoraj — kończył mówca — wszystko sprzysięgało się na naszą zgubę, tak dziś wszystko do podźwignienia naszego zmierza. Mości panowie! Nie wątpić już nam o tem: Polska będzie...

Zatrzymał się, jakby nagłem światłem olśniony.

— Co mówię? — grzmiącym głosem na całą salę zakrzyknął. — Jest już Polska!

Gdy ostatnie słowa w tłum wpadły, stało się coś nadzwyczajnego. Mury ożyły, ławki dostały głosu, posadzka i strop trząść się ze wzruszenia zaczęły.

To nie były oklaski, lecz — zamieć burzliwa potrącających się w pędzie światów. To nie były wiwaty, lecz ryk oceanu, który się z kotliny swej wyrwał i fale na falach piętrząc, we wrota niebios kłóć.

Tłum w Izbie, i tłum na podwórzu, i tłum na

placach i ulicach, stopiły się w jedną masę, stały się jednym człowiekiem — Polakiem.

Krzyki w Izbie mieszały się z krzykami poza Izbą. Krzyczano na różne głosy:

— Niech żyje Napoleon!

— Niech żyje Polska!

— Górą nasi!

— Polska z Francją!

— Francya z Polską!

Jeden z wąsów-kontuszowców mówił do towarzysza:

— Pamiętasz? — inaczej krzyczano przed dwudziestu jeden laty. Milej jakoś, pocciwiej — bardziej z serca, niż z głowy...

Na to tamten z westchnieniem:

— Krzyczano: »Król z narodem! Naród z królem«... »*Vivant* wszystkie stany!«... W tem rzecz, że król był swój. A stany naprawdę się zbratały. Czyż rzeźnik Sierakowski z panią Krakowską, siostrą króla jegomości, nie tańczył poloneza?

ROZDZIAŁ II.

I RADOŚĆ ZABIJA.

W chwili, gdy głosy cokolwiek się uciszyły, w sali sejmowej powstał alarm. Usłyszano na galerji loskot upadającego ciała, i zaraz potem rozpaczliwe kobiece wołanie:

— Wody!... Pomocy!... Ratujcie!...

Wszczął się popłoch, który ludzie rozważniejsi z trudem uspokoili. Na galerję posłano lekarzy kilku i służbę do pomocy. Niebawem przebiegła całe zgromadzenie wieść, że tam starca jakiegoś z wielkiego wzruszenia apopleksya tknęła.

Po chwili na sali rozległy się rozkazy:

— Miejsce dla chorego!... Ustąpić!

Czterej silni pacholcowie znosili z galeryi olbrzymiego wzrostu człowieka, który leżał na ich rękach z zawartemi oczyma, z trupio bladą twarzą. Za niesionym, załamując dłonie i głośno łkając, postępowała śliczna panienska, prawie dziecko jeszcze, napół rozwiniętemu pąkowi róży podobna. Na galeryi ciasno było i duszno — tu dopiero można było rażonemu

apopleksyą, czy też zemdlonemu, skuteczną dać pomoc.

— Zrzelski... Stary konfederat... — szeptano w tłumie, poznając starca. — A to jego wnuczka, Różyczka.

— Biedactwo... Nikogo na świecie nie ma, prócz dziadka. Cóż teraz pocnie sama jedna?...

— Gdybyż choć ślubnego towarzysza dostać mogła... Ale stary pod klątwą wychodzić jej za mąż zabronił!

Tymczasem zabiegi lekarskie pomyślny wzięły obrót. Zrzelskiego usta poruszyły się, wybiegło z nich ciche, długie westchnienie. Rozemknął do połowy powieki; błędnym wzrokiem toczył długo dokoła.

Poznał wnuczkę i blado się uśmiechnął. Obrócił wzrok na prezydyum sejmowe — czoło mu się sfałdowało, myśl natężoną ujawniając. Wpatrywał się w biały mundur księcia Czartoryskiego, w fiolety biskupa ambasadora — dłużej zatrzymał wzrok na szarfie z »Białym Orłem«, zdobiącej pierś Małachowskiego.

Całą duszą przypił się do tej szarfy i do noszącego ją męża.

Twarz jego zaczęła się zwolna rozjaśniać i tracić swój straszny, trupi wyraz.

Jeden z lekarzy zwrócił się do Różyczki:

— Co było powodem wypadku? Jakiż to grom dziada pani powalił?

— Radość — drząc, szepnęła.

— W takim razie też sama radość, ale już nie nagła, podźwignąć go może.

Jakby na potwierdzenie tego, zgrzybiały olbrzym

podnosić się zaczął z trudem, ciężko, podobny powstającemu z grobu Piotrowinowi.

Było w tem zmartwychwstaniu coś przerażającego, od czego krew stygła w żyłach i włosy jeżyły się na głowie. Obecny wydało się, że są widzami cudu. Z pobladłemi twarzami zamilkli, nasłuchując, czekając...

Dźwignął się tymczasem starzec na całą wysokość, wszystkich głową przerastając. Nad nieruchomym, zaleknionym tłumem zabłysła naga czaszka barwy kości słoniowej, z długimi srebrnemi pasmami, które na szerokie plecy spadały. Ozwało się głucho, choć mocne stuknięcie. Stary konfederat, zwyczajem swym, uderzył kilkakrotnie szczudłem i szablą w posadzke.

Cisza stała się jeszcze głębsza.

Głosem potężnym, huczącemu w podziemiach grzmotowi podobnym, starzec zawołał:

— Wielkie rzucono tu słowo, wielkie zapewnienie... Jestże ono prawdą? Przysięgą je stwierdzicie?...

Podniósł się szmer zmieszanych, niewyraźnych głosów. On z natężoną uwagą te głosy łowił. Słuchowi swemu nie dowierzając, z dłonią do ucha przyłożoną, całem ciałem ku tłumowi się pochylił. Był, jak dąb, wichrem nagięty. Nie przybiegało doń długo tak bardzo upragnione słowo. Więc z rozpaczą zakrzyknął:

— Przebóg! Czyżbyście naród okłamać mieli?...

Szmer stał się wrzawą. Zakolysał się tłum i rozstąpił. W przejściu ukazał się w białym uniformie, w białej, pudrowanej peruce, cały białemu widmu

podobny — Czartoryski. Postępował z wyciągnionemi przyjaźnie ramionami, szedł z twarzą jasną, z uśmiechem dobrotliwym, jak brat do brata, jak starzec do starca, jak Polak wskrzeszony do wstającego z grobu Polaka...

Uściśnął i ucałował księżę konfederata; uściśnął i ucałował konfederat księcia. Potem księżę pełnym łagodności tonem zapewnił starca, że obawy jego są płonne. Któżby się odważył na takie *sacrilegium*, jak okłamywanie rodaków? Polska wybawcę swego znalazła: jest nim Napoleon. Byt jej zapewniony.

Usłyszawszy to, wpadł Zrzelski jakby w obłęd radości. Zdawało się, że go ta radość o powtórne zemdlecie przyprowadzi. Głowę uniósł, wyprostował się, wzrostu mu jeszcze przybyło...

— Jest już Polska, mości panowie! — na cały głos krzyknął, grzmocąc wielkiem szabliskiem w podłogę.

Potem, jakby zapominając, gdzie jest, wyciągnął z zanadru swe szkaplerze, ucałował wielki, jak talar, Matki Boskiej medal i nucić zaczął:

W Polski patronach niepłonne nadzieje,
Zelantów serce niechaj się nie chwieje,
Gdy ci przy swej pieczy,
Miecze do odsieczy
Dadzą Polakom!

Przerywając pieśń, do wnuczki się zwrócił:

— Do kościoła teraz! — do Boga!... Krzyżem paść — z jękiem i szlochaniem ziemię całować!...

Wsparł się na ramieniu dziewczęcia, i — wielki, promienny, nieziemski prawie i nadziemski — środ-

kiem rozstępującego się tłumu, szczudłem i szablą loskot czyniąc, z Izby sejmowej wyszedł.

.

.

Ścichły okrzyki, zamarło echo pieśni konfederackiej, uspokoiło się wypadkiem niespodzianym zatrwożone zebranie, ale nastrój uroczysty i podniosły nie przeminął. Zawsze w chwilach takich tłum oczekuje czegoś wielkiego, co z nich narodzić się ma. Nie zgodziłby się z myślą, że zapal, do głębi wzruszający serca, jałowy być może. W Piśmie Świętem czytał, że wielkie podniesienie ducha bywa zawsze poprzednikiem i zwiastunem cudu. Więc choć właściwe posiedzenie sejmu skończyło się, on jeszcze wyglądał czegoś, jeszcze na coś czekał...

I doczekał się.

Po dłuższej pauzie, w której znać było, że się coś ważnego przysposabia, znów przed obliczem tłumu stanął książę marszałek sejmowy. Głos zabrał, papier w ręce trzymając, i naprzemian to z pamięci mówił, to czytał.

Drżący był głos starca, zapadłe jego wargi splełniły — jednak nie uroniono ani słówka z tego, z czym się do słuchaczy swych i do Polski całej zwracał.

Mowa księcia była owym oczekiwanym cudem i była owocem, który z kwiatów zapалу zrodzić się miał.

Mówca zbierał w jedno ognisko promienie, w których od dni niewielu grzało się i weseliło zbiorowe serce Rzeczypospolitej. I dopiero w tem skupieniu

poznał naród, jak wielkie i wspaniałe słońce nad jego ziemią wschodzi...

To był tylko wstęp, zapowiedź czynu.

— Podajmy więc sobie — kończył książę oratorską przegrywkę — wierne i braterskie ręce! Nieba sprawiedliwe cnotliwym usiłowaniom nie odmówią pomocy! Bliska już chwila, gdy bratnia Pogoń wraz z Białym Orłem znów rycerskie tarcze i narodowe znaki ozdobią! Jeszcze trochę męstwa i wysiłku, a na żyznych Wołynia niwach, na rozległych Podola i Ukrainy przestrzeniach głos się radosny rozszerzy:

— Żyje Ojczyzna! żyje Polska!...

Tym razem okrzyku nie podjęto, tysiącem gardoł nie rozniesiono. Tłum miewa instynkty głębokiej mądrości — rozumiał, że pomiędzy chwilą tamtą a tą była przepaść; odgadł, że teraz już nie krzyczeć trzeba, lecz myśleć poważnie, mówić spokojnie i działać...

Książę tymczasem dotarł do ostatnich przemówienia swego wniosków.

— Z tych przeto powodów — kończył — stanowimy co następuje. Artykuł pierwszy: Sejm wiąże się w Konfederację Generalną Polski. Artykuł drugi: Konfederacya generalna Polski, sprawując w całej rozciągłości władzę, służącą powszechnemu Narodowemu związkowi, oświadcza, iż Królestwo Polskie jest przywrócone i Naród Polski na nowo w jedno ciało połączony. Artykuł trzeci...

Było tych artykułów dużo — blisko dwadzieścia. Słuchano wszystkich z jednakiem zajęciem, w ciszy tak wielkiej, że pozwalała słabemu głosowi księcia do najdalszych zakątków sali przenikać.

Prócz artykułów, sypały się nazwiska. Mówca wymieniał mężów do Rady Generalnej wybranych. Byli tam dostojnicy kościelni: biskup Gołaszewski, ksiądz Skórkowski z Krakowa; byli hrabiowie: Stanisław Ordynat Zamoyski, Fryderyk Skórzewski, Franciszek Łubiński; byli radcowie stanu: Aleksander Linowski, Marcin Badeni; byli posłowie i deputowani: Antoni Ostrowski, Joachim Owidzki — nie brakło nawet i poetów, których przedstawiali: Franciszek Wężyk i Kajetan Koźmian. Rozumie się, że dwaj ostatni nie byli tu reprezentantami literatury. Wężyk występował jako poseł z powiatu Bialskiego, Koźmian jako sekretarz Konfederacji Generalnej, przytem referendarz w Radzie stanu.

Sesja przeciągnęła się długo. Gdy już wypowiedziano wszystko, co wypowiedzieć należało, niecierpliwi zabierać się zaczęli do odejścia i z damami żegnać.

Gutakowski, dam warszawskich ulubieniec, podszedł do swej żony, aby ją z sali wyprowadzić. Ale od Aleksandrowej Potockiej otrzymał *un coup d'éventail* i rozkaz pozostania na miejscu.

— Coś taki niecierpliwy, *mon cher Goutak*? — spytała hrabina. — Uraczyli nas wyśmieniem, nie prawda? A wiesz przecie, że żadna obfita biesiada odbyć się nie może bez wetów.

— Więc będą i wety? *Cela m'attrappe*. Zostaje. Mlasnął językiem i do kobiet się przysiadł.

— Komuż jednak zawdzięczać będziemy *un dessert*?

— Komuż, jeśli nie księżnie Izabeli. *Regardez la*. W istocie, w łoży, zajmowanej przez generałową

ziem podolskich z córkami oraz całą Puławską kociarnią, panował ruch niezwykle. Otwierano tam z pośpiechem pudła, pełne jakichś rzeczy jaskrawych. Rzeczy te wyjmowano i rozdawano na prawo i lewo, hojnie onemi szafując. Niebawem nie było w wielkiej sali nikogo, komuby się nie dostała jedna z owych jaskrawości. Gdy doszły one do miejsca, gdzie siedziała pani Gutakowska, mąż jej poznał, że były to jedwabne, karmazynowo-granatowe kokardy.

Każdy tą oznaką narodową pierś sobie ozdobił.

Cale kosze kokard wyniesiono na ulicę, między lud.

Olbrzymia ich ilość została wysłana wojsku polskiemu, które pod wodzą księcia Józefa łączyło się już w tej chwili z armią Napoleona.

A gdy tak wszyscy w upojeniu przesłodkiej nadziei do domu się rozchodzili, z przepełnionej piersi, rzucając to wiewatowe okrzyki, to pieśni wojennej strofy — w omszałym domku na Faworach stary Zrzelski przemawiał do wnuczki słowami, jakich ona nigdy już usłyszeć się nie spodziewała.

Stał przed starcem miodu gąsiorek, on popijał go sporemi łykami, grzejąc krew w żyłach zastygającą.

Słońce czerwcowe zachodziło w królewskim majestacie, malując połowę nieba gorącą czerwienią, gdy reszta świetniała przeczystym, w granat przechodzącym błękitem.

— Patrz, Różyczko — mówił dziad do wnuczki — dziś nawet niebo barwy narodowe przybrało!

W pożar chmur wpatrywał się niezmrużonemi oczyma — oczyma sędziwego orla, któremu nie szko-

dzą już ani blaski słoneczne, ani krwawe migotania błyskawic.

Blaski zachodu i trunek ognisty zabarwiły mu oblicze dziwnymi, jakby malowanymi, rumieńcami. Po raz pierwszy od lat niepamiętnych był wesół. Popijał miód, palcami bębnił po stole — to szczudłem, to karabelą raz po raz w podłogę uderzał. To znów, dłonie nabożnie złożwszy, drżącym, zagrobowym głosem śpiewał:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu;
Dla wolności ginę,
Wiary swej nie minę —
Ten jest mój azard...

Nagle do wnuczki się zwrócił:

— A ty, jak chcesz, do tego swojego kapitana napisz. Niech wroga bije, zwycięża i wraca. Zezwalam i błogosławię. Na chwałę Ojczyzny naszej miłujcie się i rozkwitajcie. Jenó nie marudźcie za wiele, bo mnie z odejściem pilno...

Z płaczem do kolan dziada rozradowana Różyczka przypadła.

ROZDZIAŁ III.

WŚRÓD »STATYSTÓW«.

Posiedzenia »statystów«, odbywające się zimą w kawiarni »pod Pępuszkim«, przenosiły się na lato do ogrodu przy »pałacu Rzeczypospolitej«. Później i ten pałac i ten ogród przybrać miały nazwę »Kraśnińskich«.

Na drugi czy trzeci dzień po wielkim Sejmie Konfederacyjnym, przechodzący główną aleją ogrodu pod rozłożystymi kasztanami wymijać musieli parę niezmiernie długich, popielatemi spodniami ciasno obciągniętych nóg, które im drogę zagradzały.

Do tych nóg należał odpowiedni korpus, ubrany we frak granatowy i długą, w kwiaty, kamizelę, oraz głowa nakryta białym pilśniowym kapeluszem.

Całość wyobrażała hrabiego Aleksandra Chodkiewicza, głównego wśród »statystów« wodzireja.

Hrabia, umieściwszy trzcinę ze złotą galką między kolanami, w jednej ręce trzymał podłużną tabakierę, w drugiej kilka dużych, zadrukowanych arkuszy. Na pierwszy rzut oka poznawało się, że to są też same druki, które rankiem pachółkowie miejsey

ponaklejali na rogach ulic, na murach gmachów publicznych i kościołów.

Obok hrabiego we fraku zajęli miejsca zwykli jego towarzysze: Bromirski, współredaktor »Gazety Warszawskiej« i eks-ksiądz Petrykowski. Pierwszy miał na sobie demokratyczny surdut z kołnierzem wysoko na kark zachodzącym; drugi — wyszarzana sutannę.

— Proszę acanów — mówił hrabia, uderzając tabakierą w rozłożony arkusz — ten Uniwersał, którym nasz dobry ludek tak się emocjuje, mnie pozostawia zupełnie spokojnym. Albowiem pytam: na jakimże to *principium* oparto zdanie, że Konfederacja Generalna »przechodzi wszystkie ratowania się środki, jakie Polska Europie kiedykolwiek wystawić mogła?« Polska, proszę acanów, już od pierwszych zaczątków swego bytu ratować się musiała. Kto przeto mówi, że nic w jej dziejach z aktem dzisiejszym zrównać się nie da, ten zdradza grubą nieświadomość, albo też — grubą nieświadomość udaje. Dla ichmościów z Izby senatorskiej niczem-że dzieła Bolesławów, Kazimierzów, Batorych, Sobieskich?

Zaperzył się krewki eks-ksiądz:

— Kto strzela, mości hrabio, trafiać powinien; grotty zaś waszmościne daleko poza tarczą padają. Gdzie Rzym? gdzie Krym? Pan hrabia myśla zimnego filozofa mierzyć chcesz to, co jest wybuchem wulkanu! Mnie uniwersał zachwyca. Złotem ryłbym na marmurze każde jego słowo!

Gazeciarskim, medjatorskim tonem chciał pogodzić adwersarzy Bromirski.

— Pan hrabia ma wiele racyi, ale nie jest jej

pozbawione i to, co powiedział ksiądz Petrykowski. Prawda, że interwencyi Napoleona sejm przypisuje moc prawie boską, lecz któż zaprzeczy, że ten geniusz w swych dziełach wydaje się prawie bogiem? Uniwersał mógłby być niezawodnie ułożony rozważniej i powściągliwiej — możeby jednak wówczas nie osiągnął celu, który sobie jego autorowie założyli...

Na tem zakończono spór — jeden ze zwykłych codziennych sporów, które były niewinnym fechtunkiem na florety i nigdy do ostrych cięć nie doprowadzały.

Hrabia zmiął i do kieszeni wsunął uniwersał. Po chwili, tabaki zażywszy i towarzyszków nią poczęstowawszy, do drugiego zabrał się arkusza.

— »Druga wojna polska«... — przez nos i pod nosem czytał. — »Pchana przez fatalność«... »Przeznaczenie spełnić się musi«... »Do wyboru mając: wojnę lub hańbę«... »Podyktujemy warunki pokoju«... »Położymy kres zgubnej dla wszystkich potędze«... Proszę acanów: czy to człowiek przemawia, czy bóstwo? Kto jest tak potężny, że przyszłość przepowiada, cudotwórcą być musi. A pocóż takiemu: woj-ska, armaty, pieniądze, furaz? Dość mu ręką machnąć, a stanie się wszystko, co się stać miało.

Podniósł do góry trzymaną w palcach szczyptę tabaki.

— Ja, proszę acanów, nie śmiałbym w formie tak stanowczej twierdzić nawet, że tę tabakę szczególnie do nosa doniosę... A on tak jest swych przyszłych tryumfów pewny, że już dziś mówi o nich, jak o rzeczy spełnionej... Pycha to, proszę acanów, pycha! Z grzechów głównych najpierwszy! Pan Bóg

pychą się brzydzi... Mówi nam biblia o aniołach, za pychę strąconych...

— Ależ, mości hrabio! — rzucił się ksiądz Petrykowski — jakże można nazywać pychą pewność siebie, jaką ma człowiek genialny! On tak mówi, bo wie, że się tak stać musi.. Tylko ludzie słabego ducha trwożą się silnych słów i silnych postanowień. Mnie ta mowa porywa, ekscytuje! Widzę w niej coś Homierowego, nadludzkiego!

Zaczerwienił się człowiek w sutannie i żywo gestykulował. Hrabia głową tylko kiwał, tabakę zwolna zażywając.

Nie mógł pozwolić na tę waśń gazeciarszą.

— Mniemam — spokojnie rzekł — że tu niema powodu ani do ekstazy, ani do oburzenia. Zwyczajny to styl, w jakim układają się odezwy do armii. Tak się one mają do zwykłych oracyj, jak kapela wojskowa z bębniami, trąbami, kotłami do orkiestry, która w teatrze lub na koncercie operowym wykonywa arye.

Zamilkli na chwilę wszyscy.

— Ciekawym — odezwał się wreszcie Chodkiewicz — jakie to tam frykasy wysmażył nasz Żółkowsio na uczczenie ostatnich wypadków?... Ma ten młodzik to, co klasycy nazywali *vis comica*, choć — nie daleko z tem zajędzie...

— Protestuję! — zakrzyknął eks-ksiądz. — Imć pan Żółkowski zwycięsko w ślady Zabłockich i Bohomolców wstąpił. Geniusz ma potężny, przyszłość świetną...

— Pustak, nieuk — pospolity facecyonista...

— Polski Molière, Beaumarchais... Dowcip od czasów Reja u nas nie spotykany!

— Pozwól acan...

— Proszę cię, mój hrabio...

Pojednawczy Bromirski zabierał się już wystąpić z opinią pośrednią, gdy w głębi alei ukazał się we własnej osobie — Alojzy Żółkowski.

Szedł ku »statystom«, zdala się kłaniając. Nachmurzona twarz, skrzywione usta wskazywały, że jest w humorze — wyśmienitym.

— Witam acana, panie Żółkowski! — protekcyjnie pozdrowił przybyłego hrabia. — Co tu porabiasz o tej porze? Jeszcze na spektakl zawczasie...

Towarzysze hrabiego posunęli się, czyniąc aktorowi miejsce. Usiadł, uprzejmymi uśmiechami do towarzystwa zaproszony.

— Dalibóg — w odpowiedzi na pytanie rzekł — niema dziś sposobu, tylko chodzić po ogrodach i ulicach, łapać żywe karykatury i one na parawan przyklejać. A jest ich na każdym kroku niemało!

— Co acan mówisz? — spytał hrabia, brwi bardzo wysoko podnosząc.

— To nie ja mówię, panie hrabio.

— A któż?

— To mówi Baryłkiewicz, służący hrabiego Prąwomira. Za podniesieniem kurtyny, zatrudniony on jest wyklejaniem parawanu dla uciechy swego pana.

— Zgaduję! — wykrzyknął z zapalem ksiądz Petrykowski. — To scena z twego nowego arcydzieła, boski artysto! Jakiż jego tytuł, jeśli łaska?

Żółkowski wstał z ławki, na jedno kolano przyklęknął, dłonie do modlitwy złożył.

— Co acan wyrabiasz? — szorstko mruknął Chodkiewicz.

— Modłę się, panie hrabio. Do samego siebie się modłę. Jestem przecie »boski«.

— No, no, nie bierz tego na seryo. Eks-ksiądz znać się na tych rzeczach nie może. Wstań i powiedz nam coś lepiej o swojej sztuce.

— Moja sztuka, panie hrabio, nie jest żadną sztuką. Sztukę pokazał Napoleon, przeszedłszy Niemien. Ja jestem tylko jego afiszerm.

— Cóż na swym afiszu wydrukujesz?

— To, co już dziś na wszystkich sercach polskich wytłoczone: »Wkroczenie do Litwy«.

— Zle jest na Litwie... — westchnął nachmurzony Bromirski.

— Żle!... — tymsamym, sztucznie podrobionym tonem powtórzył komik. — Tam, gdzie tknąć, wszyscy są winni, tembardziej zaś winni, że nie mają ani... rubla na swoje usprawiedliwienie.

Chodkiewicz brwi podniósł wysoko, tabakierę w szybszy obrót puścił.

— Cóż-bo waszmość gadasz, proszę acana?

— To nie ja gadam, lecz Hłupow, piszczyk horodniczego w pogranicznym mieście na Litwie...

Hrabia ramionami wzruszył.

— Nie wiem doprawdy, jakie być mogą winy Litwinów?

— Bardzo wielkie, panie hrabio — i bardzo ciężkie. Naprzykład Józef Kupejko winien jest, że przesuszał na słońcu żupan, kontusz i pas. Wina jego oczywista. Przesuszać kontusz, jest to chcieć chodzić po polsku; chcieć chodzić po polsku, jest to chcieć być Polakiem, czyli nie chcieć być Rosyaninem. Winien jest także Paweł Bekiesza, gdyż zakrztusił się,

pijąc zdrowie horodniczego. Widać stąd, że źle życzy urzędnikom, bo gdyby życzył dobrze, toby takie zdrowie wypił duszkiem, gładko, odrazu. Wreszcie ciężko winną okazała się Kunegunda Družbicka, która swego nieboszczyka męża, porucznika kawaleryi narodowej, kazała odmalować w mundurze tejże kawaleryi. Jest w tem wyraźny dowód większego sprzyjania Polakom, niż innym nacyom. Gdyby była prawomyślna, kazałaby męża odmalować z brodą, w szerokich szarawarach, z piką kozacką.

Hrabia krzywił się; eks-ksiądz z wielkiej uciechy uderzał tłustemi dłońmi po kolanach — gazięciarz to uśmiechał się powściągliwie, to znów czynił spokojne, krytyczne uwagi.

Tymczasem ogród napelniał się tłumem ludzi różnego wieku i stanu. Obsiadano ławki, przechadzano się środkiem szerokich ulic, skupiano w gromadki, żywo rozprawiające. Wyrazy: »Napoleon«... »Niemen«... »Druga wojna polska«... — huczały w powietrzu, jak szmermele.

Co chwila ktoś wydobywał z kieszeni złożony w kilkoro dziennik, lub zapisaną ćwiartkę papieru. Cichość zalegała dokoła, a on głosem donośnym odczytywał ostatnie wieści z Litwy, przygodne wiersze, okolicznościowe pamflety.

Najbliżej ławki »statystów«, jakiś chudeusz w wytartej surducinie czytał najpierw coś, czego słuchano z gniewnymi pomrukami; potem, gdy słuchaczom pokazał papier, wszyscy rozgłośnym wybuchnęli śmiechem.

— Mości Onuferku! — przyzwał chudeusza Bromirski — cóż tam za świeżą wysmażyłeś facecyę?

Człowiek w znoszonem odzieniu, z twarzą mizerną, lecz wyrażającą przebiegłość, z niskim pokłonem do ławki przystąpił.

— Jeśli łaska wielmożnego redaktora dobrodzieja — pokornie oświadczył — przeczytać proszę...

I podał gazeciarzowi arkusz papieru wzdłuż złożony.

Bromirski, nałożywszy okulary, czytał:

— Bóg daj, by wszędy narody głosily
Moc Rosyjanów i zwycięstwo siły.
Niech ma od Boga pomyślności działem
Cny Aleksander ze swem wojskiem całym.
Niech w coraz większej wspaniałości stawa
Rosyjskiej broni szczęście, oraz sława.
Niech się okryje laurami zwycięstwa
Rosyjskie wojsko, znane z swego męstwa.

Nachmurzyły się twarze słuchaczy. Gazeciarz gniewnie zdziwiony wzrok zwrócił na Onuferka. Tamten miny nie stracił; stał w miejscu i chytrze się uśmiechał. Potem wziął z ręki gazeciarza papier, rozłożył go, dłonią wygładził — z powrotem oddał.

Bromirski spostrzegł, że każdy z czytanych poprzednio wierszy był w połowie przełamany, a stąd nie zupełny. Dokończenie każdego wiersza znajdowało się na drugiej połowie arkusza.

— Aha! teraz jestem w domu! — zawołał gazeciarz, przybliżając papier do oczu. — Posłuchajcie waszmoście.

I, silnie wiersz skandując, czytał:

— »Bóg daj, by wszędy narody głosily — twe czyny, Napoleonie!... Moc Rosyjanów i zwycięstwo

siły — niechaj przegrana pochłonie!... Niech się okryje laurami zwycięstwa — Napoleona wyprawa!... Rosyjskie wojsko znane z swego męstwa — niech bez zwycięstwa zostawa!«

— Dobry żart tyńfa wart... — ozwał się, po wysłuchaniu rymowanego figla, Chodkiewicz. — Ale, że dziś, proszę acanów, nie na tyńfy liczymy, jeno na talary i czerwone złote, więc (tu do sakiewki sięgnął i pieniądz błyszczący wydobył), naści, miły wierszobku, dukata.

W tej chwili tłum, przepelniający już ogród, zakolysał się, i żywą falą ku pałacowi Rzeczypospolitej przec zaczął. Ozwały się zmieszane głosy zapytań i odpowiedzi, które niebawem spłynęły w jeden wyraz, wszystko w sobie streszczający:

— Powrócili!...

Ten wyraz prosty, sam przez się tak mało mówiący, wywarł wrażenie jakiegoś cudownego, umówionego hasła. Od wielu dni oczekiwać go musiał tłum, przedstawiający w tej chwili całą Warszawę — która ze swej strony wyobrażała: całą Polskę.

Nadbiegł ów wyraz kabalistyczny i do ławki, na której siedział Chodkiewicz z towarzyszami. Zrozumieili jego znaczenie statysci, i zaraz uzupełnili go dwojgiem zapytań:

— Gdzie są? Cóż przywieźli?...

Dźwignął swą olbrzymią postać Chodkiewicz, za innymi w stronę pałacu podążył. Szli za nim towarzysze, równą, jak on, ciekawością przejęci.

Hrabia nie śpieszył — powaga imienia i stanowiska nie pozwalała mu na to. Nie potrzebował też

cisnąć się i przepychać — rozstępowano się przed nim z szacunkiem.

Przed samym pałacem stało kilku dostojnie wyglądających ludzi, którzy z ożywieniem opowiadali coś skupionemu dookoła gronu słuchaczy. Ci ludzie byli owym ciągnącym tłum magnesem, oni to właśnie »powrócili«.

Chodkiewicz poznał zdala przyjaciół swych: Tarnowskiego Władysława, Stadnickiego Ignacego, Wodzińskiego Macieja.

Byli to trzech członkowie delegacyi, wysłanej do Wilna dla przedstawienia cesarzowi aktu konfederacyi. Prócz nich, przed obliczem Napoleona, niby przed ołtarzem klasycznej wieszczki-wróżbitki, stanęli wojewodowie: Sobolewski i Wybicki, posłowie: Soltyk, Aleksandrowicz i Bniński.

Napoleon ominął w swym pochodzie Warszawę. Miał do tego powody, sobie tylko wiadome. Podobno obawiał się objawów zbytniego zapału, który mógł być niemiłe zadrasnąć słuch jego teścia Habsburga. Podobno także sam nie chciał powiedzieć Polakom za wiele.

Warszawianie, widoku słońca pozbawieni, łaknęli przynajmniej jego odbicia. A właśnie to odbicie przynieść im miała z grodu Gedymina delegacya.

Chodkiewicz, zaprzyjaźniony z Wodzińskim, przystąpił doń, za ramię ujął, z koła wyprowadził.

— Panie Macieju, proszę acana — mówił, na stronę go ciągnąc — a chodź-że, a gadaj, bo ledwie dyszę z ciekawości.

Pożegnał towarzyszków — z którymi zejść się miał później w teatrze — i ujawszy Wodzińskiego

pod ramię, zapuścił się z nim w najustronniejszą ulicę ogrodu.

— Cóż?... jakże?... Wskrzesi Królestwo?... Zapewnił?... Przysiągł?... — rwały się z jego ust niespokojne, natarczywe zapytania.

Wodziński, człek zażywny, w ruchach nieco ociężały, starał się przywieść go do spokoju i równowagi.

— Ależ, kochany hrabio — mówił, wyrazi umyślnie przeciągając — ostateczne wnioski do ciebie należą. Ja tylko *relata refero*.

— No, proszę acana, sam-że tam przecie byłeś!...

— Słuchaczem byłem...

— I aktorem!

— Nie, jeno figurantem.

— Wybicki, proszę acana, dobrze gadał?

— Różne są o tem zdania. Jedni chwala, inni gania. Według mnie, on mówił — zbyt dobrze.

— Czemuż nie powiedziałeś mu tego zawczasu, gdyś mowę jego w manuskrypcie czytał?

— Bo mi się wówczas tylko dobrą wydała.

— Kiedyż więc, panie Macieju, proszę acana, sąd o niej zmieniłeś?

— Gdym ją porównał z tem, co na nią odpowiedziano.

— Czyżby odpowiadano — gromiąco?

Hrabia przy tych słowach wziął trzecinę pod pachę, i wydobywszy tabakierkę, szybko w palcach ją obracał.

— Sam to osądzisz, kochany hrabio, gdy i z mowy i z odpowiedzi sprawę zdam. Ale mi nie przery-

waj i głosu nie podnoś, bo już ciekawi i do naszego kąta zaglądaają.

— Mów-że przeto. Ja się stanę samem tylko uchem.

Więc Wodziński, wolno, z przestankami, mówić zaczął.

— Słyszałem, jakoby mowę dla Wybickiego układał Pradt. Nie wierzę temu. Choćby mu nawet tu i owdzie z pomocą przyszedł, odnosićby się to mogło tylko do samej retoryki. Są w tej mowie tony, które tylko z polskiej piersi dobyć się mogły.

— Jakież one, panie Macieju, proszę acana? — nie mógł powstrzymać się od zapytania, Chodkiewicz.

— Wybicki mówił: »Nadeszła pora upomnienia się o krzywdy, narodowi polskiemu wyrządzone«... Tegoby, kochany hrabio, Francuz nie powiedział, bo on wie tylko o faktach historycznych, o zwycięstwach i porażkach, ale pojęcie krzywdy jest mu obce. Mówił też Wybicki: »Od najdawniejszych czasów byliśmy narodem wolnym i niepodległym«... I o tem Francuz nic nie wie, a z własnych dziejów nauczyć się tego przez porównanie nie mógł. Wreszcie sam, hrabio, osądź: czy którykolwiek z cudzoziemców zdobyłby się na taki okrzyk: »Azali Bóg nie jest już syty cierpień naszych i kary, którąśmy na siebie za swe wichrzenia i niezgody ściągnęli?«

Z drżących rąk hrabiego wypadła tabakiera.

— Tak, tak, panie Macieju... Prawda, święta prawda, proszę acana...

Przeszli kilka kroków w milczeniu.

— A cóż, proszę acana, on? Nic mi o nim nie mówisz, panie Macieju?

Tamten wydobył z kieszeni fular; powoli czoło nim obcierał.

— Ano... — nie śpiesząc się odrzekł — on nic nie mówił, jeno słuchał, i z nogi na nogę przestępował. Twarz miał nieruchomą, jak z kamienia, drewna, lub wosku. Najbardziej, jak z wosku. Raz tylko brwi ściągnął i w oczach coś mu się zapaliło. Było to wówczas, gdy Wybicki, wartkim animuszem uniesiony, wołał: »Rozkaż, najjaśniejszy panie, a szesnaście milionów Polaków broń pochwyć, za tobą pójdzie!«

— Wybicki to powiedział? — Wybicki?... — zapytał podniesionym głosem, krzykiem prawie, hrabia, w miejscu przystając, za ramię towarzysza trzęsąc.

— Wybicki powiedział; ale czy Wybicki — napisał? Tu właśnie, kochany hrabio, zachodzi wątpliwość. Ja w tem czuję rękę cudzą, rękę cudzoziemca — wręcz mówiąc: rękę Pradta... Tak żonglować milionami tylko Francuz potrafi. Ale cesarzowi to się podobало. Miał przez chwilę taki wyraz, jakby już widział te szesnaście milionów — od stóp do głowy uzbrojonych...

— Uzbrojonych, panie Macieju? Przez kogo, proszę acana, uzbrojonych?...

— Przypuszczam, kochany hrabio, że — za własne pieniądze. Ściślej mówiąc: przez skarb Polski — nieistniejący.

Rzucił się hrabia gniewnie.

— Facecye prawisz, panie Macieju, proszę acana! Lepiej mi mowę cesarza powtórz.

— Krótka była. Pochwalił nas cesarz, że Ojczyznę kochamy. Oświadczył, że będąc na naszym miejscu, równieżby ją kochał. »Gdybym był przy władzy w czasie rozbioru Polski, wielkąby armię na pomoc wam posłał«... Ponieważ stać się to nie mogło, »uczyni dla naszego kraju, co tylko od niego będzie zależało«.

— Jakto, proszę acana? Więc wyznał, że nie wszystko od niego zależy?

— W istocie, tak by to można rozumieć.

Hrabia, srodze namarszczywszy się, swą grubą trzcina przeciał ze świstem powietrze.

— Wiesz, panie Macieju? — ja na miejscu Napoleona nigdybym tego nie powiedział! Rażące byłyby te słowa w ustach bogów drugiego i trzeciego rzędu — coś dopiero w ustach Jowisza! Świat wierzyć musi, że od »boga wojny«, tak samo, jak od gromowładnego pana Olimpu, wszystko zależy — on zaś sam od nikogo i od niczego zależeć nie może. Na tej wierze i myśmy gmach swych nadziei zbudowali — coś będzie, proszę acana, gdy zrab gmachu okaże się niemocnym?...

Długo jeszcze, z wyraźną pasją, sapał i marmotał, przecinając trzcina powietrze — wreszcie ostro zagadnął:

— Jakaż była, panie Macieju, tej jego mowy kwintesencya?

Wodziński obojętnym głosem sprawozdawcy rzecz ciągnął:

— Powiedział cesarz: »Kocham was, Polacy. Od

wielu lat widuję waszych żołnierzy, walczących pod moimi sztandarami. Zabiegi wasze pochwalam. Miećcie nadzieję, że zmuszę nieprzyjaciół do uznania praw waszych. Ale i to wiedzcie, że zapewnił cesarzowi austriackiemu całość i bezpieczeństwo jego posiadłości — niczego więc z tamtej strony spodziewać się nie możecie. Niech Litwa, Żmudź, ziemia Witebska, Połocka, Mohilewska, dalej Wołyń, Podole i Ukraina okażą tegoż samego ducha, który ożywia Wielkopolską, a — Opatrzność pomyślnym skutkiem niezawodnie usiłowania wasze uwieńczy«.

Hrabia wyprostowany, w postawie nasłuchującej i wyczekującej, zagadnął ostro:

— To już wszystko, proszę acana?

— Wszystko, kochany hrabio.

Tamten odetchnął głęboko, w milczeniu wskazał towarzyszkowi odosobnioną ławkę, na której też zaraz obaj usiedli.

— Napoleon, proszę acana — odezwał się hrabia, wyciągając nogi, umieszczając trzcina między kolanami, i biorąc z tabakiery niuch tabaki — był dotąd żołnierzem. Nazywano go *heros invincibilis*. Teraz kalkuluję, że został dyplomata. A wiesz, panie Macieju, jak się wyklada po polsku dyplomata? Wyklada się po prostu: krętacz!

Tamten, wogóle mało mówny, nie nie odpowiedział. Zmęczony był podróżą i doznaniem w podróży wrażeniami; przytem, jako członek delegacji, uważał za obowiązek wstrzymywać się od własnych o jej przebiegu uwag.

Obaj długo milczeli — Wodziński oddany całkowicie milemu wypoczynkowi, Chodkiewicz pogra-

żony w myślach, nieruchomy, z trzymaną automatycznie w palcach szczyptą proszku tabakowego.

Milczenie przeciągało się ponad wszelką miarę i znecierpliwiło wreszcie nawet małomównego posła.

— O czym tak głęboko rozmyślasz, kochany hrabio? — zagadnął, spoglądając bokiem na towarzysza.

— At!... — mruknął tamten, z zadumy się budząc. — O wielkiem głupstwie rozmyślam: o... frydze.

— O czym?

— O frydze, panie Macieju; lub, jeśli wolisz, o wiertalce, której puszczeniem w ruch dzieci się bawia.

Wodziński ramionami wzruszał, brwi wysoko podnosił.

— Z frygą, proszę acana — ciągnął hrabia — jest rzecz taka: dopóki ma siłę rozpędu, trzyma się prosto, gdy zaś słaniać się pocznie w prawo i w lewo, szukając to tu, to tam punktu oparcia, już to niezawodny znak bliskiego jej upadku.

Podniósł zwolna tabakierę do nosa, zażył — westchnął.

— *Utinam sim falsus vates...*

I zaraz, do towarzysza się obracając:

— Coż nastąpiło potem?

— Nadzwyczajne oziębienie...

— Umysłów?

— Aury, kochany hrabio. Opuściwszy Wilno, dygotaliśmy z zimna w swych lekkich płaszczach. Jechać zaś musieliśmy literalnie po trupach końskich, których setki i tysiące zalegały pola i drogi w obrę-

bie kilkumilowym. Były to ofiary gwałtownej zmiany temperatury, długotrwałych snot i — głodu.

— Głodu mówisz, panie Macieju?

— Głodu, kochany hrabio.

— Czemże były żywione, proszę acana?

— Póki starczyło zielonego zboża na polach, to tem zbożem; później i owej zieleniny zabrakło.

— A furaż, proszę acana?

— Furażu transporty albo spóźniały się, albo w drodze ginęły, albo — wcale ich nie było.

Chodkiewicz głową kręcił, żżymał się...

— Tuszę — niecierpliwie rzekł — że przynajmniej ludzom prowiantu nie braknie.

— Różnie z tem bywa. Wszelako, dzięki Bogu, *jeszcze* głodu nie cierpią.

— A co będzie potem, panie Macieju? Co będzie potem, proszę acana?

Odpowiedzi nie było.

Wodziński gruby zegarek z kieszeni wyciągnął, spojrzał nań, do ucha przyłożył. Wskazywało to aż nadto wyraźnie, że mu wieczera już pachnie i nęci łóżko wygodnie posłane.

Wstali obaj, skierowali się ku wyjściu.

Rozmowa, doprowadzona do punktów drażliwych i niebezpiecznych, już dalej ciągnąć się nie mogła. Milczeli — choć tylko jednemu milczenie było ulgą. Drugiego o pasyę tłumioną przyprawiało.

Gdy na plac Rzeczypospolitej wyszli, już gmach Teatru Narodowego był oświetlony i publiczność tłumnie na przedstawienie ciągnęła. Chodkiewicz, wbrew zwyczajowi, do teatru nie poszedł, lecz zawrócił na Miodową wprost do swego pałacu.

Ostatnie jego słowa, przy żegnaniu się z towarzyszem, brzmiały:

— Droga dobra czy zła, panie Macieju, już nam *usque ad finem* iść nią trzeba. Ja, com postanowił, spełnię. Własnym sumptem pułk piechoty wysztyftuję, i sam, proszę acana, dowództwo nad nim obejmę...

ROZDZIAŁ IV.

KORPUS PIĄTY.

Na krańcach rozciągłej wsi białoruskiej, w okolicach Mira, w pobliżu Romanowa, w zadymionej izbie starego, na pół rozwalonego domostwa, grono oficerów polskich różnej broni i różnego stopnia walną odbywało naradę.

Tu się zeszli, bo tu była »kwatery« kapitana Mrocza; kapitan zaś z trojga rzeczy słynął: z upodobań poetyckich, z wielkiej gościnności oraz z posiadania baryłki rumu i ordynansa, umiającego przyrządzać dobry poncz ulański.

Pito ów poncz i palono fajki — narada zaś odbywała się w sposób niezwykły, gdyż przy jednoczesnem wszystkich przemawianiu, które pono słuszniej krzyżeniem nazwaćby wypadało. Nikt tu innego nie słyszał i — jak się zdaje — słyszeć się nie starał. Wszakże nie po to się zeszli, żeby słuchać, lecz żeby gadać.

Nie było tu pułkowników, generałów i żadnych zgół szefów, nikt przeto nie czuł się w obowiązku być zapiętym na wszystkie guziki. Większość nawet,

aby z guzikami nie zgoła nie mieć do czynienia, porzuciła mundury.

Miejsce nie świetniało ani wielkim zbytkiem, ani nadmierną wygodą — wogóle było to przygodne leże, nie z Kapuą nie mające wspólnego.

Poncz grzał się w sporym miedzianym kociołku, od kucharza obozowego pożyczonym. Krótco ostrzyżony, z wąsami sterczącymi, sługa kapitana warząchwią na długim trzonie mieszał trunek, rozlewając go w podstawiane nieustannie naczynia. Wśród ostatnich nie widziało się ani złotych czar, ani kryształowych puharów — nadtłuczone szklanki, garnuszki bez ucha, nawet wątpliwego pochodzenia miseczki i imbryczki miejsce ich zastępowały. A zastępowały z powodzeniem, nikt się bowiem na brak wykwintu nie uskarżał.

Kilku tylko najszcześniejszych znalazło miejsce na kulawej ławie pod ścianą; reszta, naśladując z musu uczujących Rzymian, spoczywała w postawie półleżącej na rozesłanych w izbie, potarganych wiążkach słomy.

Oficerowie rozprawiali, pili poncz, palili fajki na długich cybuchach. O niebezpieczeństwie zaproszenia ognia nikt nie myślał. Czemże było splonięcie jednej rudery w chwili, gdy obracały się w zgłiszcząca całe wsie i miasta!

Pod niskim pułapem dym zwisał gęstą chmurą. Aby mu dać ujście na zewnątrz, otwierać okien nie potrzebowano. Już oddawna one były wyrwane z zawias i wyrzucone.

Dzień był lipcowy, duszny. Do izby wpadały co chwila z pobliskich ulów pszczoły, które jednak

dym ostro do natychmiastowej ucieczki zmuszał. Wytrwalsze od nich muchy całymi rojami, z brzękiem głośnym, latały po izbie, obsiadając czoła i nosy pijących.

Z muzyką owadów łączyły się płynące z zewnątrz głosy trąbek i bębnow, rzenie koni, dalekie, urywane słowa komendy, rytmiczne tętnienie ziemi pod ciężkimi stopami maszerujących żołnierzy.

Co kilka minut grzechotały w oddaleniu stłumione salwy karabinowe. Mało na one zważano. Gdy ktoś świeżo przybyły wzrokiem zapytywał kolegów, objaśniano go:

— To z kozuniami ucierają się Sasy i Westfalczyki...

I wołano o świeże fajki, o nowe porceje ponczu.

Wszyscy już powąchali prochu, na głos wystrzałów przestali reagować. Wszyscy już z księciem Józefem byli w ogniu: pod Nowogródkiem i pod Mirem. Mir przyniósł zwycięstwo, Nowogródek porażkę — jedno i drugie było drobne, marne, nie odpowiadające zupełnie ogromowi rozpoczętej kampanii.

Oficerowie palili fajki, pili poncz, gawędzili, ziewali — wszyscy jacyś rozleniwieni, obojętni i jakby samym sobie dziwiący się. Ktoby im głębiej w oczy zajrzał, dostrzegłby — zawstydzenie. Wstydzili się swoich krótkich, mało chwalebnych czynów, przegradzanych długimi, niesławnymi odpoczynkami. Własnej ich winy w tem nie było. Jeden z pułkowników określił ich, siebie i cały ten korpus piąty, przez króla Westfalskiego dowodzony, słowami:

— Jaki pan, taki kram...

O tym właśnie królu między biesiadnikami rzecz szła.

— Jaki on tam król!... — szydził jeden. — Zwyczajny niżnik, i tyle...

— W dodatku: żołędny... — bąknął inny, kłęb dymu ustami puszczając.

Podchwycili to najbliżsi.

— Niżnik żołędny!... Brawo!... Biję niżnika!... Dwójka świętna od niżnika starsza!...

Kapitan Mroczek, gospodarz zabawy, pilnował, żeby szklanki, dzbanuszki i miseczki kolegów stałe były napelnione, sam jednak pił mało i od krzyczących trzymał się zdaleka. Gdy dla ochłody zdjął mundur, obecni ujrzeni na jego piersi kokardę z wstążki różowej. Szybkim ruchem oderwał ją i ukrył — przyszło to już wszakże za późno.

— Zdrowie róży!... Zdrowie ulubionego kwiatu kolegi Mrocza!... — wykrzyknął kapitan Dunquerque z pułku wołyżerów, podnosząc w górę kubek wyszczerbiony.

— Zdrowie pięknej, majowej różyczki! — poprawił inny, stosunków Mrocza świadomszy.

— Koledzy! żadnych żartów! — zaoponował energicznie Mroczek. — To sprawa dla mnie święta!

Wszyscy w jednej chwili umilkli.

W tej chwili w pobliżu chaty rozległ się śpiew:

— Zostawsz potężnym panem,
Wszystko mogącym sultanem,
Synu! czyn tak, jak ja robię:
Najpierw pamiętaj o sobie!...

Wszyscy poznali, że nadchodzi porucznik Zefiryn czyli »Zefirek« — on bowiem jeden tylko w całym obozie popisywał się aryą z »Królowej w Syras«. Jakoż ujrzano go niebawem w progu. Drzwi były na całą szerz otwarte, on jednak zawsze w przestrzeganiu form towarzyskich ścisły, zanim wszedł do środka, kilkakrotnie w nie zapukał i nie pierwszej próg przestąpił, aż rozległy się wołania: — *Entrez! Entrez!*

Wszedł strojny, wymuskany, pachnący, świeży, »jak z pudełka«. Mundur na nim leżał gładko, bez fałdki najmniejszej, włosy miał ufryzowane, twarz starannie ogoloną i lekko upudrowaną. Złożył wszystkim ukłon salonowy i w postawie teatralnej kończył:

— Mimo narzekań halastry,
Zbieraj cekiny i piastry;
Niechaj lud sobie dziwaczy —
Goly król mało co znaczy!

— Spóźniłeś się, kawalerze... — zwrócił się do przybyłego najstarszy z towarzystwa. — Zapominasz, że punktualność obowiązuje nawet królów — rozumie się, nie Westfalskich.

Zefirek wykręcił się na pięcie.

— Tra la la!... Wiem bez przypominań, com winien Ojczyźnie. Jeślim nie stawiał się w oznaczonej porze na wasz podły poncz, którego sam odór o mdłości mnie przyprawia, stało się to dla dwóch powodów, z których drugi...

— Ciekawiśmy przedewszystkiem pierwszego...

— Pierwszy, jako ważniejszy, chowam na ko-

niec. Drugim zaś było to, że musiał do swej kwatery wstępować, aby się przebrać od stóp do głowy.

— Zbyteczne ceregiele... — wystąpił z uwagą Mroczek. — My balu nie wyprawiamy.

— Tra la la! Najpierw szanujący się oficer winien w każdym czasie występować po balowemu. Następnie, konieczniem musiał tamten mundur zrzucić, bo mnie wprost kompromitował. Mój Jędrus, wyobraźcie sobie, zamiast skropić go ekstraktem *Dernier soupir d'une amante abandonnée*, użył zwyczajnej, wulgarnej *larendogry*. Czyż nie byłoby *du dernier ridicule* zjawiać się z takim zapachem na zebraniu towarzyskiem?

— Bredzisz, kolego... — ozwał się z kąta grubym głosem ten sam, co wpraw, starszy, poważny oficer. — Jak może żołnierz zaprzętać sobie głowę takimi fraszkami?

— Tra la la! Dla waszmości fraszki, a gdybyś spytał Józia, pewnieby rację przyznał nie tobie, lecz mnie.

Ostrożnie, końcami palców, dotknął swej fryzury, potem dumnym wzrokiem powiódł po zebranych.

— Od Józia właśnie powracam... — wycodził przez zęby, brodę do góry zadzierając.

Uczyniło to wrażenie na obecnych. Gwar przycichł.

— Czy są nowiny? — spytało kilka głosów.

Zefirek zagadkowo się uśmiechnął, oczyma miejsca dla siebie szukał.

Zasiadająca kulawą ławę starszyzna pośpiesznie posunęła się, czyniąc mu miejsce wolne.

Batystową woniejącą chusteczką otrzepał ławę i usiadł, nogi przed siebie wyciągając.

— Nowiny są — odrzekł wciąż uśmiechnięty — mogliście to byli z mojej twarzy wyczytać. Ale dajcie mi najpierw szklanekę swojej śmierdziuchy, żebym miał czem zakurzone gardło przeplukać.

— Najpierw nowiny, potem poncz — sprzeciwiano mu się.

— Tra la la! Ja mogę poncz wypić i pożegnać waszmościów, powiedziawszy: — *Merci, au revoir*.

— Hola! Nie puścilibyśmy! — podniosły się głosy.

— Mundur, pachnący ekstraktem *Dernier soupir*, zostałby z waszmości ściągnięty.

— Z rajtuzami razem!

Na ustach Zefirka zaigrał wesoły, prostoduszny uśmiech dobrego kamrata.

— Otóż nie! — zawołał, powstając. — Nie dokażecie tej sztuki. Żaden z was nie ściagnie ze mnie munduru, gdyż — ja sam wpraw to uczynię!

Szybkim, zręcznym ruchem zdjął mundur i starannie go złożywszy, obok siebie na ławie położył.

— Czy mam to samo z rajtuzami zrobić? — wesoło zapytał, wzrokiem wodząc dokoła.

Rozległy się krzyki:

— Nie trzeba!... Nie trzeba!... Zuch Zefirek!... Dajcie mu ponczu!... Dajcie mu dwa poncze!... I fajkę!...

Po zdjęciu munduru, okazało się, że pierś pięknego porucznika ozdabiają liczne, różnych kolorów, kokardy.

— Cóż to za trofea? — dopytywać zaczęto. —

Czy to zdobycz z pod Nowogródka? A może z pod Mira lub Romanowa?

— Z Warszawy — spokojnie oświadczył Zefirek.

— Wzięta na wojnie?

— Nie, w pokoju.

Ktoś zaśmiał się na całe gardło.

— Bądź szczerzy, bałamucie. Powiedz wprost: w alkowicie!

— Tra la la! A co komu do tego! Noszę barwę swojej jedynej — i basta.

— Jedynej? Przecie kokard jest sześć, a każda innej barwy...

— Powiedzieć właśnie chciałem: jedynej, pomnożonej przez sześć.

Wypił poncz jednym łykiem, nie odejmując od ust szklanki, otrząsnął się i splunął.

— Brrr... cóż za obrzydliwość. Jeszcze nigdy w życiu czegoś równie ohydneho nie pił. Dawajcie prędko drugą szklankę!

Załatwiwszy się równie prędko z drugim ponczem, przybrał nagle minę melancholijną.

— Towarzysze! — wyrzekł smętnie, obrzucając kolegów czułem spojrzeniem. — Gdy zginę, weźcie z mojej piersi te kokardy i odnieście je mojej jedynej, pomnożonej przez sześć. Sześć adresów wraz z sześcioma próbkami włosów, znajdziecie w moim portfelu. Przy wręczaniu każdej kokardy mówcie z westchnieniem: — Ostatnie jego słowo było: »Elwira!«... Albo: »Justyna!«... Albo: »Amelia!« — i tak dalej, stosownie do wskazówek, podanych przy adresie.

Kapitan Dunquerque, siedzący na futrynie okna, jak na koniu, zawołał:

— Ja też do kolegów prośbę zanoszę. Ten, kto mnie na polu bitwy znajdzie nieżywego, niech tę wiadomość zanieśnie kapitanowi Kossowi oraz porucznikowi Jabłońskiemu i niech im powie: — »Kapitan Dunquerque z drugiego pułku wołyżerów kłania się waćpanom i zaprasza ich do kontredansa na dolinie Józefata!« Zawsze mi ci dwaj za vis-à-vis służyli, chciałbym i tam mieć ich przy sobie.

— Nowiny! Nowiny! — dopominać się zaczęło ułanów kilku, grzmocąc o stół kawaleryjskimi, mocno okutymi szablami. — Wypiłeś, Zefirku dwa poncze, wypaliłeś dwie fajki — niechże ci się język narzucie rozwiąże!

— Tra la la! — odparł lekceważąco tamten, przesuwając lekko dłoń po fryzurze i różkiem batystowej chusteczki ocierając usta. — Gdybym nie chciał, tobym nie powiedział, lecz na szczęście dla was chcę... Dowiedźcie się zatem, że byłem dziś u Józia, i że to Józio nowin mi udzielił.

Wszyscy nadstawili uszu. Gwar przycichł.

— Nowina pierwsza! — wygłosił Zefirek poważnie, jak z katedry. — Cesarz ma już dość swego braciszka Hieronimka. Wytargał go za uszy i klęczeć przed Davoustem kazał.

Skupili się słuchacze przy Zefirku. Nadzwyczajne zaciekawienie malowało się na wszystkich twarzach.

— Mów wyraźniej! — domagano się. — Umieamy z ciekawości! Za dobrą nowinę wykapiemy cię

w esencji różanej! Sprawimy ci kąpiel z cynamonu, szafranu i nardu, jak nałożnicy izraelskiej!

— Gotujcie kąpiel, bowiem królowi Westfalskiemu odebrano dowództwo, a jego korpus przyłączony do korpusu generała Davoust.

— A książę?

— Na czele korpusu piątego staje *de facto*.

— Wiwat książę Józef!... Wiwat książę wódz!... Z nim na Moskwę! na piekło! na samego Lucyfera!

Ogromna radość zapanowała w izbie. Zażądano nowych porcyj ponczu, nowych fajek. Śpiewano, całowano się, tańczono.

Trzeźwiejszy od swych gości Mroczek ujął Zefirka pod ramię i dopytywał:

— Skądże to przyszło? Co było ostatnią kroplą, która czarę przepełniła?

— Hieronimek za wiele czasu poświęcał miłostkom oraz kąpielom w winie i mleku, a za mało ściganiu Bagrationa. Przytem miał zwyczaj rozkazy cesarza wypełniać naodwrot. Zamiast dwadzieścia pięć mil wykonywać w siedmiu dniach, na siedem mil poświęcał dwadzieścia pięć dni...

— No, teraz wszystko pójdzie żwawiej. Wiatronogie rumaki na skrzydłach burzy uniosą zakutych w miedź herojów. Uderzy w surmę Mars, a Pallas tępym końcem dzidy grzmotliwy dźwięk z tarczy dobędzie!...

Zefirek już miał ze swem »tra la la« wystąpić, lecz w obozie zagrały nagle trąbki, wzywające do wojennego pogotowia.

Błyskawicznie naciągnięte zostały mundury, przewieszone szable, przywdziane kaski i łosiowe rę-

kawice. Drzwiami i oknami powyskakiwali wszyscy, śpiesząc na swe posterunki. Ruch zawrzał w całym obozie.

Ocieężałe Sasy i leniwe Westfalczyki z trudem i w nieładzie wysypywały się zewsząd, depcąc sobie po piętach, potykając się, przewracając. Natomiast z wielką sprawnością i nadzwyczajnym pośpiechem stawali do apelu Polacy. Magnetycznie oddziaływał na nich głos nie Napoleona, lecz księcia Józefa. On był dla nich władzą najwyższą; w nim widzieli głównego wodza, naczelnika, prawego następcę Kościuszk.

Polskim żołnierzom zbędne były nominacye urzędowe. Oni znali tylko i słuchali księcia Józefa, któremu pomagał Napoleon.

Gdy wojska stanęły w szeregu, wyjechał do nich na swym przepysznym turczyńie książę Józef. Odpowiedziawszy miłym uśmiechem na przeciągłe, ogłuszające pozdrowienie, oznajmił podwładnym wolę cesarską, przyłączającą korpus piąty do korpusu pierwszego i oddającą króla westfalskiego Hieronima pod zwierzchnictwo generała Davoust.

Żołnierze polscy wysłuchali tej wiadomości w obojętnem milczeniu. Co ich to wszystko obchodzić mogło! Bóg i Ojczyzna, książę Józef i Napoleon, zwycięstwo i wolność — oto były jedyne ich gwiazdy przewodnie.

Oficerów dręczyła ciekawość: co im powie, z jaką miną do nich przystąpi zdegradowany król?

Ta ciekawość nie miała być zaspokojona. Król Hieronim, korpusu piątego dowódca, świa-

tlem od brata pożyczonem blyszczący pyszałek, zwierzchnik bezpośredni księcia Józefa, któremu wiedzą, talentem i charakterem do kostek nie dorastał, po otrzymaniu rozkazu cesarskiego — haniebnie z obozu czmychnął.

ROZDZIAŁ V.

CZERWONY CZŁOWIECZEK ZJAWIA SIĘ PO RAZ DRUGI.

Napoleon długo nie ruszał się z Wilna; zdawało się, że tam wiekować będzie. Dużo rozprawiał, pogwizdywał, pośpiewywał, kampanię rosyjską traktował, jak krotochwilę, której rozwiązanie w ciągu kilku dni nastąpi — jednak w sobie nie był ani zadowolony, ani spokojny.

— Otóż mamy przed sobą — wzgardliwie mówił — owo bajeczne carstwo, które zdala imponowało nam swym ogromem i rzekomą potęgą... Cóż to za marność! Czy można nazwać państwem pustynię, wśród której bezkresu niknie garść rzadkiej, rozproszonej ludności? Wielkie obszary, które tych barbarzyńców bronić miały, staną się ich zgubą. Ich tak zwana armia śmiech poprostu budzi. Nie ma to ani broni, ani organizacyi, ani cienia ducha wojennego. Przy pierwszym starciu, panicznym strachem zdjęci, uciekają, jak stado baranów. Na cóż liczył ten ich car, pozornie tak pewny siebie i mocny? Zanim ułoży plan kampanii, już będzie pobity: zanim zdąży woj-

ska swe ściągnąć, ja już w murach Moskwy stanę. Pokona ich strach, jaki budzi sława mych poprzednich tryumfów; zginą od wyrzutów sumienia za krzywdę, wyrządzoną Litwie i Polakom. W pierwszej walnej bitwie skruszę ich potęgę na zawsze. Byle tylko to niebo raz nareszcie rozchmurzyć się chciało...

Niestety! Ani niebo nie chciało się rozchmurzać, ani walna bitwa nie nadchodziła.

Cesarz zbierał informację, odbywał narady z generałami, kreślił coraz nowe plany, rozsyłał swe korpusty, to w prawo, to w lewo — dręczyło go jednak tajemnie coś nieokreślonego, podobnego tym złym przecuciom, które napadają ludzi w pełni sił, zdrowia i powodzenia, każąc im niespodzianie myśleć o śmierci, biedzie, nieszczęściu.

Spokojnym być nie mógł. Widział, że dokoła niego dzieje się coś nie tak, jak się dziać powinno. Ta kampania zapowiadała się jakoś dziwnie, zagadkowo, niepokojąco; nie była podobna do niczego, z czem się dotąd spotykał.

Doświadczał Napoleon wrażeń człowieka, który zbrojnie napadł na zamek i miał bramy jego minami wysadzić, tymczasem widzi, że wszystkie drzwi same się przed nim otwierają, za drzwiami zaś — nikogo...

Nieraz, gdy był sam, wymknęło mu się z ust włoskie przekleństwo. Nieraz, będąc pewnym, że go nikt nie widzi, wysuwał przed siebie dwa palce prawej ręki, kierując je w stronę, gdzie domyślał się obecności cara Aleksandra. Budził się w nim przesądny, w »jettaturę« wierzący Korsykanin.

Pod względem fizycznym nie był to już wychudły, z gorączkowym w oczach płomieniem, generał

Bonaparte, każący czterdziestu wiekom przypatrywać się sobie ze szczytu piramid; ani tężejący już w bronz i marmur zwycięzca z pod Austerlitz; ani nawet przybrany w gronostaje, wyniosły, a zimny, Cezarowi młodemu podobny, koronujący sam siebie cesarz Francuzów. Rosnąca z każdym dniem tusza zacierala w jego postaci wszelką posagowość; stawał się ociężały, a wydatny brzuch przy małym wzroście dawał mu znamię pospolitości, upodobił do płaskiego typu włoskich pasztetników i perukarzy.

Przytem nie czuł się zdrowym. Twarz jego z każdym dniem stawała się żółciejszą, przybierała tony oliwne i szare. Ciepłych kąpielí używał prawie codziennie i dużo czasu spędzał w wannie, dokąd nawet przynoszono mu raporty i skąd pilniejsze wydawał rozkazy. Najbliższe jego otoczenie dopatrywało się w tem dziwactwa — w rzeczywistości było to coś innego. Ciepłemi kąpielami cesarz uśmierzał bóle wewnętrzne, przed światem tajone.

Z Litwinów cesarz nie był zadowolony. Oni również zbyt zapału wykrzesać dlań z siebie nie mogli. Wchodziły tu w grę: z jednej strony czarujący uśmiech Aleksandra, z drugiej, niewyraźne i wykretnie słowa, jakimi cesarz odprawił delegację warszawską i wileńską. Przytem pospieszne, naprędce zaimprovizowane uwłaszczenie włościan usposobiło niechętnie znaczną część szlachty litewskiej.

Nie przynosiła też Napoleonowi pociechy i jego *Grande Armée*. Brak prowiantu i furażu zmuszał wojsko do rabunku, a ciężkie kary za rabunek wywoływały dezercję. Jeszcze nie zaczęła się wojna

właściwa, a już we wszystkich oddziałach brakło po kilkudziesięciu i kilkuset ludzi.

Tem zresztą mało się cesarz przejmował.

— Pierwsza walna bitwa — nie przestawał powtarzać — zaradzi odrazu wszystkiemu. Dostarczy ona w obfitości pożywienia dla ludzi i koni, a żołnierzy syty i zadowolony nie będzie się dopuszczał bezprawi.

Tymczasem jednak pierwszy punkt wspaniałego programu nie powiódł się. Korpusy: pierwszy i piąty, które miały odrąbać Bagrationa od Barclaya de Tolly, zadania swego nie spełniły. Trzeba było stwarzać nowe plany i Wielkiej armii nową wykreślać drogę.

W tym samym czasie drugi olbrzym: Car Aleksander, czynił wrażenie lunatyka, idącego do celu krokiem pewnym, lecz z zamkniętymi oczami.

Czyni i zamierzenia obu przeciwników ujawniały, że jeden i drugi ulega sile wyższej... Ta jedynie istniała między nimi różnica, że cesarz usiłował z ową siłą walczyć, a car poddawał się jej bez oporu. Chcąc, czy nie chcąc, stawali się obaj narzędziami jakichś tajemnych, nadziemskich potęg.

Wieżć o wkroczeniu Napoleona na Litwę zaskoczyła cara niespodzianie, przy tańcu i zalotach. I zaraz, prawie bez namysłu, wydał rozkaz odwrotu. Wyglądało to na wypełnienie przyjętego wcześniej, po dojrzałej rozwadze, postanowienia, w rzeczywistości było — improwizacją. Być może nawet, że czemś jeszcze dziwniejszem, bo — automatyzmem.

Dwudziestego szóstego czerwca, późnym wieczorem, dowiedział się car o przejściu Niemna przez Francuzów, a już rankiem dnia następnego nie było

w Wilnie ani jego, ani jego armii. Barclay de Tolly skierował się z jednym korpusem w stronę Moskwy; książę Bagration, wraz z generałem Platowem i jego kozakami, zwrócił się w kierunku Petersburga. Przy tym drugim korpusie umieścił się car.

Z kierunku drogi korpusów nie wypadało bynajmniej, że udać się zamierzają do dwóch stolic imperyi. Poszły tam, gdyż tam iść musiały — pomimo, że tworzyło to rażącą sprzeczność z ukazem carskim, ogłaszającym wojnę, a wydanym dopiero po fakcie.

Car przemówił do swego narodu miękko i chwiejnie:

»Do końca mieliśmy nadzieję powściągnąć wrogie zamysły cesarza Francuzów łagodnemi, pokojowemi środkami... Zajęliśmy posterunek przy samej granicy, ufając, że się przeciwnik przestąpić jej nie poważy... Nie pomogły te wszystkie środki do utrzymania tak pożądanego przez nas spokoju... Cesarz Francuzów naszedł nasz kraj gwałtownie i pierwszy wojnę rozpoczął... Nic nam nie pozostaje, jak tylko, Boskiej pomocy wezwawszy, przeciwstawić siły nasze siłom nieprzyjaciela... Wojownicy! krew dzielnych Słowian płynie w waszych żyłach. Spieszcie bronić religii, ojczyzny i wolności. Ja jestem z wami. Bóg zwraca się przeciw najeźdźcy«.

Tkwiała w tem bolesna ironia, że naród jednocześnie z wezwaniem do wojny otrzymał wiadomość o cofaniu się armii. Należało to za wszelką cenę naprawić. I oto we dwadzieścia cztery godzin po pierwszej odezwie w rocznicę bitwy pod Połtawą wy-

daje Aleksander odezwę drugą, o wiele mocniejszą i ognistszą.

— »Wojownicy rosyjscy! Los pozwolił wam narzeczcie osiągnąć cel upragniony... Przy pierwszym natarciu wroga należało powstrzymać zbytni zapal waszych, rwących się do boju zastępów... Wpierw musiały być skupione nasze siły, aby szansem nieprzebytem stanęły na drodze nieprzyjaciół... Czekaj na was sposobność okazania tyle już razy doświadczanej waleczności... Niech dzień dzisiejszy, uświęcony wspomnieniem Połtawy, nowem natchnieniem was bohaterstwem!... Wzorem swych poprzedników, obróćcie w niwecz zamysły wroga, skierowane przeciw waszej religii, waszemu honorowi, waszej ojczyźnie, waszym rodzinom... Bóg, który broni sprawiedliwych, udzieli wam swego błogosławieństwa«...

Na pierwszej odezwie nie wskazano, skąd pochodzi. Na drugiej zaznaczono wyraźnie: »Z obozu pod Dryssą«.

Te dwie odezwy, czyż nie są dwoma ruchami wahadłowem umysłu, który swego punktu ciężkości dopiero szuka?

Dopatrywano się w postępowaniu Aleksandra krańcowej finezyi, wprost chyłności. Według swych portrecistów, miał to być »szczwany lis«, który pozorami dobroduszości wyprowadza w pole najmędrszych i najostrożniejszych. Sam Napoleon uważał go chwilami za takiego i radził mieć się na baczności przed tym »grekiem«.

Tymczasem ów arcyprzebiegły *Reineke Fuchs*, już po przejściu Niemna przez Francuzów posyłał do nich swego najzaufanego hrabiego Tolstoja, raz jesz-

cze próbując, czy wojny zażegnać się nie da. Chodziło o drobnostkę, o to tylko, żeby Napoleon ze swą niemal milionową armią... z powrotem za Niemen się cofnął! Równało się to żądaniu od staczającej się lawiny, żeby była łaskawa zatrzymać się w miejscu, a potem wznieść w górę i osiąść na najwyższym szczycie, pod postacią śnieżnej drobinki.

Zdaje się, że gdyby wyrażenie *sancta simplicitas* nie istniało, to należałoby je dla tego jednego faktu stworzyć.

Ludzie, długo zwłóczący z powzięciem postanowienia, zajądło potem trzymają się go i bronią. Car przekonany, że już »odrobić się« to nie da, nakreślił znak krzyża na czole i piersiach i postanowił zostać — bohaterem. Do obozu wyjechał, kierownictwo całej kampanii objął, naczelnym wodzem wojsk wszystkich ogłosić się kazał. Nie mało trudu użyć musiano, aby go o niewłaściwości ostatniego kroku przekonać.

Po tamtej stronie, plan wyprawy przemyślano i przygotowano ze ścisłością drobiazgową, doprowadzoną do pedanteryi; tu, ściśle rzecz biorąc, wszystko było chaosem. Na radach wojennych coraz inni generałowie z coraz innymi występowali planami. Cesarz wszystkie odrzucał. W tej chwili wielka sprawa obrony kraju spoczywała w rękach dwóch ludzi, którym car ufał: generała Barclay de Tolly i księcia Bagrationa. Poza nimi był jeszcze ośmdziesięcioletni, ślepy na jedno oko, weteran i inwalida, uczeń sławnego Suworowa, sam również sławny: Kutuzow. Tego nikt w rachubę nie brał. Car nigdy o nim nie mawiał inaczej, jak »staryk«, co brzmiało prawie: »niedolega«. — Nieco więcej uwagi poświęcano Be-

ningsenowi, choć i ten nie wiele był młodszy od Kutuzowa.

Dwaj obecni wodzowie dwugłosu zgodnego nie tworzyli. Ognisty Gruzin, Bagration, rwał się do akcji zaczepnej, do bitwy w otwartym polu; uczony teoretyk, rozważny, powolny, ostrożny Barclay, głosował za systemem odpornym, za przeciąganiem wojny.

Car przechylał się kolejno ku temu i ku tamtemu. Pilnie słuchał deklamacyi Gruzina i argumentów Infantczyka — przyczem niezmiernie dbał o to, żeby na stole, przy którym odbywały się narady, a zwłaszcza na jego osobistem, niezmiernie wytwornem i czystością idealną błyszczącym biurze nie powstał nigdy najmniejszy pyłek. Zawsze też znajdować się tam musiała czysta, batystowa, pięknie złożona chusteczka oraz tuzin piór, świeżo przyciętych. Oddzielny urzędnik, z pensją 3.000 rubli rocznie, zajmował się przyrządzaniem piór dla cara, któremu trudno było w tym względzie dogodzić. Każde pióro mogło być tylko raz jeden użyte, wówczas nawet, gdy car poprzestawał na wypisaniu pod jakimś papierem imienia *Alexandre* — co czynił zawsze z wielką przyjemnością, kreśląc starannie litery pochylęm, angielskim pismem i ozdabiając podpis pięknymi »wykrętasami«.

Poza gronem zaufanych urzędowych doradców, miał car jednego jeszcze poufnika, z którym porozumiewał się prywatnie. Był nim Niemiec, generał Pfuhl, jeszcze przed pięciu laty oficer pruskiej armii, którą porzucił, aby objąć przy carze nieurzędowe stanowisko instruktora i doradcy.

Pfuhl nie pochwalał żadnego z projektów, roz-

trząsanych na radach wojennych. Na ich miejscu stawiał swój własny, udzielany prywatnie, w cztery oczy, na przechadzce, lub przy wieczornym przeglądzie dzienników.

Projekt Pfuhla brzmiał:

— Nie przyjmować ani jednej bitwy. Nie prowadzić żadnej zgola orężnej wojny. Cofać się i cofać, ciągnąć za sobą wroga, i dbając tylko o to, aby na swej drodze nie miał ani dachu nad głową, ani kęsa chleba dla siebie, ani garstki siana dla swych koni...

Car słuchał swego doradcy najpierw z zajęciem, potem obojętnie, wreszcie z wyraźną niechęcią. Położyło koniec tej sprawie wymowne wzruszenie ramion, znaczące:

— Dość już mam tego bredzenia...

System Barclay'a de Tolly odniósł na razie zwycięstwo. Lewe skrzydło armii rosyjskiej okopało się w wielkim, dostatnim, silnymi fortami zabezpieczonym obozie pod Dryssą. Tu miano połączyć się z armią Bagrationa, przyjąć walną rozprawę z Napoleonem, potęgę jego złamać, do odwrotu go zmusić.

Car zamieszkał w obozie. Pochwalał zarządzenia swego wodza, podpisywał coraz innemi piórami przedstawiane sobie papiery i czekał cierpliwie na Francuzów. Ale i Bagrationowi przeszkadzało nie chciał, traktując pobłażliwie jego, mniej lub więcej niepomyślne utarczki z armią Napoleona.

Niestały był, niepewny, a zarazem posłuszny jakiemuś tajemnemu głosowi, który go wiódł za sobą i ufnym być kazał.

Nie rozstawał się przytem z jedną ideą, która

od początku kampanii głęboko mu w duszę zapadła. Dał jej wyraz wymowny, oświadczywszy raz w zapale:

— Choćbym aż w głębiach Sybiru schronienia szukać miał, stamtąd jeszcze przeciw najeźdźcy przed światem całym protestować będę!...

Nieustannie modlił się i wzdychał, pokłony przed ikonami wybijał.

I Napoleon i Aleksander ujawniali w działaniu automatyzm. Obaj czynili chwilami wrażenie lunatyków.

Pomiędzy nimi stał mąż, nad jednym i drugim świadomością celów swych i uczuć górujący. Był nim książę Józef. Ten szedł drogą prostą, bez wahań się, bez namysłów.

Książę Józef nie potrzebował kołować. W nim i przed nim wszystko było zupełnie proste. Miłość Ojczyzny, poświęcenie dla niej bezgraniczne, wierność złożonej przysiędze, czyż potrzebują rozumowań, narad i politycznej dyalektyki? Człowiek szlachetny daje się im prowadzić tak posłusznie i ufnie, jak swym Aniołom Stróżom.

Przytem ten »Alcybiades z pod Blachy« — jeden może tylko ze wszystkich aktorów tego strasznego misteryum — posiadał znanie prawdziwego bohatera: służył wyłącznie idei swej, o sobie zgoła nie myśląc.

Księżu obojętne były zaszczyty wojenne. Gdy go oddano pod komendę króla Hieronima, prawie młokosa, zmartwił się, gdyż mu ta zależność ruchu tamowała. Ale, jako prawdziwy rycerz, karność żołnierskiej fanatyk, ani jednym mrugnięciem powieki

niezadowolenia nie objawił. W roli podwładnego i w roli wodza jednakowo był wzorowy.

Gdy zkolei, z woli Napoleona, znalazł się pod Davoustem, i tę zmianę przyjął z prostą, służbiwą postawą. Choć również pozbawiająca go samodzielności, była jednak przyjemniejsza. List, z którym zwrócił się do nowego zwierzchnika, tchnie niewymownym urokiem jakiejś prastarej, wzorowej, średnio-wiecznej rycerskości. Książę, jakby odkupić chcąc dawne polskie, niekarne i wichrowate »sobiepaństwo«, czynił się rozmyślnie wzorem posłuszeństwa, ustepliwości, niemal pokory.

Choć nie dla nagrody to było czynione, nagrodę uzyskało. Rozkaz Napoleona oddał niebawem księciu Poniatowskiemu główne dowództwo nad prawem Wielkiej armii skrzydłem.

Nie zmieniło to ani trochę jego stosunku względem towarzyszy broni. Dobrym kamratem był, dobrym kamratem pozostał. Ale miał odtąd pogodniejsze czoło, więcej żaru w oczach i jeszcze miłszy — jeśli to być mogło — ust koralowych uśmiech.

O jakichkolwiek wysokiej rangi korzyściach książę ani pomyślał. Szczęście osobiste oddawna już złożył na ołtarzu pomyślności ogólnej. Jak prawdziwy pokutnik, wolny od wszelkiego samolubstwa i całego siebie na ofiarę Ojczyźnie oddający, nawet porywy serca stłumił, nawet o ukochanej kobiecie i o dziecku swem nie myśleć się starał..

Miniatura pani Czosnowskiej wraz z miniaturą synka spoczywały na dnie walizy podróżnej, nie odwijane, nie oglądane...

Książę kochliwy był i bałamut. Uczyniły go

takim okoliczności, a może i dziedziczny temperament, boć przecie króla Stanisława był bratankiem. Młodość jego przypadła na schyłek wieku XVIII, w którym Wenus-Astarte wszechwładnie nad Wschodem i Zachodem Europy panowała. Później nieszczęścia narodu i przymusowa bezczynność zniewalały go szukać w szaleństwach wielkomiejskich usypiającego duszę narkotyku.

Rozpustnikiem pospolitym, na współczesnych sobie francuskich markizach i włoskich *aventurierach* wzorowanym, nie był. Jego miłostki opromieniała pewnego rodzaju poezya. Rodzicielką ich była prawie zawsze rodzima, zdrowa fantazyja, którą on po swojemu »tężyzną« nazywał.

Przytem książę, choć niezmiernie czuły, nie był ani trochę czułościowym. Sprawy serca zwykł był załatwiać po rycersku, z rycerskością wszakże łączył sporą dozę sceptycyzmu i wykwintnego lekceważenia kobiety. Tem uczuciem znieprawiała dusze męskie Wielka rewolucya, mająca za apostoła Woltera, za Ewangelię — jego »Dziewkę z Orleanu«.

»Książę Pepi« mógł być za kobietami szaleć, lecz sama myśl o możliwości ubóstwienia którejkolwiek głośny śmiech przywołałaby mu na usta.

Ów sceptycyzm sprawił, że i do dzieci swych przywiązany był umiarkowanie. Nie znaczy to jednak, że złego miały w nim one ojca. Dostatecznie stwierdzał to ów arkusz papieru, przed wyjazdem z Warszawy zapisany i w pałacu pod Blachą pozostawiony, którego nagłówek brzmiał: »Na wypadek mej nagłej śmierci«. Każdemu z synów zapisywał tam książę poważną kwotę.

Zresztą serce księcia wypełniała inna, owiele większa miłość. Jego kochanką, jego oblubienicą, jego małżonką była: Ojczyzna. W umyśle księcia nie było w stanie tej wielkiej pani dorównać — cóż dopiero ją przewyżżyć! Do ojczyzny należało jego życie; myśl o ojczyźnie na chwilę go nie odstępowała; ojczyzny obraz świat mu cały zasłaniał.

Nie był książę poetą, ani poezyi miłośnikiem, lecz naksztalt porannej i wieczornej modlitwy, dzwoniło mu codziennie w uszach i w sercu:

Święta miłości kochanej ojczyzny!...
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieźdźdźisz w umyśle rozkosze prawdziwe!...

Od początku kampanii koledzy księcia i podwładni podziwiali jego stale pogodny, prawie wesoły, nastrój ducha. Mówiono, że i jemu, jak Napoleonowi, najlepiej służą niewygody życia obozowego, że dym prochu zdrowszy jest jego piersiom, niż powietrze pól i lasów.

Przybył do obozu bladej, mizerny, co przypisano przebytej niedawno chorobie, wprędce jednak rumieńce i zwykłą rzeźkość odzyskał.

Zawsze wytworny, staranny w ubiorze, dbały o siebie, z małym podgolonym wąsem, z pięknie utrefionymi, sztucznymi kędziorami, mówiący po francusku, jak Paryżanin, a po polsku z zacięciem mazurskiem, nosił jednak książę w sercu głęboko ukrytą, lekliwie przyczajoną, samej siebie trwożącą się — rozpacz.

Rycerz na modłę Bayarda życie lekcewał, i

przed śmiercią nie myślał uciekać — owszem, wiedział, że to jest i być musi wszystkich podobnych żywotów *ultima linea*. Testament, przed wyruszeniem w pole napisany, dostatecznie to potwierdzał. Ale nurtowały duszę księcia myśli od samej śmierci straszniejsze, przed którymi opędzał się, którym się bronił, których za wszelką cenę pozbyć się pragnął. Pod tem białem, gładkiem czołem wrzały często burze szalone, nigdy zresztą do wiadomości innych nie dochodzące...

Napoleonowi zawierzył i wiarę mu poprzysiągł. Odtąd ślepo był mu posłuszny; w nim jednym widział wodza, rozkazodawcę, pana swego życia i śmierci. Nie krytykował go — krytykować nie chciał — nie mógł...

I książę, tak samo, jak Napoleon, do »walnej bitwy« się rwał, wzdychał do takiego starcia się dwóch armii, od którego ziemia i niebo zatrzęsłyby się, a cały porządek społeczny, zły i niesprawiedliwy, inaczej a rozumniej i uczciwiej się ułożył.

Tymczasem fatalność w leniwym, rozwiązłym, pyszałkowatym Hieronimie uosobiona, zniewalała go odbywać krótkie marsze a długie postoje, i uczestniczyć, nie na własną rękę, w marnych, jego imienia i geniuszu niegodnych utarczkach.

Dopiero upadek i sromotna ucieczka króla Westfalskiego rozwiązały mu ręce. Z jakąż rozkoszą i z jakim zapalem rzucił się w pościg za Bagrationem! Należało go nie dopuścić do obozu pod Dryssą, wpędzić w błota Pińskie, do szczętu znieść lub rozbroić. Przepołowiony smok armii rosyjskiej groźnym być przestawał.

W pościgu mógł był już tu i owdzie szable i lance polskie w ruch puścić. Rozgrzewało go to, dodawało zdrowia i animuszu.

Cesarz ze swej strony upędzał się za Barclayem de Tolly. Rozlegały się tu i tam grzmoty karabinowych i armatnich wystrzałów; artylerya i piechota francuska, z pomocą walczących pod Chłopickim w legii hiszpańskiej polskich ułanów, odnosiła świetne, choć dorywcze zwycięstwa — dalekie to wszakże było od tego, do czego dążono.

Cesarz niecierpliwił się. Mara, za którą gonił, wymykała mu się co chwila z ręki: nieprzyjaciel to ukazywał się, to niknął. Pożądał spotkania się oko w oko z głównym armii carskiej korpusem — zamiast niego znajdował oddzielne pułki, lub też chmarę lotnego kozactwa, które po pierwszej salwie rozlatywało się jak kruków stado, niknąc wskróś pustych, zamglo-nych, bezkreśnych przestrzeni.

Fantazya ludu stworzyła nimfy i syreny, boginki leśne i dziwożony, kazała ognikom błędnym tańczyć przed zbłąkanymi wędrowcami i wciągać ich nieznacznie na grząskie bagna, do wodnych lub skalnych przepaści, gdzie śmierć znajdowali... I przed Napoleonem tańczył taki złośliwy, niepochwytny ogień; i on upędzał się za majakiem, nie widząc, że coraz bardziej z drogi prostej się zbija, że coraz groźniej spoglądają nań zewsząd: pustka, trwoga, śmierć.

Drobne utarczki podrażniły go, jak płytkie ukłócia walczącego w arenie byka — postanowił przecie naprzód za wszelką cenę, przyzywać wroga najstraszniejszymi zaklęciami, stawiać czoło samemu szatanowi...

Pewnego dnia Oudinot otrzymuje rozkaz zajęcia Połocka, Macdonald wyruszać musi pod Rygę, Reynier ma być ich obu aryergardą — sam zaś cesarz, wzięwszy ze sobą półtorasta tysięcy najlepszego żołnierza, rzuca się w głąb Rosyi, ku Witebskowi.

Prawie w tymże czasie Poniatowski z Davoutem dościgają nareszcie pod Mohilewem Bagrationa, i choć ilościowo trzykrotnie odeń słabsi, biją go i do ucieczki zmuszają.

Książę Józef i jego »wiara« używają dosyta krwawej kąpieli. Nie ostudza ona wrzącego w ich piersiach płomienia. Książę wkracza do Mohilowa, a pierwsze słowo, jakie tam z ust jego wybiegło, brzmi:

— Psiakrew! — Drapnęli!...

Bagration, choć na głowę pobity, wysliznął się księciu. Co gorsze, wszystko wskazywało, że się z prawem skrzydłem swej armii połączył. Nie znalazłby go już wszakże w obozie pod Dryssą. Już silniejsza od planów strategicznych potęga uniosła je stamtąd i rzuciła mimo Witebska — pod Smoleńsk.

I książę Józef w Mohilowie długo popasać nie mógł. Policzył swe szeregi, zasmucił się stratami, jakie w nich poczyniły kule i gorsze od kul, głodem wywołane choroby, pocieszył się widokiem nieuszczonej, dzielnie trzymającej się Księstwa Warszawskiego artyleryi, i niewiele bawiąc, ruszył z kopyta, mimo wsi i miast przydrożnych — pod Smoleńsk.

A gdy tak obaj różnemi drogami pod mury prastarego grodu dążą, zdawało się, że Napoleon w zdobytym Witebsku utknął, i już się stamtąd nie ruszy.

Cesarz pod same mury Witebska za cieniem

się upędzał; nie dziwnego, że wstąpiwszy w nie, cień tylko pochwyił. Zpod ręki wywinął mu się Barclay. Mniemając, że z nim walczy, rozprawiał się tylko z jego aryergardą.

Witebsk okazał się pustką. Po jego wyludnionych ulicach snuła się tylko garstka wystraszonych, napół obłąkanych Żydów, a prócz nich, Jezuitów kilku, z pozoru potulnych i pokornych, lecz z dwuznacznym na wygolonych wargach uśmiechem.

Pominać chciał cesarz miasto, uragające mu głuchą ciszą i przeraźliwem ubóstwem. Ale wojsko, wycieńczone bitwami, pochodem i niedostatkiem, wielkim głosem dopominało się spoczynku. Panował prztem upał niezmierny, zmagający nawet tych, co niegdys żary afrykańskie zwycięsko przetrwali. Sam Napoleon, którego wzrastająca tusza coraz słabszym czyniła, znużonym się czuł.

Silna wola Cesarza potrafiła przemóc wrodzony mu wstręt do pustki i ciszy. Zwołał radę wojenną, do której należeli: król Neapolitański, wicekról i książę Neufchatelu, i która postanowiła dłuższy postój w Witebsku odbyć.

Napoleon w namiocie, rozbitym pod samem miastem, rozporządził jaknajdokładniej wszystkimi oddziałami Wielkiej Armii. Każdemu wskazano punkt, z którego dalszą rozwijać miał akcyę: Poniatowskiemu — Mohilew, Davoutowi — Orszę, Muratowi i Neyowi — przestrzeń od Orszy i Dubrowni aż do Witebska. Wielkie korpusy, od środka armii oddzielone, powierzono: Dąbrowskiemu, księciu de Reggio i Macdonaldowi — pod Bobrujskiem, Połockiem i Rygą. Książę Bassano pozostał w Wilnie.

W mieście przygotowano dla cesarza kwaterę. Pośpieszył do niej wprost z namiotu. — Wchodząc do pokoju, mającego być jego gabinetem, z uczuciem prawdziwej ulgi rozerwał guzy surduta, odpiął szpadę, na stół pokryty papierami rzucił ją i, siadając ciężko na fotelu głosem jak najbardziej stanowczym oświadczył:

— Tu przybyłem — tu pozostanę! Użyję tego czasu na dokładny przegląd armii, na doprowadzenie jej do porządku, na zapewnienie wojskom krzepiącego wywczasu. Kampania tysiąc ośmset dwunastego roku zamknięta; wznowi ją i do końca doprowadzi — rok tysiąc ośmset trzynasty.

Powiódł bystrym wzrokiem po obecnych.

— Zapomniałem o jednym — dodał. — Zajmę się także — urządzeniem Polski.

Przebrał się w lekkie, luźne ubranie, które zabezpieczać go miało od gorąca i, mimo pory spóźnionej, do pracy się zabrał.

Na podłodze rozłożono wielką kartę Rosyi, wszędzie za cesarzem w oddzielnej skrzyni wożoną. Napoleon skinieniem wyprosił wszystkich od siebie; dyżurnemu oficerowi przykazał, żeby nie pozwalał nikomu przeszkadzać mu w pracy.

Przy zapuszczonych roletach i mnóstwie świec zapalonych, zwyczajem swym położył się z cyrkiem i ołówkiem w ręce na mapie, i długo, słowa francuskie i włoskie pod nosem mrucząc, mierzył, kreślił, na palcach obliczał, myślał, kombinował...

W gmachu, zajętym przez cesarza, w mieście, na przedmieściach i w obozie całym, nastąpiła półno-

ena cisza, którą przerywały tylko okrzyki sztyldwachów i dalekie psów szczekanie.

W obszernej, prawie pustej izbie, leżący na olbrzymiej mapie cesarz wydawał się dziwnie małym — nikłym... Posuwał się zwolna, jakby pełzając, i poszukiwał coraz nowych punktów, w które wbijał duże szpile z kolorowymi lebkami.

Nagle drgnął, doznawszy nieprzyjemnego, znanego sobie uczucia. Po wylysiałej jego czaszce przebiegł jakby podmuch zimnego wiatru.

Gwałtownym, energicznym ruchem, porwał się na nogi. Do stołu pośpieszył, chciał się...

Miejsce było zajęte.

Na fotelu rozpierał się drugi *On*, w zmniejszonych rozmiarach, cały krwawo-czerwony.

— A!... — westchnął głęboko cesarz, bez wielkiego jednak zdziwienia i trwogi nadmiernej. Oczy mu się tylko rozszerzyły i twarz nabrała wyrazu osłupienia.

Przysunął sobie drugi fotel i usiadł naprzeciw Czerwonego człowieczka.

Przez długą chwilę zatapiali w sobie nawzajem przenikliwe, do głębi duszy sięgające spojrzenia. Do oczów, rzecz można, przeniosły się ich dusze.

Potem zawiązał się między nimi dialog — dialog niemy, oczyma tylko samymi prowadzony.

— Znów grozisz? — pytał Napoleon.

— Ostrzegam... — odpowiedział gość.

— Już to czyniłeś.

— Tak, lecz mię nie posłuchałeś.

— Dobrze mi z tem.

— Żle.

- Nie jam temu winien...
- Ty.
- Czego żadasz? W spokoju mnie zostaw.
- Po coś tu przyszedł?
- Światło nieść.
- Kłamiesz.
- Potęgę Francyi szerzyć.
- Kłamiesz.
- Polskę wyzwolić.
- Kłamiesz.
- Zanadtoś przenikliwy. A więc: przyszedłem samego siebie wywyższyć, tron dla syna umocnić, dynastję ustalić.
- To nie wszystko.
- Cóż jeszcze?
- Nie miłość cię wiodła.
- Niema na nią w sercu mem miejsca.
- Wiodły cię: duma podrażniona i nienawiść.
- To sprężyny równie dobre, jak inne.
- Pędzonys także przez chorobę, która ci spokoju nie daje.
- Prawda.
- Przez zazdrość.
- Prawda. Mój przeciwnik w pełni sił, ja chylę się ku starości...
- Przez fatalność.
- Tej się nie wyrwę.
- Lecz innych wyrwać możesz.
- Nie chcę. Cóż dla mnie inni! Śmiertelni są pod memi stopami. Depcę po nich. Bóg jestem!
- Więc nie stawaj w miejscu. Idź, dokąd cię los pędzi.

- Skupić się muszę, wypocząć.
- Naprzód!
- Ustałem: ciało moje ku ziemi ciąży...
- Naprzód! Naprzód!
- Więc pójdę. Krzepki jestem i lotny.
- Zobaczymy się jeszcze.
- Nie chcę.
- Musisz!
- W cesarzu zbudził się Korsykanin. Zaklął, pięść zaciśniętą wyciągnął...
- Ale czerwonego człowieczka już nie było.
- Napoleon osunął się na fotel, wstrząsany drgawkami.
- Nazajutrz armia otrzymała rozkaz dalszego pochodu. Za Bagrationem, Barclayem, Davoutem, Poniatowskim, i Napoleon ruszył — na Smoleńsk.

Daj, bym włócznią napierśnik skruszył Hektorowy!
By nikt z jego żołdaków nie uniósł stąd głowy!

ROZDZIAŁ VI.

SMOLEŃSK.

Kapitan Mroczek, owinięty długim, fałdzistym płaszczem, z głową wzniesioną, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, ze stopą na wywróconej ławecie wspartą, wpatrywał się w groźny natłok starych, ponurych, obronnych murów.

Oddzielała go od nich duża przestrzeń, rojąca się zbrojnymi ludźmi, końmi, mnóstwem wozów i namiotów, a dalej: szumna, wezbrana rzeka, która w czerwieni zachodzącego słońca krwią zdawała się płynąć.

Mroczek stał na wzgórzu, panującym nad tym chaosem. Błada jego twarz z czarnym zarostem i prawiłowymi rysami była tragicznie piękna. Brwi ściągnął, oczy mu gorzały — wiatrom, falom, ziemi i niebu rzucał dźwięczne, patetycznie wygłaszane aleksandryny...

— Jowiszu! niebios władco, nie zrównany w mocy!
Dziś, przed zgaśnięciem słońca, przed powrotem nocy,
Daj, bym pyszny Pryjama zamek mógł obalić
I ogniem nieprzyjazne Troi bramy spalić!

Nieopodal stało dwóch starszych, poważnych oficerów: generał Grabowski i pułkownik Zakrzewski. I oni przyglądali się ze wzruszeniem potężnym murem Smoleńska — budziły w nich one wszakże wspomnienia nie literackie, lecz historyczne.

Grabowski opowiadał młodszemu od siebie towarzyszowi, jak to przed dwustu laty, po wielomiesięcznej mitrędze, gdy już o zdobyciu warownego grodu wątpiono, otworzył doń drogę podstępem osiemdziesięcioletni »kawaler Maltański« Bartłomiej Nowodworski. Fortel polegał na zapaleniu »petardy« w kanale ściekowym, którego wylot znajdował się u stóp góry, tuż przy Dnieprze.

— Sądny to był dzień, pułkowniku — kończył generał. — Okropna siła wybuchu rozrywała skałę, domy z ludźmi wyrzucała w powietrze — rozwalila kościół pełen modlących się, którzy zginęli pod gruzami... I patrz, kolego: »kawaler«, któremu groziło: być w strzępy porwanym, wyszedł z tego piekła nie tylko zwycięzcą, lecz zdrowym i całym.

Zakrzewski mruknął posępnie:

— Obawiam się, żeby z nami nie stało się wręcz przeciwnie...

— Pod jakim względem?

— Pod obydwoma.

Tamten spojrział mu w oczy, i — choć to był dzień upalny — wzdrygnął się. W tych oczach tał się blask złowrogi, który nigdy nie myli.

Zadudniała ziemia pod kopytami galopujących

koni. Na czarnym, ognistym turczyńie objeżdżał pozycję w towarzystwie swych adjutantów wódz prawego skrzydła: książę Józef. Uśmiechnięty był, wesół; żywy rumieniec barwił mu okrągłe policzki. Siedział na koniu lekko, zręcznie, z wdziękiem takim, jakby nie paszcze armat przed sobą miał, lecz pełne strojnych dam balkony.

— Do jutra, kamraci! — rzucił rozmawiającym, szybko ich mijając.

Przy Mroczkowi na chwilę konia osadził.

— Do jutra, kapitanie! — z uśmiechem zakrzyknął. — Okryj się laurami — wykwitnie z pomiędzy nich... różyczka!

Zbladł Mroczek, a zaraz potem płomień rumieńca na twarz mu buchnął. Chciał coś powiedzieć, lecz książę odsadził się już daleko.

W miejscu, górującem nad całą okolicą, mając przed sobą, jak na dłoni: miasto, zamek i wiodące ku nim białe wstęgi gościńców, stał ze sztabem swym Napoleon. I cesarz i jego generałowie, pokryci kurzem, spoceni, tylko co zsiadli z koni, które nieopodal przeprowadzano.

Blady, milczący, zdenerwowany Napoleon uderzał niecierpliwie szpicrutą po zakurzonych botfortach i co chwila przykładł do oczu lunetę. Twarz jego wyrażała rozdrażnienie. Marszczył się, usta krzywił, z nogi na nogę przestępował. Nagle pochylił się całym tułowiem naprzód, i silnie przyciskając szkło do oczu, na długą chwilę w tej pozycji znieruchomiał.

Nagle do towarzyszków się zwrócił.

— Patrzcie!.. patrzcie!..

Wskazał ręką punkt oddalony.

Skierowali szkła w tamtą stronę; on tymczasem pytający wzrok na nich zawiesił.

— Tak, najjaśniejszy panie, tak!... — zaczęli jeden po drugim. — Ten na prawo to Barclay de Tolly... Ten na lewo — Bagration...

Twarz cesarza w jednej chwili cudownie się przemieniła. Rozpogodzony, wesół, wewnętrzną radością promieniejący, głosem najwyższego zadowolenia zawołał:

— *Enfin, je les tiens!*

Natychmiast wszyscy dosiedli koni. Adjutanci rozlecieli się dokoła z rozkazami.

Davoutowi i hrabiemu de Lobau kazano stanąć po prawej stronie korpusu Ney'a. Gwardya, do rezerwy przeznaczona, zajęła środek. Nieco dalej wskazano miejsce armii włoskiej. Junot i pułki Westfalskie miały działać łącznie. Murat i Poniatowski tworzyli prawe skrzydło; cofnięto ich na skraj małego lasu, pozostawiając wielką, pustą przestrzeń, ciągnącą się aż do Dniepru. Tu zwabiony miał być nieprzyjaciel. Tu zadana być mu miała ostateczna klęska, kres całej kampanii kładąca.

Scena była wykończona, aktorzy do występu gotowi, lecz — światła zabrakło. Noc zapadła wyjątkowo ciemna, prawie czarna. Z dłonią przy szabli, z palcem na cynglu, z lontami zapalonymi czekać musiano rozświetu.

W obozie francuskim i polskim, a niezawodnie też i po stronie przeciwnej, mało tej nocy spano. Napoleon i książę Józef oka nie zmrużyli. Nie pomy-

śleli też o spoczynku kapitan Mroczek i porucznik Zefiryn.

Pierwszy wczytywał się w Homera i układał elegie, z »Żalów Orfeusza za straconą Eurydyką« naśladowane. Drugi, przy pomocy ordynansa oraz krawca pułkowego, przygotowywał strój paradny, odznaczający się wielkim w najdrobniejszych szczegółach wykwentem. Oficerowie polscy, za przykładem swego wodza, stroili się zawsze przed każdą bitwą, jak na bal. Cesarz, niecierpliwy, jak śpieszący na pierwszą schadzke kochanek, kazał rozbić swój namiot prawie na samej linii bojowej. Napróżno rozważniejsi generałowie ostrzegali, że armie rosyjskie mogą bitwy nie przyjąć — nie słuchał ich, i co chwila, z lunetą przy oczach, przed namiotem stawając, ruchy Rosyan badał. Podniecona wyobraźnia kazała mu widzieć w mroku szykujące się do boju kolumny piechoty, uwijającą się jazdę, przetaczane działa...

Przed samym świtem zdrzemnął się trochę. Gdy oczy otworzył, już się rozwidniło. Wybiegł przed namiot, przez lunetę spojrział, i — ręce mu opadły.

W otwartem polu nieprzyjaciół ani śladu...

Schronili się do miasta i zamku.

Na tworzenie nowych planów nie było czasu. Z jednego z przedmieść już się kule rosyjskie sypały.

Powiódł tam natychmiast swą »wiarę« Poniatowski. Gdzie się Polacy, a zwłaszcza, gdzie się pułki księcia Józefa ukazały, pardonu tam już nie było. Choć nieprzyjaciół rozwinał silny ogień karabinowy, wspomagany przez działa z murów bijące, przedmieście zostało wzięte, wojsko i mieszkańcy na inne miejsce przepłoszeni.

Lance, szable i bagnety prą dalej. Przedmieście po przedmieściu wpada w ręce Polaków, których ożywia zapal niesłychany. Rzekłbyś, że to powstał z grobów junacy Żółkiewskiego — od tamtych nawet dzielniejsi, bo pierś nie opancerzoną, lecz bezbronną na pociski wroga przemożnego niosą.

Pod murami miejskimi ustawiła się rosyjska dragonia. Kozacy, jak sępy, ze wszech stron szarpia naszych. Ale przybył Sułkowski z ciężką jazdą polską. Pcha się naprzód, krzycząc strasznie, pułk drugi wołyżerów Księstwa Warszawskiego. Nie próżnuje ze swej strony i Murat, którego kołpak, ze strusimi piórami, niby bukiet różnobarwny, to tu, to owdzie, z dymu prochowego wykwita... Już są nasi pod miastem. Chwila jeszcze, a w mieście się znajdują.

W tej chwili do cesarza przygalopował generał Dalton ze sztabu Davouta.

— Najjaśniejszy panie! — mówi zdyszany — wróg w pole wyciągnął!...

Cesarz przyzywa Neyą, Murata. Poniatowskiemu rozkaz nowy posyła.

W istocie widać pułki rosyjskie, wychodzące z miasta, formujące się, jakby do bitwy.

Napoleon promienieje. Szpicrutą ćwiczy buty i konia, który staje dęba. — *Je les tiens! je les tiens!*!... — co chwila powtarza.

Ciężki Ney, teatralny Murat, bohaterski Poniatowski — wszyscy trzej nieustraszeni, lecz rozważni — rozpatrują się pilnie w położeniu.

— *Sire!* — przypada Ney z ostrzeżeniem. — To nie atak. To — ucieczka!

— Najjaśniejszy panie! — potwierdza Murat. — Oni, jak zawsze, zmykają.

Upór i samoludzenie się Napoleona nie mają granic. Uwagi przyjaciół wzruszeniem ramion przyjmuje. Przyzywa adjutantów; rozkaz ogólnego ataku wydać zamierza...

W tej chwili silny wiatr rozwał wiszące nad miastem i okolicą dymy; widok odsłonił rozległy.

Niestety, już i cesarz wątpliwości mieć nie może. Widać wyraźnie, po tamtej stronie Dniepru, szeroki gościniec, w stronę Moskwy wiodący, a na tym gościńcu, cofające się pośpiesznie, choć w porządku, korpusy Bragationa i Barclaya.

Twarz cesarza stała się szara. Ale się zaraz z przygnębienia otrząsnął.

— Ścigać ich! — piorunującym głosem krzyczy. — Ogniem prażyć! Sieć, kłóć, kartaczować!

Zerwał się wściekły huragan krzyków, klątw, wystrzałów. Tysiące kul goni uciekających. Nie odpowiadają na nie. Ale wyręcza ich w tem silna aryer-garda, pozostawiona w murach dla obrony miasta. Pociski z blanków fortecznych, z bastyonów, z potężnych wież czworobramnych i obłych, dziesiątkują armię oblężniczą.

Cesarz wpadł w furję. Zapominając, że jego wojska odgradza od tamtych bystra i głęboka rzeka, drze się:

— Ścigać! ścigać!

Dostrzegł fale, więc na strzemieniu się wspina, rozkaz rzuca:

— Wpław!

Rozkaz rozniosły trąbki. Liczne pułki jazdy sko-

czyły do rzeki, nie szukając brodu, który znajdował się o wiorstę dalej. Fale uniosły i potopiły kawalerzystów. Ci, co rzekę przebyli, znaleźli przed sobą gęste zarośla, głębokie parowy — nieprzyjaciół ani śladu.

Cesarza szal ogarnął. Wypuścił konia; wyciągniętym galopem, przez krzaki, kamienie i doły, pędził długo na oślep. Z trudem go powstrzymano — zawrócono.

Zatrwożył się o szwagra Murat. Wymownie mu przekłada, że walka bezowocna. Cesarz argumentów nie słuchał, od męża swej siostry z gniewem się odwrócił. Murat, w efektach teatralnych zamilowany, przykłęka przed nim na jedno kolano, ręce błagalnie wyciąga. Z patosem wielkim mówi, prawie krzyczy, że mu nie chodzi o życie własne, lecz bronić chce od niechybnej a niepotrzebnej zguby dzielnych Francuzów, bohaterskich Polaków...

Napoleon zaciął usta, brwi zsunął, ściągnął uzdę — konia w inną stronę obrócił.

Murat prędkim, tragicznym ruchem dosiada swego wierzchowca, do walczących szeregów galopem się puszcza. Po chwili, widziano go w punkcie najgroźniejszym, gdzie zdala poznać go mógł każdy po sutym pióropuszu, po aksamitnym, z haftami złotymi płaszczu. Zagrzewał wszystkich do walki, w najsłabszych wlewał męstwo swym gestem bohaterskim — sam odsłaniał pierś i nadstawiał czoło piekielnej ulewie pocisków, sypiących się z miasta i zamku.

Już pióra na jego kasku od kul były postrzępione, już rozwiany, przestrzelony płaszcz wyglądał, jak rzeszoto — on z miejsca się nie ruszał, szablą

nagą potrzasał, konia ostrogami bódł — zdawało się, że w hipogryfa go przemieni.

Przypadł doń jeden z towarzyszków broni.

— Generale! — zakrzyknął — ludzie dokoła ciebie setkami padają. Czy chcesz, żeby tu wszyscy śmierć znaleźli?

Oprzytomniał na chwilę, błędnym wzrokiem po trupach i ranionych potoczył.

— A więc — podniesionym głosem rozkazał — niech wszyscy stąd odejdą. Ja sam pozostanę.

Szukał śmierci. Ale śmierć omijała go — bo-
wiem czas jego jeszcze nie przyszedł.

I Napoleon nie panował już nad sobą. Widok starych, osadzistych murów, z których grzmiały wciąż salwy armatnie, drażnił go, o szaleństwo przyprowadzał. Zdawało mu się, że te mury urągają mu, że słabości jego szydzą. Więc jedna już tylko myśl nad nim całym zapanowała: te mury za wszelką cenę opanować, rozbić — niechby tylko po nich gruzy zostały.

Morze krwi ma się rozlać? Niech się rozlewa. Stos trupów pod samo niebo się dźwignie? Niech się dźwiga!

Nie chciał słuchać przestróg cudzego, ani własnego rozsądku. W mieście i w zamku zgromadził nieprzyjaciół olbrzymie zapasy prowiantu, amunicji, wszelkich potrzeb wojennych; burząc miasto i zamek, niszczyło się podstawy bytu własnej armii. Ślepy na to był i głuchy.

Otrąbiono szturm generalny. Każdy z korpusów otrzymał miejsce właściwe.

Księcia Józefa z armią Księstwa Warszawskiego pchnięto na punkt najbardziej wysunięty i najgro-

źniejszy. Miał przebyć Dniepr, zniszczyć mosty i przy pomocy sześćdziesięciu dział uniemożliwić załodze odwrót. Jednocześnie artylerya gwardyi rozbijać miała mury.

Polaków, jak zawsze, posłano na pierwszy ogień. Męstwo ich było uznane, z ust cesarza otrzymali miano: *braves des braves* — należało tę moc i ten zapał wyzyskiwać.

Polacy zaufania cesarskiego nie zawiedli. — Rozwarło się przed nimi piekło — bez namysłu w nie skoczyli. Nieprzyjaciół bronił się zajadle. Ustępował, lecz każdą piędź ziemi strasznymi kazał okupować ofiarami.

Dostrzegł książę niebawem, że ma wrogów nie tylko przed sobą: pułki rosyjskie, chyłkiem z zamku wypelzłe, szarpały go z boku, do zupełnego otoczenia i odcięcia dążyły.

Próżne wysiłki! Przy Poniatowskim, na czele swych pułków walczyli: Zajączek, Kniaziewicz, Izidor Krasinśki, rycerze na miarę Bayarda, heroje, lwy...

Wycieczkę, z murów wysłaną, wtłoczono z powrotem między mury.

Dwa okropne wybuchy, które chwilowo cały zamęt bitewny zagłuszyły, dały znać, że artylerya polna wysadziła dwie bramy obronne. Wdarły się przez nie natychmiast pułki polskie piechoty z nastawionymi bagnetami.

Miasto było zdobyte — zdobyte przez Polaków, zdobyte ceną ich krwi szlachetnej.

Zaprawdę, zawiele tej krwi przelano. Nawet wówczas, gdy nagrodą jej był uśmiech cesarza i tytuł *braves des braves* — zawiele.

Jeszcze, gdy wynik ataku nie był wiadomy, kula nieprzyjacielska śmiertelnie ugodziła generała Grabowskiego. Na noszach, utworzonych naprędce z karabinów, żołnierze na stronę go unieśli. Lekarz rozwał mundur, obejrzał broczącą ranę — smutnie głową pokiwał.

Na chwilę wyrwał się z szeregów, do towarzysza przebiegł pułkownik Zakrzewski.

— Kolego — rzekł doń tamten głosem gasnącym — ziściła się przepowiednia. Los mój we wszystkim różny od losu »kawalera«. Tracę życie i — nie oglądam zwycięstwa...

W tej chwili, huk wystrzałów głuszac, rozdarł powietrze krzyk potężny, od którego ziemia zadrżała. Taki krzyk dobywa się tylko z piersi zdobywców. Pułkownik odwrócił się. Na murze powiewał sztandar francuski, ręką polskiego żołnierza zatknięty.

— Zwycięstwo, generale! — zawołał, ściskając ziębnącą już dłoń towarzysza.

— A więc... nie żał mi życia — wyjąkał Grabowski. — Bóg dobry... Pocieszył mnie...

— I mnie!... — jęknął tamten, ugodzony w tejże chwili odłamem granatu.

Więcej wymówić nie mógł. Krew buchnęła mu ustami, wyciągnął przed siebie ręce, obok towarzysza runął.

Zapadał wieczór. W innych punktach mordownia nie ustała. Do Napoleona wieść o tryumfie Polaków nie przedarła się jeszcze.

Cesarz siedział na stolku przed swym namiotem, odurzony piekielnym łośkotem, dymem prochu, wzięwami krwi. Kapelusz zsunął mu się na oczy, broda

zwisła, nos wydawał się dłuższy, niż zwykle. Ktoby nań z boku patrzył, mniemałby, że śpi.

Nagle wyprostował się, dreszczem wewnętrznym wstrząśnięty.

— Dość! — zawołał.

Przybiegli generałowie — on rozkazał:

— Odstąpić od szturm! Wojska cofnąć!

Wytłómaczono mu, że to niemożliwe. Oddziały dotarły do samych murów, część ich znajdowała się w głębokim parowie, część wdarła się w niedostępne zarośla i przesmyki. Łatwiej było iść naprzód, lub na miejscu ginać, niż cofać się...

Cesarz rozważał to wszystko przez chwilę; potem rozesłał adjutantów z rozkazami, aby wojska, zawiesiwszy działanie, na zajętych pozycjach noc przetrwały.

Bowiem nadzwyczaj prędko, prawie w jednej chwili noc zapadła. Wyglądało to tak, jakby gniewny, lekkomyślny lub widzów swych lekceważący dyrektor zapuścić kazał zasłonę przed końcem widowiska.

A ci widzowie, na wzgórzach, stopniowo podnoszących się, niby na amfiteatrze, rozmieszczeni, z zamierajacem sercem wyglądali rozwiązania dramatu, który się w ciemnem zagłębieniu, niemal u ich stóp, rozgrywał.

Już część gońców dotarła do walczących, już piekielna muzyka wystrzałów brzmieć zaczynała *de-crescendo*, już dymy czarne rzedniały, ukazując w szczylinach zarysy miasta i zamku... Napoleon uderzał niecierpliwie butem w ziemię, ostrogą rył bruzdy głębokie — rwał się, jak rumak, co słyszy trąbkę wo-

jenną, a na miejscu stać musi, dłonią jeźdźca ścigany. Wściekał się, że nie ma rąk tak długich, by mu pozwoliły chmury dymu rozgarnąć, że wzrok jego nie jest w stanie przebić stężonych mroków nocy.

W tej chwili, przy cichnym już grzmocie dział, tu i owdzie, na dachach i wieżach miasta ukazały się szkarłatne, drgające wężyki. Było ich niewiele, ale z każdą chwilą mnożyły się. Niebawem czerwone, splątane, na dużej przestrzeni rozrzucone węzowisko zaroilo się w ciemności.

Pełna zdziwienia i lęku cisza zapanowała w orszaku cesarza. Wszyscy wzrok i myśl wyteżyli, usiłując zrozumieć, co się stało?

Jeden z generałów do towarzysza szepnął:

— Czyżby de Lobau popełnił to szaleństwo?

Hrabia de Lobau przebywał ze swym oddziałem w parowie, dotykającym bezpośrednio murów. On również, na widok owych węzów krwawych, zadał sobie toż samo pytanie.

Tymczasem, pospołu z wytryskami ognia, dobywać się zaczęły z miasta dymu burego fontanny.

Nie było już wątpliwości: Smoleńsk gorzał.

Ogień szerzył się zwolna, leniwie, zamierając w jednych miejscach, wyrastając w innych. Zdawało się, że niechętnie i jakby tylko pod przymusem swe straszne dzieło pełni.

Od strony miasta nadpływał gwar. Wielka odległość nie pozwalała rozpoznać głosów i ich znaczenia. Byłyż to krzyki trwogi, pogromu, czy też rozpaczego wołania o pomoc?

— Gdzie Polacy?... Gdzie Poniatowski?... — do-

pytywał cesarz, nie rozchmurzając czoła, nie przestając niecierpliwić się.

Odpowiedziano, że korpus piąty przebywa od początku w głównym ognisku piekła bitewnego, że nieprzyjaciół całą wściekłość na nim wywarł, że o Poniatowskim wieści niema, że wszystkie przedmieścia zasłane trupami polskich żołnierzy, że cały ten oddział za przepadły uważać należy...

Zżymał się Napoleon i chwytął za lewą nogę, w której zwykle drgawki występowały.

Resztę nocy bez snu spędzono.

Pożar stopniowo przygasał, jakby dymem i nocą duszony. Gwar z każdą chwilą cichnął, oddalał się, zamierał. Działa z jednej i drugiej strony zamilkły. Nad miastem unosiło się tchnienie śmierci i cmentarza.

Cisza ośmielała. Ledwie szarzyć zaczęło, mały oddziałek Francuzów podsunął się pod same mury, znalazł wyłom — z nastawionymi bagnietami, z palcem na cynglu, ostrożnie, na palcach niemal, wkradł się do środka.

Śmiałkowicie, ledwie jedną pustą ulicę przebywszy, stanęli w miejscu, strachem śmiertelnym zdrętwieni. W pobliżu, tuż za węglem wielkiego domu, rozlegały się liczne cudzoziemskie głosy. Głosy brzmiały twarde — rosyjskie być musiały...

— Dyabłuśmy wleźli w pazury... — mruknął gniewnie któryś z wiarusów.

Uformowali się pod murem; postanowili drogę życie swe sprzedać.

Ale w tejże chwili ukazały się z poza węgła

wysokie kity, błyszczące kaski, pocziwe, ogorzałe, wąsate twarze.

— I wyście tu, kamraci? — ozwał się wesół, nieco zdziwiony głos dowodzącego onymi podoficera.

— *Camerades... camerades...* — powtórzyli uradowani Francuzi, odkładając broń na ramię.

Poznali Polaków.

— *Vive l'empereur!* — zakrzyknęli jedni.

— *Vive l'empereur!* — odpowiedzieli drudzy.

— Dawnoście tu? — dopytywali Francuzi.

— Od wczoraj.

— Któż z wami?

— Nasz książę kochany, i generał Krasiński, i inne generały. Dużośmy ludzi stracili: prostego wojska i oficerów. Aleśmy postawili na swoim. Polak zawsze na swoim stawia.

— *Oui-da!... Bon!... Oui!... Braves Polonais! Braves camerades!...*

Wzięli się pod ręce, w głąb miasta poszli.

Otaczała ich pustka zupełna. Głosy huczały i budziły echo, jak w niezamieszkanym domu. Nie spotkali ani jednego żołnierza. Brak posterunków przekonał ich wkrótce, że cała załoga miasto opuściła. Co chwila dostrzegali tłące się jeszcze zgłiszczają. Biały, duszący dym pełzał po ziemi, w oczy się wgryzał. W rzadkich domostwach, przez ogień oszczędzonych, drzwi były szczelnie pozamykane; za szybami widniały blade, wystraszone twarze.

Głód zaczął im dokuczać, więc wtargnęli do kilku domów, drzwi kolbami wywalając. Nie stawiano najslabszego oporu, ale zastali ludzi wygłodniałych, którzy sami chętnie by kawałek chleba przyjęli.

Ten i ów znalazł w kieszeni suchara kawał. Podzielili się nim wszyscy, potem przy najbliższej studni mętną wodą skromny zapili posiłek.

Szli wszyscy w stronę wielkiego placu, na którym książę Józef już biwakował.

Mijając jakąś ustronną uliczkę, usłyszeli hałas, szczęk broni, klótnię głośnie, wreszcie szybkie kroki uciekającego człowieka...

Podoficer z kilkoma Polakami podbiegli tam szybko, poznawszy po głosie rodaka.

Na niewielkim placu stał porucznik Zefiryn, nagą wymachując szablą. O kilka kroków dalej, leżał na bruku, jęcząc głośnie, ciężko raniiony kozak. Drugi kozak uciekał, co miał siły, również krwią brocząc. Dwie spisy kozackie bez żeleźców poniewierały się na ziemi.

Zefiryn, szablą machając, kłął siarczyście po polsku i po francusku.

Podoficer, człowiek już niemłody, z sutym wąsem, z twarzą poważną, dwiema szramami ukoronowaną, podbiegł doń, salutując.

— Panie poruczniku! — upominał — jak można tak się narażać! To tałatajstwo czai się po dziurach naksztalt lisów, kun i rysiów. Czyha ono na nieostrożnych, co chodzą w pojedynkę. Pan porucznik wybacz, ale...

— Tra la la! — przerwał żywo tamten. — Wszystko poszłoby jak najlepiej, gdyby nie zbytnia jednego z tych lajdaków konfidencya. Bowiem, że napadli mnie, to jest w porządku. Że ja, broniąc się, obciąłem im u spis żeleźce, a potem gnałem przed sobą, jak wieprzów parę, to również w porządku jest.

Chciałem zapędzić kpów do kąta, zmusić do pardonu i ciurom oddać — niechby się nimi zabawili. *Parole!* ani mi przez myśl przeszło plamić w ich krwi nieczystej szablę, którą mam po stryjeczno-ciotecznym pradziadzie, towarzyszu króla Jana pod Wiedniem. Ale zmusili mnie do odstąpienia od zasad...

— Czem, panie poruczniku?

— Mówilem przecie: konfidencją.

— Któżby tam na to czasu wojny zważał!

— Tra la la! Dla mnie wojna, to tyleż, co *ensemble* salonowy. A te kacapy mieli tyle bezczelności, że się ośmielili swemi brudnymi łapami mego nowego munduru dotknąć. Znoszę tylko dotknięcia rąk kobiecych — i to pod warunkiem, że kobieta jest ładna i rączkę ma delikatną. Łapy tych niedźwiedzi były kosmate, spocone i dziegciem cuchnące. Straciwszy cierpliwość, wpakowałem szablę jednemu w gardło, drugiemu w brzuch.

— W porządku, panie poruczniku!

— Rozumie się, że w porządku. A teraz chodźmy razem do Józia.

Wiadomość o zdobyciu Smoleńska doszła do cesarza. W mgnieniu oka odzyskał zwykłą pewność siebie, sprężystość, energię. Zarządził tryumfalne wejście do zdobytego miasta, z muzyką, z rozwiniętymi sztandarami. Spożył ze smakiem śniadanie, które mu podał marszałek dworu, otyły, podagryczny de Bausset, potem wyszedł przed namiot, i kołysząc się całym ciałem naprzód i w tył, podriwiwał z Rosyan.

— Cóż za bezwstydnny tchórz z tego Barclaya! Oddać bez stoczenia bitwy miasto, otwierające drogę do samego serca imperyi! Dawałem mu sposobność

do wsławienia się; dopomagałem niemal do pokonania mej armii... On stehórzył i uciekł! Z Rosyą już koniec. Posiada ona armię nie do obrony i zwycięstw, lecz tylko do przyglądania się moim tryumfom. Upadek Smoleńska, to cios ostatni dla Rosyan. Ich własni żołnierze wstydzą się za swych wodzów; gromadnie uciekają z szeregów. Gdybym chciał, wszystkich przeciągnąłbym do siebie. Lecz co mi po tem!

Trąby, bębny i klarnety napelniły puste ulice Smoleńska hałasem grzmiącej, zwycięskiej pieśni. Cesarz dziękował Polakom, męstwo ich wysławiał. Bliśko sto krzyżów rozdał polskim wodzom i żołnierzom. Poniatowskiemu ręce ścisnął, w ucho go szczypał, zapewniał, że nikt nie ma większych od niego praw do korony polskiej... A przed czterdziestu ośmiu godzinami tenże sam Poniatowski był przezeń zasypyany gradem wymówek, sfukany, niemal zelżony.

Izydor Krasieński, widząc umizgi cesarskie, szepnął do księcia:

— To ekspiacya za tamtą niesprawiedliwość.

Książę milczał.

Tamten ciągnął:

— Cesarz kaprysi, jak rozdąsana kobieta. Zmienia usposobienie z dnia na dzień, prawie z godziny na godzinę...

Na to książę:

— Jemu wolno!

— Przecież — nie ustawał tamten — coraz krótszą ma pamięć, coraz większy upór. Nie myśli o potrzebach armii Księstwa Warszawskiego, zapomina o żołdzie dla Polaków. Od korpusu piątego coraz nowe pułki odrywa, pozbawia nas Dąbrowskiego

i innych najdzielniejszych oficerów. A gdy książę wskazuje mu pewną drogę do zwycięstwa i na Południe iść chcesz, odrzuca twą świetną myśl z gniewem, niecierpliwością, wreszcie z krzykiem i przywoływaniem cię do posłuszeństwa... Jest-że w tem sprawiedliwość? — jest-że jakiś plan logiczny?

Książę Józef lekko brwi ściągnął.

— Ba!... — glucho mruknął, ręką machnąwszy. I dosiadł z pośpiechem konia, którego mu właśnie doprowadzono.

Tymczasem Napoleon wiódł rozmowę z popem rosyjskim, jedynym, który pozostał w opustoszałym mieście, władał zaś dość biegle językiem francuskim.

Pop cesarza gromił.

Z odwagą, którą daje rozpacz, sędziwy, poważny kapłan, nazywał cesarza »najeźdźnikiem«, wyrzucał mu nieszczęścia ludu rosyjskiego, wreszcie wzywał nań pomsty Boga za podpalenie Smoleńska, obrócenie w popiół mnóstwa pięknych gmachów, domów mieszkalnych, spichrzów, składów żywności...

Napoleon z zadziwiającym spokojem wysłuchiwał popa. Następnie w krótkich słowach wytłumaczył mu znaczenie obecnej wojny, do której go »zmuszono«; zapewnił przytem, że pożar Smoleńska nie Francuzi wzniesili.

— Któż zatem? — jęknął pop, rozpacznie zalamując dłonie.

Odpowiedź dali mu natychmiast właśni jego rodacy. Kilku Smoleńszczan oświadczyło, że miasto zostało podpalone odrazu w kilkunastu punktach na wyraźny rozkaz generała rosyjskiego.

Pop innym teraz wzrokiem na cesarza spojrział.

— A cerkiew wasza — zapytał ten ostatni, — czy także zgorzała?

Na obliczu popa odmalowała się silna walka wewnętrzna. Przez chwilę milczał, wahając się co powiedzieć. Wreszcie przemógł obawę — z oczyma wzniezionemi, głosem mocnym odrzekł:

— Naszą cerkiew Bóg ocalił. Ufam też, że miłosierdzie boskie i teraz czuwać nad nią będzie. Do tego domu Boga, pod skrzydła jego świętej opieki, schronili się wszyscy, których pożar dachu nad głową i mienia całego pozbawił...

Na twarzy cesarza odmalowało się wzruszenie. Uroczyście, z naciskiem oświadczył:

— Nie będziesz w ufności swej zawiedziony. Opatrzność czuwa nad niewinnymi ofiarami wojny. Powracaj, szlachetny kapłanie, na swe stanowisko. Gdyby wszyscy wasi duchowni naśladowali twój przykład; gdyby, pełniąc wolę nieba, byli niezachwiani w swem posłannictwie pokoju; gdyby nie opuszczali haniebnie kościołów, które tylko ich obecność miejscami świętymi czyni — moi żołnierze uszanowaliby świętość i całość tych szanownych przybytków. Wszyscyśmy chrześcijanie. Wasz *Boh* jest tem samem, co nasz *Dieu*.

Dodano księdzu dla bezpieczeństwa silny oddział wojska, do cerkwi go odprowadzono. Rozpaczliwe krzyki trwogi i rozpacz wybuchnęły tam na widok żołnierzy francuskich. Ale pop podniósł głos i wystąpił do ludu z przemową, która go uspokoiła.

Mówił pop, jako nieprawdziwe są wieści, które o Napoleonie rozsiewano. Nie jest on bratem dyabła, ani ludożercą; nie jest też poganinem. Wierzy w Boga

i nazywa się katolikiem, a jakkolwiek jego wiara mniej jest dobra od prawosławnej, nakazuje wszakże swym wyznawcom kochać bliźniego i litować się nad nieszczęśliwymi. W wojnie, którą Bonaparte prowadzi, idzie tylko o politykę; z religią nie ona nie ma wspólnego. Walczy wojsko z wojskiem; inne stany pozostawiane są w spokoju. Nieprawdą jest, co mówiono, że żołnierze francuscy mordują bezbronnych, zabijają starców, kobiety i dzieci; nieprawdą jest, że cesarz pije krew ludzką i miasta dla zabawy podpala. Uspokójcie się; krzywda wam się żadna nie stanie. Możecie wyjść bez obawy ze swej kryjówki. Żołnierze francuscy będą pierwszymi do bronienia was przed wałęsającym się kozactwem. Podziękujcie Bogu Najwyższemu, że w osobie zwycięzcy pozwolił wam znaleźć tak dobrego i wspaniałomyślnego pana.

Skończywszy przemowę, zaintonował pieśń kościelną, którą wszystkich lud na klęczkach, z płaczem ogromnym, za nim powtarzał.

Napoleon trwał niezłomnie w przekonaniu, że Rosyanie są ostatecznie pobici, że się na całej linii cofają. Nikt nie był w stanie rozwiać jego wiary. Na niej też oparł plan najbliższych działań.

Drogę do Moskwy widział przed sobą otwartą. Jakże nie miał na nią wstąpić?

Otrząsnął się już zupełnie z przemijającego zniechęcenia. Coraz inne myśli, projekty, nadzieje cisnęły mu się do głowy. Przez chwilę zajmowała go myśl pozyskania ludu rosyjskiego przez zniesienie poddaństwa i wzniesienie wielkiej rewolucji ludowej. Miał do tego zachętę ze strony samych Rosyan, domowi panującemu niechętnych. Zbudził się w nim wszakże

żołnierz, unikający dróg krętych, do walki w otwartym polu przywykły i środka owego zaniechał.

Doradzano mu powszechnie, żeby na czas dłuższy, może na całą zimę, pozostał w Smoleńsku. Gwałtownie tę myśl odrzucał. Gdy doniesiono mu, że głównie Polacy za tym projektem głosują, zżymnął się gniewnie i zawołał:

— Powiedzcie Polakom, że przywrócenie ich państwa nie może mnie wyłącznie zaprzętać. Mam inne, ważniejsze cele przed sobą!

Niebawem o pozostaniu w Smoleńsku mowy już nie było. Szło już tylko o to: w którą stronę dalszy pochód skierować.

Trzy drogi otwierały się przed Napoleonem: do Petersburga, do Kijowa, do Moskwy. Każda była pojętna, każda zdawała się prowadzić niechybnie do zwycięstwa.

Petersburg, to formalna, administracyjna stolica kraju. Petersburg, to głowa Rosyi. Zawładnąć głową, to tyleż, co objąć faktycznie rządy całego państwa. Przytem przez Petersburg idzie droga morską do Anglii — do tej znenawidzonej Anglii, zmory dręczącej stale Cesarza, nieubłaganej nieprzyjaciółki, której zdeptanie jest może najistotniejszym powodem kampanii, przewzanej dla galeryi tylko: drugą wojną polską.

Ta droga była jednak najmniej pewna. Zagrażały ją największe siły nieprzyjacielskie i miasta warowne, które z wysiłkiem i z dużemi stratami zdobywaćby przychodziło. Przytem wiodła ta droga na Północ, a sama myśl o Północy, jako o »krajnie lodów«, dreszczem przejmowała korsykanina.

Miał swe powaby i Kijów. Tam wygłodzona armia odkarmiłaby się i wypoczęła. Można było w Kijowie zająć się organizacją Polski, jako państwa odrębnego, potem ją całą rzucić na wroga. Cała zaś Polska, to według świadectwa jej delegatów, »szesnaście milionów«. Szesnaście milionów, duszą i ciałem Cesarzowi oddanych!

Ale ponętny, w żywność i wygodę obfity Kijów, mógł się stać dla armii — Kapuą. Łatwo by tam rozleniwiała się, rozhartowała. Przytem któż wie, jakie moce zbudziłby wówczas Aleksander w środkowej i północnej Rosyi? Wreszcie Kijów leżał zbyt blisko posiadłości teścia, których nietykalność była umową zastrzeżoną.

Pozostawała Moskwa, druga, starsza stolica państwa — serce Rosyi. Cios w głowę bywa niebezpieczny; cios w serce, jest zawsze śmiertelny. Droga do Moskwy najkrótsza, przeszkód na niej niewiele. Jeśli pod Moskwą główne siły nieprzyjaciela, tem lepiej. Zada się im klęskę ostateczną, po której już się Rosya nie podniesie.

A więc — na Moskwę!

Postanowienie powzięte, rozkaz pochodu wydany. Wielka armia śpieszyć musi, dopóki jest jeszcze naporczyca wielka. I dopóki zdobyć się może na ów »wielki czyn«, za którym goni cesarz gorączkowo od początku kampanii.

Zwlekać nie można, gdyż korpusy jak śnieg topnieją. Samych Polaków jużby może i trzeciej części doliczyć się nie można.

Na Moskwę! Na Moskwę!

Postanowienie powzięte — i zaraz cesarz samego

siebie i wielkość swą, a z wielkością spokój i zdrowie, odzyskał.

De Bausset, który wówczas właśnie do obozu przybył, zapisuje pod tą datą:

»Znalazłem cesarza w wybornym stanie zdrowia i humoru. Fizycznie i duchowo wydał mi się tym samym, jakim był w Paryżu. Niewygody i dolegliwości uciążliwej kampanii ani śladu na nim nie pozostawiły«.

A jednak istniała pewna, uwagi niegodna drobnotka, która nie pozwalała mu być zupełnie spokojnym. Na wielkiej mapie Rosyi, którą nieustannie rozpatrywał, wymierzał, studyował, jednego kółka i jednego wyrazu było za wiele. Kółko oznaczało gród gubernialny; wyraz brzmiał; »Półtawa«.

Jakiegokolwiek linie cesarz na mapie wykreślał, zawsze mu owo miejsce fatalne w oczy wpadało.

Półtawa to — Karol XII. Karol XII to — klęska.

Używał różnych sposobów, żeby Półtawę wymazać, nie dostrzegać jej, zgola o jej istnieniu zapomnieć...

Gdy nic nie pomagało, skończył na tem, że zawsze, nad mapą się pochylając, dłonią lewej ręki ów punkt przekłety zakrywał...

ROZDZIAŁ VII.

W SAMYM PRZEPASCI NIEZGŁĘBIONEJ ŚRODKU.

— Sto szósty zaczął. Naprzód się pcha. Zwy-
cieża.

— Zajął sto szósty Borodino. Pozycję ma dobrą.
Pierzchają przed nim.

— Sto szósty we dwa ognie wzięty: od czoła
i z flanku. General z konia spadł. Zabity. Ćma wro-
gów sypie się. Już po sto szóstym!

— Dziewięćdziesiąty drugi z pomocą. Ocalone
szczątki. Popłoch.

Cesarz nawet powieką nie mrugnął.

Była godzina siódma rano. Mgła. Słońce wisiało
nisko, pomarańczowe, bez promieni — olbrzymie żółtko
w oceanie mleka.

Napoleon spróbował patosu:

— To słońce z pod Austerlitz...

Frazes zgasł bez wrażenia. Był jak głuchy trzask
pistonu przy zawilgłym w panewce prochu. Nie wy-
głasza się tyrad głosem zakatarzonym.

Głęboki spokój wczesnej jesieni leżał na zielo-
nych dolinach, na rozbielonych namiotami płasko-

wzgórzach, na gąszczach leśnych, już rdzewieć za-
czynających. W środku wielka, czarna, potworna
masa, niby garb na kształtnem ciele pejzażu, swą
groźną brzydota klóciła się z otoczeniem. Korciło tę
sztuczną narośl usunąć.

W nią cesarz ustawicznie się wpatrywał.

— Generale! — zwrócił się do stojącego w po-
bliżu Davouta. — Trzeba wziąć to kretowisko...

— Weźmiemy je, *sire!*

Nagle coś wielkiego, ciężkiego, strasznego prze-
leciało z szumem i świstem nad głowami cesarza
i jego sztabu. Dopiero po chwili rozległ się huk wy-
strzelonego granatu. Za pierwszym granatem nadle-
ciał drugi, trzeci. Wszystkie padały daleko, poza osta-
tnim szeregiem gwardyi cesarskiej, zamykającej linię
bojową.

Nikt nie poruszył się z miejsca, nie drgnął na-
wet. Cesarz, oczyma za lejącemi pociskami wodząc,
zauważył tylko:

— Przenoszą...

Potem zmierzyl wzrokiem przestrzeń, która dzie-
liła jego artylerję od pozycji rosyjskich.

— Nie donoszą!... — gniewnie zawołał.

I zaraz rozkazał:

— Posunąć baterye! Zmusić tamtych do milcze-
nia. Przeszkadzają rozmowie.

Rozkaz spełniono.

Tymczasem sielski, jesienny pejzaż zmienił swój
nastrój. Zaroił się wojskiem, zahuczał wystrzałami.
W jednym, oddalonym punkcie, gdzie las zaczynał
się gęsty, odrazu walka wybuchła zacięta.

Zwrócił tam cesarz lunetę.

— Czy Poniatowski jeszcze walczy? — zapytał.

Dziwny był ton zapytania. Dziwny nie dla tego tylko, że cesarz miał silny katar i głos ochryply. Rozdźwięk tkwił w tem, że ton nie wyrażał dokładnie myśli, że się z myślą właściwą klócił. Rozumiejący to wiedzieli, że zapytanie brzmieć powinno:

— Czy Poniatowski jeszcze żyje?

Albowiem książę Józef, z Polakami swymi wysłany został na stracony posterunek. Ich odwaga nieustraszona wytrzymywała każdą próbę. Oceniano należycie tę tak cenną na wojnie siłę i posługiwano się nią w każdej potrzebie.

Poniatowski jeszcze żył i jeszcze walczył. Owszem, życia ujawniał więcej, niż kiedykolwiek, walczył zaś, jak tylko on i jego »wiarą« walczyć umieli.

Przed każdym z tych rycerzy, nietrwożnych i nieskazitelnych, unosiło się czcigodne widmo Matki, spętanej, okrwawionej, z bólu i smutku omdlewającej. Za niem szli, nic innego nie widząc, widzieć nie chcąc.

Straconą placówkę po to wysłano, żeby zajęła tył nieprzyjacielowi. Ale nie był on w tym punkcie słaby. Miał rezerwy i dziesięciotysięczny oddział pospolitego ruszenia. Wiedzano z góry, że opór stawi zawzięty. Ale i to wiedzano, że w tym czasie, gdy Polacy będą wybijani, główne siły Napoleona będą mogły złamać i zniszczyć czoło armii rosyjskiej.

Davout ruszył na »kretowisko«. Przodem wysłał armaty; za niemi piechotę pod wodzą Compansa — sam postępował w rezerwie.

Serdecznie przywitał gości nieprzyjaciel: salwą

działową, od której wzdrygnęła się ziemia. Odpowiedzieli goście pozdrowieniem na pozdrowienie. Pół sekundy dział francuskich głośniejsze jeszcze zagadało. A gdy dwie artylerie dyalog gromowy wiodły, piechota, bagnety najeżywszy, szła — milcząc.

Ciemna przed chwilą reduta, rozbieliła się dymem, roziskrzyła wystrzałami. W mgle każdy wybuch ognia czerwonej nabierał barwy. Paszcze armat krwią zdawały się bluzgać.

Napoleon stoi na wzgórzu, lunety od oka nie odejmuje. Jest na podziw spokojny. Mierzy wzrokiem przestrzeń, dzielącą pułki Compansa od reduty; oblicza w myśli, jak prędko do niej dotrą.

Tupnął nogą niecierpliwie, szkła przetań. Cóż to, do pioruna! Dlaczego w miejscu stanęli?

Dym gęsty zasłania mu wszystko, niecierpliwość jego wzrasta.

Wtem raport:

— Compans zabity!...

— Zastąpić innym, i — naprzód!

W krzykliwy dyalog armat wpadły głosy karabinowe. Ale kolumna w miejscu stoi — wodza jej brak.

Nie trwa to długo. General Rapp zastąpił poległego; fala, szumniejsza jeszcze, potoczyła się na redutę.

Już bagnety francuskie sięgają rosyjskich piersi; już goście z gospodarzami za bary się biorą. Zwycięstwo bliskie...

Dwie kule, dwie pierwsze lepsze, przez pierwszych lepszych szeregowców wystrzelone kule do zwycięstwa nie dopuszczają. Jedna rani śmiertelnie Rappa;

druga ubija konia pod Davoutem, który pada na ziemię, ciężko się tłukąc.

— To już dwudziesta druga rana tego niedołęgi — mruczy o Rappie cesarz. — Staje się to wreszcie nudne... Kto przypada z kolei, niech miejsce jego zajmie.

Pod deszczem ołowianym pocisków, trzeci generał wieździe Francuzów na redutę. Kawalek ołowiu, nie większy od orzecha laskowego, trafia go w skroń — trupem kładzie.

Kretowisko zmieniło się w wulkan, w czeluść piekielną. Zionie ogniem bez przerwy, całe w ogniu stoi. Nie jest to już czarna, bezkształtna narośl ziemia: jest to żywe, olbrzymie, czerwonymi językami drgające płomienisko.

Cesarz spokoju nie stracił. Rozleniwiony się zda i apatyczny. Na małej przestrzeni, u stóp zdobytej wczoraj reduty, krokiem ociężałym przechadza się, raczej przewlóczy. Kicha; niekiedy nawet usta układa do ziewania.

Przygalopował adjutant.

— Generał Davout żąda gwardyi!

— Kogo?

— Gwardyi.

— Gwardyi cesarskiej?

— Gwardyi cesarskiej.

— Generał Davout oszalał!

— Nie wiem, najjaśniejszy panie. Mówi, że tylko z gwardyą weźmie redutę.

— Powiedz mu, że ją wziąć musi bez niej. Gwardya jest nietykalna. Rozumiesz? Nie-ty-ka-l-na.

Adjutant konia zawrócił, cmoknął.

— Stój! — rozkazał cesarz. — Z pomocą wam pójdzie Ney.

Skinął na innego adjutanta, rozkaz mu wydał. Obaj pomknęli natychmiast, jak na skrzydłach wichru.

Pięćdziesiąty siódmy otrzymał posilek. Bardzo on mu był potrzebny. Załoga reduty już teraz na dwa fronty walczyć musi. Walczy zajadłe: ramię przeciw ramieniu, pierś przeciw piersi.

Pokonanym trzeba broń z garści wydzierać. Nie puszczają — więc bagnet i szabla kończyć muszą rozprawę. Już to nie walka, lecz rzeź.

Aby stłumić ogień działowy, kanonierów do cna się wybija. Krew ich gasi lonty, zalewa zapaly.

Cała reduta krwią ociekła. Francuzi pną się w górę po trupach rosyjskich. Gdy między nimi swój się trafi, również go depcą. Czasem, drogę sobie torując, żołnierze zrzucają z góry zabitych, ranionych, konających. Już szatan włada w ich duszach niepodzielnie. Już życie ludzkie i człowiek wogóle nie u nich nie waży. Patrzą na śmierć wzrokiem wilka, niekiedy hyeny.

Całą załogę reduty wystrzelano i wyklóto. Mała tylko garstka uciec zdołała.

Do cesarza wieść przybiega:

— Generał Davout melduje, że kretowisko wzięte.

Skrzywił się, niedbale bąknął:

— Dopiero?...

I odwrócił się, aby dać odpowiedź marszałkowi swemu, który od kilku minut dręczy go nużącym naleganiem.

— Czego żądasz, nieznosny Bausset?

Marszałek wskazuje oczyma lokaja, który stoi obok, trzymając tacę z zimnem mięsiwem, ciastem, butelkami wina.

— Daj mi spokój. Są sprawy ważniejsze.

— Najjaśniejszy panie, pozwól sobie powiedzieć, że niema spraw tak ważnych, żeby przeszkodzić mogły człowiekowi wyższemu spożyć we właściwej porze śniadanie.

Cesarz uniósł się.

— A idź-że do...

Tamten zgął się w niskim, dworskim ukłonie.

— Pójdę wszędzie, gdzie każesz, najjaśniejszy panie. Nie ustąpię wszakże, dopóki nie wyblagam przyjęcia posiłku.

Spiorunował go cesarz wzrokiem. Ale ten tłusty, dobroduszny, potulny, na jedną nogę utykający Bausset, jest jak konduktor, który pioruny ściąga i rozprasza. Rozpogodził się cesarz, lekceważąco uśmiechnął.

— Udko pulardy?... — śpieszy już tamten z talerzem, uśmiech za przyzwolenie biorąc.

— Chleba kawałek i kieliszek szambertyna — zażądał cesarz.

— Z wodą?

— Czystego.

Umaczał ośrodek chleba w winie, wyssał i wypuł. Resztę wina łykiem jednym wypił, ruchem energicznym marszałka odprawił.

Trwało to kilka minut zaledwie, w tym krótkim jednak czasie na krwawym teatrze scena się zmieniła.

Zwycięstwo połączonych sił Ney'a i Davout'a było wspaniałe, wydawało się stanowczem. Zdobyto tę straszną pozycję, która się zwała »redutą Rajewskiego«, miała zaś odtąd przyjąć miano »reduty Szewardyńskiej«. Prócz tej głównej, zdobyto dwie mniejsze. Na opróżnione pole walki, które aż po zieloną kopulę cerkwi w Borodino wolne było od nieprzyjaciół, wpadł z właściwą sobie furją, na czele bohaterskiej jazdy, Murat, przed którym resztki pokonanej armii pierzchnęły.

Tak przynajmniej się zdawało — w ciągu pierwszych minut, które Napoleon spędził na rozmowie z adjutantami i dobrodusznym panem de Bausset. Minuty ostatnie zmieniły wszystko do gruntu.

»Zaspany stary dziadyga«, przez własnego cara lekceważony, Kutuzow, ocknął się nagle, swe jedyne oko rozemknął i postanowił — drogo się sprzedać.

Cóż, że przy tem tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi życie położy!... Nie liczył się z tem nigdy Suworow, a on przecie był najposłuszniejszym Suworowa uczniem.

Więc puszczone w ruch wszystkie, nieczynne dotąd, w rezerwie trzymane i zgola zatajone siły. Piechota, jazda, artylerja ze wściekłym rozpędem rzuciły się zewsząd na Murata i jego pułki.

Powstał zamęt.

Cios, spadający niespodzianie, stokroć jest mocniejszy od tego, na którego przyjście jesteście przygotowani. Francuzi, nakryci w jednej chwili emą wrogów, jakby z pod ziemi wyrosłych, stracili ducha, cofać się zaczęli. Na szczęście, był z nimi wódz,

dla którego jeśli bohaterstwo było tylko rolą, on tę rolę grał po mistrzowsku.

Zamęt powiększyli Westfalczycy, których cesarz pchnął na pomoc Poniatowskiemu. Dym, mgła, kurzawa, zwartą zasloną nakrywające pole walki, nie pozwoliły im odróżnić swoich od wrogów. Wynikła stąd gęsta i mordercza do jazdy francuskiej strzelanina.

Murat wkroczył do wielkiej reduty — nie ucieczki w niej szukając, lecz tylko dogodnego do walki punktu.

Popłoch trwał. Zasypywani zewsząd kulami, trawieni końmi, sieczeni i klóci Francuzi, opuszczali szyki, płatali się, jedni drugich potracali.

Zrozumiał Murat, że rozproszonych trzeba skupić. Więc wstępuje na miejsce odkryte a wyniosłe, i w jednej ręce dzierżąc szablę, drugą ująwszy swój teatralny kółpak z pióropuszem, potrząsa nim nad głową, jak sztandarem. Upadającym na duchu ten znak mówi:

— Trzymajcie się! Ja z wami! Francya górá!...

Kule, jak baków i os chmury, brzęczą, huczą, gwiżdżą dokoła jego głowy. On swym kółpakiem opędzać się im zdaje. Zresztą, od początku kampanii nosi w duszy pewność, że bez szwanku z niej wyjdzie. Też samą pewność ma Ney. Obaj, jakby czarować umiając pociski, wśród piekła bitewnego chodzą swobodni i bezpieczni, jak Machabeje w piecu ognistym.

Na geście bohaterskim Murat nie poprzestaje. Wyprawił gońca do cesarza, przysłania młodej gwardyi żada. Napoleon niechętny jest tym wezwaniom.

Namyśla się, zwłóczy — przez lunetę nieustannie teatr walki bada.

— Niech idą... — mówi wreszcie zły, przez zaciśnięte zęby.

Pułki, dotąd jakby w ziemię wrosłe, karabinami zadzwoniły. Z miejsca ruszają — idą...

Cesarz, z lunetą przy oku, znów wzrokiem i duszą w wir walki się wglębił. Rozjaśniła mu się nagle twarz, brwi ściągnięte rozsunięły. Rękę do góry podniósł.

— Stać! Na miejsca! — silnym głosem rozkazuje.

Znów gwardya karabinami szczęknęła. Wykonywa dwa półobroty, poprzednie stanowisko zajmuje. Znów jest wspaniała, błyszcząca, groźna i — w ziemię wrosła.

To, co cesarz dojrzał przez lunetę, kazało mu szyk walki zmienić.

Gdy prawe skrzydło francuskie zwyciężyło, jako mocniejsze, Kutuzow zamierzył złamać skrzydło lewe. Rzucił tam, naksztalt dwóch gromów, zajadłe kozactwo Płatowa oraz jazdę wyborową, którą dowodził generał Uwarow.

Napad był wściekły. Obu pułkom walczyć kazano na przepadle.

Lekka jazda francuska generała Ornano z miejsca została złamana, wbita w ziemię, rozproszona. Piechota księcia Eugeniusza sformować musiała czworobok. Sam książę w niebezpieczeństwie się znalazł.

Nie gwardzystów marsz, przez wroga utrudniony był tam potrzebny: głosem przekonywającym przemówić musiała armaty.

Ten głos najmiłszy był uszom cesarza; jego potężde najusilniej on ufał.

Więc — znów rozkaz:

— Korpus Neya, jazda króla neapolitańskiego — tam! na lewe skrzydło! w pomoc Friantowi... Działą z rezerwy — naprzód!

Zaczerwieniło się pole walki. Krwawe opary zmieszały się z mgłą i kurzawą.

Strasznym głosem przemówiła artyleria francuska — pół tysiąca dział zagrało w zgodnym akordzie. Rosyjanie odpowiedzieli ciszej i nieskładnie. Ich pociski, gęsto, zajadle, lecz jakby na oślep wyrzucane, latały w różne strony, nie donosiły lub przenosiły. Kilka upadło blisko miejsca, gdzie stał cesarz. Zabłakane, jakby znudzone i osłabłe, nie miały siły głęboko w piasek się zaryć.

Cesarz gorące jeszcze odtrącał końcem buta, jak się odrzuca żwir na przechadźce.

Bładość i dziwny wyraz włoskiego, lazzaronowskiego rozleniwienia nie schodziły z twarzy Napoleona. Niewiele mówił; nawet w gestach był skąpy. Wydawał się niepewnym siebie, chwiejnym, mozołącym się bez skutku nad rozwiązaniem trudnego zagadnienia.

Po wiele razy, gdy nań o wydanie stanowczych poleceń nalegano, odpowiadał:

— Jeszczem się na swej szachownicy nie rozpatrzył...

Albo na zegarek spoglądając:

— Jeszcze godzina moja nie nadeszła...

Często też do tego i do owego z zapytaniem się zwracał:

— Cóż Poniatowski?... O Poniatowskim wiedzieć muszę... Od Poniatowskiego wiadomość mi potrzebna!...

Chodził, stawał, siadał, tabakę zażywał, przez lunetę patrzył. Z pozoru wszystko mu było obojętne. Nagle nie tyle przestraszył, ile zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

Wielka reduta, reduta Szewardyńska, owinęła się, jak góra Synai, chmurą gromową. Wśród chmury zamigotały błyskawice, grom huczeć zaczął po gromie.

Odgadł co się stało. Redutę Rosyjanie wydarli napowrót zwycięzcom. Zrozumiał, że ją odzyskali ceną olbrzymiego wysiłku, wartość jej może przecho-dzącego.

— Przekłęte kretowisko... — pod nosem mruknął, nie okazując na pozór wzruszenia. Bez wzruszenia też wydał rozkazy: reduta ma być wzięta ponownie; zajmą się tem kirasyerzy generała Montbruna; artyleria rozwinie ogień dwakroć silniejszy.

Rozkazy spełniono. On sam, spokojny, marmurowy siada na stołku obozowym i po tabakierkę sięga.

Montbrun »rycerz żelazny«, nie wie, co znaczy: cofać się. I w szesnastu jego pułkach niema nikogo, coby ten wyraz zrozumiał. Kirasyerzy, straszni z wej-rzenia, w blachy grube zakuci, posuwają się naprzód wolno a niezłomnie, niby poruszana siłą tajemną ściana z żelaza.

Jak trawa pod kosami postępujących rzędem kosiarzy, tak wałem trupów kładzie się przed nimi piechota rosyjska. Ale Kutuzow zgromadził jej tak

wiele, krwią jej tak hojnie szafuje, że ubytku prawie nie widać. Na miejscu wybitego do nogi plutonu wyrasta natychmiast drugi — aby z kolei ustąpić trzeciemu.

Montbrun szukał zwycięstwa lub śmierci. Znalazł — śmierć.

Pada trupem i następcą jego, generał Nansouty.

Władzę po nim bierze Defrance i również życiem ją płaci.

A kirasyerzy, straszni, w blachy grube zakuci, posuwają się wciąż, zwolna, lecz niezłomnie.

Na chwilę pułki pozostają bez wodza.

Na spienionym koniu goniec od nich przypadł do Napoleona. Wygłasza przed nim listę żalobną poległych generałów. Cesarz każde nazwisko ruchem głowy i rąk przyjmuje.

— Stało się — mówić się zda. — Wieczny mu odpoczynek. Ja go nie wskreszę...

Powiódł cesarz wzrokiem po najbliższej grupie oficerów. Stoi tam poczciwy de Bausset, którego okrągła, dobrodusznna twarz rażąco od tragicznego tła chwili odbija; stają dwaj bracia Caulaincourtowie, z których młodszy, generał, rozmawia wesoło ze swym adjutantem. Na wojnie wesołość obowiązuje.

Na młodszym Caulaincourcie zatrzymał się wzrok Napoleona. Był to oficer młody, urodziwy, który na kilka godzin przed wyruszeniem w pole poślubił piękną, ukochaną kobietę. Znana była całej armii miłość, łącząca obu braci. Za wzór ich sobie stawiano. Nie rozdzielali się w dniach wesela; nie rozdzielali się w niebezpieczeństwie. Teraz ich

sojusz serdeczny jedno spojrzenie cesarza rozerwać miało.

Przyzwany skinieniem władcy, pospieszył Caulaincourt przed jego oblicze.

— Generale — rzekł cesarz — kirasyerzy pozbawieni są wodza.

Zrozumiał generał — sklonił się.

— Jestem gotowy! — oświadczył, uśmiechając się, jak człowiek, któremu przynoszą wiadomość przyjemną.

— Śpiesz! — rzucił jeszcze Napoleon.

I zwrócił się do innego oficera, czekającego na rozmowę.

Przyprowadzono konie dla generała i jego adjutanta. Bracia rzucili się sobie w objęcia. Starszego twarz była poważna i smutna; młodszy był wciąż wesoły — może tylko wesołego udawał. Bausset miał minę zafrasowaną.

Generał z adjutantem pomknęli galopem po zboczu wzgórza, wpadli w otchłań walki, jak w czeluść piekielną — zniknęli.

Murat powitał nowego wodza, jak zbawcę.

— Bywaj, generale! Wściekle nam tu gorąco. Ta éma przekłeta dusi nas, jak chmura szarańczy. Od czoła jej nie weźmiemy — za wielkie zgromadzili tu siły — więc słuchaj, generale, plan mój jest taki...

Pochylił się i przybliżając usta do ucha tamtego, w krótkich słowach myśl mu swą przedstawił.

Nie było czasu na bliższe objaśnienia. Fala szła

z błyskaniem i grzmieniem — trzeba było ster jej objąć — rozumnie kierować ją do celu.

Caulaincourt stanął przy piątym kirasyerskim. Pułkownik Christophe, cały czarny od dymu prochowego, w poszarpanym mundurze, w zgniecionym kołpaku, do zbója podobniejszy, niż do Wielkiej Armii oficera, w pełnym biegu konia oddał mu honory woj-skowe, szablą pułk swój wskazał. W chwilę potem, razem już, na łeb na szyję, naprzód pędzili.

Prócz świecącej ogniami wystrzałów reduty, nie generał przed sobą nie widział. Co chwila zmysł raczej dotyku, niż słuchu, dawał mu poznać, że jego koń ma pod kopytami coś miękkiego i coś trzaskającego. Po trupach leciał.

W gąszczu wojsk nieprzyjacielskich z coraz większym trudem kolumna grzęzła. Kirasyerom sta-wało się coraz ciaśniej i duszniej. Nagle, w chwili, gdy lekka jazda starała się w tych gąszczach uczynić trochę luzu, Caulaincourt skreślił ze swymi kirasyerami w lewo, redutę okrążył i od tyłu, gdzie słabo była broniona, piorunem na nią spadł.

To była myśl Murata, genialnie przez jego towarzysza wykonana.

Niebawem Cesarzowi raportowano:

— Wielka reduta wzięta. Piąty kirasyerski okrył się chwałą. Generał Caulaincourt...

— Nie żyje! — krzyknął rozpaczliwie brat generała, treść dalszą raportu zgadując.

Zakrył twarz dłońmi, na stronę odstąpił.

Adjutant kończył sprawozdanie:

— Generał Caulaincourt, któremu należy się zasługa zwycięstwa, pierwszy na zdobytą pozycję

wstąpił. W chwili, gdy jak tryumfator na szanecach nieprzyjacielskich stopę zwycięską stawiał, ukryty za szczątkami okopu żołnierz rosyjski wystrzelił doń z karabinu. Trafiony kulą w czoło, generał na miejscu padł trupem.

Zapanowała ponura cisza, którą przerywały tylko tłumione łkania starszego Caulaincourta. Cesarz rozłożył ręce — głowę pochylił ruchem bezradnym, mówiącym, jak zwykle:

— Stało się. Wieczny mu odpoczynek... Ja go nie wskreszę...

Po chwili szalony wir wypadków w inną stronę unosił umysły.

Kutuzow zawział się. Ale i Napoleon osądził, że godzina jego nadeszła. Utwierdziła go w tem wieść od Poniatowskiego: że wziął po wielu wysiłkach wieś Uticę, że jego piechota zaszła swymi trupami pole i las, lecz nie ustępuje, że jego ułani we krwi brodzą, lecz zwyciężają.

Z gąszczów leśnych, z głębokich parowów, z poza mnóstwa usypanych dokoła okopów, z zakątków i nor, których istnienia nie domyślano się nawet, wysypały się nowe roje, nowe pułki, nowe dziesiątki tysięcy żołnierzy rosyjskich.

Cesarz osądził, że teraz główną akcję prowadzić ma artyleria. Mistrzowsko on grał na tym instrumencie. Bez ożywienia, lecz z widomem zajęciem, wskazał miejsce każdej baterii i rozpoczął muzykę.

Nieprzyjaciół postępował ciężkimi, zwartymi kolumnami. Było coś nieubłaganego, lecz zarazem tępego i bezmyślnego w posuwaniu się tych mas granatowych, ciemnozielonych, czarnych.

Pociski działowe waliły w nie, jak w mur, lub w nasyp ziemny. Artylerya francuska celnie strzelała: każda kula szczerbiła kolumnę, tłukła ją, jak młotem, dziurę na wylot drażyła. Nowe szeregi zasklepiały natychmiast każdy z wylomów.

Już to nie była bitwa, lecz mordownia. Całe plutony śmierć kładła pokotem. Szeregom kazano skupiać się — w zwartym szyku szły pod ulewę żelaza i ołowiu na zgon niechybny.

Szły bez nadziei zwycięstwa, bez wiary w nie, może nawet bez pożądanego go. Była to masa ciężka, żelazna, nieustępliwa, przeciwstawiająca się żywiołowi ruchliwemu, świadomemu siebie, rozmiłowanemu w bohaterstwie i tryumfach. Przeto zginąć musiała.

Dwie godziny trwała ta ohydna rzeź, która nawet w zwycięzcach wstyd i odrazę budziła. Oni też pierwsi znużyli się i ognia działowego zaprzestali.

Pobojowisko dokoła reduty Szewardyńskiej było olbrzymią krwawą kałużą. Napoleon, gdyby tu zestąpił, ucieszyłby się, miałby bowiem prawo powtórzyć wygłoszony dawniej już frazes:

— Taki stosunek lubię: czterech wrogów na jednego Francuza!...

Sprzyszyła się mordownia Neyowi i Muratowi, urodzonym rycerzom, lecz nie — oprawcom. Roznosząc śmierć, zapragnęli i sami pierś jej nadstawić.

Ruszyły kolumny francuskie do nowego boju — raczej do nowych bojów. Na wielkiej przestrzeni rozwleczone batalia już spoistość straciła, rozdrabniając się na liczne, prawie niezależne od siebie utarczki.

Linia bojowa posunęła się dalej: ku lasom, wzgórzom oraz rzece, którą Rosyanie mieli za sobą.

Cesarzowi trudno już było śledzić naocznie przebieg walk. Donosili mu o tem adjutanci — dość późno i dość bezładnie. Jednak nie pomyślał o przeniesieniu się na inny punkt, dla obserwatora i kierownika korzystniejszy.

I teraz, jak od początku, wydawał się ociężałym, rozleniwionym, obojętnym. Można było mniemać, że rozmyślnie naśladuje Kutuzowa — którego zresztą lekceważył i którym pogardzał.

Czas schodził mu teraz głównie na sporach z generałami o — gwardyę. Za żadną cenę posłać jej w bój nie chciał. Nie ustępował przed żadnym argumentem. Natarczywym odpowiadał, że zbyt daleko przebywa od Paryża, aby mógł swą ostatnią osobistą obronę na szwank narażać. Tych, co twierdzili, że udział gwardyi położy koniec dzisiejszej kampanii, sceptycznie pytał:

— A co będzie z jutrzejszą?...

Z Neyem przyszło do kłótni. Szorstki, impetyczny sangwinik do wysłańców Napoleona krzyczał:

— Cóż ten cesarz sobie myśli? Czyżby mniemał, żeśmy przebyli tyle mil i znieśli tyle trudów po to tylko, żeby nieprzyjaciela z pola bitwy spędzić? Tkwiąc bezczynnie na tyłach armii, zwycięstwa nie sprowadzi. Chce być zawsze i wszędzie cesarzem? Zgoda, ale niech nim będzie wyłącznie, niech wodzem być przestanie. Najlepiej-by uczynił, gdyby powrócił do Tiuilleryi, a generałom losy wojny pozostawił!...

Potęga Rosyi została złamana, lecz zwycięstwo nie było jeszcze zupełne. Ta bitwa zakończyć miała kampanię, sprowadzić pokój z dyktowanymi przez

Napoleona warunkami — czyż można było ten cel osiągnąć, dopóki główni wodzowie rosyjscy byli żywi i wolni, a liczne pułki broni i sztandarów nie złożyły?

Nieprzyjaciół był, jak hydra wielogłowa, której odcięte członki natychmiast odrastają. Zbity i zdeptany w jednym punkcie, podnosił hardo głowę w innym; wypłoszony z okopów, krył się za szanice; gdy mu brakło przyrodzonych osłon, z trupów swych żołnierzy wał obronny układał. Aby mieć prawo do otrąbienia zwycięstwa, należało go w pierw zmiażdżyć lub do poddania się zmusić.

Tymczasem godziny upływały, wyczerpywała się amunicja; co gorzej, wyczerpywał się duch, armię ożywiający.

Szereg choćby najdłuższy drobnych zwycięstw nie tworzy sam przez się wielkiej wygranej. A o nią tu właśnie szło; ona tylko zaspokoić mogła cesarza, jego generałów, Francję i — Polskę.

Raz jeszcze uczyniono próbę złamania uporów Napoleona.

Cesarz w milczeniu, z nieruchomą twarzą, wysłuchał licznych, mocnych argumentów. Wysłuchawszy, konia podać sobie kazał. Leniwie i jakby z niechęcią dosiadłszy go, udał się do wsi Siemionowskoje, która już była w ręku Francuzów. Z wyniosłego wzgórza długo pole bitwy badał. Widok ścierających się na krańcach oddziałów wskazywał, że nieprzyjaciół, choć pobity, nie chciał jeszcze uznać się zwyciężonym.

Generałowie zaczęli gwałtownie wołać o gwardyę. Ona jedna mogła była cios ostatni zadać, szalę

zwycięstwa ostatecznie na stronę Francuzów przechylić.

Cesarza nie opuszczał spokój. Osądził, że resztki walczących Rosyan muszą być za wszelką cenę zniesione. Na pogorzelisku trzeba dogaszać tłące się jeszcze tu i ówdzie płomyki, aby nowego nie wznieciły pożaru.

Gdy mówiono, że na to gaszenie już zapóźno, że przy niem rozproszone oddziały wystawione będą na niebezpieczeństwo, cesarz poprzestał na radzie zdawkowej:

— Ostrożni bądźcie. Z Rosyanami zawsze ostrożnymi być należy...

Zaraz potem konia zawrócił i, nie śpiesząc, udał się w stronę swych namiotów.

Przez czas pewien jechał w zupełnem milczeniu. Nagle poszukał oczyma towarzyszącego mu generała Mortiera...

— Ha! — z bolesną rezygnacją wyrzekł — trzeba nareszcie gwardyę ruszyć. Poprowadzisz, generale, pułk młodej gwardyi z rezerwy. Powierzam ci go z tem uczuciem, z jakim się dziecię własne powierza. Zabraniam prowadzić mych żołnierzy do wąwozu, który w tej chwili armie walczące przedziela. Gwardya służyć ma tylko do utrzymania zajętych stanowisk.

Gdy Mortier odjechał, kazał go raz jeszcze przywołać:

— Pamiętaj, generale: żadnej akcyi zaczepnej...

Posepny, powrócił na swe miejsce u stóp reduty i znów w milczącej pograżył się zadumie...

W godzinę później, rozkazał Mortierowi przez adjutanta:

— Cokolwiekby zaszło, nie cofać się — lecz i nie następować!

Do samego wieczora trwała walka, a właściwie — rzeź obustronna. W chwili zapadnięcia nocy, porażka Rosyan była zupełna. Nie przyznawał się do niej Kutuzow, ale sześćdziesiąt tysięcy trupów rosyjskich i ustąpienie na znaczną odległość z właściwego pola bitwy wymowniejsze były od wszystkiego, co w dobrej, lub złej wierze głosił stary generalissimus.

Wśród Francuzów zwycięstwo nie wywołało zwykłych objawów radości. I w wojsku, i wśród wojskowej starszyny, i w głównej kwaterze nastroj panował poważny, smutny, prawie ponury.

Cesarz, którego każdy odniesiony tryumf upajał, nowem życiem, drugą młodością napelniał, teraz ani rozchmurzył się, ani z całodzienniej odrętwiałości wyszedł.

Siedział w namiocie swym, otoczony generałami, blade, ze wzrokiem przygasłym, jakąś jedną nieustępliwą myśl przeżuwający. Wbrew zwyczajowi, oszczędny był w słowach i w ruchach; przemawiał rzadko, zdaniami ciężkimi, wyrocznemi, z których, mimo wszystko, majestat bił wielki.

Obliczano straty. Zawczasem było jeszcze na obliczenie ściśle, obawiano się jednak, że z szeregów ubyło od dwóch do trzech dziesiątków tysięcy. Dokładniej dawała się oznaczyć ilość poległych lub ciężiej ranionych oficerów. Tu najwydatniejszą i zarazem najsmutniejszą pozycją był ubytek pięćdzie-

sięciu blisko generałów. Ta jedna cyfra wystarczała aby zmroczyć duszę głównego wodza i jego najbliższych współtowarzyszów.

Do namiotu wpadł nagle Murat. Choć w odzieniu poszarpanem i prawie czarny od prochu, wyglądał bohatersko. W jego wysoko podniesionej głowie, w śmiałych, stanowczych ruchach, w donośnym, patetycznym głosie przebijał się duch prawdziwie rycerski, jakby od średniowiecznych krzyżowców i błędnych rycerzy zapożyczony. Z duszą płomienną, z bohaterskim zapalem łączyła się w tym mężu niezwykłym nadzwyczajna krzepkość mięśni i nerwów. Nie zmogły go długie godziny, w piekle bitewnem przemęczone; po całodziennych, prawie nadludzkich wysiłkach, jeszcze o spoczynku nie myślał — owszem, do nowych rwał się zapasów, po nowe sięgał wałczyń...

— Cesarzu! — wpadając, zawołał — w trwodzie i popłochu Moskwa przez rzekę się przeprawia — na lęb, na szyję ucieka... Gwardyę mi daj, a dognam ją i porażę, że się już dźwignąć nie zdoła!

Cesarz nie odpowiedział — ale wzrok zły, wzruszenie ramion i włoskie, pod nosem wymruczane przekleństwo, od słów wymowniejsze były. Zaraz też, odwróciwszy się od szwagra, biuletyn dyktować zaczął.

W głównej kwaterze nie było prawie nikogo, takoby nie oplakiwał brata, krewnego, przyjaciela.

Było już późno. Sztab główny, do którego przyzwano kilku pozasztabowych generałów i pułkowników, obradował nad tem, co było najpilniejsze: nad

sprawą grzebania poległych, niesienia pomocy rannym.

Biuletyn był, jak wszystkie: majestatyczny, Jowiszowy. Był zarazem lapidarny, jak słowa, rzucane na polu bitwy przez śpieszących się, niby burzą niesionych wódzów. Francya a za Francją ziemia cała dowiedzieć się zeń miała o »wielkiem, zupełnej armii francuskiej zwycięstwie«. Znajdowało się też tam zdanie, uspokoić mające zatrwożonych:

»Cesarz i jego gwardya nie byli na niebezpieczeństwo wystawieni«.

Jowisz wiedział, że dla świata jest wszystkim. Póki Jowisza, póty Olimpu. Inne bogi i półbogi, to ornament, który zmieniać się i nowym zastępowany być może; o śmiertelnych zaledwie myśleć warto, jak o podłożu z chmur, falującym u stóp Jowiszowej siedziby. *Pereat mundus*, byle Cesarz - Jowisz i jego straż przyboczna pozostali nietknięci. Cesarz był więcej, niż zwykłą ludzką jednostką, i więcej, niż kolosem. Jak duch wszechobecny, przebywać musiał równocześnie na wschodnim i zachodnim krańcu Europy, w sercu Rosyi i w sercu Francyi, pod murami Moskwy i wśród murów Paryża.

Napoleon wiedział, że na szczyty go wyniosła i na szczytach utrzymuje — siła. Przy pierwszym ujawnieniu słabości, w przepaść runie. Przeto za wszelką cenę musiał silnym być, a przynajmniej — silnym się wydawać.

Któż wie, jakim wydawał się sam sobie, jakim się czuł w głębi duszy? Marmurowa jego twarz nigdy nie wyrażała, co się we wnętrzu

dzieje; była, jak rozzieleniona winnicami ściana wulkanu. Pod wyłysiałą, siwiejącym kosmykiem skąpo nakrytą czaszką, kłębiły się czarne chmury, przerzynane błyskawicami: kiedy i w którą stronę wypaść z nich miał piorun, nikt zgadnąć nie mógł.

Był czas, że dla Napoleona: on i świat tworzyli jedność. Więcej nawet: światem był wówczas on. Dziś, te pojęcia rozdzieliły się: po jednej stronie stał świat, po drugiej Napoleon.

Gdzie zgasła jedność, rodzi się niezgoda. Gdzie ustaje miłość, podnosi się nienawiść. Świat i Napoleon stali dziś naprzeciw siebie, jak zapaśnicy. Mierzyli się wzajem wzrokiem nieublaganym, który mówił: — Śmierć tobie lub mnie!...

Walka Jowisza ze światem — olbrzymów bój! Gdy świat zwycięży, Olimp w proch się rozsypie. Gdy zwycięży Olimp — świat włoży pęta, ostatnim z niewolników się stanie.

O tem myślał Cesarz — o tem myślał wyłącznie. Reszta była dodatkiem, dekoracją, narzędziem.

Trupy, ranni, kaleki; ofiary głodu, zbrodni i pożarów; wsie ograbione, miasta w gruzach; setki tysięcy wdów, sierot, rozpaczających ojców i matek; zdeptanie praw ludzkich i boskich; wyparcie się Chrystusa; urągowisko hasłom miłości bliźniego — mgła! Cóż obchodzą Jowisza pyłki kurzawy, wirujące w powietrzu między Olimpem a światem? On ich nie dostrzega.

Cesarz skończył biuletyn, głowę zwiesił — drzemał.

Patrzącym zdawało się, że mają przed sobą znużonego, postarzałego, osłabionego człowieka.

A on w tej chwili był Jowiszem, za bary ze światem się brał, wszystkie potęgi ziemskie na bój wyzywał...

ROZDZIAŁ VIII.

W NAWIASIE.

Pobojowisko pod Borodinem było najstraszniejszym z pól śmierci, które rozsiał po ziemi »geniusz« Napoleona.

Budna mgła, od rana w powietrzu wisząca, opadła w nocy na ziemię. Zdawało się, że to ktoś ludźmi gardzący, z pełnej lekceważenia litości, okrył ich niedolę tą mgłą, niby całunem szpitalnym.

Przed północą zerwał się wichur, rozpadał deszcz — nastąpiła wstrętna, dławiąca, jesienna plucha. Ciemność zalała i przygniotła ziemię. Przyroda poskapiła jej nawet nikłego, drżącego gwiazd promyka.

Nierówny grunt, strutowany przez ludzi i konie, poryty kołami armat, łopatami saperów i ulewą dni poprzednich, noc wyrównała. Najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby zagłębień i wzgórz, fos głębokich i wzniosłych redut, łożysk rzecznych i bitych gościńców. Wszystko było ciemnością.

Za to ciemność żyła, poruszała się — była pełna grozy, rozpacz, szaleństwa.

Sto tysięcy ciał ludzkich leżało bezwładnie,

lub tarzało się wśród mąk przedśmiertnych we krwi i błocie. Tragizm łączył się z ohydą. Na bezbronnego, pokonanego człowieka rzuciły się wszystkie zle duchy, czające się w mroku, nienawistne ludzkości, zazdroszczące iskry Bożej, która ją nad resztę stworzeń wywyższa.

Napoleon o pobojowisku nie myślał. Chwila obecna zawsze go mało zajmowała. Nieco więcej uwagi poświęcał chwili minionej, biorąc z niej jednak to tylko, co mu do snucia dalszego wątku było potrzebne. Zwykle wzrok i myśl jego skierowane były przed siebie. — Naprzód! wciąż naprzód! — brzmiało jego hasło.

W ostatnim, piekielnym boju padli od kul lub szabel generałowie: Bonami, Compère, Plauzolle, Marion, Romeuf, Huart, Montbrun, Lanubere, August Caulaincourt i wielu innych. Prócz nich odeszło w krainę śmierci kilkuset niższej rangi oficerów. Do trzydziestu tysięcy dochodziła liczba zabitych i rannych żołnierzy.

Po tamtej stronie legło przeszło sześćdziesiąt tysięcy. Kule francuskie nie oszczędzały wysokich i najwyższych. Poległ jeden z głównych wodzów: książę Bagration, poległ generał Kutaisow, polegli dwaj znamienici wodzowie: bracia Tuczkowy — nie mówiąc o niezliczonej liczbie pułkowników, majorów, kapitanów.

Rozzuchwalona Śmierć kosila zapamiętałe.

O tem Napoleon nie myślał. On ważył tylko: co walka przyniosła w zysku jego osobistym losom, jego osobistej wielkości. Ciężkie i zawile było to zagadnienie — ciężkie i zawile były myśli cesarza.

Gdy, skończywszy biuletyn, zamilkł, powieki przymknął i głowę pochylił, mniemano, że znużonego i cierpiącego zmógł sen... Zapomniano, że pochyła głowę i byk w arenie, zabierając się do odparcia lub zadania śmiertelnego ciosu!

— Jestżem taki, jak byłem? — badał siebie Napoleon. — Marmur mego posagu jest-że ten sam, bez szczerby i skazy? Moje słowo ma jeszcze moc pioruna? Moja wola nie przestała być wszechwładna?

Ważyli wielkość Napoleona i towarzysze.

— Chwiejność cesarza jest dla mnie męczącą zagadką. Nie pojmuję, co się z nim stało — mówił o swym ojczymie książę Eugeniusz.

— Geniusz cesarza — skarżył się Murat — gdzieś się zapodział. Nie udało mi się dziś dostrzedz go ani na chwilę.

— Po dzisiejszym tryumfie — dowodził Ney — najrozumniej byłoby dla cesarza: cofnąć się..

Na marmurze ukazywały się skazy; bystrzejsze oko możeby i szczerbę dojrzało.

Deszcz, wichra, mgła, ciemność, błoto — nie były jeszcze wszystkiem, czem zle duchy urągały pobojo-wisku. Niema w przyrodzie takiej ciemności, żeby jej nie przewyższyło czarne złego człowieka sumienie.

W tej otchłani śmierci, grozy i szaleństwa, wśród zmarłych i umierających, snują się żywe, od nocy czarniejsze postacie. Nie psy, nie kruki, bo na nie czas jeszcze nie przyszedł. Ludzie!

Snują się szakalom podobni, skradający się, grozy i ohydy pełni — trupów obdzieracze.

Czy to już dno grzechu i znieprawienia? Nie!

Gdyby trochę światła rozbiło wstrętne, ruchome mroki, jeszczeby się bardziej ohyda ich pogłębiła.

Zmarłych obdzierają pozostali przy życiu — towarzysze.

Wilk tylko w obłędzie wścieklizny, lub z głodu zdychając, rzuci się na wilka. Człowiek zdrowy i syty, dla bylejakiego łupu, głodnym i wściekłym wilkiem dla bliźniego się staje.

Gdy Napoleon w namiocie u stóp zdobytej re-duty dyktował biuletyn o »zupełnem zwycięstwie«, przeciwnik jego, Kutuzow, w prostej włściańskiej chacie, układał raport, w którym bitwę pod Borodino nazywał »walką nierozstrzygniętą«.

W głębi duszy obaj wodzowie kryli przekonanie, że innych i siebie — okłamują.

I Europa i car Aleksander mieli być w błąd wprowadzeni. Walka nie była »nierozstrzygnięta«, skoro jedna strona z pola bitwy pierzchnęła, a druga rozbiła na niem namioty. Ale i zwycięstwo nie mogło się nazwać »zupełnem«, skoro przez noc całą rozlegały się na krańcach pola bitwy wystrzały, a jeden awanturniczy oddziałek zapędził się aż w okolicy namiotu cesarskiego.

Drażniąca niejasność położenia, w której było coś z ironii i szyderstwa, i która stale towarzyszyła wszystkim kampanii tej przejawom, pogłębiała bardziej jeszcze ponury nastrój chwili.

Wszystko tu miało twarz sfinksową i sfinksowe, szeroko rozwarte a nic nie mówiące oczy. Niepokojąca tajemniczość unosiła się w powietrzu, dobywała z ziemi, wyzierała z brudnych chmur, w które, niby, w znoszoną, żebraczą odzież, ubrało się niebo.

Minęła północ. Wiatr przycichł. Niewiadomo skąd dobyła się odrobina mętnego, chorowitego światła. Uwyraźniły się ogólne zarysy pobojowiska; wyłoniła się z mroku mgła, przewalająca się nad niem wzebranymi, skotłowanymi falami.

Rozwiewne tumany zaczęły zwolna odrywać się od ziemi, unosić w powietrzu, przybierać widmowe, upiorne kształty. Ciche, w jeden chór złane jęki rannych i konających, zmieszane z pluskiem niedalekiej rzeki, żałosnym poświstem zamierającego wiatru i szelstem kropel deszczowych — nabrały pozorów ludzkiej, szeptanej mowy.

I była chwila, w której mogło się zdawać, że nad tem strasznym polem śmierci unoszą się i szeptać widziadła...

Jedno z widziadeł, olbrzymie, lecz wpół zgięte i nad ziemią pochylone, na długich, cienkich, szczudłowatych kościotrupa nogach, nie mogło być czem innem, jak śmiercią. Posuwało się zwolna, opatrując pilnie, czule, prawie miłośnie, każdą piędź usianej trupami ziemi. Tak pilnie, czule i miłośnie opatruje tylko rolnik obfite pól swoich plony.

Z chichotem szyderczym śmierć szeptała:

— Spierają się: kto zwyciężył... Hi, hi, hi!... Poczciwcy!... Żaden nie wie, że moim był sługą, że dla mnie tylko w pocie czoła pracował... Jakże ich kocham! Jakżebym pragnęła tych i tamtych w swych kościstych ramionach uściskać!... Prześciga się jeden z drugim w dostarczaniu mi plonu. Dawnom nie miała najmitów tak gorliwych, tak ofiarnych. Nawet zapłaty nie żądają, nawet od podziękowań stronią. Za całą nagrodę dość im odrobiny dymu, który im za-

wrót głowy sprawia i który »sławą« nazywają... Hi, hi, hi!... Spierają się o pierwszeństwo... Naiwni i ślepi! Nie widzą, że ja tu pierwsza — ja pani, ja królowa, ja sawowładczyni.

— Hola! — przemawia inny głos, cichy a jaadowity. — Odkądże to służebnice paniami się zowią? Shardziałaś, lubko; pycha tve nagie żebra rozdyma. Na smyczę wezmę — wnet sobie przypominisz, w czyjej psiarni służysz, kto ciebie do szczucia ludzkiej zwierzyny zażywa...

To drugie, z mgły odlane, wielkie, złowrogie widziadło pół widnokregu sobą wypełnia. Barki tytana dzwignęło w górę — u tych bark para potężnych, nietoperzowych skrzydeł wyrasta. Wielki, zwierzęcy łeb, w którym jest coś z rysia, szakala, zbója i faryzeusza, zuchwale podnosi ku niebu — urąga mu, do walki je wyzywa...

— Winnam... — tłumaczy się Śmierć. — Radość nadmierna pamięć mi odebrała. Przebacz, najmniejszego panie. Tobie jednemu służę — tobie przez wieczność służyć pragnę...

— Nie mów o wieczności. Tego pojęcia nie ogarniam. I nic mi po niem! Obecność mi wystarcza.

— Piękna jest, władco mój...

— Uroczą, gdyż plenna, dziewczko moja...

— Uznołam się, ałem szczęśliwa, bo to dla władcy mego.

— Nie pomógłby znój, gdybym ci plonu nie zgotował.

— Sług wiernych miałeś — ścieżki ci torowali...

— Póki rządów moich, póty sług.

— To znaczy: po wieki wieków...

— Znów wieki! Nie lubię cyfr nieokreślonych. Ale wiem, że rządy moje długie.

— I moje.

— Trwać będziemy, póki ludzie nie przejrzą.

— Nie przejrzą nigdy.

— Pracuję nad tem. I na ziemi pomocników mam. Wzajemna nienawiść narodów, to najsilniejszy filar, na którym wladztwo swe wsparłem.

— Narody zawsze nienawidzić się będą.

— Oby tak było! Mam wszakże wroga.

— Kogo?

— Jego imię usta mi parzy. Nie wymówię go.

— Słaby, skoro zwyciężasz.

— Potężny, lecz ludzie słuchać go nie chcą.

— W nieposłuszeństwie ich trzymasz.

— Z całego serca, ze wszystkich sił swoich.

— Czem?

— Mamidlami sławy i wielkości. Szalejem nienawiści i zemsty. Pokusem łupów i zaborów.

— Mocnym się czujesz?

— W tym stopniu, w jakim oni słabymi.

— A gdy mocy nabiorą?

— On tylko jeden dać im ją może. Ale jam od tego, żeby go od nich odgradzać.

— I tak będzie zawsze?

— Nie myślmy o tem. Dziś nasze — co nam do jutra! Dziś wielkie obchodzimy święto. Ty licz ofiary i raduj się; mnie wzywa służba gdzieindziej: na Północ, na Zachód, na wszystkie świata strony. Wszechobecnym być mi trzeba, tłumić każdą świadomości iskry, która się w sercach ludzkich budzi.

Ciemność jest moim żywiołem — ciemność na ziemi utrzymywać muszę.

Wiatr powiał, mgły skreślił i rozkreślił. Nad pojowiskiem niema już widma na szczudłowatych nogach, niema straszidła z nietoperzemi skrzydłami. Chór jęków to głośniejszy, to cichszy; mętne światło to wzmacnia się, to słabnie.

Nagle zaszemrał w powietrzu głos dziwny: harmonii pełny, kojący. Zupełnie, jakby z jakichś, niezmiernych wyżyn nadpłynęło harf złotostrunnych echo.

Nad polem mąk i śmierci, nad krwawą, kilkowiorstową kałużą, nad otwartym grobem stu tysięcy ofiar, rozlało się, niby wonność z nachylonej amfory: ukojenie.

Z mgieł znów się ułała postać o kształtach określonych — do tamtych niepodobna. Piękna, biała, promienna. Ciągnęła ku sobie oczy, ciągnęła umysł i serce. Była wielka, jednak wielkością swą nie przygniatała; była królewska, jednak pokorna; niebiańska zarazem i ziemska.

Gdyby ta postać na całą wysokość się podniosła, czołem sięgnęłaby nieba. Ale ona szła ku ziemi pochylona — jak idzie ogrodnik miedzą, opatrując na grzędach każdą roślinkę, każdej dostarczając światła, ciepła, pokarmu.

I jako czuły ogrodnik trapi się każdą nadłamaną lodyżką, każdym naderwanym listkiem, każdym pączkiem nadwiędłym, tak i ta postać szlachetna wszystkim wojny ofiarom objawiała współczucie.

Wśród falujących ciemności i niepewnego światła, wszystko drżeć i poruszać się zdawało. Rozchwiana

mgła obejmowała w posiadanie nieruchome kształty, życiem je darzyła. Do pochylonej postaci wyciągały się ręce umarłych i konających. Ona pochylała się ku nim nisko, coraz niżej — jakby z tych sinych, lub krwawych ust usłyszeć chciała ostatnie słowo, pochwycić ostatnie tchnienie...

Zdawało się chwilami, że to lotne widziadło kurczy się, pomniejsza, poziomem się staje, jak — człowiek. To znów rosło, olbrzymiało, całą ziemię i całe niebo sobą wypełniając, jak — Bóg.

W rozwiewnych kształtach widma można było dopatrzyć się: twarzy o pogodnych, czystych liniach, długich, pierścieniami na ramiona spadających włosów, oczu wielkich, do połowy przymkniętych i jakby łzami nabrzmiałych. Długa, fałdzista szata owijała tę postać, spływając lekką, niezmiernie długą, kresu wyraźnego nie mającą, draperyą.

Którędy ta postać przeszła, jęki tam cichły, groza ulatywała, ustępując miejsca rezygnacyi i uroczystemu spokojowi. Te świetlane, przejrzyste ręce, których dłonie dotykały piersi i muskały czoła umarłych, były rękami siewcy, proszącego ziarna ewangeliczne...

Niekiedy szmer kropel, echa luteń dalekich, westchnienia wiatru i ludzi, zmieszane z głosami nocy i zamierającej jesieni przyrody, stawały się mową żywą, układały się w słowa.

Słyszało się wówczas niby jęk, niby skargę, niby błogosławieństwo.

— I sam i przez anioły swoje, życiem swem i męką swą nauczałem was tajemnicy doczesnego i wiekuistego szczęścia. Prosta i jasna była moja nauka, jak proste i jasne jest przeznaczenie człowieka

na ziemi. Zestąpiłem między was i zbratałem się z wami, abyście tem łatwiej słowa moje, po ludzku brzmiące, pojąć i zapamiętać mogli. Czemuście tak oporni, na zalecenia moje głusi, na dobro własne ślepi? Dlaczego, mając nad głową słońce, za błędnymi uganianie się ognikami? Przykazałem wam: miłujcie się — a wy się nienawidzicie; przykazałem: nie zabijajcie — a wy boje toczycie mordercze; powiedziałem: błogosławieni, pokój czyniący — a wam dzień jeden bez zatargu z bliźnimi nie upłynie. Tegom was też uczył, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie — a wy miecza z rąk nie wypuszczacie, choć wiek każdy, rok każdy i dzień każdy przekonywają was, że nic trwałego miecz nigdy nie zbudował. I karać was trzeba i płakać nad wami. Krnąbrne z was dzieci, ale dzieci. Sami rozniecacie ogień, który was kąsa i pożera. Jam zawsze na przyjęcie wasze gotowy — czemuście z przyjściem tak późni? Jam izbę dla was wymiótł, dom kwiatami przystroił, owoc, który was posili, przysposobił — czemuż nad te wczasy przekładacie tułactwo na wichrze i slocie, błaganie się po manowcach, pełne niepokoju życie i zgon męczeński a grzeszny? Niewyczerpane jest źródło miłości mojej; na przyjęcie zbłąkanych i nieposłusznych, mój dom zawsze stoi otworem. Smutni będą pocieszeni; pragnący znajdą ochłodę; którzy cierpią niesprawiedliwość odejdą zwycięscy i silni. W waszych rękach szczęście wasze. Wyrzeczcie się szatana, weźcie na uzdę namiętności, pokonajcie dzikie, w każdym z was drzemające zwierzę. Pola wówczas przestanie krew ludzka żyźnić, kości ludzkie zasiewać — białe lilie rosnąć na nich będą, drzewo rodzajne da pielgrzymowi cień

i posiłek. Jako ja z wami, tak wy ze mną bądźcie. Pokój wam...

Tak mówiła świetlana, szlachetna postać, razem przyziemna, pokorna, jak człowiek — i wyniosła, wszechświat sobą wypełniająca, jak Bóg.

Jęki odzywały się coraz słabiej, z coraz cichszą skargą, z coraz mniejszym bólem — aż wreszcie zupełnie ustały.

Nad stoma tysiącami ciał, w morzu krwi leżących, rozpostarła się najgłębsza z cisz: cisza śmierci.

ROZDZIAŁ IX.

NASI.

W przededniu wielkiej bitwy pod Borodinem, Napoleon nie miał jeszcze kataru. Był wówczas taki, jak zwykle: nerwowy, rzucający się, krzykliwy. Nie skąpił słów, nie zagłębiał się nazbyt w siebie, nie zdziwiał swych generałów brakiem stanowczości i twarzą stale marmurową.

Tego dnia, o wczesnej godzinie, dosiadł konia i udał się przede wszystkim na lewe skrzydło swej armii.

Z wielką pilnością opatrywał przygotowania wojenne; w każdy szczegół wglądał; każdego, rzecz można, ręką dotykał.

Często wypadalo mu schodzić z konia i znów go dosiadać — czynił to niezbyt lekko, lecz swobodnie i bez znużenia. Prawie cały wawóz Borodiński przeszedł pieszo. Postępował szybko, pozostawiając swych sztabowców za sobą. Czynił to rozmyślnie, chcąc być sam.

Wdrapał się z pewnym trudem na przeciwległą

ścianą wawozu i odbył przegląd długiego łańcucha rozsypanych na jej szczycie tyralierów.

Długo, z wyteżoną uwagą badał pozycyę nieprzyjaciela, zwłaszcza jego reduty. Najwięcej uwagi poświęcił wielkiej reducie, wysuniętej naprzód i znajdującej się wprost jego głównej kwatery.

Biały arabczyk przeniósł go stamtąd na lewe skrzydło armii, gdzie stał Poniatowski ze swymi Polakami.

Były to już szczątki świetnych niedawno wojsk Księstwa Warszawskiego — zaledwie cztery do pięciu tysięcy ludzi źle odzianych, lichu odkarmionych. Część tych wojsk w inną stronę powiodł Dąbrowski, ogromną większość wybiły kule, szable, piki rosyjskie. Dopomógł tym ostatnim szkorbut, szerzący się epidemicznie, ze złego pożywienia i braku dobrej wody do picia wynikły.

Ale w oku każdego polskiego oficera i każdego polskiego szeregowca błyszczał ogień, światu całemu mówiący:

— Jam bohater!

To był hufiec żelazny, hufiec Termopilski. To byli rycerze nie dla żołdu walczący, lecz dla idei. Każdy żołnierz polski wart był dziesięciu francuskich, stu sprzymierzonych.

Cesarz widział tylko oczy tego wojska, i to mu wystarczało. Zapadłych policzków i podartego obuwia widzieć nie chciał. Dobry wódz i historyk, wiedział, że i Leonidasa zastęp szedł w bój półnagi.

Przyjaźnie pozdrowił księcia Józefa; z zadowoleniem uśmiechnął się, widząc w jego twarzy wyraz

bezgranicznego poświęcenia. Czy rozumiał głębie i świętość ofiary?

Nie tracąc czasu, zsiadł z konia, na najbliższy wzgórek wstąpił. Z lunetą przy oczach, rozpatrywał długo stanowiska rosyjskie. Ręka go zabolala od trzymania ciężkiej lunety — oprzeć jej na czym nie miał.

— Murat! — zawołał na stojącego w pobliżu szwagra. — Dajno mi tu swe ramię!

Murat stanął przed cesarzem, który na jego ramieniu umieścił lunetę. Ale że był od Cesarza wyższy, zgarbić się musiał, aby dokładnie swą rolę pełnić. Wyglądałoby to zabawnie i śmiech budziło gdzieindziej i w innym czasie — wojna jest sprawą poważną i na śmiech miejsca w niej niema.

Skończywszy spostrzeżenia, zwrócił się cesarz do księcia.

— Ty, mości książę, ruszysz z pułkami swymi prosto. Na drodze swej spotkasz niezawodnie przeszkody...

— Wiem, *sire*.

— Przeszkody te usuniesz...

— Tak, *sire*.

— Zaatakujesz następnie lewe skrzydło rosyjskie...

— Wiem, *sire*.

— Trzymając je w zajęciu, będziesz wspomagał działania wielkiej armii...

— Tak, *sire*.

Cesarz miał już odejść, lecz zatrzymał się, czytając w oczach księcia jakąś myśl niewysłowioną.

— Czy książę — zapytał — masz mi coś do powiedzenia?

— Chciałbym, *sire*.

— Mów.

— Lewe skrzydło rosyjskie opiera się o las. Za lasem znajduje się wieś Utica, oraz stary gościniec, wiodący do Moskwy. Czy wolno mi, na własną rękę, zająć wieś, i w danym razie odwrót nieprzyjacielowi przeciąć?

Cesarz spojrział bystro w oczy polskiego wodza. Myśl księcia była wyborna — w sekundzie to ocenił. Ale udał namysł, i po chwili dopiero pochylił głowę, dając znak przyzwalający. Tylko znak... Nie lubił bowiem przyznawać głośno innym ani geniuszu wojennego, ani zasługi.

Powracał do głównej kwatery w usposobieniu doskonałym. Przez całą drogę nucił półgłosem — fałszywie, jak zawsze:

La victoire, en chantant,
Nous ouvre la barrière...

Plan dnia jutrzejszego był gotowy. Pozostawiało zajęcie dobrego punktu spostrzegawczego oraz ułożenie wojennego *ordre du jour*.

Miejsce dla siebie cesarz wybrał w samym środku linii bojowej francuskiej, która biegła prawie równolegle z linią rosyjską — wprost wielkiej reduty, od początku celem jego zabiegów będącej. Otaczała go czworobokiem gwardya: na tyłach stara, od czoła młoda. O ten mur rozbiłby się nawet ocean.

Rozkaz dzienny wydano późnym wieczorem. Do pułków polskich przybył on o samej północy. Ofi-

cerowie tłómaczyli rozkaz podoficerom; sierżanci nieśli go do szeregowców. Odczytywano go po polsku żołnierzom, którzy spędzali noc przy licznych ogniskach, było bowiem zimno, wietrzno i dżdżysto.

Mazurów słabo rozgrzewały frazesy cesarza o »upragnionej gorąco bitwie«, przypomnienia Friedlandu i Austerlitz, obietnice zaszczytu, zamkniętego w słowach: »on tam był«... Do przekonania trafiało im najbardziej zapewnienie, że ta bitwa powrót do Ojczyzny przyspieszy.

»Ojczyzna« nie była dla nich pojęciem oderwanem, ani promienną, skrzydlatą marą, ani piękną alegoryą, która maluje się na transparencie, aby w dniu jakiejś wielkiej »gali« oczy tłumu cieszyła.

Dla Wojciecha Sęczka, Bartłomieja Kwiczola, Walentego Kluska oraz ich bliższych i dalszych sąsiadów, ojczyznę wyobrażała kryta słomą, z bociąnem na strzesze, z »babą« i kilkorgiem »pędraków«, chałupa, a przy chałupie ziemi ornej szmat, łąki kawał, kapusty i kartofli »lica«, wreszcie chlew jak się patrzy, napół rozwalony, gnoju pełny, a w nim bydłatek para, wieprzak galanty i gadzina...

Miejscy ich kamraci przez ojczyznę rozumieli swój warsztat, krzywą wiodącą doń uliczkę, fargę z huczącymi w święta dzwonami, izbę niską w winiarni, gdzie się z kmotrami dobrze, bo głośno gada — przytem starych ojców swych, młodą żonę lub narzeczoną, przyjaciół, towarzyszy, dzieci małe, swoje lub cudze...

Wszystko to było zbliska powszednie, trochę nudne, może nawet niezbyt piękne. Ale z oddalenia, kilkuset mil, pod niebem z ołowiu, wśród trzęsawisk

gór i rozpadlin, gdzie na każdym kroku czaił się wróg, nienawiścią i zemstą dyszący — te chałupy, warsztaty, kmotrzy, trącający się kieliszkami, potargane kobiety i umorusane dzieci, nawet wąskie, pełne śmiecia zaułki i chlewy z wieprzkami — nabierały niewymownej piękności, nadziemskiego prawie blasku. Było z tem, jak ze stajenką Betleemską, gdy Bóstwo w niej zagościło.

Poniatowski o wczesnej godzinie pospieszył na wskazane miejsce. Spodziewał się zastać tam strzelców rosyjskich, jako przednią straż lewego armii nieprzyjacielskiej skrzydła.

Tych strzelców miał pokonać i rozproszyc, a potem, zwyciężając, jedną po drugiej, przeszkody i zasadzki, pułki rosyjskie okrążyć, i od tyłu, ze wszystkimi Polakami na nie pójść...

— Na przepadle — dokończył cesarz w myśli.

— Na przepadle — pomyślał książę, uczuwając na chwilę mróz w sercu.

Obaj rozstali się ze spuszczonego oczyma. Napoleon w oczy towarzyszowi spojrzeć nie śmiał; książę — nie chciał.

Okazało się, że wiadomości cesarza o lewym skrzydle rosyjskiem nie były dokładne. Skupiwszy całą uwagę na reducie Szewardyńskiej i Borodinie, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo po prawej jego ręce, wśród odległych wzgórz, lasów i parowów. Wyzierała stamtąd tajemnica i wyzierał strach. Wolał tam posłać cudzoziemców, niż swoich. Od tego są *braves des braves*, żeby samemu dyabłu śmiało w ślepie zaglądali!

Poniatowski, stanowisko swe zajmując, strzelców

nie zastał. Natomiast wysypały się przeciw niemu roje żołnierstwa dość bezładne, pełniejsze tępej rezygnacji, niż ducha rycerskiego.

Bystre oko księcia rozpoznało w nich natychmiast »opoleczenie«.

Było tego dziesięć tysięcy.

Wzgardliwem skrzywieniem ust przyjął książę świeży zastęp. Wiedział, jak jest mało do Napoleońskiej *jeune garde* podobny.

Porucznik Zefiryn, na widok mało rycerskich pułków, na całe gardło się roześmiał.

— Nie wiem doprawdy, po co nas tu przysłano? Tu potrzebniejsi stróże z miotłami... *Parole!*

— Nie dowierzaj, Zefirku, pozorom. I tacy dzielnie bić się mogą.

— Tra la la! Dla żołnierza, jak dla kobiety, *la tenue* jest wszystkim. Spójrzcie na cesarza; rzućcie okiem na Józia...

Rozkaz formowania się do ataku przerwał dalsze wywody. Ale jeszcze, w szyku bojowym stawiając, piękny porucznik powtarzał:

— *Tenue, tenue — il n'y a que cela!*

Gdzieindziej, kapitan Mroczek, koniem zataczając, wbrew zwyczajowi milczał. Nie przychodził mu na myśl żaden wiersz Homera, do okoliczności stosowny.

Walka nie była długa. Po stronie polskiej walczono jakby niedbale, z widocznym lekceważeniem.

Szarża ułanów wystarczyła do rzucenia popłochu w szyki nieprzyjacielskie. Zachwiały się, lecz nie cofnęły. Jak cała armia rosyjska, duchem religijnego fatalizmu przejęta, carowi i generałom ślepo

posłuszna, szła na śmierć pewną. Zdawało się, że zaścielać ziemię swemi ciałami jest jej niezlomnym, przez los wskazanym obowiązkiem. Napoleon i jego armia, w pierwszym zaś rzędzie pułki polskie, przemawiali żołnierzy rosyjskich niepojętym, fanatycznym strachem. I był w tem jakiś nadludzki tragizm, widome sił wyższych działanie, że obie potężne armie stawały się ofiarami nie wzajemnej bitności, lecz czegoś zgola postronnego...

Nie od kul i szabel rosyjskich topniała główna armia Napoleona, lecz od głodu, niewygody, szkorbutu, dysenterji. Nie kule i szable francuskie gnębiły głównie Rosyan, lecz przesądna, fanatyczna trwoga, odrętwiająca dusze i ramiona.

Olbrzymom zdawało się, że losami kampanii kierują. W rzeczywistości, sami byli przez kogoś kierowani; poruszali się bezwolnie — jak maryonетки.

Niewiele czasu i niewiele strat kosztowało księcia zgniebienie wroga. Długo stał on w miejscu, pozwalając się wybijać; po wielkich dopiero stratach, skorzystał z naturalnej obrony, którą mu zapewniał las. Do lasu wtargnęła za nim piechota polska.

Walka w gąszczach była niewygodna i niebezpieczna. Ale między piechurami polskimi dużo było kurpiów. Mieszkańcy puszczy Ostrołęckiej i Myszynieckiej poruszają się wśród lasu swobodnie, jak ryby w wodzie. Oni też załatwiali się głównie z piechurami rosyjskimi.

Wielki bór napełnił się hałasem, który zdala przypominał łowy na grubego zwierza. Brakło jedynie psów gończych grania. Wystrzały po wystrzałach postępowały tak szybko, że las rozbrzmiewał jednym

nieprzerwanym akordem grzmotów. Ustępujący Rosyanie krzyczeli tylko: »Hospody pomyłuj!« kurpie darli się w niebogłosy:

— Zgiń, psia-ziaro, kiej w naszygo Pana Boga nie zierzysz!... Zidzisz bestyją, jak ogonem wyzijo!... Czasem jeden zakrzyknął:

Najświętsza Maryjo,
Świedy nas zabijają!...

Drugi podchwycił głos i dalej ciągnął:

Retuj nas w tej bziedzie,
Staw kurpsiów na przedzie!

Trzeci kończył rażniej i z tryumfem:

Kurpsie się nie dają —
Świedy uciekają!

Bór w setnych echach krzyki powtarzał i mnożył bez końca.

Coraz mocniej brzmiały głosy polskie, coraz słabiej rosyjskie. Wreszcie ostatnie zupełnie ucichły.

Las był oczyszczony; *opółczenie* do cna rozbite.

Wojska wystąpiły na szeroki gościniec, który wiódł ze Smoleńska do Moskwy. Był to trakt stary, częściowo już opuszczony; główna droga do Moskwy biegła bardziej na północ, przez Wałujewo i Boro-dino. Na tę ostatnią Napoleon miał głównie wzrok obrócony.

Książę, nie zsiadając z konia, zapalił krótką fajeczkę. Inni generałowie poszli za przykładem wodza. Wojsku pozwolono posilić się naprędce, bez składanania broni w kozły.

Zwycięstwo było prędkie i łatwe. W sercu doświadczonego żołnierza i człowieka, jakim był książę, zbudziło niepokój. Wszystkie nagle i zbyt powabne uśmiechy losu gasną równie szybko, jak zabłyśły.

Książę rozejrzał się w położeniu. Za sobą miał wieś Uticę, rozciągającą się w miejscu wyniosłem, z jednej strony osłonioną lasem, z drugiej bronioną przez grzązkie mokradła. W tej wsi przebywać mógł nieprzyjaciół, tem groźniejszy, że ukryty.

Przed księciem ciągnął się długi, z obu stron zadrzewiony gościniec — również z pozoru pusty i również tać mogący zasadzkę.

Książę rozesał w różne strony piesze i konne patrole.

Wieści, których mu dostarczono, zwiastowały rozprawę gorącą. Wzdłuż gościńca i na samym gościńcu stały w pogotowiu wojennem liczne oddziały grenadyerów, strzelców pieszych i strzelców konnych. Cały korpus generała Tuczkowa skupił się tu, aby bronić starej drogi do Moskwy.

Sily Rosyan były przeważające; religijny i fanatyczny ich nastrój już się niejednokrotnie w tym dniu ujawnił. Wszystko zapowiadało walkę ciężką, z wynikiem niepewnym, może groźnym...

Książę Józef nigdy dawniej nie zaprzętał sobie głowy myślą o niebezpieczeństwie. Uważał je wprost za niemożliwe, nieistniejące. Ale od początku tej kampanii nie odstępowała go myśl o śmierci.

Kilkakrotnie, w ogniu walk gorących, budziło go, nakształt bolesnego ukłócia w serce, pytanie:

— Może to już bije ostatnia moja godzina?...

I teraz, rozejrzawszy się w położeniu, owo pytanie sobie zadał. Do pytania dodał nawet uwagę:

— Tak, niezawodnie ostatnia...

Przez głowę przeleciały mu wichrem myśli i obrazy. Ujrzał swego synka, panią Czosnowską, Napoleona, panią de Vauban, siostrę Tyszkiewiczową, siostrzenicę Anetkę, towarzyszków broni, pałac pod Błachą, Warszawę, Kraków, Polskę całą...

Na chwilę pociemniało mu w oczach.

Ale natychmiast odnalazł samego siebie. Wy-mownie ręką machnął i mruknął pod wąsem:

— Ba!...

Zaraz też, głowę hardo podniósłszy, na strzemi-nach się wspiął — głosem donośnym rozkazy wyda-wać zaczął.

Wiedział dzielny książę, że ma przed sobą siły potężne — nie zgadł, że one przewyższają jeszcze najgorszą z cyfr przypuszczalnych.

Na lewem skrzydle rosyjskiem rządził mężny i zapalczywy Bagration. Rwał się on w bój z półdzi-kim prawie zapalem, pożądał zwycięstwa za wszelką cenę. Cofać się, lub broń składać, nigdyby nie roz-kazał — dopóki by rozkazywać był w stanie.

Stary gościniec Moskiewski pokrywał korpus Tuczkowa. Strogonow z grenadyerami i Konownicyn wiedli w ogień dwie składające go dywizye. Korpus Górczakowa, z generałami: Woroncowem i Newerow-skim, obsadzili boki gościńca. W zaroślach kryli się strzelcy księcia Szachowskoja, tworząc łącznik mię-dzy środkiem armii, a lewem jej skrzydłem. Hrabia Sievers wiódł korpus jazdy. Rezerwę tworzyli: gre-nadyerzy księcia Meklemburskiego i kirasyerzy Du-

kana. Dowodził tym korpusem Borozdin. Dalej, po-między wsią Siemienowskoje i wielką redutą, stał do działania na dwa fronty gotowy, Rajewskij. Tu w licz-bie generałów znajdował się Paskiewicz.

Wrogów miał książę nietylko przed sobą i po-bokach. Miał ich także za sobą. Silny oddział, wcze-sniej przez Tuczkowa wyprawiony, zajmował leżącą przy gościńcu wieś Ulicze.

Książę nie czekał zaczepki; sam natrzeć posta-nowił.

— Bracia Mazury! — dziarsko zakrzyknął, roz-głądając się po swej piechocie — pokażta, co umiała!

Krzyk poszedł po szeregach, grzmotowi podo-bny, gdy ów się zdaje z chmury na chmurę prze-taczać.

— Kupą na nich!

— Jezus! Marya!

— Wał, kto w Boga wierzy!

Szaleństwem prawie było iść przeciw nawale, kilkakroć liczniejszej. Ale książę przywykł już do szaleństw. Przywykli też do nich jego podwładni.

Duch, który ożywiał polskiego żołnierza, duch twórca zwycięstw, równający Dawidów z Goliatami — nie miał równego sobie w armii Napoleona. On spra-wił, że i teraz Polacy zdali się podwajać i potrajać, rzucając lęk na krzepkiego w ramieniu, lecz słabego duchem nieprzyjaciela.

Główne korpusy zwarły się ze sobą i zahaczyły, przez długi czas ani pędzi ziemi wzajem sobie nie ustępując. Jednocześnie po bokach rozwinał się długi łańcuch drobniejszych, lecz gorętszych może jeszcze utarczek.

Tu, wśród zarośli, wzgórz i parowów, działać mogła tylko piechota. Żołnierz następował tu na żołnierza. Ścisłej mówiąc, jeden żołnierz polski następował na kilku żołnierzy rosyjskich. Losy utarczek były jednakowe: kończyły się zawsze zwycięstwem Polaków.

Po prawej ręce od gościńca, Polacy zapędzali Rosyan do lasu, przepędzali przez las, zabiegali za nimi na brzegi rzeczki Uczy, aż do wsi: Myszyny, Arteńków, Miasojedowa.

Na gościńcu położenie było wciąż bez zmiany. Co gorzej, nad miarę się przeciągało. Nie jednakowy duch ożywiał obie strony, ale zaciętość po jednej i po drugiej była jednakowa.

Wzbita kopytami koni kurzawa żółtą chmurą nakryła walczących. Z każdą chwilą chmura gęstniała, stając się dla oczu ludzkich prawie nieprzenikliwą. Odnosił stąd korzyść Poniatowski, gdyż siły jego, sprawdzić się nie dające, wydawały się większemi.

Przyszła wreszcie chwila, gdy książę Józef zrozumiał, że jeszcze kwadrans lub pół godziny tej mordowni, a z jego hasła: »Zwyciężyć, lub zginąć«, tylko druga wypełnić się da polowa.

Nie osłabiło to ani trochę jego męstwa; może je nawet wzmogło. Jego błyszczące amarantowe szako z wysokiem, białem, hardo sterczącym piórem strusim, nie pochyliło się ani na pół cala. Jak drogowskaz, jak gwiazda przewodnia, jak symbol rycerskiego honoru i nieugiętości, błyszczało wysoko, nie wzruszenie i zwycięsko — zawsze na przedzie, zawsze w największym piekła bitewnego odmiecie.

Książę narażał się, jak nikt z korpusu piątego. Jednak nie dosięgało go ostrze ani jednej szabli i lancy; kule muskały tylko jego wyniosły, wyzywający pióropusz. Śmierć chowa się przed tymi, którzy na spotkanie jej idą. Rzecby można, że lęka się ich i wstydzi.

W szeregach polskich stawalo się już gorąco, duszno i ciężko.

Nagle Polacy uczuli, że przed nimi zaczyna być miękcej i luźniej — zupełnie, jakby nadpłynął skądś strumień świeżego powietrza. Była to niespodzianka. Źródła niespodzianki nie znali; dochodzić go w wirze bitwy było trudno. Niebawem rzecz się wyjaśniła. Z okrzykami polskimi mieszać się zaczęły francuskie i niemieckie.

Poniatowskiego wsparł Davout i wsparli Westfalczycy.

Teraz już sprawa gładziej poszła. Szyki rosyjskie, dotąd nieruchome, zaczęły jeśli nie cofać się, to przynajmniej rozstępować. Książę co chwila spostrzegał przed sobą szeroki wyłom: ledwie wszakże zdążył weń wstąpić, już się wyłom zamykał, i na nowo drażyć go należało. Jak w środku armii rosyjskiej, tak i na jej skrzydle, tłumna a nieustępliwa cema żołnierstwa każdą lukę natychmiast wypełniała.

Gęsto padał żołnierz polski i francuski, ale niczem to było w zestawieniu z krwawem żniwem po stronie rosyjskiej. Korpus piąty posuwał się naprzód dosłownie: po trupach.

Przeciągała się rzeź i zdawała się nie mieć końca. W jednej wszakże chwili po stronie rosyjskiej coś dziwnego się stało. Szeregi zaczęły wychodzić

z linii, krzywić się, łamać. Zaraz potem środek armii skłębił się i pogmatwał. Umilkły zajadle, fanatycznej zaciekłości pełne okrzyki: »Ura!« — miejsce ich zastąpił niewyraźny chór głosów, brzmiący tajemniczo, ponuro i jakby żałośnie...

Odczuł zmianę tonu księżę, ze zdwojoną energią natarł. Natarcie uwieńczył tryumf. Nieprzyjacieli stracił krzepkość muru: jak fala ruchliwa i niemocna, na boki ustępować zaczął.

Polacy polem bitwy zawładnęli.

Jeszcze chwila, jeszcze wysiłków nieco, i Poniatowski mógł już Cesarzowi przez adjutanta swego obwieścić:

— Uticze wzięte. Lewe skrzydło nieprzyjacielskie złamane.

Więść pozwoliła Napoleonowi rozejrzeć się nareszcie na »szachownicy«. Popchnęła Wielką Armię do stanowczego, decydującego czynu. Zwycięstwu utorowała drogę. Zwycięstwo sprowadziła.

I teraz dopiero dowiedzieli się Polacy: co ostatecznie szale niepewnych losów bitwy przeważało. Wyjaśnił to jeden z jeńców rosyjskich.

— Bagration ubity!... — z płaczem, do ryku podobnym, oznajmił. — Jakże nam zwyciężać, jakże żyć bez Bagrationa!...

Było już ku wieczorowi, gdy mgła i kurz opadać zaczęły, odsłaniając pobojuwisko. Okazało się teraz, jak drogo kupione zostało zwycięstwo.

Na ogromnej, rozciąglej przestrzeni, wzdłuż gościńca i po obu jego bokach, leżały trupy polskich rycerzy, pospołu z francuskimi i rosyjskimi. Ostatnich było najwięcej. Ilością znacznie górowały nad

polskimi. Mogło to być pociechą, lecz tylko dla Napoleona. Księżę Józef pociechy szukał w czem innym. Dostarczała mu jej myśl, tak wymownie przez Wybickiego wyrażona: »Azali Bóg może nie być jeszcze sytym cierpień naszych i wymierzonej kary!«

Ta jeno myśl sprawiła, że bez płaczu głośniego i bluźnierstwa patrzeć mógł na wąsate, szlachetne, poczcziwe Mazurów twarze, mrozem śmierci ścięte, na szeroko rozwarte, szkliste oczy, zwrócone ku niebu ze skargą i wymówką...

I on, tak samo, jak Napoleon, wobec zgrozy pobojuwiska spokojnym się wydawał, różne wszakże były u tych dwóch bohaterów spokoju owego źródła.

Cesarz wzruszenia nie okazywał, gdyż go nie czuł; księżę tylko nadzwyczajnym wysiłkiem, tylko wzniosłem skierowaniem ducha ku Bogu i Ojczyźnie władzę nad wzruszeniem zdobywał.

W poważnem milczeniu, mając przy sobie swych adjutantów: Potockiego i Mrocza, objeżdżał Poniatowski zdobyte pozycje.

Polacy, choć śmiertelnie znużeni, ostatek sił poświęcali na zadośćuczynienie chrześcijańskim i państwowym obowiązkom. Braci poległych z pola śmierci unosili; ranionym pomoc lekarską i chirurgiczną nieśli; do konających sprowadzali kapłanów, aby ich z Bogiem jednali.

Księżę co chwil parę zatrzymywać się musiał, aby odpowiedzieć to słowem ciepłym, to uściskiem dłoni, to choćby ukłonem żołnierskim na zwracane ku niemu głosy czci, posłuszeństwa i bezgranicznego uwielbienia.

Z zadziwiającym spokojem, z rezygnacją, niemal ze świątobliwą, pierwszych męczenników chrześcijańskich przypominającą pogodą, umierali Polacy. Ostatnie ich słowa brzmiały najczęściej:

— Niech żyje książę wódz!

Niektórzy prosili, żeby ich twarzą na zachód, w stronę Ojczyzny obrócono, i z błogim, anielskim uśmiechem życie kończyli.

Niektórzy, już w malignie przedśmiertnej, wydawali księciu zlecenia, dotyczące stosunków rodzinnych, gospodarskich, warsztatowych. Za ojca go mieli, za opiekuna.

— A babie mojej — żądał jeden — powiedz książę wodzu, że głupia byłaby, żeby się moją śmiercią frasowała. Niech czasu nie mitrzeży i duchem kulawego Wojciecha z Lisiej Wólki za męża bierze. Dobry to gospodarz, i dobytek przy nim nie zmarnieje. A że kalika, to chwała Bogu: na wojaczkę nie pójdzie...

Inny upominał:

— Stachulowi mojemu przykaż książę wodzu: jak jeno dorośnie, wszystko niech rzuca i do wojska masieruje. Chyba, żeby już na tym świecie Matka Boska rzetelny porządek sprawiła...

Jedzie książę coraz poważniejszy i uroczystszy, coraz głębiej w milczeniu i w myślach pogrążony. Adjutanci, o kilka kroków za nim, porozumiewają się szeptem; głosu żaden podnieść się nie waży. Jadą brzegiem rzadkiego lasu, mimowoli wzrokiem go przezierając.

Nagle książę konia ściągnął, na miejscu osadził. Uczynili toż samo adjutanci.

Wszyscy patrzą w las — czegoś wielce ciekawi, czemś wielce zdumieni...

W odległości kilkunastu kroków ujrzeni porucznika Zefiryna, o drzewo opartego. Porucznik w miejscu stoi, cokolwiek się w jedną stronę pochyliwszy. W ręce trzyma chusteczkę — do lewej piersi ją przyciska.

Krzyknął nań książę po imieniu i po nazwisku. »Zefirkim« nazwał go poufale, po przyjacielsku. Tamten ani odzywa się, ani porusza.

I księciu i jego towarzyszom stało się czegoś markotno. Choć nie porozumieli się słowem, ani spojrzeniem, wszyscy powzięli w mig toż samo postanowienie. Z koni zsiadli, w las poszli.

Im bliżej są Zefiryna, tem większe ogarnia ich zdumienie.

Piękny oficer stoi na małej polance, plecami o pień dużego drzewa wsparty, nieco na lewy bok przegięty. W prawej ręce trzyma obnażoną szablę; w lewej, której łokieć wsparł na nisko wyrastającej gałęzi — batystową, do piersi przyciśniętą chusteczkę. Chusteczka od krwi czerwona. Na wytwornym, gładko opiętym mundurze, w okolicy serca, widać również krwawe, stężale krople.

Na kredowo bladej twarzy zastygł wyraz gniewu, dumy i szlachetnego oburzenia.

O kilka kroków przed porucznikiem, wśród gęstej, zdeptanej trawy, leżą trupy trzech rosyjskich grenadyerów.

Zrozumieli przybysze co się tu święci. Ukłon wojskowy składają mężnemu towarzyszowi; potem modlitwę krótką szepcą. Ale na wojnie czasu na sen-

tymenty niema. Wnet opanowali wzruszenie, spostrzeżeniami się dzielią.

Pierwszy przemówił książę:

— Trzech zmiotł... — na leżących wskazał. — To jego zwykła porcja.

— Zauważyć racz, mości książę — rzekł Potocki — że trzymał ich w oddaleniu...

Mroczek poprawił:

— W przyzwoitem, pełnem uszanowania oddaleniu.

— W przyzwoitem, pełnem uszanowania oddaleniu... — powtórzył tamten. — Nie dopuścił, jak zawsze, by ręka bez rękawiczki dotknęła jego piersi...

Poetyczny Mroczek znów z poprawką wystąpił:

— Jego polskiego, oficerskiego munduru, który jest świętością!

— Dosięgła go kula — po chwili milczenia ozwał się książę, zlekka piersi przyjaciela dotykając. — Błogosławiona! Bo ugodziwszy w samo serce, cierpień mu oszczędziła.

— Jeśli pochylił się — podjął Mroczek — to z pewnością nie przed widmem śmierci. On mu zawsze wyniosłą okazywał pogardę. Ale do końca pozostać chciał galantem, i ostatnich chwil życia na wytarcie plamy z munduru użył. Bo mundur polskiego oficera splamiony być nie może.

W Potockim obudził się warszawianin, światowiec.

— Warszawskie piękności — z niedostrzeżonym odcieniem ironii szepnął — lament wielki podniosą...

Towarzysze nic na to nie rzekli. Więc dodał jeszcze:

— Pierwsza hrabina Cho...

Piorunujące spojrzenie księcia zamknęło mu usta.

— Wiem — rzekł książę — że porucznik Zefiryn nosił przy sobie zawsze portfel z listami. Rozkazuję, przed pogrzebaniem ciała, wszystkie listy, nie czytając, spalić.

— Porucznik — zauważył Potocki — nosił także na piersiach, pod mundurem, liczne z kolorowych wstążek kokardy...

— Pochować go wraz z niemi! — rzucił chmurno książę.

Nadszedł lekarz pułkowy dla stwierdzenia zgonu. Zbierać się zaczęli najbliżsi poległego koledzy. Zawieszano grabarzy...

Książę szepnął: »Wieczny odpoczynek«, ręką posłał młodemu przyjacielowi ostatnie pożegnanie, wykonał energiczny obrót w prawo, i opuścił miejsce żałobne. Po chwili siedział już na koniu, i w towarzystwie adjutantów dalej odbywał swój smutny przegląd. Milczący, poważny, uroczysty, nie tracił jednak na chwilę postawy rycerskiej i potrzebnego wodzowi wyniosłego, stanowczego pełnego wyrazu.

Nie ujechali jeszcze stu kroków, gdy drogę zagroził im tłum żołnierstwa, kupiacy się przy noszach z rannym czy też zabitym oficerem. Rozstępować się zaczęto przed księciem, on wszakże do samych noszów zbliżać się nie chciał. Dość już miał strasznych obrazów i wzruszeń bolesnych — czuł, że serce przepelnia mu się smutkiem i że jedno jeszcze wstrząśnienie, a — po wojskowemu mówiąc — »z formy wyjdzie«.

Chciał jednak wiedzieć, co zaszło, zbiegowisko bowiem świadczyło o czymś niezwykłym.

— Kto na noszach? — zwrócił się z pytaniem do wywołanego z tłumu oficera.

— Kapitan Dunquerque z drugiego pułku woltyżerów, do usług waszej książęcej mości — objaśnił salutując, oficer.

— Raniony? zabity?

— Raniony... Ale teraz już i zabity.

Książę brwi ściągnął.

— Mów jaśniej — rozkazał.

— Powiedziałem już, mości książę, wodzu i generale. Przed pięciu minutami kapitan Dunquerque był tylko raniony; od pięciu minut jest już zabity.

— Przez kogo?

— Sam się zabił.

— Rozmyślnie?

— Tak!

Twarz księcia zapłonęła strasznym gniewem; w oczach błysnął płomień złowrogi. Samobójstwo żołnierza na wojnie wydawało mu się najhaniebniejszą zdradą.

Zażądał energicznie szczegółów.

Oficer pośpieszył z raportem.

Kapitan Dunquerque otrzymał ciężki postrzał w lewe płuco. Zaraz na miejscu wykonano operację wyjęcia kuli, którą wytrzymał mężnie, lecz z upływu krwi omdlał. Zemdlonego ułożono na noszach, do szpitala polowego odesłano. W drodze odzyskał przytomność, kazał niosącym stanąć i zawezwał jednego z kolegów. Sił mu brakło do dłuższej roz-

mowy — z przybyłym przeprowadził tylko krótki dyalog.

— Kapitan Koss?

— Poległ — odpowiedziano.

— Porucznik Jabłoński?

— Zabity.

— *Bon!* — oświadczył Dunquerque spokojnie, i zamyślił się.

Po chwili ujrano ze zdziwieniem, że mimo krępujących go bandażów, unosi się cokolwiek i bystrem spojrzaniem obecnych obrzuca.

— Słuchajcie! — wyrzekł głosem, który nabral nagle wielkiej mocy. — Do was się zwracam, towarzysze z drugiego pułku woltyżerów. Wiadomo wam, że prócz mnie, dwóch tylko w naszym pułku tegich było kontredansistów: Koss i Jabłoński. Zawsześmy sobie wzajem za *vis-à-vis* służyli: żaden bez dwóch innych do kontredansa nie stanął. W tej chwili Koss i Jabłoński znajdują się na dolinie Józefata — i może odzywa się tam już przegrywka kontredansowa...

Na bladej twarzy kapitana zaigrał przy tych słowach wesóły, salonowy uśmiech. Z ust wybiegła cicha, drżąca melodia modnego kontredansa...

— A więc — głośno zakrzyknął — Kossie! Jabłoński!... Idę do was... Na *vis-à-vis* staję... Tańczmy! tańczmy!...

Silnem szarpnięciem zerwał z piersi bandaż. Krew otwartą raną buchnęła. W minutę później już nie żył.

Wysłuchał książę opowieści; długo zżymał się, chmurzył, węża przygryzał. W sumieniu swem wa-

zył sprawę, która była i ciężka i zawila. Do adjutantów się zwrócił, chcąc na ich twarzach wyczytać, co o niej sądzą. Ale oni również byli niepewni i pytając na swego wodza patrzyli.

— Zawinił... — mruknął książę markotnie, jakby na samego siebie gniewny. — Samobójstwo to tyleż prawie, co dezercya... Polak nie cofa się przed śmiercią, jakże mu cofać się przed życiem?... I jeszcze w takiej chwili, gdy życie jest skarbem, za który kupić można niezależność!

Tknęła go nowa myśl. Podniósł głowę, twarz mu się rozjaśniła.

— Jednak była w tem težyzna... — nieco weselej wyrzekł. — Armia Księstwa Warszawskiego cała jest taka... Może to idzie trochę od jej wodza?... Bohaterstwu to zresztą nie wadzi — nie inni byli Francuzi za Ludwika XIV, za Richelieu'go... Przytem ten biedny oficer wiedział, że będzie kaleką, że już mu z pola zwycięstw zejść wypadnie, że skazany jest na rolę biernego, bezczynnego świadka...

Zwrócił się do towarzyszków z twarzą zupełnie już jasną.

— A więc, mości panowie... — rzekł i zaciął się. Wyciągnęli wszyscy szyje, nateżyli uwagę.

— A więc — głosem stanowczym oznajmił — kapitana Dunquerque'a z honorami pochować wojskowymi!

Nie chciał już książę posuwać się dalej. Od Napoleona wieści nie miał, a był ich ciekawy — czekał na nie. Oznajmił towarzyszom chęć powrotu, i wszyscy udali się w stronę Uticy.

W drodze powrotnej rozmowniejszy się stał, z Potockim nawet żwawą zawiązał gawędę.

Prawda, że bitwa była krwawa, strat doznano dotkliwych — dobry wszakże wódz nie liczy strat, jeno zwycięstwa. A zwycięstwo odniesiono świetne.

W rozmowie, która z każdą chwilą stawiała się głośniejsza, żadnego udziału nie brał Mroczek. Od pewnego czasu dziwnie on się zachowywał. Podniecony był, niespokojny, z widowym wysiłkiem uczucia swe hamujący...

Wierzchowca swego to ostrogami bódł i do stawiania dęba zmuszał, to znów ściągał go i na miejscu osadzał. Na te harce zwrócił wreszcie uwagę książę, którego zaciekawiało też uparte milczenie kapitana.

— Cóżes taki zasumowany? — spytał, przenikając go badawczem spojrzeniem.

Mroczek, jakby nagle przebudzony, drgnął, głowę podniósł, do księcia podjechał.

— Mości książę... Książę wodzu... — poprawił się. — Generale! — jeszcze raz się poprawił — coś mnie unosi; coś mi, jak Merkuremu, skrzydła do barków i kostek przyprawia... Nie wiem, czym gnany przez Furye, czy przez Eumenidy — czy może duchy poległych rycerzy, z ciał bezwładnych wyszedłszy, do zemsty i działania mnie pchają...

— Rozumiem — rzekł książę, nieznacznie się uśmiechając. — Walczyć masz pragnienie.

— Tak, mości... wodzu... generale... Walczyć! walczyć! — żywo potwierdził tamten.

— Z kim-że atoli walczyć będziesz? Nieprzyja-

ciel ustąpił. Jak okiem sięgnąć, nie widać wrogiego żołnierza...

Twarcz kapitana ożywiła się. Pochylił się ku księciu, jakby powierzyć miał tajemnicę.

— Generale — półgłosem oznajmił — wysłałem ludzi swych na przeszpiegi... Donieśli mi, że tam, za lasem — ręką wskazał kierunek — w samym Możajsku i pod Możajskiem, obozują oddziały liczne, lecz nie silne... Wszystko, cośmy z pola bitwy spędzili, tam, w zupełnym nieładzie kupi się, rannych opatruje, straty oblicza, o dalszych krokach radzi. Gdyby tak na tę kupę piorunem spaść...

Poniatowski brwi ściągnął, przez chwilę się namyślał.

— Jeśli cię azard nęci — rzekł wreszcie — to... pozwalam. Zbierz swoich i — z Bogiem!

Dość było tego Mroczkowi. Zasalutował, ostrogę koniowi dał, do swego oddziału pomknął.

Promieniał cały radością. Pilno mu było do czynu, do odznaczenia się, bodaj do bohaterskiej śmierci. Jakto? Tylu towarzyszków zdobyło krzyże, podziękowania cesarza; imiona ich błyszczały w biuletynach, na liście żywych lub umarłych, nagrodzonych i uczczonych, a on, poeta i bohater, z sercem w płomienną miłość bogatem, z głową Homerowych myśli i obrazów pełną, pionkiem ma pozostać szarym, w tłumie bezimieńców zaprzepaszczonym?

Z życiem nie droży się: chętnie złoży je na ofiarę Ojczyzny i... swej nieszczęsnej miłości. Stary Zrzelski, wyczytawszy w biuletynach o jego zgonie, pomyśli może:

— Szkoda, że go odtrącił. Mężny był — wyjątek uczynić dlań należało...

A Różyczka schyli głowę, leżkę brylantową uroni. »Biedny! — szepnie. — Szukał śmierci, bo życie bezemnie ciężarem mu było. Jakże pamięci jego nie czcić, zgonu nie oplakiwać!«

Gdy z obnażoną szablą w dłoni usłyszał za sobą furkot ułańskich chorągiewek, gdy poczuł się wodzem akcyi, na własną rękę podjętej — szlachetna duma pierś mu rozszerzyła. Zachwycił w siebie coś z uczuć Napoleona, prawie bliskim mu się uznał.

Powiódł wzrokiem po swych ułanach. Na wychudłych, od słońca i dymu zczerniałych twarzach, jasne, niebieskie, mazurskie oczy, żarzyły się, jak płomienie świec woskowych w dzień Matki Boskiej Gromnicznej. I była w tych twarzach taka zaciętość i hardość, a razem świętość i przebóstwienie, że raziły wzrok, jak słońce, i korzyć się przed sobą zmuszały.

Chciał folgę dać literackim popędom i do wojska przemówić, lecz mu te surowe oblicza nakażały milczenie. Więc tylko oczyma objawił swą wolę, i powiódł hufiec w ciszy zupełnej, przerywanej tylko trzepotaniem się chorągiewek i skrzypieniem uprząży na koniach. Nie parskały nawet wierzchowce, jakby uroczysty nastrój chwili szanując.

Posuwano się z początku wolno. Przed krokiem stanowczym trzeba było rozejrzeć się dokładnie w położeniu.

Kapitan jechał na przedzie. Oficerowie niższych stopni i podoficerowie sfornie swoje wiedli oddziały.

Do taktu biegnącego konia, Mroczek skandował:

— Gdy skupione do boju greckie wojsko śpieszy,
Każdy z osobna swojej wódz przodkuje rzeszy;
A tak wielkie milczenie w zbrojnych mężów tłumie,
Że mniemał-byś, iż mówić żaden z nich nie umie.
Gdy tak bezmowność usta spętała rycerzy,
Las dzid, rzekłbyś, sam idzie, a z nim mur puklerzy...

Okrażali las, aby wydostać się na drogę, wiodącą do Moskwy. Tędy, po stoczonej bitwie, cofali się Rosyanie. W wojsku, pozbawionem głównego wodza, panował nieład. Już z niego duch żywiący uleciał.

Jeszcze ułani do skraju gąszczów nie dotarli, gdy nagle, nakształt os z potraconego stopą gniazda przyziemnego, wysypał się na nich rój kozaków.

Nigdy Polak tej watahy za wojsko regularne i za godnego siebie przeciwnika nie poczytywał. Bez trudności i wysiłku, owszem, z wyraźnem lekceważeniem odpędzono od siebie kozactwo, jak się odpędza owady natrętne. Sporo ich na placu zostało, reszta rozprysła się po zaroślach i parowach.

Niebawem las został okrażony; gąszcze przestały zasłaniać widok na rozległą przestrzeń, aż do samego Możajska odkrytą.

Zatrzymał się Mroczek, na wyniosły pagórek wjechał, lunetę do oczu przyłożył. Z ust jego wyrwał się, jakby od Napoleona pożyczony okrzyk:

— Mam ich!

W dali, na obszernej równinie, z boków zakrytej zaroślami, lecz od strony polskiego wojska otwar-

tej, rozkładało się wielkie, tłumne, lecz wszelkiego wojskowego ładu pozbawione, obozowisko rosyjskie.

Były to tyły cofającej się armii, której awangarda wkroczyła już do Możajska.

Uradował się Mroczek i sam do siebie uśmiechnął. Jego marzenie za chwilę spełnić się miało. W podnieceniu szeptał:

— Jako, gdy czarną chmurę, co wierzch góry kryje,
Gromy niecący Jowisz na części rozbije,
Widać wzgórki, doliny i zielone gaje,
Cała się ziemia w swojej świetności wydaje...

Zjechał ze wzgórza, pełen dobrej myśli i serca męznego. Sformował swój hufiec do boju, kłusem go powiodł na miejsce wyniosłe. Wiedział jak się spotężnia szarża jazdy, gdy po równem zbocz, nakształt lawiny, na wroga spada.

Po chwili: nie głośna, lecz dobitna komenda, okrzyk jeden, krótki — ułani, jak sępy spadli na obozujące wojsko. Rosyanie prawie w jednym czasie nieprzyjaciół dostrzegli i — na karku już ich mieli.

Wszezał się popłoch, powstała panika.

Nieprzyjaciół nie był do obrony ani gotowy, ani zdolny. Jak w każdym ogonie armii, przebywali tu chorzy, ranni, maruderzy, ciury; wlokły się szlapiąwozy z amunicją i bagażem, kuchnie polowe, ambulanse; niedbale rozstawione czaty nie zabezpieczały od zasadzek i niespodzianego natarcia.

Zwycięstwo odniesiono prawie w jednej chwili, po krótkiej, choć gwałtownej walce.

Krzyknął Mroczek, żeby brano jeńców. W mgnie-

niu oka pochwycono, rozbrojono i związano kilka tysięcy. Ale dla żołnierza, rozzuchwalonego łatwym tryumfem, i w którym wojna zawsze zaborcze rozbudza instynkty, były tam łakomsze od jeńców zdobycze. Rzucili się na wozy, łup obfity rozechwytywali.

Mroczek zasępił się; rozumiał, że sprawa zły obrót przybiera. Wielki zamiar przecięcia Rosyanom odwrotu stawał się trudny i niepewny.

Ułani dokazali już rzeczy niemałej. Zbyt szczupła wszakże była ich liczba, żeby mogli spełnić wszystko. Groziło im niebezpieczeństwo podwójne: środek armii, o napadzie powiadomiony, mógł wstrzymać pochód, na ułanów się rzucić i zgnieść ich do szczętu; pozatem ułani, na łupach ulgnawszy, mogli sami stać się łupem...

Z piersi Mrocza dobyło się westchnienie, które tego dnia wielu już generałów powtarzało:

— Gdybyż Cesarz swą beczynną gwardyę chciał ruszyć! Gdyby choć jeden świeży pułk z pomocą nam przysłał!

Tymczasem Rosyanie, pierwszy strach opanowawszy, do obrony się brali. Już ułanom zaczynało być duszno — tem duszniej, że obciążeni zdobyczą, swobodę ruchów stracili.

Gniewem zawrzał Mroczek. Na strzemionach się uniósł, całą piersią zakrzyknął:

— Wstydyżta się, Mazury! Cóżto? cyganami stać się chceta? Pamiętajta, że każdy przed Bogiem, Ojczyzną i księciem wodzem odpowie. Naprzód, wiara — na pozycyi utrzymać nam się trzeba! Kiep, kto się z niej da spędzić!

Taka mowa zawsze Mazurom do serca trafiała.

Rzucać zaczęli łupy, do bicia się brać. A bili tego i zjadle, jakby na głodnym przednówku ostatnie młócili snopy.

Ale już teraz owo bicie szło nie tak gładko; trafiało na coś twardego, co ustępować nie chciało.

Ogarnęło ich najpierw zdziwienie, potem złość. Kleli siarczyście, nikomu już pardonu nie dając, o braniu jeńców nie myśląc.

Mimo to w miejscu stali.

Nagle, wśród gęstych zarośli, po lewej stronie obozowiska, szum się rozległ i trzask. Wskróś młodej, jakby burzą łamanej brzeziny, na zdyszanych koniach darła się jazda.

Wynurzyły się stamtąd po chwili ubielone pianą lby końskie; zabłysły jaskrawe czapki i mundury.

Rosyanie krzyk podnieśli: »Uraaa!«... Zaraz jednak zamilkli, błąd swój poznawszy. Nie rosyjska to była jazda, lecz polskie huzary.

Mroczkowi z niespodzianą pomocą przybył kolega Tuliński, również silnych wrażeń i bohaterskiej »awantury« szukający.

Zagrzmiała salwa; w czerwonym, bo już ku zachodowi kłoniącym się słońcu, zapłonęły krwawo wielkie szablika.

Nieprzyjaciel we dwa ognie wzięty, struchlał. Jeszcze go szarża nie dosięgła, już na duchu zupełnie upadł, do ucieczki się miał. Cóż dopiero gdy runęła nań ta świetna, coś orlego, czy sępiego w sobie mająca, huzaryja!...

Zadygotało uciechą wielką serce Mrocza; na ustach znalazł się Homer:

— Jako rzeka, obfitym wezbrana potokiem,
Kiedy gwałtowne spadną po górach ulewy,
I dumne wali dęby i poziome krzewy,
Czarny muł pędząc w morze...

Nie dokończył.

Kula rosyjska ugodziła go w nogę, raniąc zarazem ciężko jego konia. Na własną ranę nie zważałby, lecz wspaniały jego kasztan, szarpnąwszy się gwałtownie, skoczył w bok i upadł, przyciskając jeźdźcę swym ciężarem.

Z trudem wyciągnęli go wiarusy z pod konia, świeżego wierzchowca podali. Krew spływała mu z pod nogawicy, plamiąc szerść konia, on wszakże na to nie zważał. Owszem, myśl, że za Ojczyznę krew wylewa, podnieciła go, animuszu mu dodała.

Ze wzmożonym zapalem rzucił się w ogień walki.

Wynik starcia był już niewątpliwy. Rosyanie, strachem panicznym zdjęci, cofali się w popłochu.

Cofając się, nie przestawali strzelać. Wątpy to był ogień, nieprawidłowy, przerywany — podobny mowie konającego, pełnej przestanków, namysłów, omdleń.

Kule przelatywały nad głowami polskiej jazdy, krzywdy nikomu nie czyniąc. Uprzejme, łaskawe, zdawały się szanować heroizm i szlachetne poświęcenie dzielnych kawalerzystów.

Jednej wszakże z tych kul użyło za narzędzie Przeznaczenie. Ta kula, jakby umyślnie z normalnej drogi wytracona, ominąwszy zbite szeregi walczącej jazdy, w bok skrzyła, szukając — wodza.

Znalazła go — i w tejże chwili Mroczek uczył,

że lewa jego ręka zwisa bezwładnie, a z palców zesztyniałych wypada rzemień uzdeczki.

Odruchowo od spadnięcia się broniąc, pochwycił udę prawą ręką. Pałasz mu z dłoni nie wypadł, gdyż był jakby do niej przyrosły.

Już miał gorączkę, już pulsa były mu gwałtownie, w uszach szumiało i dzwoniło. Bólu nie czuł, ani żadnej dolegliwości. Zdawało mu się, że jego wierzchowiec dostał skrzydeł, że on sam w powietrzu płynie, podrywany i wichrem unoszony.

Chwilami tracił przytomność, wrychle ją wszakże odzyskiwał.

Bezladne zdania z ust mu się rwały...

— »Jak szumi chmura, idąc do górnych sklepieni!... Mylisz się, mości Zrzelski!... Prawe skrzydło — kapitan Tuliński — huzarya... »Gdy Jowisz w burzę wściekłą dnia pogodę zmieni«. Wszystko dobrze, mości panowie!... Zwycięzamy!... W biuletynach: Mroczek, Mroczek, Mroczek... Spełniłem, com powiedział, ekscelencyo... *pardon!* generale... Wierny swej Różyczce aż do śmierci...

W tej chwili trzecia kula, dłonią przeznaczenia wyrzucona, w pierś go uderzyła.

Uniósł się w strzemionach i wyprostował, jak kataleptyk. Podniesione wysoko brwi, wyteżone oczy, półotwarte usta nadały całemu obliczu wyraz niezmiernego zdziwienia.

— »Jak na górach — niewyraźnie belkotał — pod ciosem wyostrzonej stali!... Zwycięzamy, książę wodzu, zwycięzamy... »Dąb stuletni, topola, lub jodła się wali!... Mości Zrzelski, po twą wnuczkę przybyłem!... »Tak pod koniem upada wódz, zębami zgrzyta,

i krwią własną zbroczony piach rękami chwyta...
Cóż to? w piersiach żar, w nogach zimno lodowate?...
Zrozumiałem. Gotów jestem... Boże, Ojczyzno, Róży-
czko, książę...

Wyszarpnął z pod rabatu białą wstążkę, szka-
plerz, suchą, kruszącą się różę.

Świętości swe do ust przycisnął.

— Stwórcu! w ręce twoje...

Wypadła mu z dłoni uzda i szabla. Skulił się
nagle, jakby w pasie przełamany. Straszna siność
powlokła mu twarz, oczy słupem stanęły.

Zesunął się jak kłoda z konia; na ziemię upadł
ciężko, bez czucia.

ROZDZIAŁ X.

CZERWONY CZŁOWIECZEK ZJAWIA SIĘ PO RAZ TRZECI.

W nocy z piętnastego na szesnasty września
1812-go roku cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte
ulożył się do snu w prastarej siedzibie carów rosyj-
skich, w Moskwie, na Kremlu.

Przed udaniem się na spoczynek, dużo i mozol-
nie pracował. Znaczną część nocy zajęło mu wyda-
wanie rozkazów do armii, rozmowa ze sztabowymi
generałami, wreszcie dyktowanie listów. Jeden zwłasz-
cza list miał wagę wielką: był niby zapuszczeniem
łańcucha z kotwicą w czarną, groźną, tajemnic stra-
snych pełną otchlań, nad którą kołysał się mocno
już uszkodzony, z zepsutym sterem, losu swego nie-
pewny okręt. Ten list był zaadresowany do »najuko-
chańszego brata«, cara Wszechrosyi. Napoleon przy-
stępował do wykonania ostatniego numeru swego pro-
gramu; wypełniał ostatni punkt przyrzeczeń, danych
swym wojskom, Francyi i światu całemu. Tryumfa-
tor, mający u stóp całą Rosyę, na jego łaskę lub nie-
łaskę zdana, wspaniałomyślnie, z wyżyn pałacu Krem-

lińskiego, ofiarowywał upokorzonemu przeciwnikowi — pokój.

Tak wyglądało to w liście, w rozkazach do armii, w biuletynach. Czy odpowiadało ściśle rzeczywistości? Czy było wiernem myśli cesarza odbiciem?

Jak armia, tak i jej wódz najwyższy, oszołomiony był widokiem Moskwy, samą nawet myślą, że w niej i na niej stopę zwycięską postawił. Nie wyszły na powitanie zwycięzcy z chlebem, solą i kluczami miasta brodate bojary. Złociste, w słońcu roziskrzane, krzakom gorejącym podobne, baniaste kopuły «soroka soroków» cerkwi, godnie ich miejsce zastąpiły. Cesarz ujrzał je najpierw z wierzchołka «Góry Pokłonnej» i wydało mu się, że one same pokłony mu biją...

Był to pierwszy nocleg w Kremlu, ale była to druga noc, w obrębie Moskwy spędzona. Tamtą cesarz przespał, a właściwie przegadał na przedmieściu Dorohomilowskim, w jakimś prywatnym pałacyku.

Drobny wypadek zamącił spokój owej nocy, i powtórzył się w dniu, który po niej przyszedł. Kula ognista spadła na pałac księcia Trubeckoja i pożar wzniecił. Pałac słonął. Niebawem zajęła się ogniem giełda. Wreszcie ukazały się płomienie w olbrzymim bazarze, mieszczącym nieprzebrane zapasy wschodnich i innych towarów.

— Przypadek... Nieostrożność śpieszących się, w popłochu przed zwycięzcą uciekających mieszkańców... Może wreszcie umyślna zbrodnicza akcja czyhających na łup grabieżców... Łatwo się temu zapobiegnie. Mianowaliśmy generała de Mortier gubernatorem

Moskwy. Panie gubernatorze! zrób z łaski swej porządek z tymi pożarami!

Porządek został zrobiony. Pochwycono i uwięziono kilkudziesięciu włóczęgów, podejrzanych o podpalenia.

W ciągu dnia unosiły się nad Moskwą, tu i owdzie, dymy. Może gdzieś tam daleko buchał i płomień, lecz cesarz go nie dostrzegał, i to mu do spokoju wystarczało. Wogóle nader mało zajmował się tą sprawą. Odrywały go od niej inne, ważniejsze.

W najbliższem otoczeniu Napoleona mówiono o umyślnych, celowych, systematycznie dopełnianych podpaleniach... On się na to uśmiechał.

W głównej kwaterze zjawił się Rosyanin, wyższy urzędnik policyjny, w mieście pozostały. Mówił, że uważa za obowiązek ostrzec cesarza o niebezpieczeństwie. Po Moskwie krąży liczna banda podpalaczy. Cesarz wysłuchał raportu z lekceważącym wzruszeniem ramion.

Ktoś z najbliższego orszaku cesarskiego wskazał dom bojarski, szczelnie, na glucho ze wszystkich stron zamknięty. Z zewnątrz był ten dom nienaruszony; ze środka dym się dobywał... Cesarz machnął na to ręką.

Gdy już kwaterę cesarską przeniesiono do Kremla, nadbiegły wieści, że Kreml podminowany. Cesarz skrzywił się niedowierzająco i wzgardliwie.

Wreszcie kilku poważnych moskwcinów ujawniło, że Rostopczyn przed opuszczeniem miasta pocieszał mieszkańców wiadomością o olbrzymim, gotowym już balonie, materiałami palnymi napelnionym,

który w danej chwili wzniesie się nad kwaterą Napoleona i zasypie ją z góry płonącymi żagwiami... Na to cesarz zgoła już wesołym parsknął śmiechem.

Jednak, choć śmiejący się i lekceważący, spokoju nie miał. Odbierały mu go inne sprawy, z pozarami związku nie mające.

Cesarz na Kreml wstąpił jak tryumfator. Tryumf upoił go. Był jak marzyciel-fantasta, który najszałejsze ze swych marzeń widzi nagle spełnione. Ten marmur płonął, drżał, ślaniał się z wewnętrznej radości. Nie był pono takim, nawet na tron francuski wstępując. W tym stanie mógłże spokój zachować?

Siedziba carów wydała mu się skromną, bynajmniej ich ziemskiej wielkości nie odpowiadającą. W całości swej uderzał Kreml ogromem, potęgą i nawet pewną, nieco dziką, napół azyatycką pięknoscią. Ale pałac cesarski w tym ogromie niknął.

Zbiorowisko gmachów, objęte ogólnem mianem Kremla, było rodzajem twierdzy, otoczonej słabym zresztą, choć zębatym i w strzelnicę zaopatrzonym murem. W obrębie muru mieściły się ogromne koszary, wspaniały arsenał, magazyny wojskowe, wreszcie bogate, polichromią i złoceniami zdobne cerkwie.

To wszystko rozsypane było w nieładzie na miejscu wysokiem, nad resztą miasta górującem. Poniżej płynęła rzeka Moskwa. Kamienny na niej most wiódł do kamiennej również, potężnej, obronnej bramy. Za bramą rozkładała się duża, pusta przestrzeń, której należało być dziedzińcem pałacowym, a która była placem publicznym.

W głębi placu, w kącie na lewo, grunt się podwyższał; na podwyższenie wchodziło się po tak zwanych »Czerwonych schodach«. Były te schody bez nakrycia, bez żadnej ozdoby, lecz bardzo szerokie i rozmiarami swymi imponujące. Taras, na który się po nich wstępowało, niczem nie świetniał — tem chyba tylko, że się na nim wznosił pałac carski. Ale i pałac wyglądał skromnie — skromniej od wielu dworów, które sobie bojarowie i szlachta mieszczenie w mieście powznosili.

Trzy wielkie komnaty, jedna »paradna« sypialnia, wreszcie jeden obszerny salon, nazwany »salonem carskim« — oto wszystko, co pałac w sobie mieścił.

Przed oddaniem Moskwy Napoleonowi, ogłoszono siedzibę carską z bogatych sprzętów. Okna sypialni, w której ułożył się do snu cesarz, pozbawione były nawet firanek i rolet. Wyglądały, jak potworne szklane, bezrzesne źrenice, wypatrzone niespokojnie na plac pusty, na rzekę i na rozkładające się w nizinie miasto.

Cesarz zakrywać tych okien nie pozwolił. Może obawiał się ciemności i tego, co pod czarnymi jej skrzydłami kryć się mogło?...

Za dnia, w obręb gmachów fantastycznych wkroczył. Przyglądał się im z dziecinną ciekawością i z dziecinnym zachwytem. Nie były podobne do niczego, co dotąd widział — a widział niemało.

Na lewo od głównego pałacu, wznosił się dworzec, w jakimś pierwotnym, naiwnym stylu, pałacyk Piotra Wielkiego. Sterczał jedynie, jako pamiątka, już w nim bowiem osoby dostojne przemieszkować nie raczyły. Choć czoło miał wyłaczane

i tchnął majestatem wielkich wspomnień historycznych, gruby pan de Bausset, marszałek dworu cesarskiego, nie wahał się oddać go na użytek niższej służby kancelaryjnej.

Ze szczególnem zajęciem przyglądał się cesarz — głowę zadzierając i na palce wspinając się nieco — potężnemu, groźnemu Arsenalowi. Zręby tej olbrzymiej, ciężkiej budowli położył jeszcze Piotr Wielki; każdy z jego następców powiększał ją wszczem i wzwyż, zdobiąc, wzmacniając, napelniając. Potwornie wielkie, ze spiżu odlane moździerze podpierały boki budynku; dwa kolosalne, pionowo ustawione działa, strzegli głównego wejścia, niby gigantów para.

Cesarz nie poprzestał na przyglądaniu się arsenałowi: zbadać kazał jego zawartość. Okazało się, że w łonie olbrzyma spoczywa: czterdzieści tysięcy karabinów systemu angielskiego, austriackiego i swoisie rosyjskiego, sto armat mniejszego i większego kalibru, niezliczona moc lanc, pałaszów, szpad, pistoletów. Ornament tworzyły bogate trofea, na wojnach z Turkami zdobyte.

Cesarz dopytywał o prochy.

— Przepatrzyliśmy gmach — odpowiedziano — od piwnic do szczytu. Niema w nim prochu nawet na jeden ładunek.

Cesarz przytaknął:

— Usunęli prochy z obawy o całość budynku. Spuścił oczy w ziemię i mruknął do siebie tylko:

— Zapomnieli, że mamy swoje...

Ktoś ze świty wtrącił:

— Mówią, że arsenał podminowany... Szerzy się

nawet pogłoska, że, przez gotowych na śmierć ochotników, w powietrze wysadzony będzie.

Groźnie, z pod nasuniętych brwi, spojrzął na mówiącego cesarz. Odpowiedzią jego było tylko wzgardliwe dolnej wargi wysunięcie.

— Cokolwiek bądź — ozwał się któryś z generałów — świetnym pokrzepimy się łupem.

— Prochy nam potrzebniejsze — bąknął Napoleon, oczu nie podnosząc.

— Są i prochy, najjaśniejszy panie...

Twarz cesarza ożywiła się, z oczu strzelił płomień.

— Gdzie?

— Za miastem, przy rogatce Niemieckiej, w budynkach odosobnionych. Czterysta tysięcy funtów prochu i przeszło milion saletry. Roztopczyn o nich zapomniał...

— Strzedz, jak oka w głowie!

Gdy Napoleon podchodził do wielkiej cerkwi S. Iwana, oświecało ją w pełni słońce, zdawała się cała ogniem objęta. Las wyzłaczanych krzyżów greckich, kopuł i kopulek, w festony upiętych łańcuchów, a pod niemi krzycząca jaskrawość bizancko-weneckich mozaik — wywierały wrażenie nadzwyczajne, wprost ślepiły.

Cesarz zakrył oczy dłonią.

— Wspaniale! — z zachwytem szepnął.

Ciszej zaś jeszcze dodał:

— Ten wielki złoty krzyż z najwyższej kopuły i tę całą kopułę — zabierzemy!

Cesarz obszedł dokoła Kreml. Obejrzał wszystkie gmachy, zbadał wszystkie zakamarki. Prócz

ciekawości wiodła go ostrożność. Przed złożeniem głowy na spoczynek, upewnić się chciał, czy mu snu nie przerwie jaka przykra niespodzianka.

Wrócił z oględzin uspokojony.

Uśmiechał się, nucił pod nosem, częstował generałów tabaką — niektórych szczypał lekko w ucho.

Było jednak widoczne, że spokoju wewnętrznego nie ma. Naprzemian: to głośno i prędko przemawiał, to zniżał głos do szeptu lub zupełnie milknął. Dzielił się z otoczeniem swemi myślami, o zdanie zapytywał, a gdy mu odpowiadano, zdawał się mówiących nie słyszeć. Nieustannie powracał do dwóch myśli, które go na chwilę nie odstępowały.

— Europa — mówił — zdumieje się wiadomością o naszym wtargnięciu do Moskwy. Uzna je za ostateczny, decydujący tryumf kampanii. Takiego tryumfu jeszcze za dni naszych nie było.

Wpatrywał się bystro w oczy towarzyszków, wracanie swych słów badając. Po chwili, po raz niewiadomo który, zwracał się do nich z pytaniami:

— Jak prędko dojść może list mój do Aleksandra? Jak prędko otrzymać mogę odpowiedź? Czy sądzicie panowie, że car przyjmie pokój na warunkach, które mu podyktuję?

Odpowiedzi dawano wymijające i takie, żeby nadziejom cesarza przytakiwały. On ich zresztą nie słuchał.

Do późnej nocy trzymał przy sobie swych wodzów i poufników. W olbrzymiej »carskiej sali«, prawie zupełnie ze sprzętów ogolocoonej, przez kilka godzin stać musieli, podpierając ściany, gzemsy ko-

minków, wnęki okienne. Nazywało się to ogólną naradą, było zaś naprawdę: monologiem. Cesarz, szybkim krokiem, z końca w koniec, salę przebiegając, mówił nieustannie to podniesionym, to znów przyciszonym głosem; czasem tylko zatrzymywał się, jakby tknięty jakąś myślą, która przed jego duszą nowe odsłaniała horyzonty.

Rzadko tylko udawało się komuś z obecnych przerwać ten dyalog objaśnieniem, lub uwagą.

Na wstępie Cesarz oznajmił:

— Tu przybyliśmy, i tu pozostaniemy. Na rok tysiąc osiemset dwunasty dość już działań i zwycięstw. Któż pochwali się równym naszemu tryumfem? Do roku tysiąc osiemset trzynastego kampania zawiesza się. Naszem leżem zimowem: Moskwa, jej przedmieścia i okolice. Wypoczniemy i wzmocnimy się. Świat będzie miał widowisko, jakiego jeszcze nie oglądał: wielką armię, zimującą w samym sercu nieprzyjacielskiego kraju, niby okręt unieruchomiony przez lody. Z wiosną działania wznowimy. Będziemy wypoczęci, silni i — straszni.

Ktoś zauważył:

— Wypoczną i wzmocnią się i tamci...

Uśmiechnął się lekceważąco.

— Zagarniemy wszystko dla siebie — ogłodzimy ich. Zajęliśmy największe i najbogatsze ich miasto: inne ich miasta i wsie spustoszone. Gdzież się podzieją? Straszą nas okropnościami tutejszych mrozów... Ale one nie nam, lecz im staną się groźne. Nas zabezpieczą od mrozu grube mury dworów i pałaców moskiewskich; bory okoliczne w obfitości dostarczą nam opału. Głodni, od zimna skostniali, przy-

włoką się do naszych drzwi, żebrząc o chleba kawalek, o miejsce przy kominie... Damy im jedno i drugie — żądając wzajemian pomocy w walce z ich carem. Zgodzą się, bo już w swego cara wiarę stracili. Pokonany, z siedziby przodków swych wyzuty, przestał być dla nich bożyszczem. Wzniesimy rewolucję ludową. Większość bojarów z nami się połączy.

Potoczył po wszystkich wzrokiem pełnym dumy i zadowolenia, jakie daje posiadanie ważnej, niedostępnej dla innych, tajemnicy.

— *Wiem*, że połowa Rosyi czeka tylko na hasło z mej strony...

Upoił się własnymi słowami. Zamilknął, goniąc mary wyobraźni. Już nie chodził, lecz biegał. Nagle zwalniać zaczął kroku i tracić rozpromieniony wyraz twarzy. Obecni spojrzeli po sobie znacząco. Zgadli, że w myślach władcy nastąpił zwrot gwałtowny. Nie omylili się. Zatrzymał się na chwilę, potarł brodę i wyłysiałe czoło. Potem dwa palce prawej ręki za kamizelkę zatknął — głosem o kilka stopni niższym rzekł:

— Zresztą, możemy też postąpić inaczej. Do zimy dość jeszcze daleko. Użyjmy tego czasu na dzieło wielkie: chwili jednej nie zwlekając, ruszmy na Petersburg!

Rozgrzała go ta myśl. Znów biegać zaczął, żywo gestykulując.

— Na Petersburg! Na Petersburg! — z zapalem powtórzył. — Dosięgniemy cara w jego kryjówce, w gnieździe ciepłym, gdzie się przed nami zataił. Ach, jakąż minę mieć będzie, ujrzawszy nas w swych progach! Nie damy mu czasu na oprzytomnienie. Na

szablach poniesiemy mu traktat pokojowy; bagnetem wskażemy miejsce, gdzie podpisać się ma; prochem armatnim podpis zasypimy. A potem zaraz: do domów, do ojczyzny! Wesoly Paryż, wraz z pierwszym śniegiem ujrzy nadlatujące nasze orły zwycięskie. Witani będziemy pieśniami, fanfara, wieńczeni wawrzynem i wstęgami swych kochanek; podwoje rzeźbione oświeconych salonów na całą szerz rozewrą się przed nami; bale, widowiska, uczt, maskarady, fontanny wina, wabne uśmiechy, ogniste spojrzenia — wszystko będzie dla nas, zwycięzców z pod Smoleńska, Borodina, Moskwy... Petersburga!

Zatrzymał się, i do generałów obrócił twarzą, rozjaśnioną najpowabniejszym ze swych uśmiechów.

— Cóż, panowie? Podoba się wam ten obraz?

Odpowiedzią było przeciągłe, niewyraźne kilkunastu ludzi mruknięcie.

Staął, wpatrywał się w generałów, niby to ich słuchał. Widoczne jednak było, że jego myśl już znów czem innem zajęta.

Z grona sztabowego wystąpił Berthier. Skłonił się i rzekł:

— Najjaśniejszy panie! Obawiam się, że ta piękna myśl na wielkie trudności natrafi. Armia nie jest w tej chwili do tak długiego pochodu sposobna. Ostatnie raporty stwierdzają znaczny ubytek sił w zabitych, rannych i dezertach. Brak nam furazhu, kuchni polowych, lazaretów; ludzie wycieńczeni, konie znęzione; broń wymaga naprawy, mundury się dra, ciepły przyodziewek na gwałt potrzebny...

Zamilknął, widząc, że cesarz brwi gniewnie ściga i coraz chmurniejszym się staje.

Zastąpił go śmielszy Bessières.

— Piechurom palce z butów wylażą — ot co jest! Mniemam, *sire*, że w odwiedziny do cara na bosaka iść nie wypada.

Wysunął się trzeci generał, wykwinął i delikatnie, wielki wróg zimna, już teraz w podwatowanym chodzący mundurze.

— Petersburg? — z dziwnym akcentem wymówił słowo, które zdawało się kaleczyć jego usta subtelne. — Ależ to już najpółnocniejsza Północ! Mrozy tam straszne, dla ludzi naszej sfery zgoła zabójcze. Połowa nas zmarźnie, zanim dojdziemy do Petersburga; reszta w tem mieście grób znajdzie...

Czuły na zimno cesarz wzdygnął się, palce głębiej za kamizelkę zasunął. Wyras rozróżnienia w oczach mówił, że go już myśl o Petersburgu odbiega...

Spostrzegł Berthier — z nowym pośpieszył argumentem.

— Kutuzow... — zaczął.

Nazwisko zbudziło czujność w Napoleonie.

— Cóż Kutuzow? — żywo, ciekawie zapytał. — Cóż ten stary, wypierzony pułchacz, któregośmy z dziupli wypłoszyli? Tłucze się dokoła Moskwy, niedobitków swych po wertepach wodząc, zanim ich głód uśmierci.

— Kutuzow — ciągnął tamten — na Południe ruszył. Między Moskwą a Kalugą stanawszy, świeże czyni zaciągi, pulki swe uzupełnia, zapasy gromadzi — o nową zamyśla rozprawie...

— Uprzedzimy go! — krzyknął na cały głos cesarz, nogą tupnąwszy, za głowicę szpady chwytając.

jąc. — Uparty staruch musi być zmiażdżony. Jakto? jeszcze ma odwagę trzęsący się łeb podnosić? — jeszcze śmie krzywy dziób na nas ostrzyć? Zajmiemy natychmiast Kalugę i Tulę. Dziwię się, żeśmy tego dotąd nie uczynili. Arseniał i śpichlerz Rosyi muszą w naszych znaleźć się rękach.

— Wówczas też — dodał Berthier — będziemy mieli zabezpieczony przez Smoleńsk powrót na Litwę.

Napoleon drgnął i pobladł.

— Coś wyrzekł, generale? — gwałtownie wybuchnął, dłoń do ucha przykładając. — Odwrót?... Kto tu śmie mówić o odwrocie!

— Powiedziałem, najjaśniejszy panie: powrót... — tłumaczył się przelekły Berthier.

Cesarz upierał się przy swoim.

— Powiedziałeś odwrót, wyraźnie słyszałem. Strzeż się to słowo powtarzać!...

Wzburzony, zamilkł — i znów zaczął wielką salę szybkimi krokami przemierzać.

Było już po północy. W Kremlu zapanowała nienaturalna, grobowa cisza. Przez wielkie, niczem nie osłonięte okna, wdzierała noc, czarna jak kir na katafalku.

Cesarz nagle zatrzymał się. Głucho, jakby w przestrzeń rzucił:

— Armia potrzebuje rozrywki. Skleciłby dla niej coś w rodzaju teatru!

Na to wysunął się de Bausset uśmiechnięty, dłonie z zadowoleniem zacierając.

— Właśnie... — mówił śpiesznie, promieniejąc radością. — Jestem szczęśliwy... Życzenie najjaśniejszemu...

szego pana odgadłem. Będzie teatr. Odnalazłem aktorów — pierwszego rzędu artystów...

— W Moskwie? — zadziwił się cesarz.

— Tak, *sire*. Bawia tu od lat kilku, od pokoju Tylżyckiego. Powodzenie mieli wielkie. Dziś w nę-dzy. Porzucono ich, ograbiono. Dyrektorka, *madame* Bursay, osoba dystygowana, nie ma bielizny na zmianę. Ale talent pozostał. I dowcip. Temperament również.

— Kogóż posiada u siebie ta pani Bursay?

— Same gwiazdy! Zapamiętałem szczęśliwie nazwiska. Jest *monsieur* Adnet, którego widywałem w Paryżu, w teatrze Porte Saint-Martin; są: Bel-lecour, Perond, Gosset, Perau. Ze strony płci nado-bnej, *mesdemoiselles et mesdames*: André, Perigny, Fusil, Lequaint...

— Dość! — tupnął Cesarz nogą. — I cóż oni zagrać potrafią?

— I o tem już pomyślałem, *sire* — pysznił się i radował ochmistrz. — Na początek damy *Jeux de l'Amour et du Hasard*, do tego *Amant auteur et valet*. Potem mogą pójść: *Trois Sultanes*, albo...

Mówił jeszcze, lecz Cesarz już go nie słuchał. W innym kierunku myśl jego pobiegła.

Do Berthiera się zbliżył; głosem przyciszonym, ze skupieniem wielkiem, wyrzekł:

— Doniesiono mi... tajemnie... że car wysłał do Moskwy swego brata — z misją.

— Słyszałem o tem, *sire*. Wieść wydaje mi się niewiarogodna.

Cesarz spojrział bystro, zpod oka.

— Tak mniemasz, generale?...

Milczał przez chwilę, przygryzając wargi.

Nagle, energicznym ruchem podniósł głowę, na zegarek spojrział.

— Późno już. Żegnam panów. Do jutra.

Sklonił się ręką i do sypialni skierował. Przy drzwiach, naksztalt dwóch żywych karyatyd, stali dwaj rośli grenadyerzy, na karabinach wsparci.

Generałowie rozeszli się do swych kwater, prze-ważnie w obrębie Kremla rozmieszczonych. Jeszcze głuchsza zapadła cisza.

W pałacu carskim wszyscy twardo spali. Po wielu burzliwych i niepokoju pełnych nocach, była to pierwsza, w której spokój i ufność zagościły w ser-cach, uciszyły nerwy. Ciężki, kamienny sen w bryłę marmuru zmienił cesarza. Adjutanci powyciągali się na sofach. Oficer dyżurny, wglębiwszy się w fotel, plecyma do okna zwrócony, w smacznym śnie znie-ruchomiał. Zasnęli, stojąc, i gwardziści, straż przy drzwiach trzymający.

Do utwierdzenia powszechnego spokoju przyczyniła się pewność zupełnego bezpieczeństwa. Stara gwardya żywym łańcuchem opasała Kreml. Nie prze-rwałby tego łańcucha nawet Lucyfer ze swym dworem.

Okolo godziny czwartej oficer dyżurny poczuł, że jego ramię pochwycone jest jakby w kleszcze, i że coś gwałtownie nim potrząsa. Rozwarł w prze-rażeniu powieki i ujrzał przed sobą trzech ludzi w uniformach tak mocno błyszczących, że aż ślepiły.

Przerażenie jego wzrosło, gdy w tych ludziach poznał: księcia Eugeniusza oraz marszałków: Bessie-res'a i Lefebvre'a.

Wszyscy trzej krzyczeli, aby natychmiast budził cesarza.

Oficer pośpieszył do sypialni.

Napoleon spoczywał na łożu carskiem nieruchomy, prawie nie oddychający, posągowi marmurowemu podobny. Zdawało się, że nawet wystrzał armatni wyrwać go ze snu nie potrafi.

Stało się inaczej.

W sypialni było widno, jak w dzień. Zalewała ją czerwona, drgająca jasność. Zaledwie oficer zaczął zbliżać się do śpiącego, zaledwie znalazł się pomiędzy nim a oknem, tak, że cień jego na łożu padł — Cesarz błyskawicznie ocknął się i usiadł na pościeli.

Natychmiast zrozumiał co się dzieje. Wzrok obrócił na nagie okna, które, w chwili, gdy zasypiał, były taflami granatu, teraz zaś zmieniły się w tafle ognistej czerwieni.

— Gore! — krzyknął potężnym głosem, nie trwogę, lecz wściekłość wyrażającym.

Ubrał się pośpiesznie, bylejak, bez pomocy kamerdynera i wdział swój szary surdut, zapinając go pod samą brodą.

Przyskoczył do jednego okna, wyrzwał; pobiegł do drugiego, uczynił toż samo. Klnąc i pięściami wygrażając, przeniósł się do obocznego salonu, gdzie również od okna do okna biegał, szalonym gniewem wybuchając.

Za oknami falowało morze ognia; nad niem wisiało kłębowisko chmur rudych i czerwonych; nakształt ognistych mieczów, przeszywały je długie, w górę wzbite, drgające ozory płomieni.

Płonoła cała dzielnica, leżąca za murem i rzeką.

Fala straszny obraz dwoiła i potęgowała. Zgrozę powiększał zupełny brak krzyków, które zwykle pożarom towarzyszą, zlewając się w przeraźliwy, podnoszący włosy na głowie, chór potępińczy. Zamiast owego, obowiązkowego niemal chóru, rozlegała się dziwna, do głębi wstrząsająca, jakby nie z tego świata, muzyka...

Grały płomienie. Właściwie grał na płomieniach wicher. Był to jakby nokturn czy marsz żałobny, wykonywany na milionie trąb, w akordach minorowych, tonami bardzo niskimi.

Ponura muzyka to cichła, to wzmagala się, rosnąc i słabnąc, zbliżając się i oddalając, niby rozkołysana topiel.

Cesarz, pochłonięty widokiem pożaru, nie zwracał na przybyłych uwagi. Z ust jego rwały się okrzyki, zgrzytaniem zębów przegradzane:

— Ohyda!... Szatani, nie ludzie!... Własną palicę stolicę!... Tyle dobytku, tyle pracy! Tyle dzieł sztuki!... Istne piekło!... I w jakim celu?... Barbarzyńcy! Scytowie! Mongoły!

Do miotającego się przystąpił pasierb, książę Eugeniusz — lekko ramienia dotknął.

— Najjaśniejszy panie...

Miękcej szepnął:

— Ojciec...

Cesarz dopiero teraz spostrzegł, że nie jest sam, Przyskoczył do obecnych z gniewem.

— Czemu stoicie? Walczyć trzeba! — walczyć z głupim, rozpętanym żywiołem! Cóż to, czy wam nowina brać się z ogniem za bary? Dalej, do walki! do czynu! To płomienisko musi być zduszone. Nędzny,

chytry ogień nie wie, z kim ma do czynienia. W pół godziny będzie po nim. Nuże! chlustajcie wodę! — lejcie strumienie, rzeki, oceany wody!... Do pomp!... Do sikawek!...

— Najjaśniejszy panie — odezwał się marszałek Bessières pokornie, gdyż go, jak wszystkich, furja Napoleona lękiem przejmowała — w mieście sikawek niema.

— Ani jednej?

— Ani jednej.

— Zwoźcie wodę beczkami, stągwiami, kubłami!

— Beczek, stągwi, kubłów też niema.

— Przystawiajcie drabiny, rozrywajcie płonące krokwie za pomocą bosaków!...

— Ani bosaków niema, ani drabin.

Cesarz gwałtownem szarpnięciem rozerwał surdut. Na posadzkę posypały się guziki.

— Co gadasz! — strasznym głosem zakrzyknął. — Gdzieżby się to wszystko podziało!?

Przerażony Bessières nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź.

Wyręczył go książę Eugeniusz.

— Najjaśniejszy panie — oznajmił — moskwi-czanie, opuszczając miasto, wszystkie narzędzia ratownicze uwieźli!...

— Mongoły!...

Pochwycił najbliższe krzesło, z łoskotem na posadzkę wyrzucił. Nie uspokoiło go to. Na obecnych napadł.

— Pociście panowie tu przybyli?... Jak śmieliście przerywać mi sen po to tylko, żeby tak nędzną przynosić wiadomość!

Mundur na sobie szarpał, nogami tupał.

— Najjaśniejszy panie... ojciec... — mówił łagodnie książę Eugeniusz. — Uspokój się, ucisz. Nie ten był cel naszego przybycia.

— Jakiż więc?

— Przybyliśmy prosić cię, abys Kreml opuścił.

— Dlaczego?

— Pożar mu zagraża.

— Od pożaru odgradzają mnie: place puste, mury, rzeka.

— Wiatr roznosi daleko głównie płonące. Rzucą je na Kreml, gdyż dmie w tym kierunku. Żagwie padają na dach pałacu...

— Zrzucać!

— Już to czynią ustawieni na dachu żołnierze.

— To dość. Zostawcie mnie w spokoju.

— Ogień zagraża Arsenałowi...

— Arsenał bezpieczny. Za jego całość ręczę.

Nie śmiał książę zaprzeczać — wykonał tylko głową ruch wątpiący.

Nie zauważył go cesarz. Może, zauważywszy, zlekceważył.

— Ogień mnie nie przestrasza! — mocno, z jowiszowym na czole marsem, wyrzekł. — To mój żywioł. Zawszem go sam wszczynał i sam dławil. Miałabym teraz przed nim się cofać? Nie ruszę się z Kremla!

Książę załamał dłonie. Marszałkowie glucho jęknęli.

— Patrzcie! — zawołał nagle cesarz, obracając się ku oknu. — Widzicie ten pałac?

— Pałac Paszkowa — objaśnił Lefebvre. — Jeden z najpiękniejszych w Moskwie.

— Co było w nim drewnianego, nietrwałego — ciągnął cesarz — wypaliło się. Ale kamienne czoło pałacu stoi i stać będzie. Spójrzcie na szczyt — cóż tam takiego?

— Posagi — odpowiedzieli.

— Tak, posagi. Płomienie pełzają dokoła nich, jak węże — zgryźć je chcą, uśmiercić, wyrzucić. One wnoszą białe czoła ku niebu, nie wychodząc na chwilę z boskiej nieruchomości...

Wyprostował się, głowę hardo dźwignął, palce prawej ręki za kamizelkę wsunął.

— Jam również posag! — krótko, stanowczo oświadczył.

W tej chwili wbiegł, nie meldując się, oficer ordynansowy, Gourgaud. Był blady z przerażenia; włosy miał w nieładzie, mundur w wielu miejscach porozdzierany. Czuć go było dymem, spalenizną.

— Najjaśniejszy panie — głosem zdyszanym oznajmił — ogień w Kremlu!

Cesarz nie drgnął nawet.

— Mów ściślej — spokojnie rozkazał.

— Zajęły się koszary. Arsenal w niebezpieczeństwie.

— Koszary ratować. Arsenal zobaczę!

— Czem ratować? — spytał nieśmiało jeden z marszałków.

— Oddział gwardyi cesarskiej utworzy łańcuch od płonącego budynku do rzeki. Moja kuchnia dostarczy wiader. Wiarusy niech wodę bez przerwy czerpią, pełne wiadra z ręki do ręki sobie podają.

Oficer wybiegł z rozkazem.

Cesarz do obecnych się zwrócił:

— Proszę panów za sobą. Wyjdziemy na taras. Cały Kreml, a przedewszystkiem zabudowania Arsenalu, widać stamtąd jak na dłoni.

Wyszli. Taras znajdował się w miejscu wzniesionem. Dostali się tam po wąskich, stromych schodkach. Pęd wiatru był tak gwałtowny, że całą siłą trzymać się musieli poręczy, aby ich nie porwał i nie zmiotł.

Dopiero z wyżyny tarasowej ogarniało się ogrom i pojmoowało tragizm pożaru. Choć daleki, narzucał się z taką mocą, jakby się przy nim stało. Odczuwały go wszystkie zmysły. Nie tylko olśniewał i przerażał oczy, lecz huczał w uszach, drażnił powonienie, drobinami sadzy osiadał na języku, falą gorącego powietrza, niby pletnią katowską, w twarz uderzał.

Zaledwie znaleźli się na tarasie, towarzysze nakłaniać zaczęli cesarza do powrotu. Miejsce było straszne i niebezpieczne. Powietrze napelniał ryk, jęk i dzwonienie. Miliony trąb grały bez przerwy z coraz innego tonu. Ani jednego ludzkiego głosu w tym chórze nie było. Ryczał, jęczał, dzwonił, trąbił — ogień. Płomienny, iście apokaliptyczny wichur deszczem iskier i gradem rozżarzonych węgla zasypywał taras, pałac, Arsenal, Kreml cały.

Poniżej tarasu, na placu, przylegającym do Arsenalu, widać było kilkudziesięciu gwardzistów, którzy co chwila schylali się, podnosili coś z ziemi, i w szalonym biegu uciekali z tem na pustą, płytami kamiennymi wyłożoną przestrzeń...

Objaśniono Cesarza, że wojsko rosyjskie pozo-

stawilo w tem miejscu dużą ilość potarganych, roz-wleczonych pakul na przybitki armatnie. Od spada-jących iskiei i żagwi pakuly zajmowały się płomie-niem. Trzeba było te zaczątki ognia gasić, gdyż wzniciły-by pożar Arsenalu. W braku wody, wia-rusy chwyтали ogień w gołe dłonie; na ból nie zwa-żając, unosili je z miejsca zagrożonego.

Arsenal wyniosły, groźny, nietknięty, urągał niebezpieczeństwu potężnymi murami z kamienia, rycerskim połyskiem spiżu na armatach, utajoną mocą symbolu, wyrażającego materyalny ogrom Rosyi.

Z płonących koszar dobywać się zaczynały białe i czarne dymy — znak, że już tam do zapasów z ogniem stanęła woda.

Jednem spojrzeniem ogarniał wszystko Napo-leon. Dodało mu to ufności, uczyniło go po dwa-kroć posągiem. Szeroko rozstawiwszy nogi, z po-daną naprzód piersią, z wyrazem zaciętego uporu i nieublaganej stanowczości, opierał się naporowi burzy ognistej, która go wywrócić i strącić usi-łowała.

Niebezpieczeństwo było wielkie, widome, na-macalne — on o niem wiedzieć nie chciał. Ura-gał mu!

— Opuśćmy to miejsce... Opuśćmy Kreml! — błagali Cesarza marszałkowie.

— Ojciec... — przekładał książę Eugeniusz, do kolan władcy głowę schylając — w twej dostojnej osobie cała Francya na szwank narażona. Po-żar zewsząd nas otacza, na stopy następuje, coraz

ciaśniej-szym ściska pierścieniem... Ustąp, najjaśniej-szy panie!

Napoleon ręce na piersi skrzyżował.

— Nie ustąpię!

Wicher wzmagął się. Coraz gęściej spadały gło-wnie. Niewidzialne trąby wyły, grzmiały, wściekały się, jak stado lwów, z głodu i bólu oszalałych.

Powietrze stało się duszne, żar palił policzki, dym wygryzał oczy, dławił. Skrzydła wichru uczy-niły się mocne, jak ze stali. Strącić garstkę śmiał-ków, co niebacznie wyniosłe, odsłonięte miejsce za-jęli, było dla nich igraszką.

— Patrz, ojciec... — jęczał Eugeniusz — deszcz iskiei gęstnieje... Arsenal żarem osypany... Lada chwila płomień wybuchnie. Wnętrze arsenału materyalu pal-nego pełne. W podziemiach miny. Pomyśl, cesarzu. Pomyśl, ojciec...

Dumnym wzrokiem zmierzył go cesarz.

— Ustępować mi każesz... A czyś ty widział kiedy Napoleona ustępującego? Pięć miesięcy walczy-łem o miejsce w Kremlu — zdobytego z takim tru-dem nie opuszczę. Ukazujesz mi Arsenal — sam nań spojrzij. Widzisz, że ogień go się nie ima. Jest gro-źny, spokojny i bezpieczny; jest wiernym mego du-cha obrazem. Póki ten olbrzym kamienny opiera się, póty...

Nie dokończył. Z piersi wyrwał mu się nagle krótki, chrapliwy krzyk. Oczy, w jeden punkt wbi-te, słupem stanęły. Cały drżący cofać się zaczął w tył, ręce przed siebie wyciągając, jakby coś lub kogoś od-pychał. Gdyby nie przybieżono i nie podtrzymano go, na wznak-by upadł.

— Ojcie... Cesarzu... co tobie? — czule dopytywał książę, ramieniem go obejmując.

— Tam!... tam!... — jęknął z trudem, szczyt Arsenału wskazując.

Wyteżyli wszyscy wzrok w tę stronę, i nic nie dostrzegli.

Ale on widział...

Widział siedzącego na gżemsiu, górującego nad całym Kremlem, przenikliwie wpatzonego weń — czerwonego człowieczka. Potworek wykrzywił się gniewnie i szyderczo; rękę prawą, z wytkniętym palcem wskazującym, na Zachód, w stronę Litwy wysuwał. Ten ruch, spojrzenie i cała postać, bezgraniczną złośliwością tętnąca, mówiły:

— Tu kres twój... Wracaj, skąd przybyłeś. Wyświecony ogniem, ugięty wstydem, trupami drogę usławszy, po trupach z powrotem idź. Stada kruków, wilków, psów zdziczałych przeprowadzać cię będą. Mróz, głód, pustynia, setki tysięcy ciał, rozwlekanych po polach przez dzioby i paszczęki — oto Chanaan, do którego dążyłeś. Idź, cofaj się, uciekaj, ukrywaj swój wstyd w dalach niedostępnych, w niesławnej mogiły mrokach!

Napół nieprzytomnego cesarza sprowadzono na dół, do »carskiej sali«. Przywołany lekarz wlał mu w usta silny, trzeźwiący lek.

Długo nie przychodził do siebie.

Gdy wszyscy byli skupieni dokoła krzesła, na którym siedział bezwładnie, do sali wbiegł wystraszony oficer.

— Od główni — wieścił — wiatrem przynie-

sionej zajął się szczyt Arsenału. Zarazem schwytano podpalacza, który ogień pod fundamenty...

W tej chwili cesarz głęboko, jęklwie westchnął, błędnym wzrokiem potoczył dokoła. Pierwsze jego słowa były:

— Siodłać konie... Wyjeżdżamy!

ROZDZIAŁ OSTATNI.

W DWORKU NA FAWORACH.

— Stasiowa!

Milczenie.

— Ciotko Brygido!

Milczenie.

Różyczka przycisnęła dłonią bijące szybko serce, zdławiła w sobie strach — do przerwanej wróciła modlitwy. Znów klęczy przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej, znów zniszczone kartki modlitewnika bez szelestu przewraca. Jej oczy, niepokoju i popłochu pełne, to podnoszą się ku mieczom godzącym w krwawą pierś Matki Chrystusowej, to w bok, w stronę okna biegną, badając z przerażeniem szeroką szparę, którą pozostawiła niedomknięta okienica.

Za oknem grzmi, szlocha, skowyczy burza śnieżna. Naprzemian gada głosami: piekła, nieskończoności, zwierząt dzikich i — ludzi. Najstraszniej brzmią ludzkie jej wołania. Lamentuje wówczas, rozpacza, modli się i przeklina.

Trwa to już od kilku tygodni. Za dnia lodowate zimno w głuchem, skostniałem, nieruchomem powie-

trzu; w nocy szaleństwa wichru, mrozu i ciemności. Niepamiętnie sroga zima wilcze kły wyszczerzyła na ludzi; nie tylko grozi, lecz i łąsa. W śnieżną szatę odziana, wygląda jak śmierć w białym całunie.

Na ulice Warszawy, nieuprzątane, zanedbane, wichur co noc nawiewa chmury lepkiego śniegu. Rosną z nich coraz wyższe wały, którym mróz daje krzepkość i spoistość muru.

Biała, mleczna, w słońcu alabastrowa i brylantami sadzona ściana wznosi się i przed dworkiem na Faworach. Najbliższych przedmiotów poza nią nie widać; wyżej, z martwych błękitów wychylają się: srebrne piramidy, srebrne kopuły, srebrne, rozplywające się widma. Piramidami są włoskie topole, kopułami — lipy i kasztany; w lotne widma przetworzyły się dalekie gmachy Żoliborza, Koszar gwardyi, kościółka Świętego Krzyża w polu.

Mimo świetności i pozornego bogactwa, nad tem wszystkim dławiający wisi smutek.

Modli się Różyczka, a chwilami modlitwę przerywa i nasłuchuje. Przerywa też czasem swe lamentsy i burza śnieżna, i również nasłuchywać się zdaje.

W jednej z chwil takiego zatajenia, wydało się Różyczce, że kroki za oknem słyszy. Doszło do jej uszu skrzypienie, jakie wydaje śnieg, naciskany stopą skradającego się człowieka. W przerażeniu, porwała się z kolan, przyzywać ją starą ciotkę i gospodynię. Zaraz potem wybuchnęły na nowo grzmoty, szlochy, skowyty, i wszystko zgłuszyły. Dziewczyna do modlitwy wróciła. Ale jej wzrok i ucho co chwil parę wybiegały za okno, badając straszną mroku i burzy tajemnicę.

Już od pół roku żyła Różyczka w ciągłym niepokoju, w nieprzerwanym oczekiwaniu. A jednak niepokój i oczekiwanie skończyć się już były powinny. Co najgorszego miało się stać, już się stało. Druga wojna polska była skończona i przegrana. Gwiazda Napoleona przygasła. Nadzieje Polaków, jak dym się rozwiały. A i z Mroczkiem wszystko się skończyło. Nie powrócił i powrócić nie mógł. Biuletyny wymieniły jego nazwisko na liście poległych. Dodały, że miał śmierć chwalebną, że duch bohaterski, miłość Ojczyzny i bezgraniczne dla niej poświęcenie do końca go nie opuszczały... Srebrny szych przy czarnej trumnie!

Czemże już się dziś niepokoić? Czego i kogo oczekiwać?

Ciotka Brygida, napół sparaliżowana, pełna taktu i doświadczenia, nieustannie powtarza to Różyczce. Przywołuje ją w imię rozsądku do rezygnacyi i opamiętania. Czyż ona tylko jedna cierpi i serce ma zakrwawione? W Polsce niema dziś rodziny, któraby w ciężkiej nie chodziła żalobie. Gdzie cierpi matka, cierpieć muszą i dzieci.

Wymienia ciotka rodziny, którym wojna wydarła trzech, czterech, pięciu synów. Opowiada o domach, skazanych na zupełną zagładę; Azrael, straszny anioł śmierci, wszystką młódź w nich wybił. W oceanie leż, który dziś Polskę, Litwę i Ruś zalewa, chemże jest Iza, choćby najbardziej gorzka, jednostki?...

Napomnienia ciotki Brygidy skutek odniosły. Różyczka lzy otarła; oczy jej odtąd suche. Ale ból w głąb serca cofnięty, nurtował je, ogniem tajemnym

palił, rozkrwawiał. I byłby ją zmógł oddawna, gdyby nie jakaś uparta, naiwna, na niczem nie oparta nadzieja, która kazała nie poddawać się rozpacz, na coś czekać, czegoś się spodziewać... To dziwne uczucie zmuszało dziewczynę nocami, gdy wszyscy w dworku i w okolicy posnęli, czuwać, modlić się, wzrok i słuch w przestrzeń wyteżać. Ono też zniewoliło ją zamieszkać w dawnym pokoju dziadka, z oknami od ulicy, skąd widziało się wszystkich, z miasta i ze świata przybywających.

Pokój od podwórza oddała Różyczka ciotce, swojej dziś opiekunce. W pokoiku przy kuchni umieściła starą gospodynię. Do stałej załogi dworku należeli jeszcze: kucharka, stróż i pies. Prócz Różyczki, wszystko tu było stare, zmurszałe i, jak cały dworek, cudem prawie tylko przy życiu się trzymające.

Stary konfederat z placówki już zeszedł. Spoczywa od kilku miesięcy na cmentarzyku przy kościele »Gwardyackim«, gdzie samych wojaków chowają. Długo czekał, czy go zluźować nie przyjdą; wreszcie śmierć zabębniła »retyradę« — karny wiarus posłuszny być musiał.

Przed śmiercią całe dni spędzał na ganku, lub przy oknie, zatapiając wielkie, siwe, zakrwawione oczy — oczy starego orla — w drogę, do miasta wiodącą. On również na straży stał, czuwał i czekał. Dawniej na wieści ze świata obojętny, teraz resztą ducha rwał się do nich zajadle.

Ale wieści przybywały leniwie i skapo.

O tem, co się działo »na teatrze wojny«, nikt nie mógł donieść nic pewnego, nikt bowiem nie pe-

wnego nie wiedział. Biuletyny dochodziły często po miesiącu, a i w biuletynach prawdy całej nie było.

W Warszawie przez cały czas kampanii panował zamęt i niepewność, maskowane sztuczną wesołością i brawurą. Coraz nowymi podatkami wyciskano krwawy pot z biednego, wyniszczonego, ledwie dyszącego Księstwa. Ambasador francuski wyprawiał bale, bo mu nakazano; na balach panowała nuda i przymus, bo wesołości nakazać nie można. Monsi-nior de Pradt udzielał warszawianom jaknajpomyślniejszych wieści o wojnie, czerpiąc je z otrzymanych depesz — sam im jednak wiary nie dawał.

Nie zaspakajały te wieści i Zrzelskiego. Zapał, jaki wzbudził w jego sercu sejm konfederacyjny, stopniowo przygasał. Z początku, okrzyk: »Jest już Polska«, wracał mu na usta co chwila — rozgrzewał go, odmładzał. Trwało to przez czerwiec, lipiec... W starcu ocknęły się jakieś wielkie, utajone moce. Gdy szczudłem i karabelą w podłogę uderzał, prostując olbrzymią postać, podnosząc głowę, którą roz-wiane pasma białych włosów nimbem świetlanym otaczały; gdy oczy jego ciskały błyskawice, a długie, kręte, srebrne wąsiska, jak para węzów żywych drgały; gdy na obliczu wykwitła świętość i zmuszający do posłuszeństwa majestat — wydawał się Moj-żeszem, który za chwilę na czele narodu stanąwszy, do Ziemi go obiecaną wprowadzi.

Minęło to ku końcowi lata.

Może osłabiły starego konfederata wielkie upały; może po silnem podnieceniu przyszło naturalną koleją wyczerpanie; może nadchodzący w coraz szybszem tempie schylek życia głębszą w tym brzo-

uczynił szczerbę... Zrzelski stał się milczący i posępny, rozmowy z ludźmi unikał, nowin przestał być ciekawy — okrzyku: »Jest już Polska« nie powtarzał.

Dni schodziły starcowi na wertowaniu bibulastych, od długiego użycia rozsypujących się broszur. Wieczorami, w ganku, lub przy oknie, z upodobaniem wpatrywał się w zachody słońca, pieśń konfederatów barskich półgłosem nucąc.

Od połowy sierpnia posępne jego usposobienie wzmogło się i przeszło w wyraźną już melancholię. Nawet z wnuczką rozmawiać przestał, a na wzmianki jej o Mrocuku, odpowiadał milczącym, lecz strasznej grozy pełnem spojrzeniem.

Później dopiero, przy porównywaniu pewnych dat i zdarzeń, uderzył wszystkich pewien fakt niezwykły, z cudownością niemal graniczący. Okazało się, że duch starca pozostawał w tajemnej łączności z tem, co się na dalekiem polu bitwy działo. Zrzelski, choć gazet i biuletynów nie czytał, świadomy był wewnętrznie wszystkich etapów krwawego na Moskwę pochodu. W porze oblegania Smoleńska, objawiał nadzwyczajną, obcą mu dotąd trwogę; w dniu strasznych zapasów pod Borodinem, opadł nagle z sił i mdlejący, napół nieprzytomny, do łóżka położyć się musiał.

Już z niego nie powstał.

Pewnego wrześniowego przedwieczera wydało się wszystkim, że Zrzelski pokonał swą niemoc i wrócony jest życiu. Ubrać się kazał odświętnie, karabelę przy sobie położył — z wypogodzonym, prawie wesołym obliczem zażądał, aby go z łóżkiem do okna otwartego przysunęto.

Wpatrzony w różowo-złociste, po niebie rozsypane chmurki, wsparłszy jedną dłoń o głowicę szablki, w drugą ryngraf pogięty ująwszy, z jakimś anielskim na całej twarzy uśmiechem, siedział długo, poruszając bezdźwięcznie wargami.

Modlił się.

Kobiety, aby rozmodlonemu nie przeszkadzać, usunęły się do obocznego pokoju, gdzie jedna drugiej szeptem podawała wieść dobrą: że dziadkowi lepiej, że dziadzio wyszedł z niebezpieczeństwa, że z dziadziem jutro już może do wspólnego zasiąść stołu...

Nagle dworkiem całym wstrząsnął potężny okrzyk:

— Będzie Polska, mości panowie!!!

Zarazem usłyszano głośny brzęk uderzającej o podłogę karabeli.

Trwało to chwilę.

Gdy kobiety wbiegły do pokoju, panowała już w nim nadzwyczajna, przerażająca cisza.

Zrzelski siedział sztywno, oparty plecami o poduszki i cały czerwonym światłem zachodu oblany. Jego wielkie, orle, szeroko rozwarte oczy wpatrywały się bez zmrużenia w słońce. Jedna dłoń trzymała mocno szablę; druga przyciskała do piersi ryngraf. Wzbite w górę i blaskiem słońca zabarwione włosy zdawały się obejmować twarz płomieniem.

Stary konfederat już nie żył.

Obraz śmierci dziadkowej i ostatni, jakby proroczy, okrzyk wielkiego patrioty, głęboko zapadły w duszę Różyczki. W każdą niemal noc, na modlitwie i rozpamiętywaniach spędzaną, wracała jej ta chwila do pamięci. Lęku nie czuła; owszem, to rzeźkie,

bohaterskie przejście z jednego świata w drugi godziło ją w równym stopniu z życiem i śmiercią. To nawet może było powodem, że śmierć ukochanego Mrocza, choć urzędownie stwierdzona, wydała się jej raczej snem bolesnym, niż rzeczywistością. Mroczek żywy i Mroczek umarły, stapiali się w jej oczach w jedną postać, razem realną i fantastyczną. Ściśle rzecz określając, ta postać była — widmem.

Po północy, burza śnieżna przesilać się zaczęła i słabnąć. Coraz rzadziej podrywał się wichur, niosący białe, suche, dzwoniące tumany; coraz ciszej huczał akord powietrzny, spleciony z bólu, przekleństw i rozpacz. Wybuchy szału coraz dłuższe przegadzały pauzy.

Różyczka pilniej wsłuchiwała się w ciszę, niż w huragan. I musiała ta cisza zwierzyć jej coś bardzo ważnego, bo zerwała się nagle z kolan, i do jednych, potem do drugich drzwi pobiegła, krzycząc rozpaczliwie:

— Stasiowa! Stasiowa!... Ciotko Brygido! ciociu! cioteczko!...

Tym razem doczekała się odpowiedzi. Dała znak życia głucha, białą górą pierzyny przywalona gospodyni; zbudziła się i mamrotać zaczęła stara, sparaliżowana ciotka.

Obie sennymi dopytywały głosami: co się stało?

— Przy domu ktoś chodzi... — mówiła, drżąc, dziewczyna. — Wyraźnie czyjeś kroki słyszałam... Jakiś człowiek czai się, skrada, pod oknami podsłuchuje... Śnieg skrzypi pod jego stopami — pod jedną może tylko stopą...

Gospodyni wychyliła głowę i szyję z pod pierzyny.

— Święty Boże! — cóż za dziwy panna Rozalia opowiada!... I czy pewna jest swego?...

— Słyszałam jak człowiek wstąpił na mostek przed gankiem... W krokach jego rozróżniłam dwa głosy: chrzęst śniegu pod stopą i huk drewna okutego na deskach.

Gospodyni naciągnęła pierzynę na głowę. Głos jej był teraz zduszony, jakby podziemny.

— W imię Ojca i Syna... A światłość wiekuista niechaj mu świeci... To nikt, jeno nasz stary pan!

— Dziadzio?

— A jużci! Wałęsa się starowina, kusztuka, stare kąty opatruje... Jeszcze se miejsca w grobie nie zależał. Wieczny odpoczynek... Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

— A ja myślę, moja Stasiowa, że to nie dziadzio...

— Któżby zaś jenszy?...

— Ja myślę...

Przerwał Różyczce głos ciotki.

— Co za rozmowy?... czemu nie śpicie?... Ledwie przysnęła, już mnie budzą!...

Jęczącym, zbolalym głosem skarżyła się starucha. Pobiegła do niej Różyczka, przy łóżku uklękła, ze swych obaw szeptem zwierzać się zaczęła.

— Przywidzenia, moja aśko, przywidzenia! Żywy człowiek to być nie może, bo któżby o tej godzinie i w taką zawieruchę po ulicy się włóczył...

— Więc pewnie umarli! — bez namysłu wyrwało się dziewczynie.

Ciotka rzuciła się gwałtownie na pościeli — z zanadru medaliki i szkaplerze wyciągała.

— Co gadasz aśka! co gadasz!... Kto w ziemi poświęcanej złożony, nie ruszy się aż na sąd ostateczny!...

— A jeśli mu przyszło ledz w szczerem polu, w parowie dzikim, w wezbranej rzeki falach?... Jeśli na polu bitwy, w piekielnej zawierusze mordujących się ludzi padł, a kopyta koni ciała jego w ziemię wbiły lub po wertepach rozniosły?

Ciotka nie słuchała. Skureczona, w klębek niemal zwinięta, dygocąc i zębami szczękając, zajadłe odmawiała pacierze.

Różyczka powróciła do siebie. Nie dokuczał jej strach — była tylko silnie, do głębi serca wzruszona. Dręczyło ją niespokojne oczekiwanie czegoś strasznego, co za chwilę ma nadejść...

Burza przestała już wściekać się, kłąć i grozić. Dzikie, rozwichrzone jej głosy spłynęły w minorowy akord przeciągłego, bolesnego lamentu. Los przez usta przyrody mówić się zdawał miastu i krajowi: — Jedno już wam tylko pozostało: *super flumina Babylonis* sięść i — biadać...

Była chwila, że i wnuczka Zrzelskiego uczuciu bezradności poddać się miała — choć ono zawsze było jej nienawistne. Z pomocą przyszła pamięć, stawiając przed oczy obraz umierającego konfederata i jego słowa ostatnie. Mimowoli pobiegła wzrokiem ku oknu, przez które on się wówczas w niebo i w ukrytego w niebie Boga wpatrywał.

Pobiegła tam wzrokiem — i w tejże chwili w miejscu, bez ruchu stanęła. Stanęła z zesklonemi

oczami, z wyciągniętymi przez siebie rękoma, z dziwnym wyrazem przerażenia i równocześnie zachwytu na stężelej w marmur twarzy.

Tej nocy w pokoju Różyczki niedość mocno zamknięto okienicę. Wicher, w ciągu kilku godzin szarpiąc obie jej połowy, coraz bardziej owo zamknięcie rozluźniał. I powstała stąd w końcu szeroka na całą dłoń szpara, przez którą wylewało się na zewnątrz światło, do środka zaś wpelzała noc.

Przez szparę wpatrywało się w Różyczkę dwoje czarnych, przepaścistych oczu, które, jak dwie lampy grobowe gorzały na wynędzniałej, trupio bladej, zielonej prawie twarzy...

Nie krzyknęła wnuczka konfederata, ani zemdlona na podłogę nie padła. Oprzytomniawszy, westchnęła tylko głęboko, i zaraz rzuciła się do pokoju gospodyni.

Nie prosiła już teraz, lecz rozkazywała.

— Wstawajcie, Stasiowa!... Mateusza budźcie!... Natychmiast przed dom niech wyjdzie, i przyprawdzi...

Gospodyni próbowała oponować.

— Święty Boże! Cóż się to znów pannie Rozalii uroiło?... Po nocy takie brewerye!... A i Matus nie młodzik — mało się to w dzień naharuje, żeby go jeszcze po północy ganiać!...

Wnuczka Zrzelskiego ściągnęła brwi; oczy jej się zaiskrzyły. Nogą tupnęła; za poręcz łóżka chwyciła ręką, mocną, jak u mężczyzny.

— Natychmiast!... Słyszycie? — Natychmiast!

Po chwili, tłusta, czerwona babulka wsuwała stopy w przydeptane pantofle, zarzucała na siebie

watówkę, kaftan, jubkę, a na wszystko jeszcze grubą, ciepłą chustkę, mamrocąc przytem słowa niewyraźne, a gniewne...

— I kogóż to Matus ma przyprawdzać? — spytała wreszcie, zlepi oczami na Różyczkę rzucając.

— Pana Mrocza... Pana kapitana Mrocza... Prędej! — na miłosierdzie boże, prędej!

Położyła dziewczyna rękę na ramieniu starej — prawie siłą z izby ją wypchnęła.

Teraz sama pomyślała o sobie. Kobieta była — nawet na spotkanie widma nie wyszłaby odziana źle, lub niewłaściwie.

Biała spódniczka i biały kaftanik nakryte zostały szybko czarną, pół-żałobną suknią z wysokim stanem, z bufiastymi, według mody, rękawami. Obfite, rozpuszczone włosy zgarnęła dziewczyna w jedno grube pasmo; zwinęła to pasmo na czubku głowy, przepięła wielkim, wysokim, szylkretowym grzebieniem.

Już oto gotowa. Stała w rozwartych drzwiach swego pokoju, głowę o ich obramienie wsparła. Nie oddycha prawie — serce w niej łomocze — słuch wytężyła — czeka.

Wprowadzono wreszcie ten ból i tę nędzę. Ukazał się oczom panny sponiewierany symbol strasznej, przegranej kampanii.

Stało to w progu skulone, drżące, nieśmiałe, ledwie do istoty ludzkiej podobne. Obszerny płaszcz kawalerski, do ziemi sięgający, skorupą śniegu i lodu ocieżyły, zdawał się skrywać w swych sztywnych

faldach jakąś okropną zagadkę. Głowa na pierś była zwieszona, twarz ledwie widna.

Ku tej bryle bezkształtnej wnuczka konfederata postąpiła śmiało, rezolutnie, i dzwiecznym a uprzejmym głosem wyrzekła:

— Witam waszmości, panie kapitanie! Rozgościć się proszę. Choć dziadzi już niema i w domu same niewiasty, powracający wojak znajdzie tu przyjazne serca i dłoń pomocną.

Nie podniosła się opuszczona głowa; bezkształtność zmarzniętej bryły ani jednym nie zmieniła się poruszeniem.

Widmowe milczenie tego czegoś, co może kiedyś było człowiekiem; donośny głos panny, rozlegający się jak w pustce; nagle uciszenie się wichru, który przysiadł za oknem, podsłuchując — na całą izbę rzuciły grozę. Olbrzymiemu, zgarbionemu stróżowi uczyniło się nieswojo; wyniósł się do sieni, cicho drzwi odmykając i zamykając. Gospodyni, w chustce jeszcze i jubce, przykucnęła w rogu i bezdźwięcznie poruszała wargami, przesuwając ziarna różańca.

— A zrzucićże waćpan tę kapuzę — ciągnęła Różyczka tym samym, uprzejmym, swobodnie rezolutnym tonem. — Nie przystoi ona ulanowi. Damy tu są przecie...

Widząc, że wezwanie nie skutkuje, przystąpiła śmiało do milczącej postaci, w białe, drobne, lecz mocne dłonie ujęła kłamrę płaszcza — rozerwała ją gwałtownym szarpnięciem...

Lodowata powłoka osunęła się z ramion, z chrzęstem na podłogę upadła.

Ukazała się jakaś reszotka człowieka, z wychu-

dłym tułowiem, na którym mundur ułański wisiał jak na kiju. Jeden rękaw munduru był pusty; zamiast jednej nogi, wysuwało się z granatowej nogawicy proste, drewniane szczudło. Mniej było podobieństwa pomiędzy tem widmem a kapitanem Mroczkiem, niż pomiędzy arabeskami mrozu na szybie a świeżą majową różą.

— Jakże zdobią wojaka te zaszczytne blizny! Jakże z niemi waćpanu do twarzy!

Wyrzekła to Różyczka wesoło, prawie ze śmiechem. A serce jej krwawiło się i z bólu omdlewało.

— Jezus Marya! — ozwał się za jej plecami głos ciotki, paralityczki, która o kiju się przywlokła. — Toż temu kawalerowi bliżej, niż mnie, do trumny!

Tymczasem Różyczka podsuwała kalece swe młode, jędrne ramię.

— Oprzeć się proszę — mówiła. — Waćpanu spocząć trzeba; przeprowadzę go do drugiego pokoju, na fotelu dziadkowym usadzę...

Kaleka potrząsnął głową; jedyną ręką począł zlekka odsuwać od siebie pannę. Mówić chciał, lecz głos w gardle mu uwiązł.

Różyczka nie ustąpiła.

— Waćpan jesteś dla mnie więcej, niż polskim oficerem. I więcej, niż przyjacielem. Waćpan przedstawiasz dla mnie w tej chwili całą Polskę. A na czem-że wesprzeć się ma ta Polska, która synów swych potraciła, jeśli nie na polskiej kobiecie?...

Pomimo oporu, przeprowadzony został na fotel nieboszczyka Zrzelskiego. Obłożono go poduszkami, niską, miękką kanapkę przysunięto pod nogę. Ży-

mał się, opierał, ręką gardło, kurczem ściśnione wskazywał.

Nie nie pomogło. Różyczka nalala mu i do ust poniosła kieliszek starego wina. Napoiła go niby dziecko bezradne herbatą gorącą, którą gospodyni przyrządziła pośpiesznie.

Nareszcie zdołał wykrztusić:

— Ja... nie...

— Co?... co takiego?... — dopytywały rozszerzone ciekawością oczy Różyczki.

— Nie, nie, nie... — powtarzał, trzęsąc głową i czyniąc ręką gest odpychający.

Pochyliła się ku niemu panna.

— Mów waćpan wyraźniej... Jam tak rada głos pana kapitana usłyszeć.

— Ja tu... nie po to — mówił z wysiłkiem, lecz coraz płynniej. — Ja poprostu... oddać jeno chciałem... to...

Zpod munduru wyciągnął zmiętą, pożółkłą kokardkę z białej niegdyś wstążki.

— I chciałem — ciągnął — pannie Róży... dane słowo... zwrócić. A potem...

— A potem? — głucho powtórzyła.

— A potem: do lazaretu pójść i — umrzeć.

Różyczka dumnym ruchem obrażonej Polki odsunęła podawaną sobie kokardkę.

— Zatrzymaj to waćpan — wyniośle rzekła. — Pochodzę z rodu ludzi szlachetnych i mocnych. Z sercem i sumieniem nie igram. Danego słowa nie cofam i nie łamię.

— Przeciwny był temu nieboszczyk Zrzelski. Woli zmarłych sprzeciwiać się nie wolno...

— Mylisz się waćpan. Nieboszczyk dziadek przed śmiercią zdanie zmienił. Przez niego-m właśnie na małżonkę — kapitanowi Mroczkowi przeznaczona.

Przybysz jęknął.

— Kapitana Mrocza już нема... Jest tylko jego widmo.

— Można i ducha bezcielesnego poślubić. Można i wspomnieniu być wierną.

Wielkie, czarne, głęboko zapadłe oczy zwróciły się na mówiącą z wyrazem smutku, zwątpienia i niewiary.

Różyczka mówiła:

— Ja powrót waćpana za cud poczytuję. Ale w ten cud od początku wierzyła. I nawet go się spodziewałam — wbrew temu, co mówiono i pisano. Toć przecie w biuletynach na listę poległych wciągniony waćpan był.

Spuścił oczy — z dziwną pokorą, jakby z zawstyżeniem mówił:

— Dwie doby przeleżałem wśród trupów. Możliwe już nawet był umarły. Zmartwychwstałem, gdy mnie kozak do naga obdzierał. Wzięty do niewoli, po raz drugi umarłem — pod nożem chirurga. Ucięto mi rękę, ucięto nogę — potem bez czucia i przytomności do trupiarni rzucono. Tam znów do życia wróciłem. Ale to drugie czy trzecie życie do życia prawdziwego niepodobne. Widmem się stałem; widmem dotąd jestem.

Zamilknął, wyczerpany. Głowa mu bezwładnie na pierś opadła.

Różyczka znów go napoiła winem i herbatą.

— Nie wiem już dziś — kończył — jakem się tu dostał. Tam mnie nie trzymano. *Koli chcesz, stupaj k'czortu!* O żebranym chlebie lażem, wlokłem się, pełzałem. Mróz mnie odrętwiał, głód zabił. Podejmowano mnie na gościńcach; wieziono wozami chłopskimi i pańskimi kolaskami. Widmem byłem, wszędy przenikałem. Niosła mnie myśl lotna a mocna: że tu, na przedmieściu Warszawy, dobrą, siostrzaną duszę pętają śluby nierozsądne i że mi trzeba ją z nich rozwiązać, aby była wolna i szczęśliwa. Umarli potrzebują tylko spokoju; żywym należy się radość i uciecha życia. Spełniłem swoje. Teraz — umrzeć mi dajcie!

— Waćpan żyć będziesz! — wyrzekła silnie, jakby swą wolę z wysoka objawiając, Różyczka.

— Po co?... Dla kogo?... — z trudem wyjąkał.

— Dla małżonki swej, która twe rany wygoi, schorzałość twą podeprze, czcić i miłować cię będzie.

Wyprostował się — oczy jego z wyrazem przeobrażenia i męczącego niepokoju w twarz mówiącej się wpiły.

— Alboż... — zaczął i nie dokończył.

Ona bowiem w tej chwili, na kolana przed nim upadła, mówiąc kornie:

— Otom jest służebnica twoja...

Wychudłą rękę kaleki pochwyciła, do ust podniosła, pocałunkami okrywała.

Siedział prosty, nieruchomy, milczący. Wielkie łzy płynęły mu po twarzy, spadając na wypelzły rabat ułańskiego munduru.

Staruszki, w kął wciśnięte, szeptały naprzemian:
»Święty Boże!«... »Jezus Maryja!«...

Za oknami była zupełna cisza. Podziwem zdjęty huragan omdlał.

A z kątów pelzły i całe wnętrze starego dworku wypełniały echa słów dziadkowych:

— Będzie Polska... będzie... będzie...

KONIEC.



38389

TREŚĆ.

CZEŚĆ PIERWSZA.

OTCHŁAŃ WYZYWA OTCHŁAŃ.

	Strona
Rozdział I. Iliady księga I, wiersze 613—616	3
» II. — A buty?...	17
» III. Ręce, które wstrzymują i ręce, które przy- zywają	21
» IV. »Niema już Polski, mości panowie!«	35
» V. W kawiarni »pod Pepuszką«	43
» VI. Historyi żdźbło i szczypta psychologii . . .	56
» VII. Siostra i brat	63
» VIII. On	76
» IX. Minister pracuje — książę Pepi igra	87
» X. Maelström	104
» XI. Litewska Joanna d'Arc	115
» XII. Czerwony człowieczek zjawia się po raz pierwszy	126

CZEŚĆ DRUGA.

PO TAMTEJ STRONIE.

Rozdział I. O sól i o śledzia	141
» II. Słońce i chmury	150
» III. Idée favorite	155
» IV. Litwinka z Dom-Remy	167
» V. Car się bawi	188

CZĘŚĆ TRZECIA.

W OGNIU.

	Strona
Rozdział I. »Jest już Polska«	235
» II. I radość zabija	244
» III. Wśród »statystów«	253
» IV. Korpus piąty	271
» V. Czerwony człowieczek zjawia się po raz drugi	283
» VI. Smoleńsk	304
» VII. W samym przepaści niezgłębionej środka . .	328
» VIII. W nawiasie	353
» IX. Nasi	364
» X. Czerwony człowieczek zjawia się po raz trzeci	397
» XI. W dworku na Faworach	422